

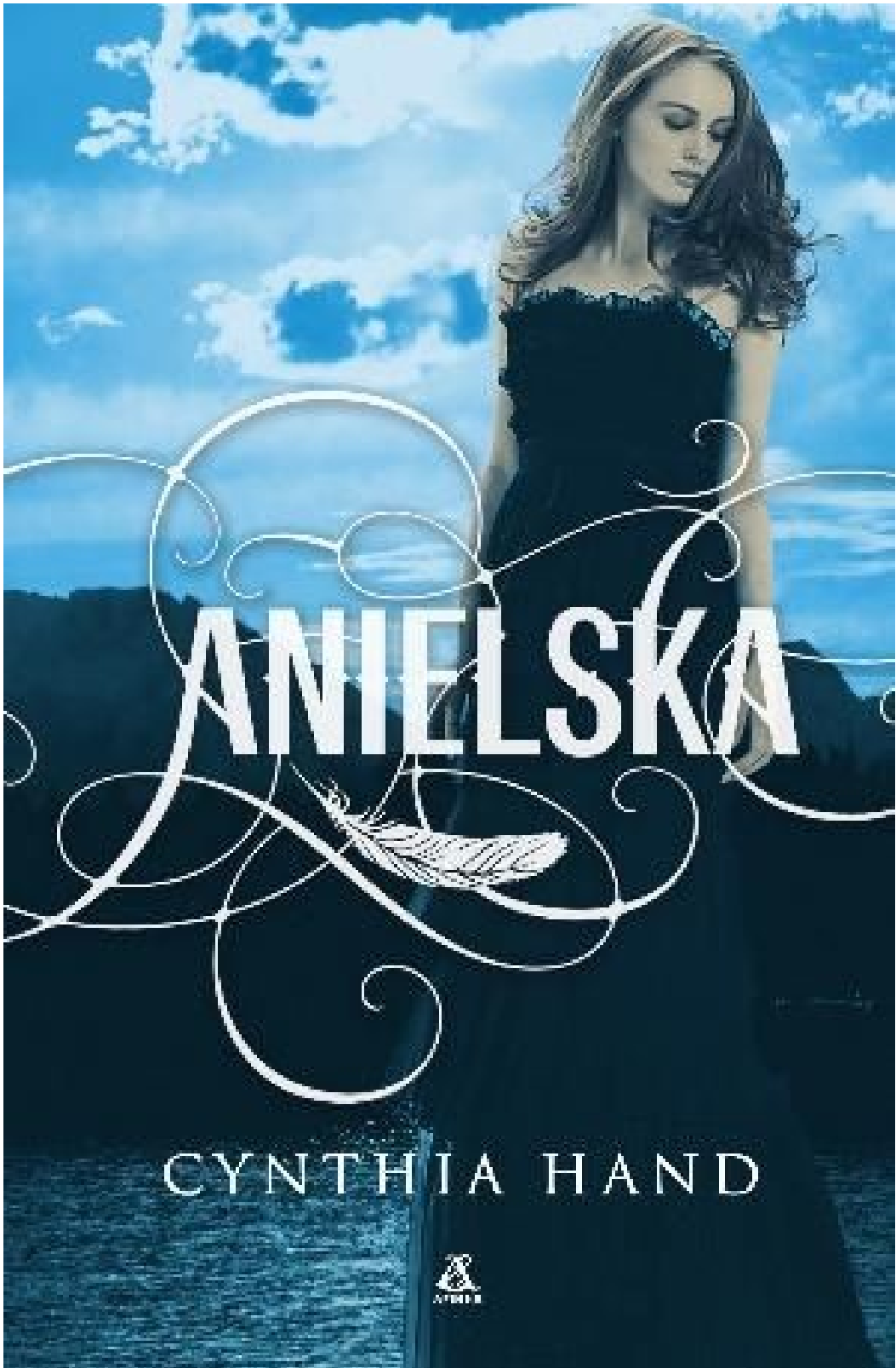
# ANIĘLSKA

## CYNTHIA HAND

Przekład  
AGATA KOWALCZYK



*ANIS*



# ANIELSKA

CYNTHIA HAND



*Carol, mojej mamie*

*A kiedy ludzie zaczęli się mnożyć na ziemi,  
rodziły im się córki. Synowie Boga, widząc,  
że córki człowiecze są piękne, brali je sobie za żony,  
wszystkie, jakie im się tylko podobały.*

Księga Rodzaju, 6:1-2

## Prolog

We śnie jest smutek. Czuję go mocniej niż wszystko inne, straszliwą rozpacz, która mnie dławi, zaćmiewa mi wzrok, zmienia stopy w ołów, kiedy deptę wysoką trawę. Idę między sosnami w górę łagodnego stoku. To nie jest zbocze góry z mojej wizji, to nie jest pożar lasu ani żadne inne miejsce, które widziałam wcześniej. To coś nowego. Niebo nade mną to czysty, bezchmurny błękit. Świeci słońce. Śpiewają ptaki. Ciepły wiatr porusza drzewa.

Czarne Skrzydło musi być blisko, bardzo blisko, jeśli ten potworny smutek jest jakąś wskazówką. Rozglądam się dookoła. Wtedy dostrzegam brata idącego obok mnie. Ma na sobie garnitur — czarną marynarkę i całą resztę: ciemnoszarą koszulę, błyszczące buty, srebrny krawat w prążki. Patrzy wprost przed siebie, szczęki zaciska mu determinacja czy gniew, czy jeszcze coś, czego nie potrafię zidentyfikować.

— Jeffrey — mówię cicho.

Nie patrzy na mnie. Mówi:

— Miejmy to z głowy.

Chciałabym wiedzieć, co ma na myśli.

Nagle ktoś bierze mnie za rękę i ten dotyk jest znajomy, ten żar skóry, te smukłe, a zarazem męskie palce, które otaczają moje. Jak dłoń chirurga, myślałam kiedyś. Dłoń Christiana.

Wstrzymuję oddech. Nie powinnam mu pozwolić, żeby trzymał mnie za rękę, teraz, po tym wszystkim, ale nie cofam dłoni. Podnoszę wzrok, przesuwam spojrzenie w górę po rękawie, aż na jego twarz, na jego poważne zielone oczy ze złotymi plamkami. I na krótką chwilę smutek słabnie.

*Dasz radę, szepcze w moich myślach.*

## 1. Szukamy Midasa

Hiacynt nie jest już niebieski. Ogień zmienił Tuckerowego chevroleta LUV, rocznik 1978, w paletę czerni, szarości i rdzawego oranżu; okna są roztrzaskane od żaru, nie ma opon, wewnątrz to makabryczny, szerniały kłęb metalu, stopionej deski rozdzielczej i tapicerki. Kiedy teraz się na niego patrzy, trudno uwierzyć, że jeszcze parę tygodni temu najbardziej na świecie uwielbiałam jeździć tym starym pickupem z opuszczonymi szybami, wystawiając palce, by przecinały powietrze, i zerkając ukradkiem na Tuckera po prostu dlatego, że lubiłam na niego patrzeć. Właśnie tu się wszystko zaczęło — na wytartych, spleśniałych siedzeniach Hiacynta. To tu się zakochałam.

A teraz to wszystko jest spalone na węgiel.

Tucker patrzy na szczątki Hiacynta ze smutkiem w chmurnych niebieskich oczach; jedną rękę trzyma na usmażonej masce, jakby żegnał się na zawsze. Biorę go za drugą rękę. Niewiele się odzywał, od kiedy tu przyszliśmy. Spędziliśmy popołudnie, włócząc się po spalonej części lasu i szukając Midasa, konia Tuckera. Coś mi mówiło, że to zły pomysł, przyjść tutaj i szukać, ale kiedy Tucker poprosił, żebym go tu przywiozła, zgodziłam się. Rozumiem to — kochał Midasa, i to nie tylko dlatego, że Midas był czempionem rodeo, ale dlatego, że Tucker był przy jego narodzinach, patrzył, jak stawia pierwsze chwiejne kroki, wychował go i wyszkolił, i zjeździł na nim chyba wszystkie końskie szlaki w hrabstwie Teton. Chce wiedzieć, co się z nim stało. Nie chce żyć w zawieszeniu. Znam to uczucie.

W pewnej chwili natknęliśmy się na truchło łośa, spalone niemal na popiół, i przez jeden straszny moment, dopóki nie zobaczyłam łopat, myślałam, że to Midas. Ale nie znaleźliśmy nic poza tym.

— Przykro mi, Tuck — mówię teraz. Wiem, że nie mogłabym uratować Midasa, nie byłabym w stanie wynieść na skrzydłach Tuckera i dorosłego konia z płonącego lasu, ale i tak czuję, że to w jakiś sposób moja wina.

Jego dłoń sztywnieje w mojej. Tucker odwraca się i na jego policzku pojawia się dołeczek.

— Hej, nie smuć się — mówi. Obejmuję go za szyję, kiedy przyciąga mnie do siebie. — To mnie powinno być przykro, że cię tu dzisiaj wyciągnąłem. To przygnębiające. A przecież powinniśmy się cieszyć, świętować. Ostatecznie uratowałaś mi życie. — Uśmiecha się, i tym razem to jest prawdziwy uśmiech, pełen ciepła i miłości i wszystkiego, czego mogłabym pragnąć. Ściągam jego twarz w dół i znajduję niesamowitą pociechę w jego ustach, poruszających się na moich, w biciu jego serca pod dłonią, w spokoju i sile tego chłopaka, który skradł mi serce. Na minutę zatracam się w nim.

Nie wypełniłam zadania.

Próbuję odepchnąć tę myśl, ale trzyma się mnie uparcie. Coś skręca się we mnie. Uderza w nas ostry podmuch wiatru, a deszcz, który do tej pory był tylko mżawką, przybiera na sile. Padało od bitych trzech dni, od czasu pożaru. Jest zimno — wilgotny chłód przesiąka mi przez kurtkę. Mgła kłębi się między szerniałymi drzewami.

Prawdę mówiąc, przypomina mi to piekło.

Odsuwam się od Tuckera, drżąca.

Boże, przydałaby mi się psychoterapia, myślę.

Jasne. Już to widzę, jak opowiadam swoją historię psychologowi; jak wyciągnięta na kozetce mówię, że jestem po części aniołem, że wszyscy anielicy mają zadanie do wypełnienia na ziemi i że w dniu wypełniania swojego zadania nadziałam się niechcący na upadłego anioła. Który dosłownie zabrał mnie na pięć minut do piekła. I próbował zabić moją matkę. I że walczyłam z nim czymś w rodzaju magicznego, świętego światła. A potem musiałam lecieć ratować jednego gościa z pożaru lasu. Ale go nie uratowałam. Zamiast niego uratowałam własnego chłopaka, ale okazało się, że tamten pierwszy i tak nie potrzebował mojej pomocy, bo sam jest po części aniołem.

Tak, coś czuję, że po pierwszej wizycie u terapeuty wylądowałabym w kaftanie bezpieczeństwa i w wygodnej, wykładanej materacami celi.

— Wszystko dobrze? — pyta cicho Tucker.

Nie mówiłam mu o piekle. Ani o Czarnym Skrzydle. Bo mama mówi — choć nie wiem, jak

to działa — że kiedy wie się o Czarnych Skrzydłach, tym łatwiej ściąga się na siebie ich uwagę.

Nie powiedziałam mu o bardzo wielu rzeczach.

— Tak, nic mi nie jest. Jestem tylko... — Jaka? Jaka jestem? Beznadziejnie skołowana?

Kompletnie pokręcona? Przeklęta na wieki?

Decyduję się na:

— Zmarznięta.

Tucker bierze mnie w objęcia, pociera dłońmi moje ramiona, próbując mnie rozgrzać. Przez sekundę widzę tę jego zmartwioną, lekko urażoną minę, którą robi zawsze, gdy wie, że nie mówię mu całej prawdy, ale ja prostuję się i daję mu jeszcze jednego całusa: miękkiego, w kącik ust.

— Już nigdy więcej ze sobą nie zrywajmy, okej? — mówię mu. — Chybabym tego nie zniosła.

Jego spojrzenie łagodnieje.

— Umowa stoi. Żadnego zrywania. Chodź — mówi. Bierze mnie za rękę i prowadzi z powrotem do mojego samochodu, zaparkowanego na skraju wypalanej polany. Otwiera mi drzwiczki, a potem biegnie na stronę pasażera i wsiada. Szczerzy się w uśmiechu.

— Wyośmy się stąd.

Bardzo mi się podoba, że to powiedział.

Mam serdecznie dość tego miejsca.

W tym roku, pierwszego dnia szkoły, zupełnie inna dziewczyna siedzi w srebrnej toyocie prius na parkingu Liceum Jackson Hole. Po pierwsze, ta dziewczyna jest blondynką: ma długie, falujące, złociste włosy z delikatnym rudym odcieniem. Wiąże je w ciasny kucyk na karku, a na głowę wcisnęła szary kapelusz typu fedora, który, ma nadzieję, będzie uchodzić za modny i retro, i trochę odciągnie uwagę od włosów. Jest lekko ogorzła — nie opalona, ale wyłożona słońcem. Ale kiedy patrzę we wsteczne lusterko, to nie włosy czy skóra wydają mi się najbardziej zmienione. Przede wszystkim chodzi o oczy. W tych wielkich, szaroniebieskich oczach jest całkiem nowa wiedza o dobru i złu. Wyglądam na starszą. I mądrzejszą. I mam nadzieję, że to prawda.

Wysiadam z samochodu. Niebo jest szare. Wciąż pada. Wciąż jest zimno. Nie mogę się powstrzymać od rozglądania po chmurach, od szukania we własnej świadomości najmniejszych śladów smutku, które mogłyby oznaczać, że w pobliżu czai się zły anioł, choć mama powiedziała, że to mało prawdopodobne, by Samjaza zaatakował nas tak od razu. Zraniłam go, a podobno Czarne Skrzydła potrzebują dużo czasu, by wyzdrowieć — w jakiś sposób zależy to od tego, jak czas płynie w piekle. Dzień to tysiąc lat, tysiąc lat to dzień, coś w tym rodzaju. Nie udaję, że to rozumiem. Cieszę się tylko, że nie musimy zwiewać z Jackson, że nie muszę porzucić całego swojego życia. Przynajmniej na razie.

Nie czuję żadnych złych fluidów, więc rozglądam się po parkingu w nadziei, że zobaczę Tuckera, ale jeszcze go nie ma. Nie pozostało mi nic innego, jak wejść do szkoły. Ostatni raz poprawiam fedorę i ruszam do drzwi.

Czeka na mnie ostatnia klasa.

— Clara! — woła mnie znajomy głos; nie zdążyłam zrobić nawet trzech kroków. —

Czekaj.

Odwracam się i widzę Christiana Prescottta wysiadającego z nowiutkiego pickupa. Ten jest wielki, czarny, z połyskującymi felgami, na klapie ma napis MAXIMUM DUTY. Jego stara półciężarówka, srebrny avalanche, który zdawał się permanentnie zaparkowany gdzieś na skraju mojego pola widzenia, też spalił się w pożarze lasu. To nie był dobry dzień dla pickupów.

Czekam, a Christian podbiega do mnie truchtem. Samo patrzenie na niego wystarcza, żebym czuła się skrępowana, zdenerwowana, jakbym traciła równowagę. Ostatni raz widziałam go pięć nocy temu, kiedy staliśmy na moim ganku, przemoczeni od deszczu i umazani sadzą, i zbieraliśmy się na odwagę, żeby wejść do środka. Powinniśmy przeanalizować tę nową, ogromną porcję obłędu w naszym życiu, ale jakoś nigdy tego nie zrobiliśmy, co, przyznaję, nie jest winą Christiana. Christian dzwonił. Przez te pierwsze dwa dni nawet często. Ale za każdym razem, kiedy widziałam jego imię na wyświetlaczu telefonu, coś we mnie drętwiało ze strachu jak przysłowiowy

jeleń na drodze, i nie odbierałam. Kiedy wreszcie się odważyłam, nie wiedzieliśmy, co sobie powiedzieć. Skończyło się na: „Więc nie potrzebowałeś, żebym cię ratowała”. „Nie. A ty nie potrzebowałaś, żebym ja ratował ciebie”. I roześmialiśmy się niezręcznie, jakby ta cała historia z zadaniem to był jakiś żart, a potem oboje zamilkliśmy, bo co mieliśmy powiedzieć? Przepraszam, wszystko skopałam/em, wygląda na to, że przeze mnie nie wypełniłeś/aś boskiego celu? Moja wina?

— Cześć — mówi teraz zdyszany.

— Cześć.

— Fajny kapelusz — rzuca, ale jego spojrzenie wędruje prosto na moje włosy, jak za każdym razem, kiedy widzi mnie z moim prawdziwym kolorem, który potwierdza, że jestem dziewczyną z jego wizji.

— Dzięki — wykrztuszam. — Staram się być incognito.

Marszczy brwi.

— Incognito?

— No wiesz. Włosy.

— A. — Unosi rękę, jakby chciał dotknąć wstrętnego kosmyka, który zdążył wyrwać się już spod gumki, ale ostatecznie zaciska dłoń w pięść i opuszcza rękę.

— Dlaczego po prostu znów ich nie ufarbujesz?

— Próbowałam. — Cofam się o krok, zakładam zbiegły kosmyk za ucho. — Farba już nie chwyta. Nie pytaj, dlaczego.

— Tajemnicza sprawa — mówi, i kącik jego ust wygina się w ledwie dostrzegalny uśmiech, który w zeszłym roku stopiłby mi serce jak masło. Jest seksowny. Wie, że jest seksowny. Ja jestem zajęta. On wie, że jestem zajęta, a mimo to uśmiecha się, i w ogóle. To mnie wkurza. Staram się nie myśleć o śnie, który przesładuje mnie w tym tygodniu; o tym, że w tym śnie Christian jest jedyną osobą, dzięki której nie popadam w obłąd. Staram się nie myśleć o słowach „jesteśmy sobie przeznaczeni”, które wciąż powracały do mnie w wizji.

Nie chcę być przeznaczona Christianowi Prescottowi.

Uśmiech znika, jego oczy znów poważnieją. Wygląda, jakby chciał coś powiedzieć.

— To do zobaczenia — mówię, może trochę zbyt wesoło, i ruszam w stronę budynku.

— Clara... — Truchta za mną. — Hej, zaczekaj. Pomyślałem sobie, że może moglibyśmy usiąść razem przy lunchu?

Zatrzymuję się i gapię na niego.

— Albo i nie — mówi z tym swoim śmiechem przez nos. Moje serce wskakuje na wyższy bieg. Nie jestem już zainteresowana Christianem, ale serce, zdaje się, jeszcze tego nie załapało. Kurde. Kurde. Kurde.

Niektóre rzeczy się zmieniają. A niektóre nie, najwyraźniej.

Wszyscy zauważają moje włosy. Oczywiście. Miałam nadzieję, że zauważą je jakoś po cichu, że będzie trochę szeptów, trochę plotek przez dwa dni, a potem wszystkim się znudzi. Ale już w drugiej minucie pierwszej lekcji — na francuskim — nauczycielka każe mi zdjąć kapelusz i wybucha bomba atomowa. „Jakie ładne, jakie ładne”, powtarza w kółko panna Colbert, i widzę, że niewiele brakuje, żeby podeszła i pogłaskała mnie po głowie. Trzymam się historyjki, którą wymyśliłyśmy wcześniej z mamą — że mama znalazła tego lata niesamowitą kolorystkę w Kalifornii i zapłaciła jakąś astronomiczną kwotę, żeby ta kobieta zmieniła marchewkowy koszmar w bajeczny truskawkowy blond. Powiedzenie tego wszystkiego po francusku na poziomie zaawansowanym, jednocześnie udając, że nie mówię biegle w tym języku, to szczególnie rozrywkowa część poranka. Nie ma jeszcze dziewiątej, a ja już mam ochotę wracać do domu. Po przerwie wchodzę chyłkiem na matematykę, dzwoni dzwonek i cała katastrofa zaczyna się od nowa. „Och, jakie masz piękne włosy”. Potem trzecia lekcja — plastyka — i wszyscy zachowują się, jakby chcieli natychmiast rysować mnie i moje niesamowite włosy.

A czwarta lekcja, wiedza o ustroju, jest jeszcze gorsza. W klasie jest Christian.

— Cześć — mówi, kiedy stoję w drzwiach, gapiąc się na niego.



Chyba nie powinnam być zaskoczona. W Liceum Jackson Hole jest raptem około sześciuset uczniów, więc byłoby dziwne, gdybyśmy jakiejś lekcji nie mieli razem. Tucker też powinien tutaj być, o ile wiem.

Gdzie do licha jest Tucker dzisiaj rano? Jak się tak zastanowić, to Wendy też nie widziałam.

— Zamierzasz wejść? — pyta Christian.

Zajmuję miejsce obok niego i zaczynam grzebać w torbie, szukając zeszytu i długopisu. Biorę głęboki wdech i powoli wypuszczam powietrze, przechylam głowę z boku na bok, żeby choć trochę osłabić napięcie w karku.

— Dzień już ci dał w kość? — pyta Christian.

— Nawet nie masz pojęcia.

W tej chwili wpada Tucker.

— Szukałam cię od rana — mówię, kiedy zajmuje stolik po mojej drugiej stronie. —

Dopiero teraz przyjechałeś do szkoły?

— Tak. Problemy z samochodem — odpowiada. — Mamy takiego starego grata, którym jeździmy po ranczu, ale nie chciał rano zapalić. Jeśli uważałaś, że Hiacynt to złom, to powinnaś zobaczyć tego.

— Nigdy nie uważałam, że Hiacynt to złom — odpowiadam.

Tucker chrząka, uśmiecha się.

— A co powiesz na to? Jesteśmy razem w klasie, na lekcji, i w tym roku nawet nie musiałem nikogo przekupić.

Śmieję się.

— A w zeszłym przekupiłeś?

— Nieoficjalnie — przyznaje Tucker. — Bardzo grzecznie poprosiłem panią Lowell, tę z administracji, która jest odpowiedzialna za plany lekcji, żeby dopisała mnie na historię Wielkiej Brytanii. I to w ostatniej chwili, dosłownie z dziesięć minut przed lekcją. Przyjaźnię się z jej córką, więc nie odmówiła.

— Ale dlaczego...?

Śmieje się.

— Jesteś słodka, kiedy tak wolno kojarzysz.

— Przeze mnie? No coś ty? Nie cierpiałeś mnie. Byłam japiszonką z Kalifornii, która obraziła twój samochód.

Szczerzy zęby. A ja kręcę głową, osłupiała.

— Jesteś wariatem, wiesz?

— Oj, a ja myślałem, że jestem słodki, romantyczny i w ogóle.

— No tak. Więc przyjaźnisz się z córką pani Lowell? Jak jej na imię? — pytam, udając zazdrość.

— Allison. To miła dziewczyna. Jedna z tych, które zaprosiłem w zeszłym roku na bal.

— Ładna?

— No cóż, ma rude włosy. A ja mam poniekąd słabość do rudych włosów — mówi. Daję mu lekkiego kuksańca w ramię. — Hej. Do twardzielek też mam poniekąd słabość.

Znów wybucham śmiechem. I nagle czuję przyływ frustracji, tak silny, że zmywa mi uśmiech z twarzy.

Christian.

Coś takiego zdarza mi się ostatnio. Czasami, zwykle kiedy się tego najmniej spodziewam, uzyskuję dostęp do zawartości głów innych ludzi. Na przykład teraz czuję obecność Christiana po mojej drugiej stronie tak wyraźnie, jakby wiercił mi spojrzeniem dziurę w głowie. Nie odczytuję jego myśli sformułowanych w słowa; to raczej wrażenia — teraz zauważył, w jak naturalny sposób nawiązałam wesołą rozmowę z Tuckerem. Chciałby, żebym z nim też tak sobie żartowała, żebyśmy wreszcie mogli ze sobą porozmawiać, wreszcie złapać jakiś kontakt. Chce mnie rozśmieszać tak jak Tucker.

A skoro już o tym mowa, to wiedza o takich rzeczach jest do kitu. Mama nazywa to

empatia, mówi, że to rzadki dar wśród anielitów. Rzadki dar, buha-ha. Ciekawe, czy jest możliwość zwrotów.

Tucker patrzy mi przez ramię i jakby dopiero teraz zauważa Christiana.

— Jak leci, Chris? Miałeś fajne wakacje? — pyta.

— Taak, fantastyczne — odpowiada Christian i jego umysł wycofuje się nagle z mojego, przesłania go fala obojętności. — A ty?

Patrzę na siebie — to jedna z tych testosteronowych przepychanek na spojrzenia.

— Niesamowite — odpowiada Tucker. Słyszę zmianę w jego głosie. — Najlepsze wakacje mojego życia.

Zastanawiam się, czy jest już za późno, żeby uciec z tej lekcji.

— No cóż, ale wakacje mają jedną wadę, co? — mówi Christian po minucie. — Wszystkie się kiedyś kończą.

Czuję ulgę, kiedy lekcja dobiega końca. Ale potem staję w drzwiach stołówki i muszę zdecydować, co zrobić z lunchem.

Opcja A: To co zwykle. Stolik niewidzialnych. Wendy. Pogaduszki. Może jakaś niezręczna rozmowa o tym, że chodzę teraz z jej bratem bliźniakiem, i może jej pytanie, co właściwie zaszło w lesie w czasie pożaru, na które nie będę umiała odpowiedzieć. Mimo wszystko to jedna z moich najlepszych przyjaciółek i nie chcę jej dłużej unikać.

Opcja B: Angela. Angela lubi jadać sama i ludzie zwykle omijają ją szerokim łukiem. Ale wtedy będę musiała odpowiadać na jej pytania i wysłuchiwać jej teorii, którymi bombarduje mnie od paru dni.

Opcja C (właściwie nieistniejąca): Christian. Który stoi sobie w kącie i z rozmysłem nie patrzy na mnie. Niczego nie oczekuje, nie naciska, ale jest. I chce, żebym wiedziała, że jest. Pełen nadziei.

Nie ma mowy, nie pójdę w tym kierunku.

Nagle decyzja właściwie podejmuje się za mnie sama. Angela unosi wzrok. Kiwnięciem głowy wskazuje puste krzesło obok siebie. Kiedy nie podbiegam w podskokach, mówi bezgłośnie:

— Chodź tu w tej chwili.

Ta to lubi się porządzić.

Idę do jej kąta i siadam z rezygnacją. Angela czyta małą, zakurzoną książkę. Zamyka ją i podsuwa mi po stole.

— Zobacz — mówi.

Czytam tytuł.

— *Księga Henocha*?

— Mhm. Nieprawdopodobnie stary egzemplarz, więc uważaj na kartki. Są delikatne.

Będziemy musiały o niej porozmawiać, jak tylko się uda. Ale najpierw... — Unosi głowę i woła głośno: Hej, Christian!

O Boże. Co ona wyprawia?

— Angela, czekaj, nie...

Macha do niego, żeby podszedł. Oj, niedobrze.

— Co tam? — pyta Christian, spokojny i opanowany jak zwykle.

— Jedziesz zjeść na mieście? — zagaduje go Angela. — Zawsze wychodzisz na lunch.

Christian zerka na mnie.

— Właśnie się zastanawiałem.

— No dobra, nie chcę ci burzyć planów, i tak dalej, ale myślę, że ty, ja i Clara powinniśmy się spotkać po szkole. W Różowej Podwiązce. To kabaret mojej mamy w centrum.

Christian robi zdziwioną minę.

— Ehm, jasne. A dlaczego?

— Powiedzmy, że w sprawie klubu, który zakładam — mówi Angela. — Klubu Aniołów.

On znów spogląda na mnie i widzę w jego zielonych oczach wyrzut, bo najwyraźniej wypaplałam jego wielki sekret Angeli. Chcę mu wyjaśnić, że Angela jest jak pies tropiący, jeśli

chodzi o sekrety, dosłownie nie sposób niczego przed nią ukryć, ale to nie ma znaczenia. Ona wie. On wie, że ona wie. Mleko się rozlało. Patrzę na nią ze złością.

— Ona też jest anielitką — mówię, głównie dlatego, że wiem, że Angela chciała sama go tym zastrzelić i mam satysfakcję, że popsulałam jej frajdę. — I jak widzisz, jest też wariatką.

Christian kiwa głową, jakby ta rewelacja zupełnie go nie zaskoczyła.

— Ale ty też będziesz w Różowej Podwiązce — mówi do mnie.

— Pewnie tak.

— Okej. Wchodzę w to — zwraca się do Angeli, ale cały czas patrzy na mnie. — I tak musimy porozmawiać.

Super.

— Super — stwierdza wesoło Angela. — To do zobaczenia po szkole.

— Na razie — rzuca Christian i wychodzi ze stołówki.

Odwracam się do Angeli.

— Nienawidzę cię.

— Wiem. Ale poza tym mnie potrzebujesz. Ktoś musi odwalać całą robotę.

— I tak cię nienawidzę — burczę, chociaż wiem, że ma rację. Poniekąd. Ten cały Klub Aniołów to chyba świetny pomysł, jeśli dzięki niemu uda mi się zrozumieć, co to znaczy, że Christian i ja nie wykonaliśmy swoich zadań. Moja mama nie jest szczególnie wylewna w tych sprawach, a Angela jest genialną poszukiwaczką informacji. Jeśli ktokolwiek zdoła odkryć, jakie są konsekwencje niewykonania zadania przez anielitę, to właśnie ona.

— Oj tam, kochasz mnie — mówi. Znów podsuwa mi książkę. — A teraz weź to i idź zjeść lunch ze swoim chłopakiem.

— Co?

— Tam jest. I najwyraźniej usycha z tęsknoty. — Wskazuje część sali za nami, i rzeczywiście, przy stoliku niewidzialnych siedzi Tucker i rozmawia z Wendy. Oboje gapią się na mnie z identycznymi, wyczekującymi minami.

— Sio. Zwalniam cię — oznajmia Angela.

— Zamknij się. — Biorę książkę, chowam ją do plecaka i ruszam do stolika niewidzialnych. Ava, Lindsey i Emma, moje pozostałe niewidzialne koleżanki, uśmiechają się do mnie i mówią: cześć, wita mnie też chłopak Wendy, Jason Lovett; widocznie w tym roku będzie jadał z nami, a nie ze swoimi kumplami od gier komputerowych.

Trochę to dziwne: mamy chłopaków. My.

— O co chodziło? — pyta Wendy, spoglądając z zaciekawieniem na Angelę.

— Oj, wiesz, jaka jest Angela. No to co dziś mamy w menu?

— Bułki z mielonym mięsem.

— Mniem — mówię bez entuzjazmu.

Wendy przewraca oczami i zwraca się do Tuckera:

— Clarze nigdy nie smakuje tutejsze jedzenie. Przysięgam, je jak ptaszek.

— Hm — chrząka Tucker i oczy mu błyszczą, bo sam ma ze mną zupełnie inne doświadczenia. Przy nim zawsze jadłam jak pułk wojska. Siadam obok niego, a on przesuwając swoje krzesło bliżej i obejmuje mnie. Absolutnie niewinnie, ale niemal czuję, jak w stołówce zmienia się temat rozmów. Cóż, najwyraźniej będę jedną z tych dziewczyn, które chodzą z chłopakiem po korytarzu, trzymając go za rękę, które wykradają całusy na przerwach, które robią maślane oczy przez całą stołówkę. Nigdy nie sądziłam, że będę taką dziewczyną.

Wendy prychnęła, więc oboje odwracamy się, żeby na nią spojrzeć. Jej oczy biegają między mną a Tuckerem. Wie o nas, oczywiście, ale nigdy wcześniej nie widziała nas razem w takiej sytuacji.

— Jesteście trochę obrzydliwi — mówi. Ale potem sama przysuwa krzesło do Jasona i bierze go za rękę.

Tucker uśmiecha się psotnie; aż za dobrze znam ten uśmiech. Nie mam czasu zaprotestować — pochyla się, żeby mnie pocałować. Odpycham go, zażenowana, a potem topnieję i na minutę zapominam, gdzie jestem. Wreszcie mnie puszcza. Próbuję załapać oddech.

Jestem taką dziewczyną, bez dwóch zdań. Ale bycie taką dziewczyną ma swoje plusy.

— Fúj, wynajmijcie sobie pokój — mówi Wendy, tłumiąc uśmiech. Trudno mi ją rozgryźć, ale myślę, że stara się radzić sobie z całą tą sytuacją pod tytułem „moja przyjaciółka chodzi z moim bratem”, udając totalne obrzydzenie. Ale to chyba znaczy, że to aprobejuje.

Zauważam, że w stołówce zapanowała cisza. I nagle wszystko zaczyna się od nowa, wybuchają rozmowy.

— Zdajesz sobie sprawę, że oficjalnie staliśmy się głównym tematem plotek — mówię do Tuckera. Równie dobrze mógł wziąć mazak i wypisać mi na czole wielkimi, czarnymi literami „własność Tuckera”.

Unosi brwi.

— A rusza cię to?

Sięgam po jego dłoń i splatam palce z jego palcami.

— Nie.

Jestem z Tuckerem. I mimo niewypełnionego zadania i całej reszty problemów wygląda na to, że będę z nim dalej. Jestem największą szczęściarą świata.

## 2. Pierwsza zasada Klubu Aniołów

Pan Phibbs, mój nauczyciel angielskiego, który to przedmiot — Bogu dzięki! — jest moją ostatnią lekcją tego dnia, natychmiast zadaje nam pierwszą pracę na poziomie college'u: wypracowanie na temat: „Gdzie widzisz siebie za dziesięć lat”.

Wyjmuję zeszyt, pstrykam długopis. I gapię się na pustą kartkę. I gapię. I gapię.

No więc, gdzie widzisz siebie za dziesięć lat?

— Spróbujcie zwizualizować siebie — mówi pan Phibbs, jakby zauważył mnie tu z tyłu, w kącie, i jakby wiedział, że się zacięłam. Zawsze lubiłam pana Phibbsa; jest trochę takim naszym Gandalfem i Dumbledorem, czy kimś fajnym w tym rodzaju — ma nawet okrągłe druciane okulary i długi, siwy kucyk, który wchodzi mu za kołnierzyk. Ale w tej chwili mnie dobija.

Zwizualizujcie siebie, powiada pan. Zamykam oczy. Powoli w moich myślach zaczyna się formować obraz. Las pod pomarańczowym niebem. Urwisko. I Christian. Czeka na mnie.

Otwieram oczy. Nagle jestem wściekła.

Nie, sprzeciwiam się komuś nieokreślonemu. To nie jest moja przyszłość. To jest przeszłość. Moja przyszłość jest z Tuckerem.

Nietrudno sobie ją wyobrazić. Znów zamykam oczy i przy odrobinie wysiłku udaje mi się dostrzec zarys wielkiej, czerwonej stodoły w Leniwym Psie, niebo nad nią, puste, błękitne. Mężczyzna na pastwisku przeprowadza konia. Koń wygląda jak Midas, piękny, błyszczący kasztan. A na koniu — nagle oddech grzęźnie mi w gardle — na koniu siedzi mały chłopiec, mały ciemnowłosy chłopiec, i chichocze, kiedy Tucker — bo ten mężczyzna to z całą pewnością Tucker; poznałabym ten tyłek wszędzie — oprowadza go wokół pastwiska. Chłopiec dostrzega mnie, macha. Ja macham do niego. Tucker podprowadza konia do płotu.

— Patrz na mnie, patrz na mnie — mówi chłopiec.

— Widzę cię! Cześć, przystojniaku — mówię do Tuckera. A on przechyla się przez płot, żeby mnie pocałować, bierze moją twarz w dłonie, i w tej chwili dostrzegam błysk prostej złotej obrączki na jego palcu.

Jesteśmy małżeństwem.

To najpiękniejszy sen na jawie wszechczasów. Czuję gdzieś głęboko, że to tylko marzenie, wypadkowa mojej żywej wyobraźni i pobożnych życzeń. To nie jest wizja. To nie jest przyszłość, jaka byłaby dla mnie najlepsza. Ale właśnie takiej chcę.

Otwieram oczy, zaciskam palce na długopisie i piszę: „Za dziesięć lat będę mężatką. Będę miała dziecko. Będę szczęśliwa”.

Wylączęm długopis i wpatruję się w te słowa. Zaskakują mnie. Nigdy też nie byłam jedną z tych dziewczyn, które marzyły o wyjściu za mąż, nigdy nie zmuszałam żadnego chłopaka na placu zabaw, żeby wypowiadał ze mną przysięgę małżeńską, nie przebierałam się w prześcieradła i nie udawałam, że idę do ołtarza. Kiedy byłam mała, robiłam sobie miecze z gałęzi i ganiałam się z Jeffreyem po podwórku za domem, krzyżąc: „Poddaj się albo giń!” Nie, nie byłam chłopczycą. Lubiałam kolor lila i lakier do paznokci, noclegi u koleżanek i wypisywanie imienia ukochanego na marginesach zeszytów, jak każda inna dziewczyna. Ale nigdy nie brałam na poważnie możliwości, że wyjdę za mąż. Że będę czyjąś żoną. Owszem, pewnie zakładałam, że kiedyś tam się z kimś hajtnę. Tyle że to była zbyt odległa sprawa, żeby się nią przejmować.

Ale może jednak jestem jedną z tych dziewczyn.

Znów spoglądam na kartkę. Mam trzy zdania. Widzę, jak Wendy pisze całą książkę o tym, jakie wspaniałe będzie jej życie, a ja mam trzy zdania. I coś czuję, że nie są to trzy zdania, które doceniłby pan Phibbs.

— Okej, zostało pięć minut — mówi pan Phibbs. — A potem poczytamy na głos.

Ogarnia mnie panika. Muszę coś zmyślić. Czego powinnam w życiu pragnąć? Angela będzie poetką, Wendy weterynarzem, Kay Patterson jest przewodniczącą studenckiej korporacji i wychodzi za mąż za senatora, Shawn jest złotym medalistą olimpijskim w snowboardzie, Jason programistą, który zarabia góry dolarów za wymyślenie jakiegoś nowego sposobu guglowania, a ja jestem... ja jestem... jestem kierowniczką wycieczkowca. Sławną baleriną w Balcie Nowojorskim.

Kardiochirurgiem.

Decyduję się na kardiochirurga. Mój długopis śmiga po kartce.

— Koniec czasu — mówi pan Phibbs. — Dokończcie zdanie, a potem czytamy.

Jeszcze raz czytam to, co napisałam. Jest niezłe. Totalnie wysrane z palca, ale przynajmniej coś mam. „Nie ma nic bardziej inspirującego niż złożoność i piękno ludzkiego serca” — tak brzmi ostatnie zdanie, i niemal sama w to wierzę. Sen o Tuckerze niemal zniknął z moich myśli.

— Kardiochirurg, hm? — mówi Angela, kiedy idziemy drewnianym deptakiem w Jackson. Wzruszam ramionami.

— Ty się zdecydowałaś na prawniczkę. Naprawdę myślisz, że będziesz prawniczką?

— Byłabym świetną prawniczką.

Wchodzimy w bramę z napisem „Różowa Podwiązka” i Angela wyjmuje klucz, żeby otworzyć drzwi. Jak zwykle o tej porze dnia kabaret wygląda na opuszczony.

— Chodź. — Kładzie mi dłoń na ramieniu i popycha mnie przez pusty hol.

Przez minutę stoimy w ciemności. Potem Angela wymyka się gdzieś, znika w czerni, i w następnej chwili krąg światła pojawia się na scenie pełnej dekoracji do musicalu *Oklahoma!* Widzę sztuczny wiejski domek i kukurydzę. Niechętnie ruszam przejściem na widowni, mijam rzędy czerwonych aksamitnych foteli i docieram do linii czystych białych stolików tuż przy kanale orkiestry, przy których przesiedziałyśmy z Angelą cały zeszły rok ze stertami jej notesów i zakurzonych książek, i gadałyśmy o aniołach, aniołach, aniołach, aż czasami myślałam, że mózg mi się rozpuści.

Angela niemal w podskokach dociera na początek widowni. Wchodzi po schodkach z boku sceny, potem staje przodem do widowni, żeby od razu zobaczyć, gdyby ktoś wszedł. W scenicznych światłach jej czarne włosy błyszczą granatową czernią, która nie jest do końca naturalna. Zakłada grzywkę za ucho i patrzy na mnie, bardzo zadowolona z siebie. Przełykam ślinę.

— No więc, o co tu chodzi? — pytam, próbując udawać obojętność. — Nie mogę się już doczekać.

— Cierpliwość to cnota — odgryza się.

— Nie jestem aż taka cnotliwa.

Uśmiecha się tajemniczo.

— Myślisz, że sama się nie domyśliłam?

Na tyłach sali pojawia się jakaś postać, a ja znów czuję to paniczne ściskanie w klatce piersiowej. Postać wchodzi w światło i wstrzymuję oddech, ale z zupełnie innego powodu.

To nie jest Christian. To mój brat.

Spoglądam na Angelę. Wzrusza ramionami.

— Powinien wiedzieć to wszystko, co my wiemy, nie?

Odwracam się znów i spoglądam na Jeffreya. Mój brat przestępuje zażenowany z nogi na nogę.

Jeffreya ostatnio trudno rozgryźć. Z całą pewnością coś jest z nim nie tak. Po pierwsze, tej nocy, kiedy wybuchł pożar, wyfrunął spomiędzy drzew, jakby ścigał go sam diabeł, ze skrzydłami barwy ołowiu. Nie wiem, czy to cokolwiek znaczy, czy świadczy o jego stanie duchowym czy czym tam jeszcze, jako że moje skrzydła też były tej nocy dość ciemne za sprawą sadzy. Powiedział, że był w lesie, bo mnie szukał, ale ja tego nie kupuję. Jedno jest pewne: był tam. W lesie. W czasie pożaru. Potem, następnego dnia, siedział z oczami wlepionymi w telewizor i oglądał wiadomości minuta po minucie. Jakby się czegoś spodziewał. A potem odbyliśmy następującą rozmowę:

Ja (kiedy już wypaplałam, że znalazłam Christiana w lesie i że jest anielitą):

— Więc chyba dobrze się stało, że zamiast niego uratowałam Tuckera.

Jeffrey:

— A niby co miałaś zrobić, kiedy się okazało, że twoim zadaniem nie jest ratowanie Christiana?

Pytanie za milion dolarów.

Ja (żałośnie):

— Nie wiem.

Po czym Jeffrey zrobił coś przedziwnego. Roześmiał się. Był to gorzki, fałszywy śmiech, który natychmiast wzbudził mój niepokój. Właśnie mu wyznałam, że skopałam najważniejszą rzecz, jaką miałam zrobić w życiu, powód mojego istnienia na tej ziemi, a on mnie wyśmiał.

— Co? — warknęłam na niego. — Co cię tak bawi?

— Rany — odpowiedział. — To jest jak jakaś przeklęta grecka tragedia. — Pokręcił głową z niedowierzaniem. — Zamiast Christiana uratowałaś Tuckera.

Mogłabym go nazwać palantem, albo jakoś tak. Ale on ciągle się śmiał, aż miałam ochotę go walnąć, a potem mama zwietrzyła przemoc wiszącą w powietrzu, jak to tylko ona potrafi, i powiedziała:

— Dość, oboje. — Więc poszłam wściekła do swojego pokoju.

Na samą myśl o tym znów mam ochotę dać mu w gębę.

— To jak? — pyta Angela. — Może się do nas przyłączyć?

Trudna decyzja. Ale wściekła czy nie, bardzo chciałabym się dowiedzieć, co on takiego wie. A że ostatnio komunikacja między nami kuleje, to może być najlepszy sposób. Odwracam się do Angeli i wzruszam ramionami.

— Jasne. Czemu nie?

— Musimy to załatwić w miarę szybko — mówi Jeffrey, rzucając plecak na krzesło. — Mam trening.

— Żaden problem. — Angela tłumii kolejny uśmiech. — Czekamy tylko na...

— Jestem.

I oto Christian. Idzie między fotelami z rękami w kieszeniach. Błądzi oczami po sali, jakby zastanawiał się nad ofertą kupna, ogląda scenę, widownię, stoliki, światła i osprzęt pod sufitem. Wreszcie jego spojrzenie łąduje na mnie.

— No więc, zróbmy to — mówi. — Cokolwiek to jest.

Angela nie marnuje czasu.

— Chodźcie tu do mnie.

Powoli wdrapujemy się wszyscy na scenę i stajemy w kręgu, z Angellą.

— Witajcie w Klubie Aniołów — mówi teatralnie.

Christian znów robi ten swój śmiechowydech.

— Pierwsza zasada Klubu Aniołów, nie mówimy o Klubie Aniołów.

— Druga zasada Klubu Aniołów — wtrąca Jeffrey — nie mówimy o Klubie Aniołów.

O rany. Zaczyna się.

— Przechabawne. Już się zakumplowali. — Angela nie jest ubawiona. — Ale tak na serio, uważam, że powinniśmy mieć jakieś zasady.

— Dlaczego? — chce wiedzieć Jeffrey. Mój kochany, wiecznie najeżony młodszy braciszek. — Po co nam zasady w klubie?

— Może gdybyśmy wiedzieli, jaki jest jego cel... — dodaje Christian.

W oczach Angeli zapala się gniew, który znam aż za dobrze — to wszystko nie idzie zgodnie z jej starannie skonstruowanym planem.

— Cel jest taki — mówi ostrym tonem — żeby dowiedzieć się wszystkiego, co się da, o wszystkich anielickich sprawach, żebyśmy, no wiecie, któregoś pięknego dnia nie obudzili się martwi. — Znów ta melodramatyczna przesada. Splota palce obu dłoni. — Okej, najpierw streścimy to, co wiemy do tej pory. W zeszłym tygodniu nasza droga Clara wpadła w górach na Czarne Skrzydło.

— Raczej spadła — mamrocze.

Angela kiwa głową.

— No właśnie. Spadła. Bo ten gość wydziela coś w rodzaju toksycznego smutku, który, z powodu jej empatycznych zdolności, odebrał jej całą lekkość potrzebną do latania. Więc spadła z nieba z hukiem dokładnie tam, gdzie chciał.

Jeffrey i Christian patrzą na mnie.

— Spadłaś? — pyta Jeffrey. Widocznie pominęłam tę część historii, kiedy opowiadałam ją w domu.

— Empatyczne zdolności? — pyta Christian.

— A tak przy okazji, mam teorię, że Czarne Skrzydła są niezdolni do lotu — ciągnie Angela. Najwyraźniej to nie jest ta część spotkania, kiedy można zadawać pytania. — Smutek za bardzo ich obciąża, żeby mogli się wzbić w powietrze. W tej chwili to tylko teoria, ale dość mi się podoba. Bo to znaczy, że jeśli kiedyś natkniecie się na Czarne Skrzydło, być może zdołacie uciec na skrzydłach, a on nie będzie mógł was gonić.

Moim zdaniem przydałyby jej się tablica i kreda. Wtedy mogłyby się rozwinąć na całego.

— A więc Clara została unieruchomiona przez sam fakt, że znalazła się w pobliżu Czarnego Skrzydła — mówi dalej. — Powinniśmy się dowiedzieć, czy da się z tym coś zrobić, czy jest jakiś sposób na odcięcie się od tego smutku.

Z całą pewnością popieram ten pomysł.

— A jako że Clara i jej mama pokonały Czarne Skrzydło, używając chwały, moim zdaniem to jest klucz.

— Mój wuj mówi, że potrzeba lat, żeby nauczyć się kontrolować chwałę — wtrąca się Christian.

Angela wzrusza ramionami.

— Clara to zrobiła, a jest tylko quartariusem. Jakiego ty jesteś poziomu?

— Tylko quartarius — odpowiada Christian z nutą sarkazmu.

Angela znów ma ten błysk w oku. Więc jest jedynym dimidiusem w naszej grupce. Ma największą domieszkę anielskiej krwi. Cóż, to chyba z natury czyni ją naszą szefową.

— Okej, to na czym skończyłam? — mówi. Wylicza na palcach. — Cel pierwszy, znaleźć sposób na zablokowanie smutku. To przede wszystkim robota dla Clary, bo jest na niego najbardziej wrażliwa. Byłam z nią, kiedy w zeszłym roku zobaczyła Czarne Skrzydło w centrum handlowym, i ja na jego widok czułam tylko zwykłe ciarki w umiarkowanym natężeniu.

— Zaraz — przerywa jej Jeffrey. — Widziałyście w zeszłym roku Czarne Skrzydło w centrum handlowym? Kiedy?

— Kupowałyśmy sukienki na bal. — Angela wzdycha i patrzy znacząco na Christiana, jakby cały ten incydent zdarzył się jakimś cudem z jego winy, bo to on zaprosił mnie na bal.

— A dlaczego ja o tym nie słyszałam? — pyta Jeffrey, odwracając się do mnie.

— Wasza mama powiedziała, że wiedza o nich narazi cię na niebezpieczeństwo. Według niej, kiedy wiesz o Czarnych Skrzydłach, oni automatycznie wiedzą więcej o tobie — odpowiada za mnie Angela.

Jeffrey ma sceptyczną minę.

— Więc pewnie uznała, że jesteś już dorosły, skoro ci o nich powiedziała, nie? — podsuwa usłudze Angela.

Myszę o skamieniałej twarzy mamy tamtego ranka, po pożarze, kiedy powiedziała Jeffreyowi o Samjacie.

— Albo uznała, że Jeffrey powinien jednak wiedzieć o Czarnych Skrzydłach, gdyby któryś z nich zjawił się w domu i chciał się mścić — dodaję.

— Co doprowadza nas do celu numer dwa — Angela wchodzi mi zrećcznie w słowo. Spogląda na mnie. — Przeczytałaś już książkę, którą ci dałam?

— Ange, dałaś mi ją przy lunchu.

Wzdycha i posyła mi spojrzenie, mówiące, że uważa mnie za totalną amatorkę.

— Możesz ją przynieść, z łaski swojej?

Zeskakuję ze sceny, by przynieść książkę z plecaka. Angela uznaje, że stolik będzie jednak wygodniejszym miejscem do prowadzenia badań, do których najwyraźniej zamierza się zabrać.

Zbieramy się więc wokół stolika i Angela bierze ode mnie *Księgę Henocha*.

Przerzuca kilka stron.

— Posłuchajcie tego. — Odchrząkuje. — *Kiedy ludzie rozmnożyli się, urodziły im się w owych dniach ładne i piękne córki. Ujrzeli je synowie nieba, aniołowie, i zapragnęli ich. Jeden*



drugiemu powiedział: „Chodźmy, wybierzmy sobie żony z córek ludzkich i splodźmy sobie dzieci”!

— Okej. Na scenę wchodzi anielici — komentuję.

— Czekaj. Właśnie dochodzę do najlepszego... *Szemihaza, który był ich dowódcą, powiedział do nich: „Obawiam się, że może nie zechcecie tego zrobić i że tylko ja sam poniosę karę za ten wielki grzech”*. Czy to imię nie brzmi znajomo?

Dreszcz przebiega mi po plecach.

— Więc to on? Samjaza? Anioł, który zaatakował mamę i Clarę? — pyta Jeffrey.

Angela prostuje się na krześle.

— Tak mi się wydaje. W księdze te anioły są też zwane Czuwającymi. Dalej jest o tym, jak Czuwający żenili się ze zwykłymi kobietami i uczyli ludzi wyrabiać broń oraz lustra, pokazali im czary i przeróżne inne rzeczy, które były tabu. Mieli mnóstwo dzieci, które księga nazywa wielkimi gigantami, którzy byli obrazą boską. Zrobiło się ich tylu i na ziemi zapanowało takie zło, że Bóg zesłał potop, by ich wszystkich wytepić.

— Więc jesteśmy złymi gigantami — mówi Jeffrey. — Rany, nie jesteśmy aż tacy wysocy.

— W tamtych czasach ludzie byli niżsi — wyjaśnia Angela. — Marnie się odżywiali.

— Ale to nie ma sensu — mówię. — Jak możemy być obrazą boską? Dlaczego to ma być nasza wina, że urodziliśmy się z anielską krwią w żyłach? Myślałam, że Biblia opisuje tych gigantów jako bohaterów.

— Bo opisuje — odpowiada Angela. — Tylko że *Księga Henoha* nie jest częścią Biblii. Mam teorię, że to może być jakaś antyanielicka propaganda. Ale jest interesująca, co? Warto się temu przyjrzeć. Bo ten cały Samjaza siedzi w samym środku wydarzeń. Jest przywódcą tej bandy Czarnych Skrzydeł zwanych Czuwającymi, którzy, jak wynika z moich badań, są grupą upadłych aniołów, i ich głównym zajęciem jest uwodzenie ziemskich kobiet i produkowanie jak największej liczby anielitów.

Cudownie.

— Okej, więc cel numer dwa to dowiedzieć się więcej o Samjazie — mówię. — Przyjęłam do wiadomości. Są jeszcze jakieś inne cele?

— Jeden — mówi wesoło Angela. — Pomyślałam, że jako Klub Aniołów powinniśmy pomóc sobie nawzajem zrozumieć nasze zadania. Wy dwoje już mieliście zadania, ale ich nie wypełniliście. Więc co to oznacza? — pyta, patrząc na Christiana i na mnie. — A Jeffrey i ja ciągle czekamy na nasze. Może wspólnymi siłami uda nam się lepiej zrozumieć całą koncepcję zadań.

— Świetnie. Ale wiecie co, muszę już iść — mówi nagle Jeffrey. — Trening zaczął się dziesięć minut temu. Trener każe mi robić okrążenia, aż padnę.

— Czekaj, nie doszliśmy jeszcze do zasad! — woła za nim Angela, ale Jeffrey pędzi do drzwi.

— Clara mi to później streści — odpowiada przez ramię. — Albo możecie, bo ja wiem, wykuć kamienne tablice, czy coś. Dziesięć przykazań Klubu Aniołów. — I już go nie ma.

Więc jednak nie dowiem się, co wie mój brat.

Angela patrzy na mnie.

— Zabawny jest.

— Tak, boki zrywać.

— No dobra. Więc zasady.

Wzdycham.

— Dawaj.

— Otóż, po pierwsze, i to nie wymaga specjalnej inteligencji, nikt nikomu nie mówi o Klubie Aniołów. Jesteśmy jedynymi osobami, które o nim wiedzą, okej?

— Nie mówimy o Klubie Aniołów — powtarza Christian z drwiącym uśmiechem.

— Ja mówię poważnie. Nie mów wujowi. — Angela zwraca się do mnie: — A ty nie mów mamie. Nie mów chłopakowi. Rozumiesz? Zasada druga: Klub Aniołów jest tajemnicą dla wszystkich innych, ale my nie mamy przed sobą tajemnic. To jest strefa bez sekretów. Mówimy sobie wszystko.

— Okej... — zgadzam się. — A pozostałe zasady?

— To już wszystkie — stwierdza Angela.  
— A. Po jednej na każdą kamienną tablicę — żartuję.  
— Ha ha. — Zwraca się z powrotem do Christiana. — A ty? Strasznie jesteś małomówny.

Ty też musisz przyrzec.

— Nie, dziękuję — odpowiada grzecznie Christian.

Angela zaskoczona odchyła się na krześle.

— Nie, dziękuję?

— Za te zasady. Nie będę chlapał o klubie moim kumplom ani drużynie narciarskiej. Ale wujowi mówię wszystko i powiem mu też o tym. — Odnajduje moje oczy, przyszpila mnie spojrzeniem. — To głupie, nie mówić dorosłym, co się wie. Oni tylko próbują nas chronić. A co do strefy bez sekretów, też nie mogę się zgodzić. Właściwie nawet was dobrze nie znam, więc dlaczego miałbym wam zdradzać moje tajemnice? Nie ma mowy.

Angelę zatyka. To nawet dość zabawne.

— Masz rację — mówię. — Oduśmy sobie zasady. Nie ma zasad.

— Ale uważam, że to świetny pomysł — mówi Christian, żeby udobruchać Angelę. — Żeby się spotykać i dowiadywać, co możemy zrobić, i próbować rozgryźć to wszystko. Możecie na mnie liczyć. Będę przychodził, kiedy chcecie, dopóki nie zacznie padać śnieg, bo zaczną mi się treningi narciarskie, ale może wtedy uda się to przenieść na niedzielne popołudnia. To by mi pasowało.

Angela dochodzi do siebie. Zdobywa się nawet na uśmiech.

— Jasne. To się da zrobić. Pewnie Jeffreyowi też by bardziej pasowało do planu zajęć.

Niedziele. Spotykajmy się w niedziele.

Zapada chwila niezręcznego milczenia.

— No dobrze — mówi w końcu Angela. — Chyba odroczymy to spotkanie.

Jest już prawie ciemno, kiedy wychodzę z kabaretu. Na niebie kłębią się burzowe chmury, kotłują się jak w garze czarownicy. Chyba powinnam być wdzięczna za ten deszcz, skoro ulewy ugasiły pożary i prawdopodobnie uratowały domy i życie wielu ludzi. To tylko pogoda, mówię sobie, ale czasem zastanawiam się, czy akurat ta pogoda nie została zesłana, żeby dotknąć mnie osobiście. Może to kara za to, że nie zrobiłam, co do mnie należy, że nie wykonałam zadania, a może jakiś inny złowrogi znak.

Próbuję szybko i od niechcienia pożegnać się z Christianem na rogu, ale on kładzie mi rękę na ramieniu.

— Ciągle chcę z tobą porozmawiać — mówi cicho.

— Muszę iść — wykrztuszam z trudem. — Mama będzie się zastanawiać, gdzie jestem.

Zadzwoń do mnie, dobrze? Albo ja zadzwonię do ciebie. Jak wolisz. Koniecznie.

— Tak. — Jego ręka opada. — Ja zadzwonię do ciebie.

— Muszę lecieć. Jestem spóźniona.

I ruszam w przeciwnym kierunku.

Tchórz, mówi nieznośny głos w mojej głowie. Powinnaś z nim porozmawiać. Wysłuchać, co ma do powiedzenia.

A jeśli powie, że jesteśmy sobie przeznaczeni?

Wtedy będziesz musiała temu stawić czoła. Ale przynajmniej nie będziesz uciekać.

To nie ucieczka, to tylko szybki spacer.

Skoro tak twierdzisz.

Kłócę się sama ze sobą. I przegrywam.

To nie jest dobry znak.

### 3. Sekrety innych ludzi

Mama wychodzi z gabinetu, kiedy tylko słyszy, że weszłam przez frontowe drzwi.

— Hej — mówi. — Jak było w szkole?

— Wszyscy mówili o moich włosach, ale poza tym w porządku.

— Spróbujemy jeszcze raz je ufarbować — proponuje.

Wzruszam ramionami.

— To musi coś znaczyć, nie sądzisz? Bóg chce, żebym w tym roku była blondynką.

— Też racja — odpowiada mama. — Chcesz ciastko, blondyneczko?

— A czy ptaki lubią latać? — Pędzę za nią do kuchni, gdzie rzeczywiście czuję coś przepysznego w piekarniku. — Z wiórkami czekoladowymi?

— Oczywiście. — Dzwoni brzęczyk, mama zakłada rękawicę, wyjmuję z piekarnika blachę ciastek i stawia ją na blacie. Przyciągam sobie wysoki stółek i siadam naprzeciw niej. Jest tak normalnie, że aż dziwnie po tym wszystkim, co się działo. Dramatyczna walka o życie, poważne pytania egzystencjalne, a teraz... ciastka.

W noc pożaru przyszedłam do domu przekonana, że odbędziemy poważną, szczerą rozmowę i przestaniemy mieć przed sobą tajemnice, skoro wydarzenia z mojej wizji już miały miejsce. Ale kiedy wróciłam do domu, mama spała — spała w najważniejszą noc mojego życia, a ja jej nie obudziłam, nie miałam jej tego za złe, bo obie byłyśmy wtedy absolutnie wykończone, a ona na dodatek została zaatakowana, o mało nie zginęła i tak dalej. Ale mimo wszystko. Wyobrażałam sobie, że wykonanie zadania będzie wyglądało zupełnie inaczej.

To nie tak, że nie rozmawiałyśmy. Rozmawiałyśmy, ale głównie było to streszczanie wszystkiego, co już się stało. Żadnych nowych informacji. Żadnych rewelacji. Żadnych wyjaśnień. W pewnej chwili spytałam: „I co będzie teraz?”, a ona odpowiedziała: „Nie wiem, kochanie”, i to było wszystko. Naciskałabym ją, ale ona ciągle robiła tę swoją minę, przybierała ten ponury wyraz twarzy z oczami tak pełnymi bólu i smutku, jakby była potwornie rozczarowana mną i wynikiem mojego zadania. Oczywiście nigdy nie powiedziała mi tego wprost, nigdy mi nie wytknęła, że wszystko skopałam, że myślała, że poradzę sobie lepiej, że dokonam właściwego wyboru, kiedy przyjdzie mój czas, że okażę się godna miana anielity. Ale to jej spojrzenie mówi wszystko.

— No dobrze — mówi, kiedy czekamy, aż ciastka przestygną. — Myślałam, że wrócisz już jakiś czas wcześniej. Pojechałaś do Tuckera?

I na dzień dobry muszę podjąć poważną decyzję: powiedzieć jej o Klubie Aniołów, czy nie.

Okej. Myślę o tym, że pierwszą zasadą określoną przez Angelę było nie mówić nikomu, a szczególnie dorosłym, a potem o tym, że Christian odmówił, tak po prostu, stwierdzając, że mówi wujowi o wszystkim.

Mama i ja też tak kiedyś miałyśmy. Kiedyś. Teraz nie mam ochoty mówić jej o czymkolwiek — ani o Klubie Aniołów, ani o dziwnym, nawracającym śnie który ostatnio miewam, ani o swoich przemyśleniach na temat tego, co się wydarzyło w dniu pożaru, ani o tym, co może być moim prawdziwym zadaniem. Nie chcę się w to teraz wdawać.

Więc się nie wdaję.

— Byłam w Różowej Podwiązce — mówię. — U Angeli.

W zasadzie nie jest to kłamstwo.

Przygotowuję się na wykład, że Angela, choć pełna dobrych intencji, wpędzi nas kiedyś w poważne kłopoty. Mama wie, że czas spędzony z Angelą to czas spędzony na rozmowach o anielitach i licznych teoriach Angeli.

Ale mama mówi tylko:

— O, to miło — i łopatką zsuwa ciastka na drucianą kratkę na stole. Kradnę sobie jedno.

— To miło? — powtarzam z niedowierzaniem.

— Weź talerzyk, proszę — mówi mama, więc biorę. A potem, kiedy siedzę już z ustami pełnymi czekoladowej słodyczy, dodaje: — Nigdy nie było moją intencją chronienie was w nieskończoność przed innymi anielitami. Chciałam tylko, żebyście mieli normalne życie, jak długo się da. Żebyście wiedzieli, jak to jest być ludźmi. Ale teraz jesteście już wystarczająco duzi,

mieliście wizje, macie okazję zobaczyć zło czające się na świecie i wcale nie uważam, że to źle, że chcecie się dowiedzieć, co to znaczy tak naprawdę być anielitą. A żeby się tego dowiedzieć, musicie się spotykać z innymi anielitami.

Zastanawiam się, czy ciągle ma na myśli Angelę, czy teraz mówi już o Christianie. Czy zakłada, że bycie z nim to moje zadanie. Niezbyt feministyczne podejście, myślę, jeśli wierzy, że cały sens mojego pobytu na tej ziemi to bycie z jakimś facetem.

— Mleka? — pyta, po czym idzie do lodówki i nalewa mi szklanę.

I w tej chwili wreszcie zbieram się na odwagę, żeby ją zapytać:

— Mamo, zostanę ukarana?

— Za co? — Sięga po ciastko. — Zrobiłaś dzisiaj coś, o czym powinnam wiedzieć?

Kręcę głową.

— Nie. Mówię o zadaniu. Zostanę ukarana za to, że... no wiesz, nie wykonałam go? Pójdę do piekła?

O mało nie dławi się ciastkiem i szybko popija je moim mlekiem.

— To tak nie działa — mówi.

— Więc jak to działa? Będę miała drugą szansę? Będę miała do wypełnienia jeszcze jakieś zadanie?

Mama milczy przez minutę. Niemal widzę, jak trybiki obracają się w jej głowie, kiedy kombinuje, jak dużo mi powiedzieć. To mnie cholernie wkurza, oczywiście, ale niewiele mogę na to poradzić. Więc czekam.

— Każdy anielita dostaje zadanie — mówi po chwili, która wydaje się wiecznością. — W niektórych przypadkach to zadanie manifestuje się w pojedynczym wydarzeniu, w szczególnym momencie i szczególnym miejscu, do którego doprowadzają nas wizje, żebyśmy zrobili konkretną rzecz. Ale czasem... — spogląda na własne dłonie i starannie dobiera słowa — zadanie może być czymś więcej.

— Czymś więcej?

— Czymś więcej niż pojedynczym wydarzeniem.

Gapię się na nią. To chyba najdziwniejsza rozmowa matki i córki przy ciastkach z mlekiem.

— Ile to jest „więcej”?

Wzrusza ramionami.

— Nie wiem. Każdy jest inny. I każdy ma inne zadanie.

— A na czym polegało twoje?

— Moje... — chrząka delikatnie — było czymś więcej niż jednym wydarzeniem — przyznaje.

Nie wystarcza mi to.

— Mamo, przestań — rzucam gniewnie. — Nie zostawiaj mnie z tą niewiedzą.

O dziwo, mama uśmiecha się odrobinę, jakbym powiedziała coś zabawnego.

— Wszystko będzie dobrze, Claro — mówi. — Zrozumiesz wszystko, kiedy przyjdzie pora. Wiem, że to irytujące. Uwierz mi, wiem.

Przełykam frustrację, która wzbiera mi w żołądku.

— Skąd? Skąd wiesz?

Wzdycha.

— Bo moje zadanie trwało ponad sto lat.

Opada mi szczęka.

Sto lat.

— Więc... więc mówisz, że to może nie był jeszcze koniec?

— Mówię, że twoja misja jest bardziej skomplikowana niż wykonanie jakiegoś pojedynczego zadania.

Zrywam się na nogi. Nie mogę usiedzieć.

— A nie mogłaś mi tego powiedzieć, bo ja wiem... przed pożarem?

— Nie mogę ci udzielić wszystkich odpowiedzi, Claro, nawet jeśli niektóre znam — tłumaczy. — Gdybym to zrobiła, mogłoby to zmienić wynik. Musisz mi po prostu zaufać, kiedy

mówię, że poznasz odpowiedzi, gdy będziesz ich potrzebować.

I znów ten wyraz twarzy, ten smutek. Jakbym rozczarowywała ją właśnie w tej chwili. Ale w jej niebieskich, świetlistych oczach widzę jeszcze coś: wiarę. Ciągłe ma w sobie wiarę. Że nasze życie toczy się według jakiegoś planu, ma jakieś znaczenie, kierunek. Wzdycham. Nigdy nie wierzyłam tak głęboko jak ona i obawiam się, że nigdy nie będę. Ale dociera do mnie, że choć najwyraźniej mamy jakieś problemy z porozumiewaniem się, ufam jej. Powierzyłabym jej życie. Nie tylko dlatego, że jest moją matką, ale dlatego, że kiedy przyszło co do czego, uratowała je.

— Okej — mówię. — Dobrze. Ale nie musi mi się to podobać.

Kiwa głową, znów się uśmiecha, ale smutek nie do końca znika z jej twarzy.

— Nie spodziewam się, że będzie ci się to podobać. Nie byłabyś moją córką, gdyby ci się podobało.

Hm, chyba powinnam jej powiedzieć o śnie. Przekonać się, czy uważa go za coś ważnego, czy to coś więcej niż tylko sen. Czy to wizja. Możliwy ciąg dalszy mojego zadania.

Ale w tej chwili do domu wchodzi Jeffrey i oczywiście woła:

— Co jest na kolację? — jako że jedzenie to dla niego zawsze priorytet. Mama odkrzykuje mu, zaczyna się krzątać, przygotowując dla nas posiłek, a ja jestem zdumiona tą jej zdolnością przełączenia się na całkiem inny tryb, jakbyśmy byli zwykłymi dziećmi, które wróciły po pierwszym dniu szkoły, które nie mają przed sobą żadnych niebiańskich zadań, na które nie polują upadłe anioły, które nie mają złych snów, a nasza mama jest taka sama jak wszystkie inne matki.

Po kolacji lecę do Leniwego Psa, do Tuckera.

Jest zaskoczony, kiedy pukam w jego okno.

— Cześć, przystojniaku — mówię. — Mogę wejść?

— Oczywiście — odpowiada i całuje mnie, a potem szybko turla się na drugą stronę łóżka, żeby zamknąć drzwi. Włazę przez okno i się rozglądam. Kocham jego pokój. Jest ciepły i przytulny, schludny, ale bez przesady. Kraciasta narzuta naciągnięta nierówno na pościel, biurko zawalone stertami podręczników, komiksów i czasopism o rodeo, para sportowych skarpetek i zwinięta bluza rzucone w kącie lekko zakurzonej dębowej podłogi, kolekcja kowbojskich kapeluszy ułożonych rzędem na komodzie razem z paroma starymi, zielonymi żołnierzkami i garścią wędkarskich przynęt. Nad drzwiami szafy wisi przybita zardzewiała podkowa. Ten pokój jest taki... męski.

Tucker odwraca się, żeby na mnie spojrzeć, i drapie się po karku.

— Ale to nie będzie jedna z tych niezręcznych sytuacji, kiedy będziesz się zjawiać o najdziwniejszych porach nocy, żeby popatrzeć, jak śpię? — pyta żartobliwie.

— Kiedy jestem daleko od ciebie, moje serce umiera po kawałku — odpowiadam.

— Rozumiem, że to odpowiedź twierdząca.

— A narzekasz? — pytam, unosząc brew.

Szczerzy się w uśmiechu.

— Nie. Z całą pewnością nie narzekam. Chciałem tylko wiedzieć, czy muszę zakładać do spania coś więcej niż same bokserki.

To wywołuje rumieniec na moich policzkach.

— Ehm, cóż... nie zmieniaj niczego z mojego powodu — jąkam, a on się śmieje i przechodzi przez pokój, żeby znów mnie pocałować.

Spędzamy kilka bardzo przyjemnych minut na jego łóżku. Nic poważnego, jako że Tucker wbił sobie do głowy, że skoro w moich żyłach płynie anielska krew, powinien starać się uszanować moją cnotę. Przez długą chwilę po prostu sobie leżymy, łapiąc oddech. Kładę mu głowę na piersi, czuję jego serce stukające tuż przy uchu i po raz tysięczny myślę, że jest najlepszym chłopakiem na świecie.

Tucker ujmuje moją dłoń, zwija i rozwija moje palce wokół swoich. Uwielbiam szorstkość jego dłoni, odciski po wewnętrznej stronie — dowód tej całej ciężkiej roboty, jaką wykonywał w życiu. Bo taki właśnie jest. Takie szorstkie dłonie, a zawsze posługuje się nimi tak delikatnie.

— To jak — mówi ni z tego, ni z owego. — Powiesz mi, co się stało tamtego wieczoru,

kiedy wybuchł pożar?

Urocza chwila minęła.

Chyba wiedziałam, że to pytanie kiedyś padnie. Może miałam nadzieję, że Tucker go nie zada. Jestem w fatalnej sytuacji, bo znam sekrety innych ludzi i wszystkie one są splecione z moim.

— Widzisz. — Siadam i odsuwam się od niego. Naprawdę nie wiem, co powiedzieć. Słowa więzną mi w gardle. Pewnie tak samo czuje się mama, myślę, kiedy musi mieć tajemnice przed ludźmi, których kocha.

— Hej, nieważne — mówi Tucker, siadając obok mnie. — Rozumiem. Supertajne anielskie sprawy. Nie możesz powiedzieć.

Kręcę głową. Nie jestem moją matką.

— Angela zakłada klub anielitów — mówię na początek, chociaż wiem, że nie o to mnie pytał.

To zupełnie nie to, co Tucker spodziewał się usłyszeć ode mnie.

— Angela Zebrino jest anielitką.

— Tak.

Parska.

— No, to by się zgadzało. Ta dziewczyna zawsze była jakaś dziwna.

— Ej. Ja jestem anielitką. Chcesz powiedzieć, że ja też jestem jakaś dziwna?

— Mhm — odpowiada. — Ale ja to lubię.

— Och, w takim razie w porządku. — Przechyłam się, żeby go pocałować. Potem się odsuwam.

— Christian też jest anielitą — mówię. Próbuję być dzielna i patrzeć mu w oczy. — Dowiedziałam się dopiero w noc pożaru, ale takie są fakty. Jest quartariuszem. Jak ja.

Tucker szeroko otwiera oczy.

— Ach tak — mówi głosem bez wyrazu i odwraca oczy. — Jak ty.

Przez długą chwilę żadne z nas się nie odzywa. W końcu Tucker mówi:

— To chyba trochę dziwny zbieg okoliczności, co? Że tylu anielitów nagle wykluło się w Jackson.

— Na pewno była to spora niespodzianka — przyznaję. — Ale nie wiem, czy zbieg okoliczności.

Tucker przetyka ślinę i słyszę w jego gardle ciche kliknięcie. Widzę, jak bardzo stara się grać luzaka, udawać, że wszystkie te anielskie sprawy nie przerażają go i nie wpędzają w poczucie, że przeszkadza w czymś o wiele ważniejszym niż on sam. Dociera do mnie, że znów by się usunął, gdyby doszedł do wniosku, że odciąga mnie od wypełnienia mojego zadania. Już zrobił tę swoją „zrywającą” minę. Jak kiedyś.

— Nie wiem, co miało się wydarzyć tamtej nocy — mówię szybko. — Ale już jest po pożarze. A ja żyję dalej. — Mam nadzieję, że nie usłyszy desperackiej nuty w moim głosie, nie zorientuje się, jak bardzo chcę uczynić te słowa prawdą przez sam fakt, że je wypowiadam. Nie chcę myśleć o możliwości, że moje zadanie może zająć sto lat. — Więc teraz jestem cała twoja — mówię, i w moich własnych uszach brzmi to fałszywie, tak strasznie fałszywie. I pomyśleć, że zaczynając tę rozmowę, miałam twarde postanowienie, że powiem mu prawdę.

Tylko że ja nie znam prawdy. A może nie chcę jej znać.

— Okej — mówi Tucker, choć widzę, że sam nie jest pewien, czy mi wierzy. — To dobrze. Bo chcę cię całą dla siebie.

— I masz mnie — szepczę.

Znów mnie całuje. A ja odwzajemniam pocałunek.

Ale obraz Christiana Prescottta, stojącego tyłem do mnie na Fox Creek Road, czekającego na mnie, wечно czekającego, błyska mi nagle w głowie.

Kiedy wracam do domu, Jeffrey jest na podwórku i rąbie drzewo na deszczu. Dostrzega mnie i wita skinieniem głowy, unosi rękę i rękawem ściera pot znad górnej wargi. Potem chwytając kawał drewna, znów unosi siekierę i z łatwością rozłupuje polano. I kolejne. I kolejne. Sterta

porąbanych klocków u jego stóp jest już całkiem spora, a nie wygląda na to, żeby miał zamiar przestać w najbliższym czasie.

— Postanowiłeś nas zaopatrzyć na całą zimę? Nie możesz się doczekać śniegu? — pytam.  
— Wiesz, jest dopiero wrzesień.

— Mamie jest zimno — mówi. — Siedzi we flanelowej piżamie, opatulona w koce, pije herbatę i ciągle się trzęsie. Pomyślałem, że napalę jej w kominku.

— Och — wzdycham. — To miło z twojej strony.

— Coś jej się stało tamtego dnia. Kiedy walczyła z Czarnym Skrzydłem — mówi Jeffrey, ostrożnie dobierając słowa. Unosi wzrok, patrzy mi w oczy. Czasami wygląda tak młodo, jak mały, bezbronny chłopiec. A czasami, jak teraz, wydaje się mężczyzną. Mężczyzną, który widział w życiu za wiele smutku. Jak to możliwe? Ma dopiero piętnaście lat.

— Tak — mówię, bo doszłam do tego samego wniosku. — No wiesz, on próbował ją zabić. To była brutalna walka.

— Dojdzie do siebie?

— Tak myślę. — Chwała ją uleczyła. Widziałam, jak obmywała ją niczym ciepła woda, likwidowała oparzenia, siniaki od rąk Samjazy. Ale myśląc o tym, widzę też na nowo, jak mama zwisa z jego ręki, szamocze się, walczy o oddech, kiedy jego dłoń zaciska się na jej gardle, jej nogi wierzgają coraz słabiej, aż nieruchomieje. Myślałam wtedy, że nie żyje. Oczy zaczynają mnie piec od tego wspomnienia, więc odwracam się szybko, żeby Jeffrey nie zobaczył moich łez.

Jeffrey rąbie jeszcze kilka polan, a ja biorę się w garść. To był ciężki dzień. Mam ochotę wpełznąć do łóżka, naciągnąć kołdrę na głowę i przespać to wszystko.

— A tak w ogóle, to gdzie wtedy byłeś? — pytam nagle.

Postanawia udawać głupiego.

— Kiedy?

— W czasie pożaru.

Chwyta kolejny kawał drewna i stawia na pniaku.

— Mówiłem ci, szukałem cię w lesie. Myślałem, że będę mógł pomóc.

— Dlaczego w to nie wierzę?

Dekoncentruje się, siekiera uderza nierówno i grzęźnie w drewnie. Jeffrey warczy sfrustrowany i ją wyszarpuje.

— A dlaczego miałabyś mi nie wierzyć? — pyta.

— Hm, może dlatego, że cię znam i zachowujesz się dziwnie. Więc gdzie byłeś? Przestań ściemniać.

— Może nie znasz mnie tak dobrze, jak ci się zdaje. — Rzuca siekierę na ziemię, zbiera naręczce porąbanych polan i przepycha się koło mnie, idąc do domu.

— Jeffrey...

— To nie było nic wielkiego — mówi. — Zgubiłem się. — Nagle ma minę, jakby miał się zaraz rozplakać. Wchodzi do domu i słyszę, jak proponuje mamie, że rozpali dla niej ogień. A ja stoję na podwórku, aż pierwsze pasma dymu zaczynają się unosić z komina. Przypominam sobie jego twarz, kiedy tamtej nocy wypadł spomiędzy drzew, ściągniętą ze strachu i czegoś, co wyglądało jak ból. Przypominam sobie jego głuchy śmiech, kiedy mu powiedziałam, że uratowałam Tuckera, i nagle przeżera mnie niepokój o niego, bo cokolwiek wtedy robił, przecucie mówi mi, że nie było to nic dobrego.

Mój brat też ma swoje tajemnice.

#### 4. Świruję

Tym razem we śnie są schody. Dziesięć czy dwanaście cementowych stopni z czarną poręczą, między dwiema osikami. Skąd schody w środku lasu? I dokąd prowadzą? Chwytam poręcz. Jest szorstka, farba łuszczy się i odsłania placki rdzy. Brzegi stopni porasta mech. Kiedy na nie wchodzę, zauważam, że mam eleganckie buty, skromne czółenka mamy, które zawsze pożyczają mi na ważne okazje.

Przed sobą, między drzewami widzę Jeffreya. Inni też tam czekają — schowane w cieniu postaci na szczycie wzgórza. Ludzie, których znam: Angela, pan Phibbs, Wendy. Mam wrażenie, że wszyscy patrzą na mnie, a ja nie wiem, czemu. Oglądam się i obcasem buta zahaczam o stopień. Tracę równowagę na schodach, o mało z nich nie spadam, ale znów jest przy mnie Christian, obejmuje mnie w pasie, pomaga mi stanąć prosto. Przez chwilę patrzymy na siebie. Z jego ciała bucha ciepło, które sprawia, że mam ochotę zbliżyć się jeszcze bardziej.

— Dzięki — szepczę i otwieram oczy; widzę sufit mojej sypialni, a silny, zimny wiatr wciąż szarpie drzewami na dworze.

— Zaczynasz świrować — stwierdza Angela z ustami pełnymi sałatki z fasolki szparagowej. Siedzimy przy stoliku w Bistro Rendezvous w Jackson, w sobotni wieczór, po filmie akcji, i jemy sałatkę, bo tylko na to stać nas w tym lokalu.

— Wszystko jest w porządku — mówię.

— Absolutnie nie jest w porządku. Żałuj, że się nie widzisz.

— No więc, to jest kanał, okej? Chciałabym wiedzieć, czy to tylko sen, czy kolejna wizja, czy coś jeszcze.

Angela zamyślona kiwa głową.

— Twoja mama powiedziała, że niektórzy anielicy mają wizje w postaci snów, znaczy, kiedy śpią, zgadza się?

— Tak, powiedziała coś takiego, zanim sama zaczęłam miewać wizje. W czasach, kiedy jeszcze udzielała mi użytecznych informacji. Ale ja zawsze miałam wizje na jawie.

— Ja też — mówi Angela.

— Więc się zastanawiam, czy ten sen to coś autentycznego, czy tylko efekt, no wiesz, nieświeżej chińszczyzny na kolację. Czy to wiadomość od Boga, czy tylko moja własna podświadomość? A nawet jeśli, to co mi mówi?

— No i widzisz? Świrujesz — kwituje. — To jest pokręcone, C. Na spotkaniach klubu nawet nie patrzysz na Christiana. To wygląda tak, jakbyście się unikali na zmianę. To by było zabawne, gdyby nie było tak potwornie smutne.

— Wiem — mówię. — Pracuję nad tym.

Przekrzywia głowę i patrzy na mnie ze współczuciem.

— Lubię Tuckera, Claro. Naprawdę. To świetny facet, nikt temu nie zaprzeczy. Ale brałaś pod uwagę możliwość, że nie jest ci pisane z nim być? Że powinnaś być z Christianem, że on jest twoim przeznaczeniem, że to z nim masz odlecieć w zachód słońca?

— Oczywiście, że brałam. — Odkładam widelec. Nie jestem już głodna. Przeznaczenie potrafi człowiekowi zepsuć apetyt. — Nie wiem, dlaczego jego to w ogóle obchodzi — mówię.

— Kogo? Tuckera czy Christiana?

— Boga.

Angela wybucha śmiechem.

— No cóż, to jest największa tajemnica, co?

— Kurczę, mam siedemnaście lat. Dlaczego Jego obchodzi, kogo...

— Kochasz — podsuwa Angela, kiedy nie kończę zdania. — Kogo kochasz.

Milkniemy na chwilę, kiedy kelner dolewa nam napojów.

— Tak czy inaczej, powinnaś spisywać te sny — radzi mi Angela. — Bo to może być ważne. Szukaj różnic, tak jak to robiłaś z wizją. Christiana też powinnaś o to zapytać, bo kto wie, może on miewa taki sam sen, a jeśli tak, to rozpracujecie go razem.



To nie jest taki zły pomysł. Tyle tylko, że jakoś nieszczególnie mi się uśmiecha opowiadanie Christianowi, że o nim śnię.

— A co mówi twoja mama? — pyta Angela i odgryza kęs bagietki.

— Nie mówiłam jej o tym.

Patrzy na mnie, jakbym właśnie jej powiedziała, że zamierzam spróbować heroiny.

— A dlaczego miałam jej mówić? Ona mi niczego nie wyjaśnia. Nawet gdybym jej powiedziała, na pewno zasypałaby mnie tylko banałami, że mam ufać swoim uczuciom i słuchać serca, czy innymi bzdurami w tym rodzaju. Poza tym nie wiemy, czy to cokolwiek znaczy — mówię. — To prawdopodobnie tylko sen. Ludzie bardzo często miewają nawracające sny.

— Skoro tak twierdzisz — mówi.

— Możemy już porozmawiać o czymś innym?

Więc rozmawiamy. Rozmawiamy o deszczu, i Angela zgadza się, że niebo trochę przesadza. Rozmawiamy o Tygodniu Duchów w szkole i o tym, czy to będzie fair wykorzystać nasze wyjątkowe zdolności, żeby wygrać doroczny mecz piłki nożnej z pierwszoklasistkami. Angela opowiada mi o jednej starej książce, którą znalazła w te wakacje we Włoszech, i która wygląda na jakiś spis anielitów w XVII wieku.

— To jest taka jakby grupa — mówi. — *Congregarium celestial*, stado anielitów. Jakby stowarzyszenie. Szczerze mówiąc, to stąd wzięłam pomysł Klubu Aniołów.

— Czy jeszcze coś ciekawego wydarzyło się we Włoszech? — pytam ją. — Na przykład był tam jakiś seksowny włoski chłopak, o którym mi teraz opowiesz?

Policzki natychmiast jej różowieją. Kręci głową, nagle bardzo zainteresowana sałatką.

— Nie mam chłopaka. Ani włoskiego, ani żadnego innego.

— Mhm.

— To było głupie — stwierdziła — i nie chcę o tym rozmawiać. Ja cię nie będę męczyć na temat Christiana, a ty nie będziesz gadać o moim nieistniejącym włoskim chłopaku, okej?

— Już mnie wymęczyłaś na temat Christiana. To nie fair — mówię, ale w jej oczach widzę autentyczny ból; zaskakuje mnie to, więc jej odpuszczam.

Moje myśli wracają do snu, do Christiana, do tego, jak on zawsze się o mnie troszczy, podpira mnie, podtrzymuje na nogach. Może został moim aniołem stróżem. Kimś, kto ma dopilnować, żebym nie zboczyła z drogi.

Gdybym tylko wiedziała, dokąd ta droga prowadzi.

Jesteśmy na parkingu, kiedy dopada mnie smutek. A przynajmniej zdaje mi się, że to smutek. Nie jest tak przytłaczający jak wtedy, w lesie. Nie paraliżuje mnie tak jak tamten. Tyle tylko, że nagle, w przeciągu paru minut, ogarnia mnie chęć płaczu, choć przed chwilą czułam się świetnie, byłam wesoła jak szczygieł.

— Hej, wszystko dobrze? — pyta Angela w drodze do samochodu.

— Nie — szepczę. — Zrobiło mi się... smutno.

Zatrzymuje się. Ma oczy jak spodki. Rozgląda się dookoła.

— Gdzie? — pyta o wiele za głośno. — Gdzie on jest?

— Nie wiem — mamroczę. — Nie potrafię określić.

Angela łapie mnie za rękę i ciągnie przez parking do samochodu; idzie szybko, ale stara się zachować spokój, jakby nic się nie działo. Nie pyta mnie, czy może poprowadzić moje auto; idzie prosto na miejsce kierowcy, a ja się nie sprzeciwiam.

— Zapnij pas — mówi, kiedy już obie jesteśmy w środku. Po czym z piskiem wyjeżdża z parkingu na ulicę. — Nie wiem, dokąd jechać — rzuca pospiesznie, na wpół wystraszona, na wpół podekscytowana. — Chyba powinnyśmy się trzymać w zaludnionych miejscach, bo on musiałby być nienormalny, żeby zmieść nas z powierzchni ziemi na oczach bandy turystów. Ale nie chcę też za bardzo zbliżać się do domu. — Szybko zerka w lusterka. — Dzwoń do mamy. Szybko.

Drżącymi rękami szukam w torebce telefonu i dzwonię. Mama odbiera po pierwszym sygnale.

— Co się dzieje? — pyta natychmiast.

— Zdaje się... chyba... jest tu Czarne Skrzydło.

- Gdzie jesteście?
- W samochodzie, na drodze 191, jedziemy na południe.
- Jedźcie do szkoły — mówi. — Tam się spotkamy.

Mija najdłuższe pięć minut mojego życia, zanim mama zjawia się na parkingu Liceum Jackson Hole. Wsiada do tyłu.

— No i? — pyta, wyciągając rękę i dotykając mojego policzka, jakby smutek był jakimś rodzajem gorączki. — Jak się czujesz?

- Już lepiej. Chyba.
- Widziałaś go?
- Nie.

Mama zwraca się do Angeli:

— A ty? Czulaś coś?

Angela wzrusza ramionami.

— Nic. — W jej głosie słychać nutę rozczarowania.

— To co teraz robimy? — pytam.

— Czekamy — mówi mama.

Więc czekamy i czekamy, i czekamy jeszcze trochę, ale nic się nie dzieje. Siedzimy w samochodzie, milczące, i patrzymy, jak wycieraczki zgarniają deszcz z szyby. Od czasu do czasu mama pyta mnie, co czuję, na co trudno mi odpowiedzieć jednoznacznie. Z początku czuję przede wszystkim przerażenie, że Samjaza zjawi się lada moment i zamorduje nas wszystkie. Potem przerażenie spada do poziomu zwykłego strachu — że teraz będziemy musieli uciekać, pakować się i wiać z Jackson, i już nigdy nie zobaczę Tuckera. Wreszcie dochodzę do lekkiego niepokoju. A w końcu do zażenowania.

— Może to nie był smutek — przyznaję. — Nie był taki silny jak przedtem.

— Zdziwiłabym się, gdyby Samjaza zaatakował nas tak szybko — mówi mama.

— Dlaczego? — pyta Angela.

— Bo jest próżny — stwierdza mama rzeczowo. — Clara urwała mu ucho, poparzyła mu ramię i twarz, i nie sądzę, żeby chciał się pokazać, dopóki nie wyzdrowieje, co u Czarnych Skrzydeł trwa bardzo długo.

— Myślałam, że rany goją im się szybko — dziwi się Angela. — No wiecie, jak na przykład wampirom.

Mama prycha drwiąco.

— Wampiry. Proszę cię. Czarne Skrzydła długo goją rany, bo z własnego wyboru odcięli się od uzdrawiających sił tego świata. — Znow dotyka mojego policzka. — Dobrze zrobiłyście, że odjechałyście stamtąd i zadzwoniłyście do mnie. Nawet jeśli to nie był Czarne Skrzydło. Ostrożności nigdy za wiele.

Angela wzdycha i wygląda przez okno.

— Przepraszam — mówię. Odwracam się do mamy. — Chyba jestem trochę przewrażliwiona.

— Nie przepraszaj — odpowiada mama. — Ostatnio wiele na ciebie spadło.

Zamienia się z Angellą miejscami i wyjeżdża ze szkolnego parkingu na drogę. Kieruje się z powrotem do centrum.

— I co czujesz? — pyta, kiedy mijamy restaurację.

— Nic — odpowiadam, wzruszając ramionami. — Tylko tyle, że chyba zaczynam wariować.

— To nie ma znaczenia, czy to był fałszywy alarm, czy nie. Samjaza prędzej czy później po nas przyjdzie, Claro. Musisz być gotowa.

Jasne.

— A jak właściwie można się przygotować na atak Czarnego Skrzydła? — pytam drwiąco.

— Chwała — mówi mama, czym natychmiast wywołuje na twarz Angeli minę pod tytułem „A nie mówiłam?” — Uczysz się używać chwały.

— Hej, chyba widzę błysk — mówi Christian, a ja podskakuję, zaskoczona. — Robisz to. Otwieram oczy. Christiana nie było tu przedtem, kiedy weszłam na scenę i zaczęłam ćwiczyć przywoływanie chwały. Ale teraz jest; siedzi przy stoliku na widowni Różowej Podwiązki i patrzy na mnie, ubawiony, jakby oglądał przedstawienie. Nasze oczy spotykają się na ułamek sekundy, a potem spoglądam na własną dłoń, która z całą pewnością nie świeci. Zero chwały.

Najwyraźniej jestem w tym do niczego, jeśli w grę nie wchodzi zagrożenie życia.

— Jaki błysk? — pytam.

Kącik jego ust podjeżdża do góry.

— Pewnie mi się przywidziało.

Jasne. Zapada klasyczne, niezręczne milczenie między Clarą i Christianem. Po chwili Christian kaszle i mówi:

— Przepraszam, przerwałem ci trening. Nie przeszkadzaj sobie.

Powinłam zamknąć oczy i spróbować jeszcze raz, ale wiem, że nic z tego. Nie ma mowy, żebym przywołała chwałę, kiedy on na mnie patrzy.

— Boże, ależ to frustrujące! — wykrzykuje Angela. Zatrząskuje laptop i odpycha go po stole, wzdychając ze złością. Przeszukiwała strony internetowe college'ów, próbując ustalić, do którego ma pójść; dla większości ludzi to dość poważna sprawa, ale dla niej jest wręcz ogromna, największa, bo Angela uważa, że widuje w swoich wizjach uniwersytecki kampus. To się nazywa presja.

— Nie dostałaś tego starożytnego manuskryptu, którego szukałaś na eBayu? — pyta Christian.

Spogląda na niego ze złością.

— Bardzo zabawne.

— Wybacz, Ange — mówię. — Mogę jakoś pomóc?

— Wizja nie pokazuje zbyt wielu szczegółów. Są szerokie schody, trochę kamiennych arkad i ludzie pijący kawę. Tak wygląda w zasadzie każda uczelnia w kraju.

— Rozglądaj się za drzewami — podpowiadam jej. — Mam niezłą książkę, jeśli chcesz ustalić, na jakim obszarze rośnie dane drzewo.

— No cóż, mam nadzieję, że w końcu będę miała jakąś konkretną wskazówkę — mamrocze Angela. — Powinłam złożyć podanie. Już.

— Spokojnie — mówi nonszalancko Christian. Spogląda na swój zeszyt, w którym, jak sędzę, rozwiązuje pracę domową z matematyki. — Zrozumiesz wszystko, kiedy przyjdzie pora. — Unosi wzrok i znów spogląda mi w oczy.

— A ty? — Nie mogę się powstrzymać od tego pytania, chociaż znam odpowiedź. — Zrozumiałeś wszystko, kiedy przyszła pora?

— Nie — przyznaje z krótkim, niemal gorzkim śmiechem. — Nie wiem, dlaczego to powiedziałem. Cóż, mam to wbite do głowy. Wuj ciągle mi to powtarza.

Nigdy nie mówił za wiele o swoim wuju. Ani o zadaniu, nie licząc naszej pierwszej rozmowy: „Miałem wizję ciebie w płonącym lesie, myślałem, że mam cię ratować, a teraz już nic nie rozumiem”. Kiedyś pokazał nam, że umie latać bez poruszania skrzydłami, w stylu Supermana. Zawisł nad sceną jak David Copperfield, a Angela, Jeffrey i ja gapiliśmy się na niego jak idioci. Od czasu do czasu podrzuca Angeli jakiś przypadkowy anielski fakt, żeby była zadowolona z jego wkładu w spotkania klubu. Mam wrażenie, że wie więcej od nas, ale zwykle nie jest zbyt rozmowny.

— No więc? — mówi Angela, a ja robię się nerwowa na widok jej miny. Wstaje i podchodzi do stolika Christiana. — Co teraz?

— Co masz na myśli? — pyta on.

— Nie wypełniłeś swojego zadania, zgadza się?

Christian tylko gapi się na nią.

— No dobra — mówi Angela, skoro on się nie odzywa. — Odpowiedz przynajmniej na to: kiedy miałaś wcześniej wizję, przychodziły w ciągu dnia czy w nocy?

Christian przez chwilę wpatruje się w cienie na tyłach sceny, jakby się zastanawiał, czy odpowiedzieć, i wreszcie znów spogląda na nią.

— W nocy.

— Śniły ci się?

— Przeważnie. Z wyjątkiem jednego razu, kiedy nie spałem.

Szkolny bal. Kiedy tańczyliśmy i mieliśmy wizję razem.

— Otóż, Clara miewa nowy sen — mówi Angela. Posyłam jej najbardziej wściekłe spojrzenie, na jakie mnie stać, ale ona oczywiście je ignoruje. — Który może być wizją. Musimy się dowiedzieć, co to jest.

Christian patrzy na mnie z wielkim zainteresowaniem. A ja dosłownie stoję w świetle jupiterów, więc zeskakuję ze sceny i podchodzę do nich. Czuję, że śledzi mnie spojrzeniem.

— Co to za wizja? — pyta.

— To może być zwykły sen — odpowiada za mnie Angela. — Ale miałas go ile, już z dziesięć razy, Clara?

— Siedem. Idę w górę po zboczu — zaczynam wyjaśniać. — Przez las, ale to nie jest takie wzgórze jak w mojej... w naszej wizji. Jest słoneczny dzień, nie ma pożaru. Jest tam Jeffrey, i z jakiegoś powodu ma na sobie garnitur. Angela też jest, a przynajmniej była ostatnim razem, kiedy mi się to śniło. I parę innych osób... — Waham się. — Ty też tam jesteś — mówię do Christiana.

Nie mogę mu powiedzieć, że bierze mnie za rękę, że szepcze wprost w mojej głowie, nie odzywając się na głos.

— To prawdopodobnie tylko sen, wiesz? — jąkam. — Jakby moja podświadomość chciała coś przepracować, może moje lęki. A może to coś jak te sny, kiedy człowiek zjawia się w szkole goły.

— Jak wygląda ten las? — pyta Christian.

— To jest właśnie najdziwniejsze. Wygląda jak normalny las, ale są tam schody... ciąg cementowych schodów w środku lasu. I ogrodzenie.

— A ty? Nie miewałeś jakichś dziwnych snów? — pyta Angela. — Masz jakąś wskazówkę, którą mógłbyś dorzucić do tego całego wariactwa?

Christian wreszcie odrywa wzrok od moich oczu i spogląda na nią.

— Nic mi się nie śni.

— Ja osobiście uważam, że to coś więcej niż sen — mówi Angela. — Bo to się jeszcze nie skończyło.

— Co?

— Twoje zadanie. Niemożliwe, że przeszedłeś przez to wszystko, te wizje, pożary i tak dalej, po nic. To nie może być koniec. Nie ma mowy. Musi być jakiś ciąg dalszy.

Moja empatia postanawia się włączyć właśnie w tym momencie i odbieram przeblysk tego, co czuje Christian: Stanowczość. Determinacja. A pod tym wszystkim pragnienie, które aż zapiera mi dech. I pewność. Czysta, absolutna pewność. Że Angela ma rację. Że to nie koniec. Że będzie ciąg dalszy.

Tego wieczoru, kiedy wchodzę do swojego pokoju, ktoś stoi na okapie dachu za moim oknem. Przez ułamek sekundy wszystkie tłumaczenia mamy, że Samjaza jest ranny, próżny i nie spieszy mu się do ataku, wydają mi się jedną wielką bzdurą i myślę: to on, to jego smutek czułam przedwczoraj, wiedziałam, i spanikowane serce zaczyna mi bić jak zwariowane, krew szaleje w żyłach i zaczynam się dziko rozglądać po pokoju w poszukiwaniu broni. Co jest idiotyzmem, bo a) nie mam w pokoju żadnej broni, nie licząc zwykłych rzeczy przeciętnej nastoletniej dziewczyny, i b) nawet gdybym zdołała znaleźć coś lepszego niż pilnik do paznokci, to jaka broń byłaby skuteczna przeciw Czarnemu Skrzydłu? Chwała, myślę, muszę przywołać chwałę, ale w następnej sekundzie myślę: zaraz. Dlaczego on tam po prostu stoi? Dlaczego nie zaczął jeszcze wyjeżdżać z tymi swoimi tandetnymi tekstami w stylu „zabiję cię, ptaszyno?”

W tej chwili dociera do mnie, że to nie jest Samjaza. To Christian. Czuję jego obecność jasno i wyraźnie, teraz, kiedy już się uspokoiłam na tyle, żeby móc myśleć. Przyszedł mi coś

powiedzieć. Coś ważnego.

Wzdycham, wkładam bluzę i otwieram okno.

— Hej! — wołam.

Spogląda na mnie ze swojej grzędy na skraju dachu — z tego miejsca jest doskonały widok na góry, które wciąż połyskują w ciemności, oprószone śnieżną bielą. Wyłączę przez okno i siadam obok niego. Na dworze jest potwornie zimno, pada lodowata, obrzydliwa mżawka. Natychmiast obejmuję własne ramiona i staram się powstrzymać dreszcze.

— Zimno? — pyta Christian.

Kiwam głową.

— A tobie nie? — Ma na sobie tylko czarną koszulkę i jak zwykle džinsy Seven, tym razem szare. To straszne, że rozpoznaję jego ciuchy.

Wzrusza ramionami.

— Trochę.

— Angela mówi, że anielici rzekomo są odporni na zimno. To pomaga, kiedy się lata na dużych wysokościach. — Znów zaczynam się trząść. — Ale mnie chyba nikt o tym nie poinformował.

Uśmiecha się.

— Może taką moc mają tylko dojrzały anielici.

— Hej, nazywasz mnie niedojrzałą?

— Skądże znowu — mówi Christian i jego uśmiech zmienia się w wyszczerz od ucha do ucha. — Jakżebyś śmiała.

— To dobrze. Bo to nie ja podglądam ludzi przez okna.

— Nie podglądałem — protestuje.

No właśnie. Coś ważnego.

— Wiesz, jest taki niesamowity wynalazek — żartuję. — Nazywa się komórka.

— Taak, a ty i ja ucinamy sobie takie niesamowite, szczerze rozmowy przez telefon — odgryza się.

Przez moment milczymy, a potem oboje wybuchamy śmiechem. Ma rację. Nie wiem, dlaczego tu jest łatwiej, ale jest. Tu wreszcie możemy porozmawiać. To prawdziwy cud.

Christian odwraca się do mnie, jego kolano ociera się o moje. W słabym świetle padającym z okna jego oczy mają odcień głębokiej ciemnej zieleni.

Mówi:

— To ogrodzenie w twoim śnie, o którym wspomniałaś, to druciana siatka, po prawej, kiedy idziesz w górę zbocza.

— Tak, skąd to...

— A te schody, które widzisz, są na brzegach obrośnięte mchem i mają poręcz, metalową, pomalowaną na czarno?

Wytrzeszczam na niego oczy.

— Zgadza się.

— Po lewej, za drzewami, jest kamienna ławka — ciągnie Christian. — A za nią jest posadzony krzew różany. Ale nigdy nie kwitnie, w górach jest za zimno dla róż.

Na minutę odwraca wzrok. Nagły podmuch wiatru burzy mu włosy, więc odgarnia je z oczu.

— Ty też miewasz ten sen? — szepczę.

— Nie taki jak twój. Znaczący, to miejsce śni mi się bardzo często, ale... — Wzdycha, porusza się, jakby zażenowany i w końcu spogląda na mnie.

— Nie przywykłem o tym mówić — wyznaje. — Właściwie stałem się zawodowcem w niemówieniu o tym.

— W porządku...

— Nie, chcę ci powiedzieć. Powinnaś to wiedzieć. Ale nie chciałem ci mówić przy Angeli. Podciągam bluzę pod brodę i ciasno zakładam ręce na piersi.

— Moja mama umarła — mówi w końcu. — Kiedy miałem dziesięć lat. Nawet nie wiem,

jak to się stało. Wuj nie lubi o tym mówić, ale wydaje mi się... wydaje mi się, że zabił ją Czarne Skrzydło. Jednego dnia po prostu była, uczyła mnie przy śniadaniu dzielenia pisemnego, odwiozła do szkoły, pocałowała na pożegnanie przy chłopakach z klasy, chociaż się wstydzilem... — Głos mu się łamie. Urywa, odwraca oczy, chrząka cicho. — A potem nagle wyciągnęli mnie z klasy. Powiedzieli, że był wypadek. I nie było jej. Znaczy, w końcu pozwolili mi zobaczyć jej ciało. Ale jej w nim nie było. To było tylko... ciało.

Patrzy na mnie błyszczącymi oczami.

— Jej nagrobek to ławeczka. Biała kamienna ławka pod osikami.

Nagle czuję w głowie jakby kłęb chmur.

— Co?

— To cmentarz Aspen Hill — mówi Christian. — I to nie jest taki prawdziwy cmentarz... znaczy, to jest prawdziwy cmentarz, z grobami i kwiatami i tak dalej, ale jednocześnie to po prostu część lasu, piękne miejsce między drzewami, ciche, z widokiem na góry Teton. To chyba najspokojniejsze miejsce, jakie znam. Czasami idę tam, żeby pomyśleć, i...

I porozmawiać z mamą. Chodzi tam, żeby porozmawiać z mamą.

— Więc kiedy powiedziałaś o tych schodach i zboczu, i ogrodzeniu, od razu wiedziałem — kończy cicho.

— Wiedziałaś, że śni mi się cmentarz — mówię.

— Przykro mi — szepcze.

Patrzę na niego, tłumiąc szloch. Teraz wszystko składa mi się w głowie: ludzie w eleganckich ubraniach, ja w czarnej sukience i to, że wszyscy idą w tym samym kierunku, i rozpacz, którą czuję, te ich poważne spojrzenia i to, że Christian usiłuje mnie pocieszać. Teraz wszystko jest doskonale zrozumiałe.

Ten smutek, który czuję we śnie, nie pochodzi od Czarne Skrzydła. Jest mój.

Ktoś, kogo kocham, umrze.

## 5. Wymarzona przyszłość

Clara? Jesteś z nami?

Mama trąca mnie w ramię. Mrugam przez sekundę, po czym uśmiecham się do pani Baxter, szkolnego doradcy. Pani Baxter odpowiada uśmiechem.

— Więc czego byś chciała? — pyta. — Masz jakieś pomysły, w jakim kierunku chciałabyś podążać? Jakąś wizję swojej przyszłości?

Zerkam na mamę. O, mam wizje, jeszcze jak.

— Ma pani na myśli college? — pytam panią Baxter.

— No tak, edukacja odgrywa dużą rolę w tych planach i oczywiście będziemy zachęcać do studiowania wszystkich naszych uczniów, a szczególnie tak inteligentne i utalentowane osoby jak ty. Ale każdy człowiek ma przed sobą własną, wyjątkową drogę, i niekoniecznie musi ona prowadzić do college'u.

Patrzę na własne dłonie.

— Właściwie nie wiem, czym chcę się zajmować w życiu.

Pani Baxter kiwa głową z przesadnym entuzjazmem.

— To absolutnie w porządku. Wielu uczniów nie wie tego na tym etapie. Rozglądałaś się już może, odwiedzałaś uczelnie, surfowałaś po ich stronach internetowych?

— Niewiele. — Czy raczej wcale.

— Może to byłoby dobre na początek — mówi pani Baxter. — Obejrzyj sobie ulotki, które wywiesiłam na korytarzu, zrób listę pięciu uczelni, które ci się podobają, i napisz dlaczego. A potem pomogę ci z podaniami.

— Bardzo dziękuję. — Mama wstaje i ściska dłoń pani Baxter.

— Pani córka to wyjątkowa młoda dama — oznajmia pani Baxter, a ja staram się nie przewracać oczami. — Wiem, że osiągnie w życiu coś wyjątkowego.

Żegnaj ją niezręcznym skinieniem głowy i wychodzimy z gabinetu.

— Ale wiesz, ona ma rację, mimo tych banałów — mówi mama w drodze na parking. — Twoje życie będzie wyjątkowe.

— Jasne... — odpowiadam. Chcę jej wierzyć, ale nie wierzę. Kiedy ostatnio oglądałam swoje życie, widzę tylko schrzanione zadanie i całkiem niedaleką przyszłość, w której umrze ktoś ważny dla mnie.

— Chcesz prowadzić? — pytam ją, żeby zmienić temat.

— Nie, ty siadaj za kółko. — Przekopuje torebkę w poszukiwaniu wielkich, ciemnych okularów w stylu Audrey Hepburn; w tych okularach, z głową owiniętą szalem i w długim, eleganckim trenczu wygląda jak gwiazda filmowa. — No więc, co się dzieje? — pyta. — Czuję, że coś cię gryzie, i to coś więcej niż sprawy związane ze studiami. Które same się ułożą, Claro, nie masz się czym martwić.

Nienawidzę, kiedy mi mówi, że mam się nie martwić. Zwykle dzieje się to wtedy, kiedy mam bardzo dobre powody do zmartwienia. I wygląda na to, że w tej chwili nie mogę zrobić nic więcej; mogę się tylko martwić, do czyjego grobu idę w tej nowej wizji, martwić się, że ta osoba umarła przez coś, co zrobiłam albo zrobię, martwić się, że napady smutku, które ostatnio miewam, oznaczają, że Samjaza krąży w pobliżu i tylko czeka na odpowiedni moment, żeby zabić kogoś, kogo kocham.

— To nic wielkiego — mówię.

Wsiadamy do samochodu. Wsuwam kluczyk w stacyjkę. Ale nie ruszam.

— Mamo, co zaszło między tobą i Samjazą?

O dziwo, nie wygląda na zdenerwowaną moim pytaniem, co mnie zaskakuje. Po czym odpowiada na nie, co wprawia mnie w jeszcze większe osłupienie.

— To było dawno temu — mówi. — Byliśmy... przyjaciółmi.

— Przyjaźniłaś się z Czarnym Skrzydłem.

— Z początku nie wiedziałam, że to Czarne Skrzydło. Myślałam, że jest zwykłym aniołem. Nie wyobrażam sobie, jak można było wziąć Samjazę za zwykłego anioła. Choć oczywiście

nie znam żadnych zwykłych aniołów.

— No tak. A przyjaźnisz się z wieloma aniołami? — pytam drwiąco.

— Z paroma.

— Z paroma — powtarzam. Jak ona może ciągle tak zwałać mnie z nóg? No bo, doprawdy: zna parę aniołów?

— Nie jest ich wielu.

— Angela uważa, że Samjaza to jakiś przywódca — mówię jej.

— Ach. — Mama kiwa głową. — *Księga Henocha?*

— No.

— To akurat jest prawda. Dawno temu był przywódcą Czuwających.

Rany. Naprawdę mi to powiedziała.

— A co właściwie robią Czuwający? — pytam. — Poza tym, że jak zakładam, czuwają.

— Czuwający porzucili niebo, żeby móc być z ziemskimi kobietami — mówi mama.

— Rozumiem, że Bogu nie podoba się pomysł, żeby anioły zadawały się z ludźmi.

— Nie chodzi o to, że Bogu się to nie podoba — wyjaśnia. — Rzecz w tym, że anioły nie żyją w linearnym czasie, jak ty i ja, co sprawia, że związek z ziemską kobietą jest praktycznie niemożliwy, bo to by wymagało od anioła pozostawania w tym samym czasie przez dłuższy okres.

Aha. Znow te akcje z czasem.

— Nam trudno jest do końca zrozumieć, jak żyją, jak przemieszczają się po różnych płaszczyznach egzystencji, pokonują czas i przestrzeń. Anioły nie siedzą sobie po prostu na chmurach i nie patrzą na nas z góry. Cały czas są w pracy.

— Żonaci z posadą, hm? — żartuję.

Po jej twarzy przemyka uśmiech.

— Właśnie tak.

— I Czuwający co? Rzucili pracę?

— Tak. A Samjaza pierwszy złożył wypowiedzenie, że tak powiem.

— I co było potem?

— Czuwający pożenili się z kobietami, mieli dzieci i przez jakiś czas wszystko było dobrze. Wyobrażam sobie, że czuli smutek, skoro byli oddzieleni od nieba, ale to było do zniesienia. Byli szczęśliwi. Ale nigdy tak naprawdę nie przynależeli do ziemskiego życia, a ich dzieci żyły bardzo długo i rozmnażały się, aż na ziemi było więcej anielitów niż ludzi. Co stało się problemem.

Myślę o historii Angeli z *Księgi Henocha*.

— Więc Bóg zesłał potop — stwierdzam.

— Tak — mówi mama. — A Samjaza... — Milknie. Zastanawia się, ile może mi powiedzieć. — Samjaza nie zdołał uratować swojej rodziny. Jego dzieci, wnuki i prawnuki się potopiły. Co do jednego.

Nic dziwnego, że gość jest wkurzony.

— Wtedy Czuwający przyłączyli się do innych Czarnych Skrzydeł i wypowiedzieli wojnę niebu.

— Innych Czarnych Skrzydeł?

— Szatana i jego ekipy.

Śmieję się z pomysłu, że Szatan ma ekipę, chociaż wiem, że to nie jest śmieszne.

— Tamci walczą z władzą Boga i starają się pokrzyżować plany niebios, kiedy tylko mogą — wyjaśnia mama. — Ale ich pragnienie nie wypływa z rozpaczy. To po prostu czyste zło, sprzeciw dla sprzeciwu.

— Aha. A skąd wiesz to wszystko? — pytam ją.

— Sam mi powiedział.

— Bo się przyjaźniliście.

— Tak — mówi. — Dawno, dawno temu.

Ciągle nie może mi się to pomieścić w głowie.

— Wiesz, że on jest w tobie zakochany — dorzucam, żeby sprawdzić jej reakcję.



Mama przygląda szal na włosach.

— Skąd to wiesz?

— Kiedy mnie dotknął, czułam, że myśli o tobie. No owszem, z początku myślał o mnie, ale kiedy ty się zjawiałaś, kompletnie o mnie zapomniał. Widziałam cię w jego myślach. Wyglądałaś inaczej. Miałaś krótkie, kasztanowe włosy i... — powstrzymuję się od wzmianki o papierosie — grubą warstwę szminki. On ma obsesję na punkcie twojej szminki. I twoim.

Mama unosi dłoń, jakby chciała dotknąć szyi, gdzie, gdyby była zwykłym człowiekiem, pewnie miałyby jeszcze siniaki od dłoni Samjazy.

— Szczęściara ze mnie — mówi.

Drzę, przypominając sobie jego zimne dłonie, poruszające się pod moją koszulką.

— Gdybyś się wtedy nie zjawiała, on by mnie... — Nie jestem w stanie dokończyć zdania.

Mama marszczy brwi.

— Gwałt nie jest w stylu Czarnych Skrzydeł. Oni wolą uwodzić. Wolą przeciągnąć cię na swoją stronę.

— A mama Angeli? — przypominam jej. — Została zgwałcona.

— Tak twierdzi.

— Myślisz, że to nieprawda?

— Nie wiem. Nie było mnie przy tym.

— Tak czy inaczej, myślę, że Samjaza planował zrobić to ze mną — mówię jej. — Raczej nie starał się mnie oczarować.

— Rzeczywiście, tego dnia zachowywał się dziwnie — przyznaje mama. — To, jak mówił, ten cały melodramatyzm, te frazesy, jakby grał jakąś rolę. To niepodobne do niego. Jakby usiłował coś udowodnić.

— Ale nie patrzył na niego nikt oprócz nas.

— Ktoś patrzył — rzuca mama tajemniczo. — Ktoś zawsze patrzy.

A. Pewnie ma na myśli Boga. Który zawsze patrzy. Robi mi się dziwnie.

Jej usta wykrzywają się w bolesną linię.

— Przykro mi, że musiałaś przez to przejść.

— Mnie też.

— Ale wiesz co — mówi, jakby z ulgą zmieniała temat — pomyślałam, że mogłybyśmy pojechać do miasta na lody, może na jakieś małe zakupy.

— Nie mogę — odpowiadam. — Po południu mam jechać na ryby z Tuckerem.

Mama próbuje ukryć rozczarowanie.

— Ach tak.

— Ostatnio prawie go nie widuję, bo dostał posadę w sklepie siodlarskim we Flat Creek i pracuje całymi godzinami...

— Nie, rozumiem — mówi mama. — Powinnaś z nim jechać. Pobyć z nim.

Jestem ciekawa, czy Tucker w ogóle ją obchodzi. Czy ciągle tego nie pochwała.

— Ale może porobiłybyśmy coś w weekend?

— Jasne — zgadza się. — Z przyjemnością.

— Okej.

Potem nie pozostaje mi już nic, jak tylko przekręcić kluczyk w stacyjce, wrzucić bieg i pojechać do domu.

Jest coś magicznego w tym, jak moja głowa pasuje do zagłębienia poniżej szyi Tuckera. Leżę tak sobie, wdycham jego zapach — tę cudowną mieszankę ziemi, siana i autorskiego połączenia jego własnego męskiego zapachu i wody po goleniu, z lekką nutką spreju na komary — i na chwilę wszystkie moje zmartwienia wyparowują. Jesteśmy tylko ja i on, chlupot wody łagodnie bujającej łódką, drobinki kurzu unoszące się w ciepłym powietrzu. Nie wiem, jak wygląda niebo, nie licząc jasności, którą opisywała mi kiedyś mama, ale gdybym miała wybierać swoje niebo, byłoby właśnie takie. Na jeziorze z Tuckerem. Zgodzę się nawet na komary i całą resztę.

— Tak strasznie tego potrzebowałam — mówię, i wychodzi mi to prawie jak ziewnięcie.

Czuję, jak uśmiecha się z ustami przy moich włosach.

— Ja również. Twoje włosy pachną wiatrem, wiedziałaś o tym?

Tak, oto ja i Tucker: wachamy się nawzajem.

Przechyliłam głowę do góry, żeby go pocałować. Całus z początku jest słodki, powolny i leniwy jak popołudniowe słońce, ale szybko nabiera żaru. Odrywamy się od siebie na sekundę, nasze oddechy się mieszają; przekręcam się tak, że teraz praktycznie leżę na nim, nogi mamy splątane. Tucker unosi ręce, żeby chwycić moją głowę i znów mnie całuje, a potem wydaje ten na wpół jęk, na wpół śmiech, który doprowadza mnie do obłędu, opuszcza dłoń na moje biodro i przyciąga mnie bliżej. Wsuwam palce pod kołnierzyk jego koszuli, przeciągam po twardej, szerokiej piersi, czuję mocne bicie jego serca. Kocham go, myślę. Wiem, że w tej chwili, gdybym spróbowała, byłabym zdolna przywołać chwałę.

Odrywa się ode mnie.

— Okej — sapie.

— Ciągłe myślisz, że razi cię grom, jeśli... no wiesz? — żartuję sobie z niego, unosząc brew i przyszpilając go uwodzicielskim (jak sądzę) spojrzeniem.

Tucker posyła mi udręczony, speszony uśmiech.

— Kiedy byłem mały, mama mi mówiła, że jeśli będę uprawiał seks przed ślubem, to mi... sprzęt szernieje i odpadnie.

To wrywa ze mnie wybuch przestraszonego śmiechu.

— Naprawdę?

— Tak, i ja jej wierzyłem.

— Więc nie będziesz uprawiał seksu przed ślubem? A co będzie, jeśli ożenisz się dopiero po trzydziestce?

Wzdycha.

— Nie wiem. Po prostu cię kocham. Nie chcę niczego zepsuć.

Zupełnie nic z tego nie rozumiem, ale kiwam głową.

— Więc będziemy grzeczni.

— Tak.

— Bo się boisz.

— Hej!

— Okej — ustępuję z westchnieniem. — Chociaż to dosyć nudne.

Tucker nagle przewraca mnie na plecy i przyciska delikatnie do koca na dnie łódki.

— Twoim zdaniem to jest nudne? — rzuca wyzywająco, a potem całuje mnie, aż wnętrności zmieniają mi się w galaretę i mąci mi się w głowie.

Potem, długo, długo później nawet próbujemy wędkować. Przekonuję się, że ciągle jestem w tym do niczego. A Tucker ciągle jest jakimś zaklinaczem ryb.

— No już — mówi miękko, delikatnie wyjmując haczyk z pyska błyszczącego łososia Clarka. — Następnym razem bądź mądrzejszy.

Opuszcza go z powrotem do wody; ryba śmiga w dal błyskiem zieleni i srebra. Tucker spogląda na mnie i szczerzy się złośliwie.

— A teraz chcesz się całować? — pyta, unosząc dłonie śliskie od rybiego śluzu.

— Ehm, kuszące, ale nie — odpowiadam szybko. — Chyba powinniśmy być grzeczni, nie sądzisz?

— Bardzo zabawne — mówi i zaczyna na nowo wiązać żyłkę. — Ta-ha-ha-hakie śmieszne. — Słońce zakrywa chmura i nagle robi się chłodniej. Ciszej. Nawet ptaki przestają śpiewać.

Dreszcz przebiega mi po skórze.

— Chcesz moją koszulę? — pyta Tucker, wieczny dżentelmen.

— Nie trzeba. Staram się uodpornić na zimno.

Wybuchła śmiechem.

— No to powodzenia. Pewnie nie będzie już wielu takich dni jak ten, na tyle ciepłych, żeby tu wędkować. — Zakłada przynętę na haczyk i zarzuca wędkę. Niemal natychmiast ma branie. Ta sama ryba.

— Zaslugujesz, żeby wylądować na talerzu — mówi łososiowi, ale i tak znów go wypuszcza. — Sio! Szukaj swojego przeznaczenia. I trzymaj się z daleka od błyszczących, zakrzywionych rzeczy.

To z jakiegoś wariackiego powodu przypomina mi o rozmowie ze szkolnym doradcą.

— Ostatnio tyle pracujesz... — zaczynam.

— Nie przypominaj mi.

— Chcesz sobie kupić nowego konia?

— A potem nowy samochód, a mówiąc: nowy, mam na myśli używany, a mówiąc: używany, mam na myśli prawdopodobnie jakiś totalny złom, bo na więcej nie będzie mnie stać.

— Nie oszczędzasz na studia? — pytam.

Nieodpowiednie pytanie. Tucker wbija oczy w wędkę, którą szybko rozmontowuje.

— Nie — mówi z wymuszoną swobodą. — Po liceum zostaję na ranchu. Tata wiosną uszkodził sobie kolano, a nie stać nas na wynajęcie jeszcze jednego człowieka, więc pomyślałem, że się przydam.

— Ach tak. — Nic innego nie przychodzi mi do głowy. — A kazali ci iść do pani Baxter?

— Tak — potwierdza z drwiącym prychnięciem. — Zmusiła mnie, żebym umówił się na jakieś rozmowy na Uniwersytecie Północnej Arizony w przyszłym tygodniu. Pewnie pójde do szkoły za rok czy dwa, bo tego się po mnie spodziewają.

— A co byś studiował? W college'u? Gdybyś poszedł?

— Pewnie rolnictwo. Może leśnictwo — mówi, pocierając kark.

— Leśnictwo?

— Żeby móc zostać strażnikiem leśnym.

Wyobrażam go sobie w zielonym mundurze strażnika, w kapeluszu jak Miś Smokey. I strasznie mnie to kręci.

— Wiesz co, robi się późno. Wracamy? — pyta Tucker.

— Jasne. — Zwijam swoją żyłkę i układam wędkę na dnie, obok jego wędki. Tucker zapala silnik i kilka minut później suniemy już po wodzie w stronę przystani. Żadne z nas nic nie mówi, ale Tucker nagle wzdycha. Zwalnia maksymalnie, potem zatrzymuje łódkę. Jesteśmy na środku jeziora, silnik działa na jałowym biegu, słońce zachodzi za górami.

— Nie chcę opuszczać tego miejsca — odzywa się Tucker po chwili.

Patrzę na niego, zdziwiona.

— Nie chcesz opuszczać tego miejsca?

Wskazuje szerokim gestem góry wznoszące się za nami, czaplę muskającą taflę jeziora, błyski zachodzącego słońca na wodzie.

— To dla mnie wszystko. Tego chcę.

Dociera do mnie, że nie mówi o dzisiejszym dniu, o jeziorze, o tej chwili. Mówi o swojej przyszłości.

— Może pójde na studia, ale i tak wyląduję tutaj — stwierdza. — Tu będę żył i tu umrę.

Patrzy na mnie, jakby mnie wyzywał, żebym zaprotestowała. Ale ja tylko przesuвам się bliżej niego i obejmuję go za szyję.

— Rozumiem — szepczę.

Rozluźnia się.

— A ty? Co ty chcesz robić?

— Ja też nie chcę opuszczać tego miejsca. Chcę tu zostać. Z tobą.

Tego wieczoru, kiedy już zasypiam, dzwoni moja komórka. Z początku ją ignoruję, pozwalając włączyć się poczcie głosowej, bo chcę zanurzyć się w sen i dowiedzieć, kto umarł. Ale telefon dzwoni znowu. I znowu. Ktokolwiek to jest, nie przyjmuje odmowy. Co jest dla mnie wskazówką, że to...

— Okej, Ange, lepiej niech to będzie coś ważnego, bo jest późno i...

— To Stanford! — Wybucha dzikim, radosnym śmiechem, jakiego nigdy u niej nie słyszałam. — Idę do Stanforda, C. Poznałam po drzewach... byłaś genialna, że kazałaś mi patrzeć

na drzewa.

— Rany. Najwyższa liga. To świetnie, Ange.

— No nie? Byłam przygotowana, że to będzie cokolwiek, nawet jakaś podrzędna szkoła, o której nikt nie słyszał, bo moje zadanie było ważniejsze, ale Stanford to szkoła, za którą bym zabiła nawet bez zadania. Więc jest doskonale.

— Też się cieszę. — A przynajmniej próbuję. Wychowałam się niedaleko Uniwersytetu Stanforda. Czułabym się tam jak w domu.

— Jest jeszcze coś — mówi Angela.

Przygotowuję się na kolejne rewelacje, na przykład że Angela ma już pełne stypendium naukowe, albo że prawdziwy anioł, intangere, wpadł do niej z liścikiem szczegółowo opisującym, co ma robić na tej uczelni — z ulotką z nieba.

— Okej. Co? — pytam, kiedy nie mówi sama z siebie.

— Chcę, żebyś też tam poszła.

— He? Kiedy?

— Na studia, ciołku. Idę na US i chcę, żebyś tam ze mną była.

Trzecia nad ranem. Zero możliwości spania. Przez całą noc rzucałam się w pościeli nie mogąc uspokoić wariackich myśli, obijających mi się po głowie. Przyjaźń mojej matki z upadłym aniołem. Studia. Christian. Zadania, które trwają sto lat. Potop, który zabił wszystkich anielitów na ziemi. Angela i jej pomysły, żebym szła z nią na US. Tucker zostający tu na wieki wieków. Pani Baxter, cała pełna nadziei, słodka do bólu i równie wkurzająca. Fakt, że ktoś umiera, nie zapominajmy o tym. Ktoś. A ja ciągle nie wiem kto.

Wreszcie wstaję i idę na dół. O dziwo, zastaję mamę przy kuchennym stole, z ramionami owiniętymi szalem, z kubkiem herbaty, który otacza dłońmi, jakby chciała się od niego ogrzać. Unosi głowę i się uśmiecha.

— Nocne marki wszystkich krajów łączcie się — mówi. — Chcesz herbaty?

— Jasne.

Nalewam sobie filizankę z dzbanka na blacie, odnajduję cukier i śmietankę, a potem stoję zamyślona, mieszając herbatę o wiele za długo, aż mama pyta:

— Co się dzieje?

— Nic — odpowiadam. — To, co zwykle. Ach, i Angela idzie na US.

Mama unosi brwi.

— Stanford. Robi wrażenie.

— Jeszcze nie złożyła podania, ale uważa, że jej zadanie właśnie tam się rozegra.

— Rozumiem.

— Chcę, żebyś poszła tam z nią. — Śmieję się. — Jakbym miała szansę dostać się na US.

— Nie wiem, czemu miałabyś się nie dostać — mówi mama, marszcząc brwi. — Świetnie się uczysz.

— Daj spokój. Oni wymagają czegoś więcej. Wiem, że mam dobre stopnie, ale żeby się dostać do takiej szkoły, trzeba... być prezesem klubu dyskusyjnego albo budować domy dla bezdomnych w Gwatemali, albo mieć maksimum punktów z testów sprawdzających. Ja raczej nieszczególnie się nimi przejmowałam. Nie zrobiłam niczego, od kiedy przyjechałam do Wyomingu. — Spoglądam jej w oczy. — Byłam tak obsesyjnie zajęta swoimi wizjami, że prawie nie zauważałam niczego poza nimi.

Mama wypija łyk herbaty. I mówi:

— Skończyłaś się nad sobą użalać?

— Tak, chyba.

— Dobrze. Nie ma sensu użalać się na sobą zbyt długo. To źle robi na cerę.

Robię do niej minę.

— Masz pewien wielki atut, jeśli chodzi o US — mówi.

— Ach tak? A jaki?

— Studiowała tam twoja babcia i tak się składa, że co roku zasila uniwersytet sporą sumą.

Wybałuszam na nią oczy. Moja babcia. Ja nie mam babci. Mama mamy umarła przy porodzie pod koniec XIX wieku.

— Mówisz o mamie ojca? — Nigdy nie słyszałam ani słowa o mamie ojca. Żadne z rodziców nie mówiło wiele o swojej rodzinie.

— Nie — mówi mama ze znaczącym uśmieszkiem. — Mówię o sobie. W 1967 ukończyłam Stanforda z magisterium z historii. Nazywałam się wtedy Margot Whitfield. A według oficjalnych dokumentów Margot Whitfield to twoja babka.

— Margot Whitfield — powtarzam.

— To ja.

Kręcę głową, uszom nie wierząc.

— Wiesz, czasami mam wrażenie, że wcale cię nie znam.

— Bo nie znasz — przyznaje wesoło, czym znów kompletnie mnie zaskakuje. — Kiedy chodzi się po świecie długo jak ja, przeżywa się kilka różnych żywotów, i za każdym razem w pewnym sensie jest się innym człowiekiem. Inną wersją siebie. Margot Whitfield to dla ciebie obca osoba.

Moje myśli natychmiast wracają do Samjazy, który nazywa moją mamę Meg i który nosi w głowie obraz dziewczyny z drwiącym uśmieszkiem, z krótkimi, kasztanowymi włosami. Całkowicie mi obcej.

— To jaka była ta Margot Whitfield? — pytam. — A tak przy okazji, ładne imię. Margot.

— Była wolnym duchem — mówi mama. — Trochę hippiską, obawiam się.

Mój mózg natychmiast wyczarowuje obraz mamy w zwiewnej, poliestrowej sukience, w małych okularkach i ze stokrotkami we włosach, bujającej się w takt muzyki na Woodstock i protestującej przeciwko wojnie.

— Brałaś dużo narkotyków?

— Nie — odpowiada, odrobinę urażona. — Miałam swój okres buntu, Claro. Ale z całą pewnością nie w latach sześćdziesiątych. Raczej w dwudziestych.

— To dlaczego byłaś hippiską, skoro się nie buntowałaś?

Waha się.

— Trudno było mi się dopasować do sztywnej obyczajowości lat pięćdziesiątych.

— A jak miałaś na imię w latach pięćdziesiątych?

— Marge — mówi ze śmiechem. — Ale nigdy nie byłam typem gospodyni domowej.

— Bo nie byłaś mężatką.

— Owszem. — Powiedziała mi to już dawno. Jakiś czas temu denerwowałam się, że może, biorąc pod uwagę jej wiek, była mężatką już parę razy i ma całe mnóstwo dzieci, ale zapewniła mnie, że tak nie jest.

— A byłaś kiedykolwiek zaręczona? — O to nigdy jej nie pytałam. Ale ostatnio jest dość rozmowna, więc może będę miała szczęście i dostanę odpowiedź.

Zamyka na moment oczy, bierze głęboki wdech.

— Tak.

— Kiedy?

Patrzy na mnie.

— W latach pięćdziesiątych. A teraz wróćmy do Margot Whitfield, bardzo cię proszę.

Kiwam głową.

— Więc jesteś absolwentką Stanforda. A w ogóle ile razy studiowałaś?

— Policzmy — mówi z wyraźną ulgą, że zeszliśmy z tematu lat pięćdziesiątych i wróciliśmy do czasów, z którymi czuje się dobrze. — Cztery. Studiowałam pielęgniarstwo, historię, stosunki międzynarodowe i informatykę.

Przetrawiam to przez minutę.

— Stosunki międzynarodowe?

— Powiedziałałabym ci, ale potem musiałabym cię zabić.

— Nie mów, że byłaś szpiegiem.

Uśmiecha się blado.

— To dlatego ciągle mi powtarzasz, żebym się nie przejmowała studiami. Nie muszę wybierać jednej kariery. Kiedy się żyje sto lat, można robić wszystko, co cię interesuje.

— Kiedy ma się długie życie — mówi — można zrobić bardzo wiele. Ma się czas. Ale jeśli chcesz studiować z Angellą na US, myślę, że to może być niezła zabawa.

— Zastanowię się nad tym — mówię. Ale jeśli wyjadę z Angellą, Tucker i ja będziemy rozdzieleni. Będziemy mieli związek na odległość, a to już mi nie wygląda na niezłą zabawę.

Włączę z powrotem do łóżka około czwartej nad ranem, kompletnie wykończona. Mam nadzieję, że uda mi się przespać ze dwie godzinki, zanim zacznie się jutro. Ale natychmiast wsysa mnie ten cmentarny sen, który absolutnie nie jest wypoczynkowy. Przez kilka sekund walczę z nim, zdezorientowana; potykam się, wchodząc na wzgórze. Próbuję spowolnić oddech, pamiętać, że przecież chcę tu być, staram się uspokoić tę rozpacz i panikę, które mnie ogarniają, żeby się zorientować, kto umarł. Rozejrzyj się, mówię sobie. Sprawdź, kogo nie ma. Kto powinien tu być, a nie jest.

Zauważam Jeffreya, jak zwykle. Wypowiadam jego imię. On nie patrzy na mnie, mówi tylko: „Miejmy to z głowy”, jak za każdym razem. Chcę go spytać: „Kto to jest?”, ale moje wargi nie są w stanie uformować słów. Jestem uwięziona w tym, co przyszła Clara robi w tym momencie — a ona tylko idzie, skupia się na stawianiu stóp jedna przed drugą i żałuje, że nie może płakać. Do licha, gdybym tylko mogła płakać, myśli — ja myślę — to może ten ból nie byłby tak straszny.

Ja mogę tylko poddać się chwili i obserwować. Teraz, kiedy już wiem, że to cmentarz, że to orszak pogrzebowy, wszystko wydaje się takie oczywiste. Wszyscy mają ciemne ubrania. Zauważam nagrobki porzucane pod drzewami. Próbuję zwrócić uwagę na cokolwiek oprócz smutku szalejącego w mojej głowie.

Szybko dochodzę do wniosku, że jest wiosna. Liście na drzewach, trawa — wszystko nowiutkie i zielone. Powietrze przesyca ten świeżo wymyty zapach, który pojawia się po wiosennym deszczu, w którym ciągle jeszcze można wyczuć ślad śniegu. Na zboczu zaczynają kwitnąć leśne kwiaty.

To się stanie wiosną.

Wyraźnie widzę Angellę, idącą daleko z boku, w długiej, fioletowej sukience. Jest pan Phibbs, mój nauczyciel angielskiego. Jak się tak zastanowić, rozpoznaję całkiem sporo osób ze szkoły, może dlatego, że szkoła to jedyne miejsce w Jackson, gdzie kogokolwiek znam. Widzę panią Lowell, szkolną sekretarkę, i jej rudowłosą córkę Allison. Kimber Lane, dziewczynę Jeffreya. Avę Peters. Wendy idącą z rodzicami, przyciskającą do piersi białą różę. Widzę przeblysł jej twarzy, bledszej niż zwykle; jej błękitne oczy są czerwone i opuchnięte. Ona nie ma problemu z płaczem.

Kogo brakuje?

Ciepłe palce zamykają się wokół moich. Spoglądam na Christiana. A on ściska moją dłoń. Nie powinnam mu pozwolić trzymać się za rękę. Jestem dziewczyną Tuckera.

*Dasz radę*, mówi Christian w mojej głowie. Nie ma w nim cienia wątpliwości. Cienia wahania. Nie martwi się, że Tucker zaraz się zjawi i będzie miał nam za złe, że trzymamy się za rękę.

Serce wpada mi do żołądka.

Tucker.

## 6. Prędzej czy później

Jeszcze pięć minut, moi drodzy.

Lekcja wiedzy o ustroju. Patrzę na Tuckera, który pisze test z Konstytucji USA. Ja skończyłam piętnaście minut temu, więc siedzę i patrzę, jak pochyla się nad kartką, marszczy brwi, przerywa, żeby wystukać wariacki rytm ołówkiem o blat, jakby to mogło wspomóc mu pamięć. Najwyraźniej nie idzie mu za dobrze.

W każdej innej sytuacji wydawałby mi się uroczy, taki sfrustrowany i zmarszczony ze skupieniem. Ale teraz mogę myśleć tylko o jednym: kogo obchodzi głupi test z wiedzy o ustroju? Ty umrzesz. I w jakiś sposób to będzie moja wina.

Przestań. Przestań tak myśleć. Nie wiesz tego na pewno.

Ale mam wrażenie, że wiem. Ostatecznie doszłam do wniosku, że Tucker miał zginąć w tamtym pożarze. Gdybym nie porzuciła swojego zadania, gdybym nie poleciała go ratować, zginąłby tam, w lesie nad Palisades. Takie było jego przeznaczenie. Ja miałam wybrać Christiana. A Tucker miał zginąć. Teraz, przez ten nowy sen, mam wrażenie, że to wszystko rozgrywa się od nowa. Christian i ja znów idziemy przez las. A Tucker nie żyje.

Tylko że tym razem to nie jest decyzja, którą muszę podjąć w ułamku sekundy. Tym razem mam całe miesiące, żeby przeżywać ten koszmar.

A oto drugi wniosek, do którego doszłam: nie ma znaczenia, jak wiele mam czasu, żeby nad tym myśleć. I tak wybrałabym Tuckera. I nie obchodzi mnie, że przez to zawalę swoje zadanie.

Nie pozwolę mu umrzeć.

Problem w tym, że nie wiem, jak to się stanie, więc nie wiem, jak temu zapobiec. To jest jak w tym filmie *Oszukać przeznaczenie*, w którym ludzie mieli zginąć w katastrofie lotniczej, ale wysiedli z samolotu, więc Śmierć ich dopada, jednego po drugim, bo było im przeznaczone umrzeć. Przerobiłam już w głowie najbardziej obłąkane scenariusze, takie jak a) Tucker ginie w wypadku samochodowym, b) dławi się kawałkiem mięsa przy kolacji, c) zostaje trafiony piorunem, bo ciągle nie przestaje padać, d) przewraca się pod prysznicem i topi się i e) w jego dom trafia meteoryt. Ale co ja mogę na to poradzić? Przecież nie mogę być przy nim przez cały czas. Odbija mi już do tego stopnia, że parę razy wymknęłam się do niego w środku nocy i patrzyłam, jak śpi, tak na wszelki wypadek, gdyby — bo ja wiem — jego kolekcja komiksów uległa nagle samozapłonowi. To było głupie i dość straszne, przyznaję, bardzo w stylu Edwarda Cullena, ale nic innego nie przyszło mi do głowy. Chwała Bogu, że Tucker nie bierze już udziału w rodeo, bo chyba nie mogłabym teraz patrzeć, jak próbuje jeździć na byku.

Więc mianowałam się jego strażniczką. Na dodatek od tygodnia wpadam po niego co rano i wożę go do szkoły w żółwym tempie, aż zaczął sobie stroić żarty, że jeżdżę jak własna babcia. Zauważył oczywiście, że coś jest nie tak. Tuckerowi nigdy nic nie umyka. A poza tym ja nie jestem zbyt subtelna w tym moim panikowaniu, że mój chłopak ma zginąć.

Na przykład dzisiaj rano. Siedzieliśmy w stołówce na śniadaniowej przerwie i nagle na drugim końcu rozległ się głośny huk, a ja nie zdołałam się opanować. Skoczyłam błyskawicznie, o wiele za szybko — tak szybko, że mama by się wkurzyła, gdyby to widziała — i zasłoniłam Tuckera własnym ciałem. I stałam tak chwilę z pięściami zaciśniętymi u boków, aż usłyszałam, jak paru chłopaków śmieje się z kretyna, który rozdeptał puszkę z napojem — puszkę z napojem! — i teraz cała banda gratulowała mu tak niesamowitych hałasotwórczych zdolności.

A Tucker patrzył na mnie. Wendy też, z bułką w połowie drogi do ust. Wszyscy przy stoliku się gapili.

— Rany — rzuciłam bez tchu, próbując to zatuszować. — Ale się wystraszyłam. Ludzie nie powinni tego robić.

— Nie powinni zgniatać puszek? — spytała Wendy. — Jesteś dość nerwowa, nie zdaje ci się?

— No co, jestem z Kalifornii — próbowałam się tłumaczyć. — Musieliśmy przechodzić przez wykrywacze metalu, żeby wejść do szkoły.

A Tucker tylko na mnie spoglądał ze zmarszczonymi brwiami.

Więc teraz, kiedy patrzę, jak męczy się nad testem, zastanawiam się, czy mu nie powiedzieć. Mogłabym mu powiedzieć i między nami nie byłoby już tajemnic, nie byłoby kłamstw. To by było najuczciwsze wyjście. Ale też i najgorsze. Najbardziej egoistyczne.

Bo jeśli się mylę? Przecież myślałam, że poprzednia wizja kazała mi ratować Christiana, i co? Pomyłeczka. Takich wiadomości lepiej nie przekazywać zainteresowanemu, jeśli nie ma się stuprocentowej pewności.

Ale jeśli się nie mylę? Czy ja sama chciałabym wiedzieć, że niedługo umrę?

Moje oczy wędrują dwa rzędy dalej, na Christiana. On też już skończył test. Unosi głowę, jakby czuł na sobie moje spojrzenie. Posyła mi błądy uśmiech, który trwa ledwie kilka sekund. Potem spogląda na Tuckera, który niczego nieświadomy, ciągle marszczy się nad testem.

*Niezła akcja dzisiaj w stołówce*, mówi nagle Christian w moich myślach.

Mówi w mojej głowie! Przez moment jestem zbyt osłupiała, żeby sformułować odpowiedź. Czy on wie, o czym teraz myślę? Czytał mi w myślach przez ten cały czas? Jestem rozdarta między chęcią odpowiedzi mu i odruchem, żeby zablokować mu dostęp do swojej głowy.

*O, widziałeś to?* — odpowiadam mu w końcu, starając się pchnąć słowa w jego stronę, tak jak to robiłam, rozmawiając z mamą wtedy, w lesie, kiedy odbyłyśmy całą konwersację bez słów.

Nie wiem, czy mnie słyszy. Spogląda mi w oczy.

*Wszystko w porządku?*

Odwracam wzrok.

*Tak.*

— Okej, odkładamy długopisy — mówi pan Anderson. — Przynieście mi testy i możecie iść.

Tucker wzdycha z ponurą miną i idzie z testem do biurka pana Andersona. Kiedy odwraca się w moją stronę, posyłam mu najbardziej współczujący uśmiech.

— Nie poszło dobrze, co?

— Nie uczyłem się — przyznaje się, kiedy zbieramy rzeczy i ruszamy na korytarz; ja przez cały czas starannie unikam Christiana. — To moja własna wina. Chwytam dwie sroki za ogon, jak to mówi mój tata. Jutro mam test z hiszpańskiego, z którym pewnie nie pójdzie mi najlepiej.

— Mogłabym ci pomóc — proponuję. — *Yo hablo espanol muy bien.*

— Oszustka — stwierdza, ale się uśmiecha.

— To po szkole? Puczę cię?

— Mam robotę po południu.

— Mogłabym przyjść później. — Wiem, że się upieram, ale chcę spędzić z nim każdą możliwą minutę. Chcę mu pomóc, choćby tylko w hiszpańskim. Tyle mogę zrobić.

— Mogłabyś przyjść na kolację, a potem siedlibyśmy do książek. Ale pewnie będziemy musieli siedzieć do późna. Jestem aż takim głąbem z hiszpańskiego — wzdycha.

— To masz szczęście, że jestem sową.

Szczerzy się radośnie.

— No tak. Więc do wieczora?

— Zjawię się.

— *Hasta la Vista, baby* — mówi, a ja kręcę głową i uśmiecham się, bo czasem bywa takim uroczym głąbem. Zna hiszpański wyłącznie od Arnolda Schwarzeneggera.

Tego wieczoru siedzę w cieplej, jasnej kuchni na ranczu Leniwy Pies. To jest jak scena z *Domku na prerii*. Wendy nakrywa stół, a pani Avery kończy tłuc ziemniaki. Tucker i pan Avery przychodzą ze stodoły i obaj dają pani Avery całusa w policzek, a potem podwijają rękawy flanelowych koszul i szorują ręce przy kuchennym zlewie, jak chirurdzy przygotowujący się do operacji. Tucker siada na krześle obok mnie. Ścisną moje kolano pod stołem.

Pani Avery uśmiecha się do mnie promiennie znad kuchenki.

— Miło cię znowu u nas widzieć, Claro — mówi.

— Tak, pani Avery. Dziękuję za zaproszenie.

— Och, słonko, mów mi Rachel. Chyba możemy już sobie dać spokój z tymi oficjalnymi



zwrotami. — Daje mężowi klapsa w rękę, która zapuściła się nad koszyk z bułkami. — Mam nadzieję, że jesteś głodna.

Na kolację jest pieczeń z mięsnym sosem, ziemniaki, marchewka, seler i domowe maślane bułeczki. Popijamy wszystko dużymi szklankami mrożonej herbaty.

Przez chwilę jemy w milczeniu. Nie mogę przestać myśleć o tym, jak zdruzgotana będzie ta rodzina, jeśli straci Tuckera; nie mogę zapomnieć widoku ich twarzy w moim śnie. Smutnych. Zrezygnowanych. Zawziętych, by jakoś to przetrwać.

— Jak słowo daję, mamuś — mówi Tucker. — Naprawdę pyszna kolacja. Chyba za rzadko ci mówię, jaka z ciebie świetna kucharka.

— Och, dziękuję, synu — odpowiada pani Avery, mile zaskoczona. — Rzeczywiście, za rzadko.

Wendy i pan Avery wybuchają śmiechem.

— Ujrzał światłość — żartuje pan Avery.

To zdanie działa jak zapalnik i nagle wszyscy mówią o pożarach.

— Obiecuję wam — mówi pan Avery, machając kawałkiem mięsa nadzianym na widelec — że jeśli kiedyś złapią tego drania, który wzniecił te pożary, to powiem mu parę rzeczy do słuchu.

Podrywam głowę.

— Te pożary ktoś wzniecił? — pytam, a serce nagle mi łomocze.

— Uważają, że jeden zaczął się z przyczyn naturalnych, na przykład uderzenia pioruna — mówi Wendy. — Ale drugi to było podpalenie. Policja wyznaczyła dwadzieścia tysięcy dolarów nagrody za informacje, które doprowadzą do aresztowania.

Tak to się kończy, kiedy przestaję oglądać wiadomości. Mówią, że to podpalenie. Ciekawe, co by zrobiła policja, gdyby się dowiedziała, kto to naprawdę zrobił. Ehm, tak, panie policjancie, o ile wiem, podpalacz miał jakiś metr dziewięćdziesiąt wzrostu. Czarne włosy. Bursztynowe oczy. Wielkie, czarne skrzydła. Miejsce zamieszkania: piekło. Zajęcie: dowódca Czuwających. Data urodzenia: zaranie dziejów.

Innymi słowy, nikt nie zobaczy tych dwudziestu tysięcy dolarów.

— No cóż, mam nadzieję, że go złapią — stwierdza pan Avery. — Chciałbym mu spojrzeć w oczy.

— Tato — mówi Tucker ze znużeniem. — Daj już spokój.

— Nie. — Pan Avery chrząka. — To była twoja ziemia, twój spadek po dziadku, to było wszystko, na co pracowałeś: twój pickup, twoja przyczepa, twój koń. Te wszystkie dorywcze roboty, to oszczędzanie, zaciskanie pasa, żebyś mógł sobie pozwolić na wpisowe na rodeo, na sprzęt, na benzynę do auta. Przez lata harowałeś jak wół, urabiałeś ręce, ćwiczyłeś godzinami, więc nie dam temu spokoju.

— Zaraz — wtrącam, bo dopiero teraz zaczynam nadążać. — To podpalenie podejrzewają w Palisades?

Pan Avery kiwa głową.

Więc nie chodzi o pożar, który wzniecił Samjaza, żeby wykurzyć mnie i mamę ze Static Peak. Ten drugi. Ktoś celowo wzniecił ten drugi pożar?

— To już nieważne — rzuca bezceremonialnie Tucker. — Było, minęło. Jestem wdzięczny, że w ogóle żyję.

Ja też. I myślę w tej chwili tylko o jednym: jak sprawić, żeby tak zostało?

Później Tucker i ja wychodzimy na werandę. Siadamy na huśtawce i zaczynamy się bujać. Jest zimno, wręcz lodowato, ale jakoś żadnemu z nas to nie przeszkadza. Niebo jest zbyt pochmurne, żeby było widać gwiazdy. Kiedy tak już siedzimy dłuższą chwilę, zaczyna padać śnieg. Nie wchodzimy do domu. Bujamy się, wyciągnięci na huśtawce, nasze oddechy się łączą i wznoszą jak białe chmurki nad głowami.

— Niebo się sypie — szepczę, obserwując płatki unoszone z wiatrem.

— Tak — mówi Tucker. — Trochę tak to wygląda. — Siada prosto, żeby popatrzeć mi w twarz, a moje serce zaczyna pędzić sto na minutę bez żadnego powodu.

— Wszystko dobrze? — pyta. — Cały tydzień jesteś spięta. Co się dzieje?

Patrzę na niego i myślę, że go stracę, i oczy nagle napęniają mi się łzami. A łzy — łączy dowolnej dziewczyny, ale w szczególności moje — strasznie działają na Tuckera.

— Hej — szepcze i natychmiast bierze mnie w ramiona. Przez kilka minut pociągam nosem, wtulona w jego ramię, ale w końcu biorę się w garść, spoglądam na niego i próbuję się uśmiechnąć.

— Nic mi nie jest — mówię. — To tylko stres.

Marszczy brwi.

— Anielskie sprawy. — To nawet nie jest pytanie. Za każdym razem, kiedy coś mnie dręczy, zakłada, że to anielskie sprawy.

Chciałabym móc mu powiedzieć. Ale nie mogę. Nie mogę, dopóki nie wiem na pewno.

Kręcę głową.

— Uczelniane sprawy. Chcę się dostać do Stanforda. — To jest prawda. Chociaż uważam, że mam marne szanse, chociaż nie jestem w stanie wykrzesać z siebie entuzjazmu do studiowania, nawet na US, złożyłam podanie.

Twarz Tuckera wygładza się, jakby nagle wszystko doskonale zrozumiał. Ja idę na studia, a on zostaje tutaj.

— Będzie dobrze — zapewnia. — Jakoś sobie poradzimy, gdziekolwiek wylądujesz, okej?

— Okej.

Znów mnie przytula, żartobliwie ściska jednym ramieniem.

— Wszystko będzie dobrze, Karotko. Zobaczysz.

— Skąd ty to wszystko wiesz? — pytam, żartując tylko połowicznie.

Wzrusza ramionami. Nagle marszczy brwi, przekrzywia głowę na bok.

— Co jest? — pytam.

Unosi rękę, żeby mnie uciszyć. Nasłuchuje przez minutę. Nagle wypuszcza oddech.

— Nic. Zdawało mi się, że coś słyszałem.

— Co? — chcę wiedzieć.

— Konia. Zdawało mi się, że słyszałem konia.

— Och, Tuck — mówię, ściskając go mocniej. — Tak mi przykro.

Ale nagle i mnie się wydaje, że coś słyszę. Jakiś dudniący odgłos. To mogłyby być kopyta.

Nasłuchuję przez kilka chwil i ciągle to słyszę — uparte, rytmiczne uderzenia w ziemię. I nagle parsknięcie dużego zwierzęcia, biegnącego, zdyszanego.

Spoglądam Tuckerowi w oczy.

— Ja też to słyszę — mówię mu.

Zrywamy się z huśtawki, pędzimy na podwórko od frontu. Zaczynam obracać się powoli w miejscu, nasłuchując, a dźwięk się zbliża.

— Tam — rzucam szeptem, wskazując w kierunku pasma Teton. Tucker rusza biegiem w tę stronę, przeskakuje niski płot. W tej chwili Midas wypada spomiędzy drzew, rozpędzony, z bokami błyszczącymi od potu. Tucker dostrzega go i wydaje z siebie potężny, radosny okrzyk. Midas rży. A ja stoję i patrzę, jak Tucker i Midas spotykają się na polu koło domu. Tucker zarzuca ręce na barki konia, wtula twarz w błyszczącą szyję. Stoją tak bardzo długo, aż w końcu Tucker odsuwa się i zaczyna wodzić dłońmi po ciele Midasa, szukając ran.

— Jest poparzony i strasznie chudy, ale to nic poważnego! — woła. — Nic, z czym byśmy sobie nie poradzili. — Zwraca się czule do konia: — Wiedziałem, że się uratujesz. Wiedziałem, że ten ogień cię nie dopadnie.

Jego rodzice i Wendy wychodzą na ganek, widzą Midasa i biegną na pole, by zachwycić się i zdumiewać tym szalonym cudem. Wendy ściska moją dłoń, kiedy wszyscy razem odprowadzamy konia do stajni, do domu.

— Co się zgubiło, to się znalazło — cieszy się pani Avery.

— Widzisz, Karotko — mówi Tucker, głaszcząc Midasa po nosie. — Prędzej czy później wszystko samo się układa tak, jak miało się ułożyć.

Właśnie tego się boję.

Następnego dnia znów spada na mnie smutek. Już prawie zapomniałam, jakie to straszne uczucie, kiedy ściska mi się gardło i żebra, oczy zaczynają piec. Tym razem jestem w spożywczym z Jeffreyem, i kiedy tylko mu mówię, zmienia się w anielickiego ninję — rozgląda się jak wariat, przykucnięty w alejce między jogurtem a serkiem wiejskim, a tymczasem ja znów dzwonię do mamy z komórki. Uznałabym, że Jeffrey jest zabawny, gdybym nie była tak przerażona perspektywą śmierci z ręki Czarnego Skrzydła. Ale tym razem nie mogę zginąć — a przynajmniej tak mi się zdaje. Gdybym zginęła tutaj, w alejce numer dziewięć, nie dożyłabym wiosny i dnia na cmentarzu.

Więc Samjaza nie przyszedł mnie zabić, myślę. Ale nie o siebie się w tej chwili martwię. Mimo wszystkich moich idiotycznych pomysłów, w jaki sposób może zginąć Tucker, najbardziej prawdopodobny wydaje mi się ten, że zabije go właśnie Czarne Skrzydło. Żeby się na mnie odegrać. Albo ukarać mnie za to, że nie wypełniłam zadania. Żeby zrównoważyć szale losu. A może po prostu dlatego, że Czarne Skrzydła są zli i lubią czynić zło, lubią uśmiercać tych, których kochają dobrzy ludzie.

Ta myśl mnie przeraża. Ale uczucie smutku znów mija, jeszcze zanim mama dociera na miejsce. Jakby nic się nie wydarzyło. Jakby to wszystko było moim wymysłem.

Kilka dni później na zebraniu Klubu Aniołów Jeffrey pokazuje nam sztuczkę: zgina ćwierćdolarówkę na pół samymi palcami. Potem oczywiście my też musimy spróbować — najpierw ja, i Jeffrey nie jest zbyt zachwycony, kiedy się okazuje, że też to potrafię, potem Angela, która siłuje się tak mocno, że twarz robi jej się fioletowa i zaczynam się bać, że zemdleje, a w końcu Christian, który też nie daje rady.

— Najwyraźniej to nie jest mój sport — mówi. — Ale to całkiem niezła sztuczka.

— To może być genetyczne — teoretyzuje Angela. — Jakaś rodzinna cecha, którą odziedziczyliście oboje.

Jeffrey parska.

— O tak. Gen zginania ćwierćdolarówek.

A ja zastanawiam się, co mi z tego, że potrafię zginać ćwierćdolarówki? Do czego może mi się to przydać? I nagle chce mi się płakać. Bez powodu. Bam — i łyzy.

— Co się dzieje? — pyta natychmiast Christian.

— Smutek — chrypię.

Dzwonimy do mamy. Angela tym razem naprawdę panikuje, bo to jej dom, a robi się nieciekawie, kiedy przestajesz się czuć bezpiecznie we własnym domu. Mama zjawia się dziesięć minut później, cała zdyszana. Tym razem nie wygląda na szczególnie zaniepokojoną. Jest tylko zmęczona.

— Ciągłe go czujesz? — pyta mnie.

— Nie. — Co znaczy, że w tej chwili czuję się tylko bardzo głupio.

— Może to ta twoja empatia — mówi Angela, odprowadzając mnie do drzwi. — Może odbierasz uczucia smutnych ludzi w pobliżu.

To może mieć sens.

Mama, jak się okazuje, ma inną teorię. Dowiaduję się tego później, wieczorem, kiedy przychodzi do mojego pokoju, żeby mi powiedzieć dobranoc. Ciągłe pada śnieg — nie przestał od wieczoru, kiedy wrócił Midas. Na skosie dachu pod moim oknem osiadają wielkie płatki. Będzie zimna noc.

— Przepraszam za te ciągłe fałszywe alarmy — mówię мамie.

— Nic nie szkodzi — odpowiada, ale twarz ma ściągniętą, jakby przeze mnie dostawała nowych zmarszczek.

— Nie wyglądasz na zaniepokojoną — wytykam jej. — Dlaczego?

— Mówiłam ci. Nie spodziewam się, żeby Sam zjawił się tak szybko.

— Ale ja naprawdę czuję smutek. A przynajmniej tak mi się zdaje, kiedy to się dzieje. Czy to nic nie znaczy?

— Coś znaczy. — Mama wzdycha. — Ale to może nie być smutek Czarnego Skrzydła.

— Myślisz, że jest czyjś inny?

— Może być twój — mówi, znów posyłając mi to lekko rozczarowane spojrzenie. Przez sekundę mam wrażenie, że z pokoju uszło całe powietrze.

— Mój?

— Czarne Skrzydła czują smutek, bo działają wbrew temu, do czego zostali stworzeni. To samo dzieje się z nami.

Zatyka mnie. Serio, nie wiem, co powiedzieć.

— To, co czują Czarne Skrzydła jest o wiele, wiele silniejsze — ciągnie. — Oni postanowili oderwać się od Boga i to sprawia im niemal nieznośny ból.

*Nigdy nie będę mógł wrócić.* To w kółko myślał Samjaza tamtego dnia. *Nigdy nie będę mógł wrócić.*

— W naszym przypadku to jest bardziej subtelne, bardziej sporadyczne — mówi. — Ale się zdarza.

— Czyli — wykrztuszam po minucie — uważasz, że miewam napady smutku, bo nie... wypełniłam zadania?

— A o czym myślisz, kiedy to się dzieje? — pyta. Powinam jej powiedzieć o tym śnie. O cmentarzu. O wszystkim. Ale słowa stają mi w gardle.

— Nie wiem. — To jest prawda. Nie pamiętam dokładnie, co myślałam za każdym razem, kiedy to się działo, ale obstawiałabym, że pewnie o Tuckerze, o moim śnie i o tym, że do tego nie dopuszczę.

Walczę ze swoim zadaniem.

A to znaczy, że działam wbrew temu, do czego zostałam stworzona.

Ten smutek jest mój.

## 7. Wycieczka krajoznawcza

Następnego ranka na ziemi leży ponad pół metra śniegu. Nasze podwórko wygląda jak bajkowa zimowa kraina, schludnie przykryta puchową kołdrą, która tłumi wszelkie dźwięki. Już się przekonałam, że tak to wygląda w Wyomingu. Jednego dnia jest jesień, czerwone liście spadają z drzew, wiewiórki biegają gorączkowo, zakopując żołędzie, w powietrzu czuć dym z kominków. A potem w ciągu jednej nocy robi się zima. Biała i głucha. I koszmarnie zimna.

Mama jest na dole, smaży boczek. Uśmiecha się na mój widok.

— Siadaj — mówi. — Śniadanie zaraz będzie gotowe.

— Jesteś dzisiaj wesoła jak szczygieł — stwierdzam, bo wydaje mi się to dziwne po naszej wczorajszej rozmowie.

— A dlaczego mam nie być? Taki piękny dzień.

Wchodzę do kuchni i odkrywam Jeffreya siedzącego przy stole, równie zaspanego jak ja.

— Ona zwariowała — oznajmia mi rzeczowo, kiedy siadam obok niego.

— Właśnie widzę.

— Mówi, że jedziemy dzisiaj na kemping.

Obracam się na stołku, by spojrzeć na mamę, która właśnie odwraca naleśniki i — jak słowo daję — pogwizduje.

— Mamo? — pytam niepewnie. — Zauważyłaś może śnieg za oknem?

— Czymże jest odrobina śniegu? — odpowiada z nadprogramowym błyskiem w lśniących niebieskich oczach.

— Mówiłem ci — wtrąca Jeffrey. — Zwariowała.

Zaraz po śniadaniu mama zaczyna nami komenderować jak kierowniczka wycieczki.

— Clara, ty się zajmij naczyniami. Jeffrey, ty zapakuj samochód. Ja mam jeszcze parę rzeczy do zrobienia, zanim wyjedziemy. Spakujcie się na cały weekend. Ubierzcie się ciepło, ale warstwowo, na wypadek, gdyby się ociepliło. Chcę ruszyć około dziesiątej. Będziemy wędrować przez parę godzin.

— Ale mamo — wykrztuszam. — Ja nie mogę jechać w ten weekend na kemping.

Patrzy na mnie spokojnie, z zasadniczą miną.

— Dlaczego? Chcesz zostać w domu, żeby wykradać się do Tuckera?

— Wpadłaś — śmieje się Jeffrey.

Pewnie nie byłam tak cicho, jak mi się zdawało, kiedy wymykałam się z domu.

— Zaklepuję miejsce z przodu — mówi Jeffrey, i jest po rozmowie.

Tak więc o dziesiątej wszyscy jesteśmy umyjni, ubrani i spakowani, i siedzimy w samochodzie z ogrzewaniem włączonym na cały regulator. Mama podaje mi do tyłu termos z gorącą czekoladą. Ciągłe jest w tym nadnaturalnie dobrym nastroju. Włącza napęd na cztery koła i wycieraczki, żeby zmiatały z szyby śnieg, który ciągle pada, nuci z radiem, jadąc do Jackson. I nagle zatrzymuje się przed Różową Podwiązką.

— Okej, Claro — mówi z psotnym uśmiechem. — Twoja kolej.

Nie wiem, o co chodzi.

— Idź po Angelę. Każ jej spakować plecak na weekend.

— A spodziewa się mnie? — pytam. — Wie, że jedzie na jakiś wariacki kemping w śniegu?

Uśmiech mamy się poszerza.

— Tym razem Angela akurat o niczym nie wie. Ale mam przecucie, że będzie chciała się z nami zabrać.

Idę do drzwi teatru i pukam. Otwiera mi mama Angeli. Spojrzenie jej czarnych oczu natychmiast omija mnie i pada na moją mamę, która wysiadła z samochodu i idzie w naszą stronę. Przez sekundę Anna Zebrino wygląda, jakby miała zemdleć. Na jej twarzy pojawia się dziwny, na wpół przerażony, na wpół modlitewny wyraz, dłoń bezwiednie dotyka krzyżyka wiszącego na szyi. Najwyraźniej Angela oświeciła ją co do mojej rodziny i w przekonaniu Anny Zebrino jesteśmy istotami, których należy się bać i które należy czcić.

— Dzień dobry, Anno — mówi mama najmiłym, najśłodszym, budzącym zaufanie głosem. — Chciałam spytać, czy mogłabym pożyczyć twoją córkę na dwa dni.

— Chodzi o anioły — szepcze Anna.

— Tak — odpowiada mama. — Już pora.

Anna w milczeniu kiwa głową, ściskając drzwi, jakby potrzebowała się podeprzeć. Ja pędzę na górę po Angelę.

— Zdaje się, że moja matka właśnie hipnotyzuje twoją — mówię, otwierając drzwi pokoju Angeli. Angela leży na łóżku, rozciągnięta na brzuchu, i pisze w swoim czarno-białym zeszycie z wierszami. Ma na sobie czerwoną bluzę Stanforda i tylko ślepy by nie zauważył wielkiego transparentu uczelni, przypiętego pinezkami na ścianie nad łóżkiem.

— O rany, naprzód Cardinals — stwierdzam.

— O, cześć, C — mówi zaskoczona. Zamyka zeszyt i wsuwa go pod poduszkę. — Miałyśmy się dzisiaj spotkać?

— Tak, to było zapisane w gwiazdach.

— Hę?

— Przyszłam porwać cię na magiczne dwa dni i jedną noc w lodowatej, zaśnieżonej dziczy. Z polecenia mojej mamy.

Angela siada. Przez moment wygląda jak idealna kopia swojej matki, nie licząc złotych oczu.

— Twojej mamy? Co?

— Jak powiedziałam, zabiera nas na kemping, i jesteś zaproszona. Mamy namioty i śpiwory, i nawet żelazne szpikulce do pieczenia kiełbasek.

— Nie rozumiem — mówi Angela. Jej spojrzenie pada na okno. — Pada śnieg.

— Święta racja. Ja też nie rozumiem, uwierz mi — mówię. — To jedziesz z nami na ten kemping czy nie?

W niecałe dziesięć minut Angela jest już spakowana w torbę i siedzi przypięta na tylnej kanapie SUV-a; nakręcona, jakby wypita parę filiżanek kawy za dużo. Poniekąd zawsze się tak zachowuje przy mojej mamie. To chyba przez to, że przed nami nie znała żadnych anielitów. A już na pewno nie miała żadnego dorosłego anielity, na którym mogłaby się wzorować — tylko tę swoją milczącą, melancholijną, religijną, w pełni ludzką mamę, która stoi teraz na chodniku i macha nam ze łzami w oczach, jakby się bała, że już nigdy nie zobaczy Angeli.

Mama opuszcza szybę.

— Nie martw się, Anno. Przywiozę ją z powrotem całą i zdrową.

— No właśnie, wszystko jest w porządku, mamocze zażenowana Angela. — Będę w domu w niedzielę wieczorem.

— Tak, oczywiście — mówi cicho Anna. — Baw się dobrze.

Jedziemy w góry w milczeniu. Jeffrey włącza radio, ale mama przycisza dźwięk tak, że ledwie je słyszymy. Wspinamy się serpentyną z ciasnymi zakrętami, droga zwęża się do jednego pasa — jedna strona jest wcięta w strome skaliste zbocze góry, z drugiej opada urwisko. Jestem ciekawa, co by się stało, gdybyśmy spotkali kogoś zjeżdżającego z góry. Wreszcie, po ponad godzinie, droga kończy się małą, płaską zatoczką. Mama zjeżdża na bok i parkuje.

— Dalej nie pojedziemy samochodem. Stąd będziemy musieli iść pieszo. — Wysiada.

Kiedy otwieramy drzwiczki i wyjmujemy plecaki z bagażnika, uderza w nas podmuch lodowatego powietrza. Stoimy przez chwilę, gapiąc się na początek szlaku i odległe granie nad szczytami drzew.

— Przynajmniej przestało padać — mówi Jeffrey.

Mama prowadzi nas w świeży puch; za nią idzie Jeffrey, a ja i Angela zamykamy pochód, idąc obok siebie. Śnieg sięga nam do połowy cholewek. Wędrujemy bardzo długo. Powietrze robi się jakby rzadsze. Cała ta wycieczka przypomina mi dzień, w którym mama zabrała mnie na Buzzard Roost, kiedy miałam czternaście lat. Kiedy powiedziała mi o anielitach i przeleciała nad doliną, by mi udowodnić, że mówi prawdę. Jestem ciekawa, jaką rewelację ma dla nas tym razem.

Po dwóch godzinach monotonnego marszu mama skręca ze szlaku w stronę gęstego lasu. Tutaj, w cieniu ogromnych sosen, jest zimniej i ciemniej. Śnieg poza szlakiem jest o wiele głębszy, miejscami sięga nam prawie do kolan. Po paru minutach jestem przemarznięta do kości i trzęsę się tak mocno, że włosy wyłażą mi spod gumki. Angela obok mnie potyka się nagle i pada. Jest cała utyłana w śniegu. Wyciągam rękę, żeby pomóc jej wstać.

— Pewnie żałujesz, że nie przemyślałaś dokładniej tej całej wycieczki — mówię, szcękając zębami. Jej nos i policzki są jaskraworóżowe, niemal jak u klauna, na tle burzy czarnych włosów.

— Podobno jesteśmy odporni na zimno — mówi ze ściągniętymi brwiami, jakby nie mogła zrozumieć, dlaczego to nie działa.

Mama, idąca z przodu, wybucha śmiechem.

— Czasami, Angelo — mówi czule — wygadujesz straszne bzdury.

Angela, zszokowana, otwiera na moment usta, ale mama śmieje się dalej i ten śmiech zaraża resztę z nas, nawet Angelę.

— Tak czytałam — protestuje. — Serio.

— Tylko kiedy używasz chwały — wyjaśnia mama. — Chwała cię grzeje. Jestem pewna, że bez niej spokojnie mogłabyś zamarznąć na śmierć.

— Jak na przykład teraz — wtrącam.

— Okej — mówi zażenowana Angela. — Muszę to sobie zapisać. Jak tylko ręce zaczną mi znowu działać.

— Już niedaleko — zapewnia nas mama. — Trzymajcie się.

I rzeczywiście, po kolejnych dziesięciu minutach żalosego przedzierania się przez śnieg i gęsty las mama się zatrzymuje. Unosi głowę i wacha powietrze, uśmiecha się dziwnie promiennie i każe Jeffreyowi ostro skręcić w prawo.

— Tam — mówi, wskazując ciasny wąwóz kawałek dalej w dół zbocza. — Musimy przejść tamtędy.

Jeffrey prowadzi nas w dół śliskim szlakiem, aż nagle zatrzymuje się tak gwałtownie, że mama o mało na niego nie wpada. Plecak zsuwa mu się z ramion. Mama uśmiecha się szeroko, zmęczona, ale triumfująca i bardzo zadowolona z siebie. Schodzi na bok, przepuszczając mnie i Angelę, żebyśmy mogły zobaczyć, na co oboje patrzą. W końcu i my się zatrzymujemy, opadają nam szczęki, nasze plecaki spadają na ziemię.

— Boże święty — szepcze Jeffrey.

Tak. Podzielam jego zdanie.

To jest jakby łąka — ogromy, płaski kawał terenu, z dwóch stron osłonięty górami, a z trzeciej zamknięty brzegiem pięknego, lśniącego jeziora, tak czystego, że krajobraz odbija się w nim jak w lustrze. Kilka kroków od miejsca, w którym stoimy, śnieg znika i zastępuje go wysoka, miękka trawa, tak zielona, że niemal rani oczy po tylu godzinach wpatrywania się w biel. Tu nie pada śnieg. Słońce zachodzi za odległą górę, niebo wręcz krzyczy oranżem i błękitem. Ptaki latają w tę i z powrotem nad łąką, jakby one też nie mogły uwierzyć, że natrafiły na ten raj w środku niczego.

Ale nie patrzymy na łąkę. Cała nasza trójka (bez mamy, oczywiście, bo ona najwyraźniej o tym wiedziała) gapi się idiotycznie, oślepiąca słońcem, na sporą grupę namiotów. Po łące krząta się ze dwadzieścia pięć osób — niektórzy rozpalają ogniska, niektórzy łowią ryby w jeziorze, niektórzy po prostu stoją sobie, siedzą albo leżą na trawie i rozmawiają.

Mój wzrok przyciąga jedna szczególnie kobieta, o mahoniowej skórze, z długimi, błyszczącymi czarnymi włosami i piękną, pierwotną twarzą. I z parą oślepiających skrzydeł, złożonych na plecach jak wspaniała biała suknia.

— To — mówi mama, wskazując łąkę — nazywa się kongregacja. Zjazd anielitów.

— *Congregarium celestial* — szepcze Angela.

Kobieta ze skrzydłami dostrzega nas i macha. Mama macha do niej w odpowiedzi.

— To jest Billy — mówi. — Chodźcie. — Zdejmuje kurtkę i resztę zimowych ciuchów,

zostaje tylko we flanelowej koszuli i w dżinsach. I rusza boso po trawie. — Chodźcie! — woła do nas jeszcze raz. — Wszyscy chcą was poznać.

Zostawiamy bagaże na skraju łąki i niepewnie wchodzimy na trawę. Kilka osób przerywa zajęcia, żeby na nas popatrzeć.

— Co to jest? — pyta Jeffrey, idący obok mnie, ciągle skołowany.

Mama dotarła już do Billy, która ściska ją jak starą przyjaciółkę. Potem obie odwracają się i ruszają do nas, a kiedy ta Billy jest tuż-tuż, bierze i mnie w niedźwiedzi, zaskakująco silny uścisk.

— Clara! — wykrzykuje. — Nie do wiary. Kiedy cię ostatnio widziałam, sięgałaś do pięt konikowi polnemu.

— Ehm, dzień dobry — odpowiadam sztywno w jej włosy, które pachną polnymi kwiatami i wyprawioną skórą. — Nie pamiętam...

— Och, oczywiście, że nie — mówi ze śmiechem. — Byłaś malutka. — Spogląda przez moje ramię. — A to jest Jeffrey. Dobry Boże. Jesteś już mężczyzną.

Jeffrey nie odzywa się, ale widzę, że jest zadowolony z tej oceny.

— Poznajcie Wilmę Fairweather — mówi mama, dokonując oficjalnej prezentacji.

Wilma uśmiecha się do nas drwiąco.

— Billy — koryguje.

— A to jest Angela Zebrino — mówi mama, żeby nikogo nie pominąć.

Billy kiwa głową i przygląda się Angeli tak uważnie, że Angela się czerwieni.

— Różowa Podwiązka, zgadza się?

— Tak — mówi Angela.

— Witaj! Jesteście głodni?

Spoglądamy po sobie. Jedzenie to ostatnia rzecz, która nas obchodzi.

— Oczywiście, że jesteście — stwierdza Billy. — Idźcie tam i załatwcie sobie jakieś zarełko. — Wskazuje jeden z krańców łąki, gdzie pióropusz dymu unosi się znad czegoś, co wygląda jak wielki kamienny grill. — Corbett robi najlepsze hamburgery, przysięgam, tak dobre, że parę razy do roku łamię się i jem mięso. — Znów wybucha śmiechem. — Idźcie się najęść, a potem możecie zacząć rozbijać namioty. Chcę mieć was wszystkich koło siebie. — Bierze mamę pod rękę. — Wreszcie zebrałaś się na odwagę, żeby ich przyprowadzić, Mags. Jestem z ciebie dumna. Chociaż to pewnie oznacza...

— Bill — rzuca mama ostrzegawczym tonem, patrząc na mnie. Potem kręci głową i uśmiecha się do Billy. — Mamy milion rzeczy do obgadania. — I odchodzą, a my zostajemy, gapiąc się za nimi.

Idziemy do grilla. Kiedy jesteśmy już na miejscu, widzimy, że krząta się przy nim siwowłosa mężczyzna z długim kucykiem, ubrany w kwiecistą hawajską koszulę, spodenki khaki i japonki. Odwraca mięso na ruszcie jak zawodowiec.

— Co dla was, młodziaki? — woła do nas, nie odwracając się. — Cheeseburger czy zwykły?

— Cheeseburger — odpowiada Jeffrey, na którego żołądek zawsze można liczyć. — Poproszę dwa.

— Się robi — mówi ten facet, po czym odwraca się i patrzy na nas, mrużąc oczy. — A dla ciebie, Claro?

To pan Phibbs. Mój anglista. Pan Phibbs w japonkach. Mam wrażenie, że głowa mi zaraz eksploduje.

— Lekki szok? — pyta dobrodusznie, patrząc na nasze miny, jakby dopiero teraz przyszło mu do głowy, że jego widok może nas zaskoczyć. — Uznaliśmy, że będzie dla was lepiej, jeśli nie będziecie wiedzieć.

— Kto uznał? — nie mogę się powstrzymać od pytania.

— Głównie twoja mama — odpowiada. — Ale to była decyzja, którą podjęliśmy wszyscy.

— I pan przez cały czas wiedział o nas? — wykrztusza Angela.

Pan Phibbs parska — to najdziwniejszy odgłos, jaki słyszałam w jego wykonaniu.

— Ależ oczywiście. Po to tu jestem. Ktoś musi mieć na was oko.



Odwraca się z powrotem do grilla, pogwizdując. Serwuje nam po dwa hamburgery na papierowych tackach, z frytkami i sałatką owocową, jakby to był piknik z okazji Czwartego Lipca. Odchodzimy kawalek, ogłuszeni, żeby usiąść na trawie i zjeść. Przekonuję się, że mam wilczy apetyt. A jedzenie jest cudowne.

— Boże — mówi Angela, kiedy wreszcie robimy sobie przerwę między kęsami na tyle długą, żeby móc rozmawiać. — To jest obłędne. W życiu bym nie zgadła, że istnieje taka grupa. Kongregacja. — Wypowiada to słowo, jakby je wypróbowała; jakby miało magiczną moc. — Koniecznie muszę jeszcze porozmawiać z Billy. Jest niesamowita. O rany — wykrzykuje, wskazując drugi koniec łąki. — To jest Jay Hooper, no wiecie, menadżer rodeo w Jackson.

— Ci wszyscy ludzie są z Jackson?

— Nie wydaje mi się — mówi. — Ale parę osób na pewno. Nie wierzę, że mieszkałam tu przez całe życie i nie wiedziałam o tym. Ciekawe, czy tak jest w każdym mieście, czy tylko w Jackson. Mam taką teorię, że anielitów ciągnie w góry, mówiłam wam o tym? Rany, to jest Mary Thorton. W życiu bym nie pomyślała, że to anielitka.

Gapię się na nią, nic nie rozumiejąc.

— Pewnie nie da się tego poznać — stwierdza Angela, nie przestając się rozglądać. — O, a tam jest Walter Prescott. Właściciel banku.

— Walter Prescott? — Obracam się gwałtownie, by sprawdzić, w które miejsce patrzy. — Gdzie?

— Ten blondyn przed dużym, zielonym namiotem.

Dostrzegam go — wysokiego mężczyznę o jasnych włosach, układającego drewno na ognisko. Nie poznałabym, że to wuj Christiana, głównie dlatego, że ma tak jasne, prawie białe włosy, które zupełnie nie przypominają ciemnych, rozczochranych loków Christiana.

— Ciekawe, czy spotkamy tu Christiana — mówi Angela.

W tej chwili już wiem, że on tu jest. Czuję go.

— Tam jest. — Angela wskazuje grupę, która wpycha lawetę z motorówką do jeziora. — Christian! — krzyczy nagle. Składa dłonie wokół ust i wrzeszczy na całe gardło: — Christian Prescott proszony o kontakt!

Żenujące, ale skuteczne. Christian odwraca się na dźwięk swojego nazwiska. Zauważa nas. I nagle rusza ku nam po trawie, w podwiniętych dżinsach i koszulce, bez butów, co wydaje się obowiązującą modą na tej łące. Jest wyluzowany, ma ręce w kieszeniach, nieszczególnie mu się do nas spieszy.

— Christian! — krzyczy ktoś z brzegu. — Myślałem, że pojeździmy na nartach wodnych?

— Może później! — odkrzykuje, machając. Zatrzymuje się przed nami.

— Cześć, Clara. Cześć, Angela. — Patrzy przelotnie na Angelę, ale jego spojrzenie wraca do mnie. — Jeffrey też jest?

Rozglądam się, ale nie widzę Jeffreya.

— Tak, wszyscy obecni — mówi Angela. — Klub Aniołów przybył na miejsce. Obłęd, co?

— Tak. Obłęd. Chyba. — Wzrusza ramionami.

— Nie mów mi, że to dla ciebie żadna nowość. Wiedziałeś o tym wcześniej, zgadza się? — pyta Angela.

Christian bierze sobie frytkę z jej tacki, wrzuca do ust i chrupie głośno.

Angela gromi go wzrokiem, fuka przez nos i wściekłym krokiem rusza w stronę Billy i mamy.

Christian patrzy na mnie spod uniesionej brwi.

— Co ja zrobiłem?

— Oj, stary — mówię z uśmiechem. — Masz wielkie kłopoty.

Później, po obejrzeniu najpiękniejszego zachodu słońca, jaki widziałam poza kinem, Christian pomaga mi rozbić namiot, w którym mamy spać we dwie z Angelą. Angeli oczywiście nigdzie nie widać. Nie raczyła nawet zabrać torby ze skraju łąki. Christian i ja targamy bagaże do obozu, wybieramy miejsce i bierzemy się do roboty jak wariaci. Musimy się spieszyć, bo zaraz

będzie za ciemno, żeby cokolwiek zrobić, ale to nie jest problem. Wygląda na to, że Christian stawiał namiot setki razy.

— No dobra — zaczynam, kiedy on wbija kołki, co jest ostatnim etapem roboty. — Od jak dawna wiesz o tym miejscu?

Przesuwa się i bierze następny kołek.

— Wuj przyprowadził mnie tu w maju zeszłego roku. Ja też byłem niezłe zaskoczony tą całą imprezą, uwierz mi. Przedtem nie miałem pojęcia.

— Więc naprawdę byłeś wtedy na kempingu z wujem — myślę głośno, dodając dwa do dwóch. — A ja myślałam... — Gryzę się w język.

Christian przestaje wbijać kołek, żeby na mnie spojrzeć.

— Co myślałaś?

— Oj, nic. Myślałam, że to tylko wymówka, żeby nie przyjść do szkoły. Przez...

— Kay — kończy za mnie. — Myślałaś, że wagarowałem, żeby unikać Kay.

— No, mniej więcej.

Znów zabiera się do wbijania.

— Nie. Ale w pewnym sensie to było przez nią. Kiedy zerwałem z Kay, mój wuj uznał to za znak, że zaczynam poważnie traktować swoje zadanie. I powiedział, że już czas. Przyprowadził mnie tutaj i spędziliśmy cały tydzień na lataniu, treningach, medytacji i tak dalej, a potem, w weekend, zjawiała się kongregacja.

Ciekawe, co sprawiło, że mama uznała, że pora nas tu przyprowadzić?

— Widziałeś moją mamę? — pytam, bo choć tak niechętnie udzielała mi anielskich informacji, ciągle nie do końca mogę uwierzyć, że brała udział w tym wszystkim i nigdy mi nie powiedziała.

— Nie. Słyszałem, że ktoś wspominał o jakiejś Maggie — odpowiada — ale nie wiedziałem, o kogo chodzi.

— A. — Nagle dociera do mnie, że od pół godziny dosłownie zasypuję go pytaniami, a on odwalił większość roboty przy stawianiu namiotu.

— Pewnie masz mnie za idiotę — mówi nagle.

Zerkam na niego, zaskoczona. Jest wiele słów, którymi mogłabym opisać Christiana Prescotta: tajemniczy, enigmatyczny, zagadkowy, przerażający, no i oczywiście seksowny, jeśli mam być szczerą, ale słowo „idiotą” nigdy nie przeszło mi przez głowę. Może tylko raz, na szkolnym balu.

— Za idiotę?

— Bo miałem przed oczami wszystkie znaki, że jesteś dziewczyną z mojej wizji, że jesteś anielką, i się nie domyśliłem. Gdybym wpadł na to wcześniej, to może... — Urywa.

Przetykam ślinę.

— Jakie znaki?

— Zawsze czułem, że jesteś jakaś inna, nawet kiedy widziałem cię pierwszy raz — mówi.

— Chodzi ci o ten dzień, kiedy zemdlałam na korytarzu? Rzeczywiście, musiałam ci się wydać inna.

— Wtedy jeszcze nie miałem wizji — mówi, siadając na trawie. — Myślałem, że ci coś zrobiłem, i dlatego zemdlałaś.

— Że mi coś zrobiłeś?

— Myślami.

— Chodzi ci o to mówienie w mojej głowie.

Zaczyna skubać źdźbła trawy, wrywa całe kępki i przeciąga je między palcami.

— Jeszcze nie umiałem tego kontrolować — dodaje.

— Zawsze potrafiłeś to robić? Mówić do ludzi bez słów?

— To się zaczęło w zeszłym roku, prawdę mówiąc, tuż przed twoim pojawieniem się. I w dalszym ciągu nie wychodzi mi to z każdym. Potrafię podsłuchać myśli innych, i czasami przesyłać im swoje, ale uważam, że ta osoba też musi mieć zdolność ich odbierania.

— Więc wtedy na korytarzu mówiłeś do mnie?

— Próbowałem.

— Co powiedziałaś? — pytam.

— Powiedziałam... cześć.

— A ja...

— A ty padłaś na podłogę, jakbym cię zdzielił w głowę kijem bejsbolowym.

Jęczę; to musiał być uroczy widok.

— Przepraszam — mówi. — Nie chciałem.

— Nic mi nie zrobiłeś, Christian. Zemdlałam, bo kiedy cię zobaczyłam, miałam wizję. To był pierwszy raz, kiedy zobaczyłam twoją twarz, a potem zjawił się ogień i emocje były tak silne, że zemdlałam.

— Ach tak — mówi z trochę głupią miną.

— Przecież ja też na to nie wpadłam. Więc jeśli ty jesteś idiotą, to jest nas dwoje.

Moje słowa chyba przynoszą mu ulgę. Widocznie idioci lubią towarzystwo.

Potem oboje wbijamy kołki w niezręcznym milczeniu, aż nagle wypalam:

— A jakieś inne znaki?

Christian dobija ostatni kołek, zagłębiając go w ziemię, i przysiadła na piętach.

— Nic wielkiego. To, jak tańczyłaś na balu — mówi. — To, jak mówiłaś o przyszłości tamtego wieczoru na twoim ganku, kiedy przyszedłem przeprosić za bal. — Spogląda na mnie, a potem na swoje gołe stopy, i się uśmiecha. — Kiedy już wiedziałem, że to ty, poczułem, że mam zrobić coś więcej niż tylko cię uratować.

Staram się przyjąć to spokojnie, ale serce i tak zaczyna mi walić. Bo w głębi duszy ja też to wiedziałam. I być może właśnie to najbardziej wytrąca mnie z równowagi w tej całej sytuacji.

„Co ty widzisz w tym Christianie Prescottcie?” — spytał Tucker, kiedy odwiózł mnie po balu, a ja powiedziałam, że nie wiem, bo nie potrafiłam mu tego wyjaśnić. I ciągle nie potrafię.

Tucker. Nawet mu nie powiedziałam, że się tu wybieram. Świetna strażniczka ze mnie. Świetna dziewczyna.

— Okej — mówię zbyt głośno. — No to... dzięki, Christian, że rozbiłeś mi namiot. — Zaczynam zbierać narzędzia, których używaliśmy, udaję zajęta, strzepuję ze spodni trawę, której na nich nie ma. — Angela też ci na pewno podziękuje, ale przez jakiś czas pewnie będziesz miał u niej przechlapane. Żadnych tajemnic w Klubie Aniołów, pamiętasz?

— Nigdy się na to nie zgodziłem — protestuje. — A poza tym Angela też nie jest taką znów otwartą księżką.

Jestem ciekawa, co wie. Ale zanim mam szansę go zapytać, ktoś go woła — męski głos dobiega nas ze środka łąki. Oboje się odwracamy.

— Powinniśmy tam iść — mówi Christian. — Zaczęło się ognisko. — Zrywa się z ziemi i wyciąga rękę, żeby pomóc mi wstać. — Chodź — mówi. — Spodoba ci się.

Waham się tylko przez moment; podaję mu rękę, pozwalam podciągnąć się na nogi, ale potem szybko ją zabieram i ruszam w stronę buchającego dymem wielkiego ogniska, które anielicy rozpalają na środku łąki.

— Okej, ognisko to ognisko — mówię. — Christian dogania mnie truchtem z tym swoim trochę krzywym uśmiechem.

Nie waż się podziwiać jego uśmiechu, mówię sobie.

Ale nie mogę temu zaprzeczyć. Jego dłoń w mojej była tak znajoma, jak moja własna.

## 8. Lato bez świerszczy

Siedzę wciśnięta między mamę a Angelę w kręgu wokół ogniska i rozglądam się po twarzach oświetlonych jego blaskiem. Billy snuje opowieść o tym, jak to kiedyś, w latach trzydziestych, dosłownie wpadły na Czarne Skrzydło na końskim torze wyścigowym w Santa Anita.

— To był Asael — mówi Billy. — W trzyczęściowym, popielatym, lnianym garniturze. Uwierzycie?

— I co zrobiłyście? — ktoś pyta ściszym głosem, jakby ten czarny charakter mógł nas usłyszeć.

— No więc, nie bardzo miałyśmy jak odlecieć — mówi Billy z kwaśnym uśmiechem. — Dookoła było tyle ludzi. Ale on też nie mógł doprowadzić do konfrontacji, a już na pewno nie do takiej, jakiej by chciał. Więc wróciłyśmy z lemoniadą na swoje miejsca, a on na swoje, a po wyścigu już go nie było.

— Miałyśmy szczęście — stwierdza mama.

— Tak, to prawda — zgadza się Billy. — Tylko za skarby świata nie zgadnę, co on tam robił.

— Stawiał na Seabiscuita, jak wszyscy — mówi mama.

Parę osób wybucha śmiechem.

Billy wzdycha.

— Ależ to był wyścig. Nie ma już takich sportów. Wszystko się zmieniło.

— Gadacie jak dwie staruszki — mówi dobrodusznie Jeffrey, choć na pewno nie dałby nikomu deprecjonować swoich ukochanych sportów. — Dawno temu, przed wojną... — dodaje głosem starej babci.

Billy śmieje się i wyciąga rękę, żeby poczochnąć mu włosy. Jeffrey się czerwieni.

— Jesteśmy staruszkami, młody. Niech cię nie zmyli nasz wygląd. — Obejmuje ramiona mojej mamy i ścisną ją. — Prawdziwe stare więdźmy.

— A gdybyście mogły odlecieć... znaczy, gdyby tam nie było tyle ludzi, którzy mogliby was zobaczyć... w czymś by wam to pomogło? — wtrąca swoje trzy grosze Angela. — Czy Czarne Skrzydła mogą latać?

Wszyscy milkną, poważnieją natychmiast; słyszą tylko trzask ognia.

— Co? — pyta Angela, rozglądając się. — To było tylko pytanie.

— Nie — odpowiada w końcu mama. — Czarne Skrzydła nie latają.

— Chyba że zmieniają się w ptaka — poprawia ją Billy. — Widziałam, jak to robią.

— Czarne Skrzydła mają przed sobą tylko jedną drogę. W dół — odzywa się mężczyzna z rudymi włosami i krótką, schludnie przystryżoną brodą. Zdaje się, że mama nazywała go Stephen. Ma głęboki głos, jak lektor z filmowego trailera. Głos nieuchronnego przeznaczenia.

Dostają gęsiej skórki.

— Ale nie dosłownie w dół, prawda? — mówi Angela. — Przecież piekło to wymiar ukryty pod naszym, to nie jest jakaś bezdena ognista dziura.

— Zgadza się — przyznaje mama, wprawiając mnie w osłupienie. Dlaczego nagle tak chętnie udziela informacji? Mówię sobie, że to dobrze, chociaż mózg zaczyna mi się już przegrzewać od tylu nowych rzeczy do przyswojenia.

— A poza tym piekło jest raczej lodowate. Nie ma w nim nic ognistego. Zimno, zimno i jeszcze raz zimno — dodaje Billy.

— A skąd ty to wiesz, Bill? — pyta żartobliwie ktoś z drugiej strony ogniska.

— Pilnuj własnego nosa — odgryza się Billy, szczerząc zęby w uśmiechu.

— Ale tak na poważnie — mówi Stephen, bo poważny z niego gość. — Nikt z nas nigdy nie był w piekle, więc możemy tylko spekulować co do temperatur.

Ośmielam się zerknąć na mamę, która nie patrzy mi w oczy. Więc nie powiedziała im o naszej fantastycznej wycieczce na tamten świat z Samją, a skoro ona im nie powiedziała, ja z pewnością nie mam zamiaru.

— Dlaczego? — Angela nigdy nie wie, kiedy się zamknąć. — Dlaczego nie byliście w

piekle?

Można by sądzić, że odpowiedź będzie brzmiała: „Bo nie jesteśmy źli, więc dziękujemy za takie atrakcje”, ale Stephen mówi:

— Bo nie możemy sami przemieszczać się między wymiarami. Potrzebujemy pomocy intangere, a żaden anielita, który został zabrany do piekła przez Czarne Skrzydło, nigdy nie wrócił, żeby opowiedzieć, jak tam jest.

Znów patrzę na mamę. A ona znów odwraca oczy.

Ognisko strzela nagle, przez co wszyscy podskakujemy.

— Steve, straszysz dzieci — beszta go mama.

— Nie jesteśmy dziećmi — mówi Jeffrey. — Chcemy to wiedzieć.

Billy kiwa głową.

— To zrozumiałe — mówi, posyłając mamie znaczące spojrzenie. — Po to tu jesteście.

Żeby uzyskać odpowiedzi.

Odbieram przebłysk tego, co czuje mama. Rezygnacji. Ale pogodziła się, że to się stanie, nawet jeśli to dla nas takie niebezpieczne. Jej serce bije przez to szybciej, ale siedzi spokojnie i próbuje wyrównać oddech.

Chyba naprawdę uzyskamy parę odpowiedzi.

— Więc walczyście z Czarnymi Skrzydłami? — pytam. — Taki jest sens kongregacji?

— Nie. — Billy kręci głową. — Nie walczymy z nimi. A przynajmniej nie w fizycznym sensie, jeśli możemy tego uniknąć. Przegralibyśmy dziewięć razy na dziesięć, może nawet dziesięć na dziesięć. Nasza najlepsza ochrona przed Czarnymi Skrzydłami to nie dać się wykryć. Co przeważnie nam się udaje. Większość tu obecnych nigdy nawet nie widziała Czarnego Skrzydła, a co dopiero mówić o walce.

— Więc co robicie? — pyta Jeffrey odrobinę wojowniczo, jakby był zawiedziony, że nie będzie bił się jeden na jednego z upadłymi aniołami. — Skoro z nimi nie walczyście?

— Szukamy anielitów — odpowiada pan Phibbs. — Docieramy do nich, zanim dotrze druga strona. Mówimy im, kim i czym są. Pomagamy im.

— I wypełniamy swoje zadania — dodaje mama, wreszcie patrząc na mnie. — To nasza rola. Staramy się zrozumieć, jakie zadanie nam wyznaczono, i wypełniamy je.

Interesujące.

W dalszym ciągu nie zamierzam zaakceptować swojego zadania, jeśli oznacza, że Tucker musi umrzeć.

Walter Prescott wstaje nagle po drugiej stronie ogniska.

— Dość gadania — oznajmia. — Moim zdaniem czas na s'mory<sup>2</sup>. Kto chce s'mora?

Spoglądam na Christiana. Trzyma w jednej ręce torbę pianek, a w drugiej torbę batonów czekoladowych, jak jakiś dar na pojednanie. Uśmiecha się.

— Ja chcę — mówi Jeffrey.

I znów, panie i panowie, mój brat i jego żołądek.

Wszyscy zabierają się do jedzenia. Angela jest zgnębiona, że rozmowa o Czarnych Skrzydłach dobiegła końca, ale po paru minutach jej przechodzi; znów siedzi pochylona do przodu i słucha kolejnych opowieści z błyskiem w złotych oczach i szerokim uśmiechem na twarzy. Jest w siódmym niebie, pławi się w poczuciu wspólnoty, którego nigdy wcześniej nie zaznała. Nawet Jeffreyowi się tu podoba. Wcześniej grał w piłkę z innymi anielitami — to był prawdziwy mecz, podczas którego nie musiał niczego ukrywać. Na jego twarzy maluje się wyraz głębokiej satysfakcji, jakby tylko tego pragnął w życiu: porządnie pograć w piłkę, najeść się smacznych rzeczy i nie musieć udawać, że jest kimś innym niż jest.

Ja pewnie też powinnam się tak czuć, powinnam się cieszyć tym spotkaniem. Więc dlaczego się nie cieszę?

Zobaczmy, odzywa się głosik w mojej głowie. Nie wykonałaś zadania. Ilu z tu obecnych ma coś takiego na koncie? I wygląda na to, że twój chłopak ma umrzeć. A twoja mama najwyraźniej ci nie ufa. I nie znasz tych ludzi, chociaż oni wszyscy sprawiają wrażenie, że znają ciebie.

— I co pan powie, panie Prescott? — rzuca pan Phibbs, kiedy już wszyscy wcinamy s'mory, lepcy od pianek i usmarowani czekoladą. Ciekawe, czy anielicy mogą zapaść w cukrzycową śpiączkę.

— Ja? — odzywa się zdziwiony Christian. Ma czekoladę na podbródku.

— Tak, ty — mówi pan Phibbs. — Słyszałem, że jesteś naszym najnowszym członkiem.

— Tak jest, proszę pana — odpowiada Christian, czerwieniejąc jak burak.

*Jesteś członkiem? Posyłam mu zdumione pytanie.*

Mruga zaskoczony, że rozmawiam z nim *via* mózg. Że to może być takie łatwe między nami, choć jest takie trudne ze wszystkimi innymi.

*Tak. Od dzisiejszego ranka.*

*A konkretnie jak się zostaje członkiem?*

*Składasz przysięgę, że będziesz służyć światłości. Że będziesz walczyć po stronie dobra.*

*Przecież oni mówili, że nie walczą.*

Przesyła mi myślowy odpowiednik wzruszenia ramion.

*I to robiłeś dzisiaj rano?*

*Tak, odpowiada spokojnie. Składałem przysięgę.*

I tym sposobem rewelacje się nie kończą.

— Jak to w ogóle możliwe? — pytam później Angelę, kiedy obie jesteśmy już w piżamach i leżymy opatulone w śpiwory. Rozsunęliśmy dach namiotu, żeby móc patrzeć na niebo usiane gwiazdami. Powietrze jest chłodniejsze niż przedtem, ale wciąż ma idealną temperaturę. Nawet nie potrzebujemy namiotów — w każdym razie nie do ochrony przed pogodą — chociaż zapewniają nam choć trochę prywatności na otwartej łące, na której wszędzie dookoła palą się ogniska. Od czasu do czasu czuję zapach śniegu niesiony wiatrem i przypomina mi to, że jesteśmy w tej magicznej oazie w środku lasu, że wszędzie indziej panuje zima, ale tu jest lato.

— Toto, my chyba już nie jesteśmy w Kansas — mówię do Angeli.

— Niezłe, nie? — mówi Angela ze śmiechem. — To Billy.

— Co masz na myśli? — Odwracam się na bok, żeby na nią spojrzeć.

— Billy umie robić różne rzeczy z pogodą. Zdaje się, że to wyjątkowo rzadki dar u anielity. Nigdy o tym nie słyszałam. Billy przyjeżdża tu jakiś tydzień przed spotkaniem i sprawia, że wszystko rośnie.

— I Billy ci o tym powiedziała?

— Trochę mi powiedziała — mówi Angela. — Nie tyle, ile bym chciała. Była dla mnie miła i w ogóle, ale tak naprawdę chciała tylko gadać z twoją mamą. Wygląda na to, że bardzo się przyjaźnią.

— To prawda — przyznaję. — I to jest takie strasznie dziwne.

Mama ma najlepszą przyjaciółkę, i jest to ktoś, kogo nie pamiętam, o kim nawet nie wiedziałam aż do dzisiaj. Myślę o tym, jak siedziały razem przy ogniu, okryte tym samym kocem; jak Billy od czasu do czasu szeptała mamie coś do ucha, i mama się uśmiechała.

Jak mogła mi nie powiedzieć o swojej najlepszej przyjaciółce?

— To jest niesamowite — mówi Angela. Odwraca się do mnie z błyszczącymi oczami. — Chcesz posłuchać, czego jeszcze się dzisiaj dowiedziałam?

Nie mogę nie zachichotać, widząc jej minę podekscytowanego szczeniaka.

— Czujesz się tu jak dzieciak w sklepie z cukierkami, co?

— Och, no przestań, a dziwisz mi się? To niesamowita okazja do badań.

Potrzeba Angeli, żeby widzieć w tym „okazję do badań”.

— Okej, no to słucham — mówię.

Wyciąga zeszyt z plecaka, włącza latarkę i zaczyna przerzucać kartki, żeby znaleźć odpowiednie miejsce.

— No dobra. — Chrząka. — W skrócie wygląda to tak: północnozachodnia gałąź kongregacji spotyka się tu od czasu, kiedy Wyoming oficjalnie stał się stanem, czyli od lat

dziewięćdziesiątych XIX wieku. W tej chwili liczy około czterdziestu członków.

— Więc to nie są tylko ludzie z Jackson?

Kręci głową.

— Ze wszystkich północno-zachodnich stanów. Ale dowiedziałam się, że Jackson to coś w rodzaju anielickiego centrum, i mieszka nas tu więcej niż gdziekolwiek indziej na tym obszarze. Tylko jakoś nie mogę od nikogo wyciągnąć, dlaczego. Mam teorię, że chodzi o góry, ale to tylko teoria.

— Okej, panno Wikipedio — zartuję.

Angela się szczyrzy, płaska mnie słabo ręką i wraca do notesu.

— Większość tutejszych anielitów to quartariusi. Jest tylko dziewięcioro dimidiusów, i oni są przywódcami grupy.

— No tak. Bo dimidiusi są tacy wyjątkowi — mówię ze sporą dawką sarkazmu.

Angela obrusza się, ale widzę w jej oczach błysk podniecenia. Tutaj, gdzie większość obecnych jest ledwie ćwierćaniołami, Angela jest półaniołem. Naprawdę jest wyjątkowa.

— Zauważyłam też, że wszyscy traktują twoją mamę inaczej niż resztę — dodaje. — Na przykład przy ognisku, wszyscy zawsze uważnie słuchali, co miała do powiedzenia, jakby była jakimś źródłem mądrości, chociaż niezbyt często się odzywała.

To prawda. Kiedy mama wstała i powiedziała, że idzie spać, wszyscy starannie schodzili jej z drogi. Było coś dziwnego w tym, jak się do niej zwracali, jakiś szczególny szacunek.

— Może jest ich szefową — mówi Angela. — Zdaje się, że tu panuje demokracja, ale może jest kimś w rodzaju prezydenta.

Rany. Jak mogła mi o tym nie powiedzieć?

— Dobrze się czujesz? — pyta Angela. — Wyglądasz, jakbyś znowu zaczynała świrować.

— No tak. To raczej nie jest miejsce, w którym spodziewałam się znaleźć, kiedy obudziłam się dzisiaj rano, wiesz?

— Wiem. Nie mogę uwierzyć, że Christian wiedział o tym wszystkim i nie pisał słowem — mówi, ciągle wkurzona.

— Och, zjedź już z Christiana. Ty też nie jesteś taką znowu otwartą książką — wypalam, powtarzając jego słowa. — Hipokryzja to twoje hobby?

Angela gwałtownie wciąga powietrze. Zaciska szczęki. Przerzuca warkocze przez ramiona, zatrząskuje zeszyt i kładzie się tyłem do mnie. Latarka gaśnie. Leżymy w ciemności, pod gwiazdami, słuchając szeptów drzew. Jest o wiele za cicho. Angela nic nie mówi, ale wiem, że nie śpi. Jej oddech jest drżący i czuję, że jest wściekła.

— Ange... — mówię, kiedy milczenie staje się nieznośne. — Masz rację, przepraszam. Ja też mam już wyżej uszu tych wszystkich tajemnic. Czasami mam wrażenie, że nikt w moim życiu nie jest ze mną całkiem szczerzy. To mnie naprawdę wkurza.

— Nie, to ty masz rację — odzywa się Angela po minucie; jej głos jest stłumiony przez śpiwór. — Christian nigdy nie obiecywał, że nam cokolwiek powie. Rozumiem, że to miejsce jest tajne.

— Czy ty właśnie przyznałaś mi rację? — mówię z taką powagą, na jaką mnie stać.

— Tak. I co?

— Nic. Po prostu chciałam to zapisać, czy coś. Na wypadek, gdybym już nigdy tego od ciebie nie usłyszała.

Odwraca się częściowo i szczyrzy się do mnie przez ramię.

— Tak, koniecznie zapisz, bo jest mało prawdopodobne, żebyś jeszcze kiedyś miała rację.

Kłótnia oficjalnie zakończona. I przyjmuję to z ulgą, bo Angela potrafi być strasznie uciążliwa, kiedy się gniewa.

— Tajemnice to nieodłączna część bycia anielitą — mówi, kiedy już zaczynam zasypiać. — Wiesz to, prawda?

— Co? — pytam półprzytomnie.

— Zawsze musimy się ukrywać... Przed Czarnymi Skrzydłami, przed resztą świata. Na przykład twoja mama. Ma ponad setkę, ale wygląda na czterdziestkę, a to znaczy, że musiała się

przenosić przez całe życie, żeby ludzie nie zauważyli, że nie starzeje się jak oni. Zawsze musiała ukrywać swoją tożsamość. Po tak długim czasie tajemnice stają się drugą naturą, nie sądzisz?

— Ale ja jestem jej córką. Może mi ufać. Powinna mi powiedzieć o tych wszystkich sprawach.

— Może jej nie wolno.

Zastanawiam się nad tym przez chwilę; przypominam sobie lęk, który wyczułam w niej wcześniej, przy ognisku. Lęk przed czym? Co jest takiego strasznego w rozmowach o piekle? Pomijając to, co oczywiste, oczywiście. I dlaczego nie powiedziała kongregacji o naszym spotkaniu z Samją?

— Naprawdę myślisz, że ona jest szefową kongregacji? — pytam.

— Myślę, że to bardzo możliwe — odpowiada Angela.

Nagle dociera do mnie coś jeszcze: mama zna Waltera Prescottta, wuja Christiana. A to znaczy, że prawdopodobnie od pierwszego dnia, kiedy wróciłam do domu i wymówiłam jego nazwisko, wiedziała, że Christian to ktoś więcej niż tylko chłopak, którego mam uratować z pożaru lasu. Przez cały czas wiedziała, że Christian jest anielitą. Wiedziała, że moje zadanie to coś więcej niż tylko odszukanie go i akcja ratunkowa.

Wiedziała.

— Dlaczego mi nie powiedziała? — szepczę. Nagle nie jest mi już tak głupio, że nie powiedziałam jej o Klubie Aniołów.

— Właśnie nas oświeciło, co? — odszeptuje Angela.

— Chyba tak.

— Na pewno miała dobry powód — mówi Angela.

— Lepiej, żeby miała.

Jeszcze długo nie mogę zasnąć.

Śnią mi się róże, białe róże — brzegi płatków zaczynają już brązowieć. Stoję przed przyzmą świeżo wykopanej ziemi, gapię się na ładne, czarne czółenka mamy na swoich stopach i trzymam róże. Ich słodki zapach wypełnia mi nos. Wyczuwam obecność innych osób dookoła siebie, ale nie odrywam oczu od ziemi. Tym razem czuję się nie tyle zrozpaczona, ile pusta w środku. Odrętwiała. Wiatr porывa mi włosy, zdmuchuje na twarz, ale nie odgarniam ich z powrotem. Stoję tak, trzymam róże i wpatruję się w grób.

Śmierć to jest tylko przeprowadzka, próbuję sobie mówić, przejście z jednego wymiaru do innego. To nie koniec świata.

To mi zawsze powtarzała mama. Ale to chyba zależy od tego, jak zdefiniuje się koniec świata.

Róże są zwiędłe. Potrzebują wody, i nagle nie mogę znieść myśli, że mam je tu zostawić, żeby schły i umierały powoli. Więc zgniatam je w dłoniach. Odrywam im główki i pozwalam, żeby płatki przelatywały mi między palcami, powoli, łagodnie opadały na ciemną ziemię.

Christian stoi nad jeziorem w świetle księżyca. Patrzę, jak schyla się, podnosi kamyk, parę razy obraca gładki otoczek w dłoni, po czym znów się schyla i puszcza kaczkę po wodzie.

Za każdym razem, kiedy go widzę, uderza mnie myśl, że wcale go nie znam. Mimo wszystkich rozmów, jakie odbyliśmy, mimo czasu, jaki spędziliśmy razem na spotkaniach klubu, mimo że w zeszłym roku nauczyłam się na pamięć każdego szczegółu jego wyglądu, jakbym miała jakąś obsesję, on ciągle jest dla mnie tajemnicą. Ciągle jest nieznajomym, którego prawdziwą twarz dostrzegam tylko w przeblaskach.

Odwraca się i patrzy na mnie.

— Cześć — mówię zażenowana, bo nagle zdaję sobie sprawę, że jestem w piżamie, a moje włosy wyglądają na pewno jak wronie gniazdo. — Przepraszam. Nie wiedziałam, że ktoś tu będzie.

— Nie możesz spać? — pyta.

Ciągle czuję w nosie zapach róż. Ciągle mam wrażenie, że dłonie mam pokłute kolcami, ale kiedy je oglądam, nic im nie jest. To wszystko jest w mojej głowie. Sama się doprowadzam do



oblędu.

— Angela chrapie — oznajmiam, zamiast próbować się tłumaczyć. Schylam się, żeby poszukać sobie materiału na kaczkę, i znajduję mały, płaski kamyk koloru węgla drzewnego. Wpatruję się w jezioro, w miejsce, gdzie marszczy się światło księżyca.

— To jak to się robi? — pytam.

— Trik polega na pracy nadgarstka — tłumaczy Christian. — Podkręć go jak frisbee. Rzucam kamyk, który idzie prosto na dno, nawet bez chlupnięcia.

— Chciałam tak zrobić — mówię.

Kiwa głową.

— Jasne. Świetna technika.

— Ta pogoda jest jakaś dziwna — stwierdzam.

— Powiadasz?

— Nie, chodzi mi o to, że czegoś brakuje. Niby jest jak lato, ale... — Wracam pamięcią do długich letnich wieczorów spędzanych z Tuckerem, kiedy gapiliśmy się w gwiazdy z paki jego pickupa, nazywając znane gwiazdozbiory i wymyślając te, których nie znaleźliśmy. Na myśl o Tuckerze ściska mnie w gardle. Powtarzam sobie, że mój sen dzieje się dopiero wiosną. Nawet nie wiem, czy to będzie ta wiosna. Mam czas. Rozpracuję to. Jakoś to powstrzymam.

— Świerszcze — mówię, bo nagle do mnie dociera. — Latem zawsze cykają świerszcze. A tu jest cicho.

Słuchamy chlupotu wody o brzeg.

— Opowiedz mi o swojej wizji, Claro. O tej nowej — mówi nagle Christian. — Jeśli pozwolisz, chciałbym się oficjalnie dowiedzieć, co w niej jest. Bo myślisz o niej praktycznie non stop, a mnie niezbyt wychodzi udawanie, że tego nie zauważam.

Oddech grzęźnie mi w płucach.

— Już ci powiedziałam większość. To jest Aspen Hill. Wiosna. Idę pod górę ze sporą grupą ludzi i wygląda na to, że wszyscy idziemy do grobu. I ty tam jesteś.

— Co robisz?

— Ehm... próbujesz mnie pocieszyć. Mówisz mi w głowie: „Dasz radę?”. Trzymasz mnie za rękę. — Zaczynam szukać kolejnego kamyka, żeby nie musieć patrzeć mu w oczy.

— Myślisz, że to Tucker umrze — mówi Christian.

Kiwam głową, ale wciąż nie mam odwagi na niego spojrzeć.

— Nie mogę do tego dopuścić.

Słyszę jego kaszel, a potem ten jego śmiech przez nos.

— Chyba nie powinienem być zaskoczony, że postanowiłaś walczyć ze swoją wizją.

W tej chwili powinnam poczuć smutek, jeśli mama ma rację. Z całą pewnością walczę ze swoim zadaniem, buntuję się przeciwko temu, czego wszyscy ode mnie oczekują. Ale w tej chwili czuję tylko gniew. Chociaż to chyba prawda: nigdy niczego nie akceptuję. Nigdy nie pozwalam, żeby było, jak ma być. Wiecznie staram się zmienić przeznaczenie.

— Pytałeś, to ci powiedziałam. Jeśli ci się to nie podoba, trudno. — Ruszam ze złością w stronę namiotu. Christian łapie mnie za rękę.

Naprawdę wolałabym, żeby przestał mnie dotykać.

— Nie złość się, Claro. Ja chcę pomóc — mówi.

— To może pilnuj własnego nosa?

Śmieje się i puszcza moją dłoń.

— Okej, za późno, by ci mówić, żebyś się nie złościła. Ale naprawdę chcę pomóc. Powiedz mi, dlaczego uważasz, że to pogrzeb Tuckera.

Wybałuszam na niego oczy.

— Nie wierzysz mi? To nie jest zbyt pomocne.

— Nie powiedziałem, że nie wierzę. Tylko po prostu... — Nigdy nie widziałam, żeby tak trudno było mu się wysłowić. — No wiesz, myślałem, że wiem, co mi pokazuje wizja, a potem wyszło całkiem inaczej.

— Zgadza się, bo wszystko ci skopałam — mówię.

— Niczego nie skopałaś. — Spogląda mi w oczy. — Myślę, że ją zmieniłaś. Ale chcę powiedzieć, że przedtem w ogóle jej nie rozumiałem. Bo nie mogłem.

— A teraz rozumiesz?

Odwraca oczy.

— Tego nie powiedziałem. — Podnosi kamień i puszcza perfekcyjną kaczkę. — Chcę tylko, żebyś wiedziała, że według mnie niczego nie zepsułaś. To nie twoja wina.

— Dlaczego tak uważasz?

— Poszłaś za głosem serca. Tego nie można się wstydzić.

— Ty naprawdę tak myślisz. — Jestem w szoku. Zawsze zakładałam, że Christian mnie obwinia.

— Tak — mówi z cieniem uśmiechu. — Naprawdę tak myślę.

## 9. Raj utracony

— *Żegnajcie, szczęśliwe / Pola, gdzie radość żyje wiekuista: / witaj mi, grozo, witaj, świecie piekiel; / A ty, najgłębsza z piekielnych otchłani, / Przyjmij nowego pana, gdyż przybywa, / Przenosząc umysł, którego nie zmienią / Czas ni siedziba*<sup>3</sup> — czyta Kay Patterson. Ma niezły głos recytatorski, muszę jej to przyznać, choć podejrzewam, że pod tą odpicowaną powłoką bije serce czyste pełnego zła.

Okej, nie może być złem wcielonym. Bo Christian ją lubił, a Christian nie jest idiotą. Nawet Wendy mówi, że Kay nie jest taka zła, kiedy się ją lepiej pozna. Więc musi być w niej coś, czego ja nie dostrzegam.

— *Umysł jest dla siebie / Siedzibą, może sam w sobie przemienić / Piekło w Niebiosa, a Niebiosa w piekło* — czyta dalej.

— Świetnie, Kay — mówi pan Phibbs. — I jak myślisz, co to znaczy?

Idealnie wyskubane brwi Kay ściągają się z namysłem.

— Znaczy?

— Co Szatan chce tu powiedzieć? O czym mówi?

Kay patrzy na niego z wyraźną irytacją.

— Nie wiem. Nie mówię po staroangielsku, czy co to za język.

Drwiłabym z niej, ale nie idzie mi dużo lepiej od niej. A raczej w ogóle, jeśli chodzi o tę książkę. Co nie ma sensu. Podobno znam i rozumiem każdy język, jakim kiedykolwiek mówiono na ziemi, więc dlaczego tak błędzę w tym *Raju utraconym*?

— Ktoś coś powie? — Pan Phibbs rozgląda się po sali.

Wendy podnosi rękę.

— Może on mówi o tym, że piekło jest straszne, ale dla niego i tak jest lepsze niż niebo, bo w piekle przynajmniej jest wolny. Jakby wyznawał hasło „lepiej rządzić w piekle niż służyć w niebie”.

Przerazające. Zawsze robię się nerwowa, kiedy w rozmowie ze zwykłymi ludźmi wypłynie temat aniołów, a teraz na dodatek to się dzieje na lekcji angielskiego. Moja matka na pewno nie zaaprobowałaby tej lektury.

Ale z drugiej strony, pewnie o niej wie. Bo wie o wszystkim. I nie mówi mi nic.

— Doskonale, Wendy — chwali ją pan Phibbs. — Widzę, że czytałaś Bryk Cliffsa.

Twarz Wendy przybiera uroczy odcień karmazynu.

— Nie ma nic złego w czytaniu Bryków Cliffsa, moja droga — mówi jowialnie pan Phibbs. — Dobrze jest poznać cudzą interpretację. Ale ważniejsze jest, żeby zmierzyć się z tekstem własnymi siłami. Poczucie słowa w trzewiach, nie tylko usłyszeć w głowie. *Lecz, o, jak upadłym! / Jakże odmiennym niż ów, co w szczęśliwym / Państwie jasności promieniał tak wielkim / Światłem, że gasły przy nim innych rzesze, / Choć pełnych blasku* — recytuje z pamięci. — Piękne słowa. Ale co znaczą?

— On mówi o aniele, którym był kiedyś — rzuca Angela z pierwszej ławki. Nie odezwała się słowem przez całą dyskusję, ale widocznie to dla niej za wiele, siedzieć i milczeć, kiedy pan Phibbs mówi o aniołach. — Użala się, jak nisko upadł, bo chociaż woli ustalać zasady w piekle niż słuchać Boga w niebie, jak powiedział, mimo wszystko czuje smutek, bo teraz jest — spogląda w książkę, żeby przeczytać — *w mroku zupełnym i są odrzuceni / Od Boga i od światłości Niebiosów / Na trzykroć większą odległość, niż dzieli / Bieguny ziemi od jej środka*. Nie wiem dokładnie, jaka to odległość, ale wydaje mi się, że dość spora.

— Poczulaś to w trzewiach?

— Uch... — Angela kieruje się raczej mózgiem, nie trzewiami. — Nie jestem pewna.

— Tak czy inaczej, bardzo wnikliwa interpretacja — mówi pan Phibbs. — Pamiętasz, co Milton mówi na początku książki. Jego celem jest przestudiowanie idei nieposłuszeństwa wobec Boga, zarówno w buncie upadłych aniołów, jak i w sercu człowieka, co doprowadziło do wygnania Adama i Ewy z rajskiego ogrodu...

Wiercę się niespokojnie na krześle. Ja nie chcę studiować idei nieposłuszeństwa wobec

Boga; ten temat jest w tej chwili niezbyt przyjazny dla moich trzewi, jako że praktycznie zdecydowałam się już walczyć z moim zadaniem.

— Panie Phibbs, mam pytanie — mówi Angela.

— Cudownie. Sądź człowieka po jego pytaniach, nie po odpowiedziach.

— Dobra. Ile pan ma lat?

Pan Phibbs wybucha śmiechem.

— Nie, ja pytam serio. Ile? — naciska Angela.

— To nie jest związane z tematem lekcji — odpowiada rzeczowo, ale widzę, że go zdenerwowała, choć nie bardzo wiem, dlaczego. Przygląda siwe włosy, bawi się kawałkiem kredy w dłoni. — Możemy już wrócić do Szatana i jego ciężkiej doli?

— Chciałam tylko wiedzieć, czy jest pan tak stary jak Milton — mówi Angela, udając irytująco głupią, jakby się tylko z nim droczyła, jakby to nie było poważne pytanie, chociaż jest. — Czy na przykład chodziliście razem na drinka?

Milton, jeśli dobrze pamiętam wykład pan Phibbsa z zeszłego tygodnia, umarł w 1674. Gdyby pan Phibbs chodził z Miltonem na drinka, musiałyby mieć dobrze ponad trzysta pięćdziesiąt lat.

Czy to możliwe? Patrzę na niego — na jego obwisłą skórę, na głębokie zmarszczki na jego czole, wokół oczu i ust. Jego dłonie przypominają sękaty drzewa. To jasne, że jest stary. Ale jak stary?

— Chciałbym mieć tę przyjemność — mówi pan Phibbs z teatralnym westchnieniem. — Ale niestety, Milton żył trochę wcześniej, niż ja pojawiłem się na świecie.

Dzwoni dzwonek.

— Ach — mówi, bystro obserwując Angelę swoimi niebieskimi oczami. — Uratowany przez dzwonek.

Tego wieczoru wymykam się, żeby polecieć do Leniwego Psa. Nic na to nie poradzę. Może to przez moją anielską naturę. Ze śniegiem we włosach siadam za oknem Tuckera i patrzę na niego, kiedy odrabia pracę domową, kiedy przygotowuje się do snu (nie, nie, odwracam się, kiedy się przebiera, nie jestem totalnym zbokiem), a w końcu kiedy zasypia.

Przynajmniej w tej jednej minucie jest bezpieczny.

Znów rozważam, czy nie powiedzieć mu o śnie — co za koszmar, ukrywać to przed nim. Mam wrażenie, że zasługuje na tę wiedzę. Sama jestem taka wściekła na mamę za te wszystkie tajemnice, które ma przede mną, ale czy ja jestem inna? Trzymam to w tajemnicy, żeby nie niepokoić go niepotrzebnie, gdyby jakimś cudem się okazało, że źle zrozumiałam wizję. Nie mówię mu, bo to, że będzie wiedział, niczego nie zmieni. To dla jego dobra.

Ale to i tak kanał.

Około wpół do pierwszej jego okno otwiera się gwałtownie. Jestem tak wystraszona — bo już na wpół spałam — że o mało nie spadam z dachu, ale silna ręka chwyta mnie i wciąga z powrotem na dachówki.

— O, cześć — mówi wesoło Tucker, jakbyśmy wpadli na siebie na ulicy.

— Ehm, cześć.

— Ładna noc na stalking — stwierdza.

— Nie. Ja tylko...

— Wchodź tu do mnie, Karotko.

Włazę niezgrabnie do jego pokoju. Tucker wkłada koszulkę i siada po turecku na łóżku, patrząc na mnie.

— To nie jest stalking, skoro się cieszysz, że mnie widzisz? — sugeruję drżącym głosem.

— Jak długo tam siedzisz?

— A od jak dawna wiesz, że tu jestem?

— Od jakiejś godziny — mówi. Kręci z niedowierzaniem głową. — Jesteś wariatką, wiesz o tym?

— Zaczynam powoli dochodzić do tego wniosku.

— Więc dlaczego właściwie tu jesteś? — Klepie łóżko koło siebie, więc siadam. Obejmuję mnie ramieniem.

— Chciałam cię zobaczyć — mówię, wtulając się w jego bok. — To był długi i samotny weekend, a w szkole prawie się nie widzieliśmy.

— A, no tak. Jak tam kemping? Ja chyba nigdy nie byłem na kempingu w śniegu — mówi, unosząc brwi. — Chyba było zimno, co?

— Właściwie to nie było w śniegu. — Opowiadam mu o kongregacji. Nie wszystko, oczywiście; nie mówię mu o piekle, Czarnych Skrzydłach ani o tym, że pan Phibbs jest anielitą, ale mówię mu większość. Wiem, że mama nie byłaby zadowolona. Angela na pewno też nie. Kongregacja jest tajna, powiedziała; właściwie powinnam wziąć cały ten weekend i przybić na nim wielką pieczęć „Tajne”.

Ale i tak mu mówię. Bo nie jestem jeszcze gotowa na ukrywanie się przed światem za jakąś własną fałszywą tożsamością. A na pewno nie przed Tuckerem. Bo jedno wiem na pewno: Kocham go. I kiedy mówię mu szczerze o kongregacji, trochę mniej dręczy mnie fakt, że nie mówię mu o innych rzeczach.

Tucker przyjmuje te rewelacje całkiem nieźle.

— To przypomina jakiś kościelny letni obóz — mówi.

— Raczej rodzinny zjazd.

Tucker przechyla się i daje mi całusa — miękkiego, lekkiego jak piórko, który trafia tylko w kącik moich ust, ale i tak pozbawia mnie tchu.

— Tęskniłem za tobą — mówi.

— Ja za tobą też.

Obejmuję go za szyję i całuję, i znika wszystko prócz tej chwili, prócz jego warg na moich, poszukujących, prócz jego dłoni w moich włosach, wciągających mnie w jego ciepło, prócz naszych ciał na łóżku, układających się, by być bliżej, prócz jego palców na guzikach mojej koszuli.

Nie mogę mu pozwolić umrzeć.

— Jesteś taka ciepła — mruczy.

Czuję to ciepło. Czuję, że mogłabym buchnąć płomieniem, jestem jednocześnie lekka i ciężka, i czas zwalnia, jakbym oglądała wszystko klatka po klatce. Twarz Tuckera zawisa tuż nad moją, widzę małe pieprzyki tuż poniżej ucha, którego nigdy wcześniej nie zauważyłam, widzę nasze cienie na suficie, dołeczek, który pojawia się na jego policzku od uśmiechu. Czuję, jak jego serce przyspiesza, przyspiesza oddech. I gdzieś na peryferiach umysłu czuję to, co czuje on: miłość, zachwyt gładkością mojej skóry pod palcami, moim zapachem, który wypełnia mu głowę...

— Clara — mówi zdyszany i się odsuwa.

— Jest okej — mówię, znów przyciągając jego głowę do swojej, przyciskając policzek do jego policzka. Nasze wargi prawie się dotykają, czujemy swój oddech na twarzach. — Wiem, że masz swoje zasady, i uważam, że to słodkie, ale... ale jeśli to nasza ostatnia szansa na szczęście? Ostatnia okazja, zanim wszystko się zmieni? Jeśli więcej nie będzie? Czy nie powinniśmy po prostu... żyć?

Tym razem, kiedy się całujemy, jest inaczej. W pocałunku jest niecierpliwość, której nie było wcześniej. Tucker odsuwa się, żeby ściągnąć koszulkę przez głowę, odsłania tę swoją złotobrazową skórę, te mięśnie, których dorobił się na rodeo i pracując całe życie na farmie. Jest piękny, myślę, tak obłędnie piękny, że patrzenie na niego prawie boli, więc zamykam oczy, unoszę ręce nad głowę i pozwalam mu ściągnąć moją koszulę. Chłodne powietrze opływa mi skórę; drzę, wręcz się trzęsę, a Tucker delikatnie przeciąga twardymi opuszkami po moim barku, bawi się ramiączkiem stanika, muska linię obojczyka i wędruje w górę po szyi, aż jego palce lądują pod podbródkiem; przechyla mi głowę do góry, by znów mnie pocałować.

To się naprawdę stanie, myślę. Ja i Tucker. Teraz.

Serce bije mi jak szalone, raczej trzepocze, niż bije, czuję je w piersi jak skrzydełka kolibra; oddech mam drżący, jakby było mi zimno, jakbym się bała, ale ani jedno, ani drugie nie jest prawdą. Kocham go. Kocham go, Kocham go — te słowa mają własny puls.

Nagle Tucker nieruchomieje.

— Co? — szepczę.

— Ty świecisz. — Podnosi się gwałtownie i siada.

Rzeczywiście. Blask jest bardzo słaby, to nie jest pełna chwała, daleko mu do tego, ale kiedy rozkładam palce i oglądam grzbiet dłoni, widzę bardzo wyraźną poświatę.

— Nie, włosy — mówi.

Włosy. Natychmiast chwytam je obiema dłońmi. Błyszcza, jeszcze jak. Promienieją. Jak migotliwy, jasny promień słońca w mroku pokoju Tuckera. Jestem człowiekiem-lampą.

Tucker nie patrzy na mnie.

— To nic takiego. Angela nazywa to *comae caelestis*. To znak niebiańskiej istoty. Dlatego mama kazała mi w zeszłym roku farbować włosy. — Zaczynam paplać jak nakręcona.

— A możesz... to wyłączyć? — pyta. — Przepraszam, ale kiedy na to patrzę, robi mi się... słabo, jakbym miał się przewrócić czy zemdleć, czy coś. — Bierze głęboki wdech i zamyka oczy. — I trochę mnie mdli.

Fajnie wiedzieć, że tak działałam na faceta.

— Mogę spróbować — mówię, i okazuje się, że wcale nie tak trudno jest to wyłączyć.

Wystarczy sam widok spiętej miny Tuckera.

Przysięgam, że słyszę westchnienie ulgi.

— Przepraszam za to — szepczę.

Patrzy na mnie, z trudem przełyka ślinę, próbuje wziąć się w garść.

— Nie przepraszaj. To część tego, kim jesteś. A nie powinnaś przepraszać za to, kim jesteś. To jest śliczne, naprawdę. I budzi nabożny podziw. Nic, tylko paść na kolana i czcić.

— Ale chce ci się od tego haftnąć.

— Tylko troszeczkę.

Przechylałam się, żeby pocałować jego wciąż cudownie nagi bark.

— No dobra. Światło zgasło. Na czym skończyliśmy?

Tucker kręci głową, drapie się po karku jak zawsze, kiedy jest zażenowany. Kaszle.

A ja siedzę przez chwilę; sytuacja jest niezręczna.

— Okej — mówię w końcu. — Chyba powinnam...

— Nie idź. — Chwyta mnie za rękę, zanim udaje mi się wstać. — Zostań.

Pozwalam pociągnąć się z powrotem na łóżko. Tucker kładzie się za mną na łóżeczku, opiera dłoń na moim biodrze i oddycha spokojnie w mój kark. Próbuję się rozluźnić. Słucham tykania budzika na nocnej szafce. A co będzie, jeśli nigdy nie nauczę się kontrolować tego blasku? Jeśli za każdym razem, kiedy poczuje się szczęśliwa w ten szczególny sposób, zacznę świecić? Ja zacznę świecić, jego zacznie mdlić i — *frikus interruptus*.

To dopiero ponura myśl. Moja własna, nietypowa antykoncepcja. Blask całego ciała.

A potem myślę: on umrze i nigdy nie pokocha się z kobietą.

— To nieważne — szepcze Tucker. Przesuwa rękę, bierze moją dłoń, ściska ją.

Boże. Drogi. Czy ja to powiedziałam na głos?

— Co jest nieważne? — pytam.

— To, czy będziemy mogli... no wiesz — mówi. To niesamowite; przecież on nie umie czytać w myślach, a mimo to niemal dokładnie wie, o czym myślę. — Przecież cię kocham.

— Ja też cię kocham — odpowiadam. Odwracam się i wtulam twarz w bok jego szyi, obejmuję go i zostaję tak, aż zasypiam.

Budzę się, kiedy ktoś rozsuwa zasłony, i oto, co widzę: pan Avery, w roboczym kombinezonie, plecami do mnie, wygląda przez okno, za którym słońce właśnie wylania się zza stodoły.

— Pobudka, synu — mówi. — Krowy same się wydoją.

A potem się odwraca. Dostrzega mnie. Otwiera usta. Moje już są otwarte, wstrzymuję oddech, jakbym myślała, że jeśli nie będę oddychać, on mnie jakimś cudem nie zauważy. Więc gapimy się na siebie jak dwie ryby wyrzucone na brzeg.

Na dworze pieje kogut.

Tucker coś mamrocze. Odwraca się, ściga ze mnie koc.

Szarpię koc z powrotem, żeby zakryć stanik. Chwała Bogu, że ciągle mam na sobie dzinsy, bo inaczej to by wyglądało bardzo źle.

I tak wygląda bardzo źle.

Bardzo źle.

— Emm — mówię, ale mój mózg jest jak kawał lodu. Nie jestem w stanie odłupać od niego słów. Wyciągam rękę i potrząsam Tuckerem. Mocno. I jeszcze mocniej, kiedy nie reaguje od razu.

— Niemożliwe, że już szósta — jęczy.

— Oj, chyba jednak możliwe — wyduszam z siebie.

Zrywa się jak oparzony. Teraz wszyscy troje gapimy się na siebie jak ryby. Nagle pan Avery zamyka usta tak szybko, że słyszę trzask jego zębów, odwraca się i wychodzi z pokoju. Strzela za sobą drzwiami. Słuchamy jego kroków, kiedy idzie po schodach, korytarzem, do kuchni. Słyszymy, jak pani Avery mówi: „O, świetnie, masz tu kawę, kochanie...” A potem nic. Pan Avery mówi za cicho, żebyśmy to słyszeli.

Łapię koszulę i wciągam ją przez głowę, spanikowana szukam butów.

Tucker robi coś, czego prawie nigdy u niego nie słyszałam.

Przeklina.

— Mam zostać i spróbować się wytłumaczyć? — pytam.

— Nie — mówi. — Och, nie, nie, nie rób tego. Najlepiej... już idź.

Otwieram okno, odwracam się.

— Przykro mi. Nie chciałam zasnąć.

— A mnie nie jest przykro. — Zwiesza nogi z łóżka, wstaje i podchodzi do mnie. Daje mi szybkiego, ale czulego całusa w usta, przytrzymuje moją twarz w dłoniach i patrzy mi w oczy. — Okej? Niczego nie żałuję. Było warto. Wezmę to na siebie.

— Okej.

— Miło było cię znać, Claro — mówi.

— He? — Mój mózg ciągle jest trochę ogłuszony.

— Pomódl się za mnie, okej? — Posyła mi drżący uśmiech. — Bo jestem pewien, że rodzice mnie zabiją.

Kiedy wracam do domu, robi się jeszcze gorzej. Okno mojej sypialni jest zamknięte na zamek.

Super.

Zakradam się kuchennymi drzwiami (na szczęście nie są zamknięte na klucz) i delikatnie zamykam je za sobą.

Mama zwykle pracuje do późnej nocy. Ostatnio często przesypia poranki. Jest szansa, że nie zauważy.

Ale moje okno jest zamknięte.

Jeffrey pije sok pomarańczowy przy kuchennym stole.

— O rany — mówi na mój widok. — Ale wpadłaś.

— Co mam zrobić? — pytam.

— Wymyślić naprawdę niezłą wymówkę. I może się rozplakać. Dziewczyny to robią, nie? Ewentualnie zafundować sobie jakieś poważne obrażenia. Jeśli będzie musiała cię opatrywać, to może potraktuje cię łagodniej.

— Dzięki — mówię. — Bardzo mi pomogłeś.

— A, i Clara — mówi, kiedy na paluszkach idę po schodach. — Może przewróć koszulę na prawą stronę.

Jestem zdumiona, że docieram do swojego pokoju niezatrzymana po drodze. Przebieram się w czyste rzeczy, myję twarz, czeszę włosy i już zaczynam myśleć, że wszystko będzie dobrze, nie ma się o co martwić. Ale kiedy wychodzę z łazienki, widzę mamę siedzącą przy moim biurku.

Wygląda na bardzo wkurzoną mamę.

Przez minutę — minutę, która wydaje się wiecznością — nic nie mówi. Patrzy na mnie tylko z rękami założonymi na piersi.

— Otóż — mówi wreszcie głosem jak lodowe sopłe — parę minut temu dzwoniła matka Tuckera. Spytała mnie, czy wiem, gdzie była moja córka, bo według jej najświeższej wiedzy, była w łóżku jej syna.

— Strasznie przepraszam — jąkam. — Poleciałam do Leniwego Psa, żeby się zobaczyć z Tuckerem, i zasnęłam.

Jej dłonie zaciskają się w pięści.

— Claro... — Urywa, bierze głęboki wdech. — Nie zamierzam tego robić. Nie mogę.

— Nic się nie stało — mówię.

Prycha drwiąco. Mówi mi spojrzeniem, żebym nie obrażała jej inteligencji.

— Okej. Prawie się stało. — Może jeśli powiem jej prawdę, uzna to za przejaw dobrej woli, tłumacząc sobie. — Ale nie stało się. Nic, znaczy. Zasnęłam. I tyle.

— Och, od razu mi lepiej — mówi z sarkazmem. — Coś się prawie stało, ale się nie stało. Świetnie. Cudownie. Bardzo mi ulżyło. — Nagle kręci głową. — Nie chcę słuchać, co się działo w nocy. Koniec z tym, młoda damo. Choćbym miała ci zabić okno gwoździami, będziesz spędzać noce tu, we własnym łóżku, we własnym domu. Zrozumiano? — Kiedy nie odpowiadam, mówi dalej: — Co więcej, ty i Tucker nie będziecie się więcej widywać sam na sam.

Odwracam się gwałtownie.

— Co?

— Nie będziesz z nim zostawać sama.

Powietrze ucieka mi z płuc.

— Jak długo?

— Nie wiem. Aż wymyślę, co z tobą zrobić. I wydaje mi się, że i tak jestem bardzo łagodna, biorąc pod uwagę to, co zrobiłaś.

— A co ja zrobiłam? To nie jest rok 1900, mamó.

— Uwierz mi, zdaję sobie sprawę — mówi.

Próbuję spojrzeć jej w oczy.

— Mamó, ja muszę się widywać z Tuckerem.

Wzdycha.

— Naprawdę mnie zmusisz, żebym ci powiedziała, że dopóki mieszkasz w moim domu, masz przestrzegać moich zasad? — Mówi to znużonym głosem, trąc oczy, jakby nie miała w tej chwili czasu czy siły wyklócać się ze mną.

Wysuwam podbródek.

— A ty naprawdę mnie zmusisz do wyprowadzki, żebym mogła robić z moim życiem co chcę? Bo tak będzie.

To jest błąd. Nie mam dokąd pójść, nie mam pieniędzy, to jest jedyne miejsce, w którym mogę się podziąć.

— Jeśli będzie trzeba — mówi cicho.

Koniec. Do oczu napływają mi upokarzające łzy. Wiem, że ma prawo być zła, ale mam to gdzieś. Zaczynam wykrzykiwać wszystko, co chciałam jej powiedzieć od miesięcy: Dlaczego musisz taka być? Dlaczego nie obchodzi cię Tucker? Nie widzisz, jak nam ze sobą dobrze? Okej, nie obchodzi cię Tucker, ale dlaczego nie obchodzi cię moje szczęście?!

Pozwala mi krzyczeć. Wściekam się jak dzieciak, a ona patrzy w podłogę z niemal zażenowaną miną i czeka, aż skończę. A kiedy już jest po wszystkim, mówi:

— Kocham cię, Claro, i lubię Tuckera, chociaż wiem, że w to nie wierzysz. Obchodzi mnie twoje szczęście. Ale przede wszystkim obchodzi mnie twoje bezpieczeństwo. To zawsze był dla mnie priorytet.

— Tobie nie chodzi o moje bezpieczeństwo — mówię z goryczą. — Tobie chodzi o kontrolę nad moim życiem. Niby co mi zagraża przy Tuckerze? Serio, co?

— To, że nie jesteś jedyną istotą, która chodzi nocami po świecie! — krzyczy. — Kiedy się obudziłam i ciebie nie było... — Zamyka oczy. Zaciska szczęki. — Będziesz siedzieć w domu. I



będziesz się widywać z Tuckerem pod nadzorem, kiedy uznam, że można ci na to pozwolić. —  
Wstaje, żeby wyjść.

— Ale on umiera — wypalam.

Zatrzymuje się z ręką na gałce drzwi.

— Co?

— Miewam sen... czy raczej wizję... cmentarza Aspen Hill. To jest pogrzeb. I Tuckera tam  
nie ma, mammo.

— Skarbie — mówi mama. — To, że go tam nie ma, nie znaczy jeszcze...

— To jedyne logiczne wyjaśnienie — mówię. — Gdyby umarł ktoś inny, Tucker by tam  
był. Byłby tam ze mną. Nic by go nie powstrzymało. Bo właśnie taki jest. Byłby tam.

Z gardła mamy wrywa się dziwny odgłos. Podchodzi do mnie. Pozwalam się uściskać,  
wdycham jej perfumy i staram się znaleźć pociechę w jej ciepłe, w jej solidnej, spokojniejszej bliskości,  
ale nie mogę. Nie wydaje mi się już tak ciepła, tak solidna i silna.

— Nie dopuszczę do tego — szepczę. Odsuwam się. — Muszę się dowiedzieć, jak temu  
zapobiec, tylko że nie wiem, jak to się stanie, więc nie mam pojęcia, co robić. Tucker umrze!

— Tak, umrze — mówi rzeczowo mama. — Tucker jest śmiertelny, Claro. Kiedyś umrze.  
W każdej minucie umiera na tej ziemi ponad setka ludzi, i któregoś dnia on będzie wśród nich.

— Ale to Tucker, mammo.

Znów zbiera mi się na płacz.

— Ty go naprawdę kochasz — mówi zamyślona.

— Ja go naprawdę kocham.

— A on kocha ciebie.

— Tak. Wiem, że tak jest. Czulałam to.

Bierze mnie za rękę.

— Więc nic tak naprawdę nie zdoła was rozdzielić, nawet śmierć. Miłość was wiąże na  
zawsze — mówi. — Claro... Muszę ci powiedzieć...

Ale nie mogę pozwolić, by mnie namówiła, żebym potulnie zaakceptowała śmierć Tuckera.  
Mówię więc:

— Ciebie i taty jakoś nie związała na zawsze, co?

Mama wzdycha.

Jest mi przykro, że to powiedziałam. Staram się jakoś jej to wytłumaczyć, chcę, żeby  
zrozumiała.

— Chodzi mi o to, że czasem los rozdziela ludzi, mammo. Na zawsze. A ja nie chcę, żeby to  
spotkało mnie i Tuckera.

— Ty uparta, uparta dziewczyno — szepcze. Odsuwa się i idzie do drzwi. Przystaje.

Odwraca się do mnie.

— Powiedziałaś mu?

— O czym?

— O śnie, czy też o tym, co według ciebie znaczy — mówi. — Bo tak naprawdę nie wiesz,  
co znaczy, Claro. To nie fair zrzucać to na niego, jeśli nie masz pewności. Świadomość, że się  
umrze, to straszna rzecz.

— Przecież mówiłaś, że wszyscy umrzemy.

— Tak. Prędzej czy później — mówi.

— Nie — przyznaję się. — Nie powiedziałam mu.

— To dobrze. I nie mów. — Próbuje się uśmiechnąć, ale jej się to nie udaje. — Miłego dnia  
w szkole. I bądź w domu przed kolacją. Musimy jeszcze porozmawiać. Mam coś więcej do  
powiedzenia.

— Dobrze.

Kiedy wychodzi, rzucam się na łóżko, wykończona.

Prędzej czy później, powiedziała. I pewnie wie, co mówi. Ma tyle lat, że większość ludzi,  
których kiedykolwiek знаła, zestarzała się już i umarła. Na przykład ta historia z trzęsieniem ziemi  
w San Francisco. Parę miesięcy temu mama wycięła z gazety artykuł o tym, że umarła ostatnia

osoba, która je przeżyła. A to znaczy, że tak naprawdę to ona jest ostatnia.

Ma rację. Prędzej czy później Tucker umrze.

Ale później. Muszę się postarać, żeby to było później.

W przerwie na lunch Angela łapie mnie w drzwiach stołówki.

— Klub Aniołów — szepcze. — Zaraz po szkole, nie spóźnij się.

— Och, przestań. — Nie jestem w nastroju na jej wieczne zabawy w „sto pytań do”, na jej natchnione wywody, na jej szalone teorie. Jestem zmęczona. — Mam też inne sprawy, wiesz.

— Pojawiły się nowe okoliczności.

— Jak nowe? Przecież spędziłyśmy razem weekend.

— To jest ważne, okej?! — piszczy, co mnie autentycznie przeraża. Angela nie należy do piszczących osób. Przyglądam jej się uważniej. Wygląda na wykończoną, ma sińce pod oczami, jest na ostatnich nogach.

— Dobra, będę — zgadzam się szybko. — Nie mogę zostać zbyt długo, ale przyjdę, okej?

Kiwa głową.

— Zaraz po szkole — powtarza i odchodzi szybko.

— Co jej jest? — Christian materializuje się u mojego boku i razem gapimy się za Angelą.

— Powiedziałem jej, że mam spotkanie drużyny narciarskiej, a ona o mało mnie nie zagryzła.

Kręcę głową, bo nie mam zielonego pojęcia, co się z nią dzieje.

— To chyba coś ważnego — mówi Christian. I też mnie zostawia; dołącza do swojej paczki popularnych ludzi, żeby jechać z nimi na lunch. A ja stoję przez minutę jak samotny dziwoląg, i w końcu ruszam do kolejki po jedzenie. Biorę sobie lunch i z rezygnacją siadam na zwykłym miejscu koło Wendy, która siedzi z Jasonem przy stoliku niewidzialnych.

Przeszywa mnie spojrzeniem. Wie o dzisiejszym poranku.

Jason oznajmia, że musi iść coś sprawdzić, i znika.

Oj, nagrabiłam sobie. U wszystkich.

— Gdzie Tucker? — pytam natychmiast. — Znaczy, jeszcze żyje?

— Musiał jechać do domu, bo dostał dodatkowe obowiązki na tę wolną godzinę. Napisał ci liścik. — Wendy wyciąga złożoną kartkę z zeszytu. Wyrwam jej list z ręki. — Nie czytałam go — mówi pospiesznie, kiedy rozkładam kartkę, ale coś w jej głosie każe mi myśleć, że chyba jednak czytała.

— Dzięki — mówię, przebiegając słowa wzrokiem. Tucker napisał swoim niezgrabnym charakterem: *Nos do góry, Karotko. Jakoś to przetrwamy. Musimy tylko przez jakiś czas przestrzegać zasad.* I narysował X, całusa.

— Rodzice byli wściekli? — pytam, chowając liścik do wewnętrznej kieszeni kurtki.

Przypominam sobie wybałuszone oczy pana Avery'ego, kiedy nas zobaczył.

Wendy wzrusza ramionami.

— Przede wszystkim byli w szoku. Chyba się nie spodziewali... — Kaszle. — Dobra. O tak, byli wściekli. Ciągłe powtarzali, że są „rozczarowani”, a Tucker wyglądał jak kopany pies, za każdym razem, kiedy to słyszał, a potem, kiedy uznali, że już jest wystarczająco skopany, kazali mu wyrzucać gnój ze stajni, żeby mogli się zastanowić nad karą.

— I jaka jest ta kara? — pytam.

— Nie wiem — odpowiada. — Powiedzmy, że moi rodzice nie są w tej chwili twoimi największymi fanami i poranek u Averych był dość nieciekawym.

— Przepraszam, Wen — mówię, i to szczerze. — Zdaje się, że narozrabiałam.

Kładzie mi dłoń na ramieniu, ścisza je krótko.

— Spoko. Zwykły dramat w związku. Każdy przeżywa dramaty w związku, nie? A że ty przypadkiem jesteś w związku z moim bratem, trudno. Pewnie powinnam była się tego spodziewać.

— Ale muszę ci powiedzieć jedno — dodaje po minucie przyjaznym tonem. — Jeśli skrzywdzisz mojego brata, będziesz miała ze mną do czynienia. Wytarzam cię w końskim gnoju.

— Jasne — mówię szybko. — Zapamiętam sobie.

— To co to za pilna sprawa? — pyta Jeffrey. Zbiega po widowni Różowej Podwiązki do

stolika, przy którym siedzimy z Christianem. Czekamy na Angelę, która się spóźnia. To do niej niepodobne. — Myślałam, że w tym tygodniu się nie spotykamy, bo spędziliśmy razem cały weekend. Mam was już trochę dość.

— To miło, że mimo wszystko postanowiłeś nas zaszczycić swoją obecnością — mówi Christian.

— Nie mogłem sobie darować — odpowiada Jeffrey. — Przecież wiecie, że cały ten klub obraca się wokół mnie. Postuluję, żebyśmy zmienili nazwę na Klub Jeffreya. — Szczerzy zęby, podchodząc do stolika. Czysty odruch każe mi wystawić nogę, jakbym chciała, żeby się potknął; mój brat patrzy na mnie drwiąco, przechodzi nad moją stopą i szturcha mnie w ramię.

— A może klub kupogłowego? — sugeruję.

Jeffrey parska śmiechem. „Kupogłowy” to była nasza najgorsza obelga, kiedy byliśmy mali.

Szarpiemy się ze sobą przez chwilę, próbując nawzajem pacnąć się po głowie.

— Au — mówię, kiedy Jeffrey niechcący wygina mi nadgarstek do tyłu. — Kiedy ty się zrobiłeś taki silny?

Odsuwa się i szczerzy zęby. Te przepychanki z Jeffreyem sprawiają mi dziwną przyjemność. Od kiedy wróciliśmy z kongregacji, jest prawie normalny, prawie taki jak dawniej, jakby wreszcie przestał się zadręczać tym, co mu tak ciążyło.

Christian gapi się na nas. Jest jedynakiem i nigdy nie zrozumie subtelnej radości bicia się z rodzeństwem. Popycham Jeffreya ostatni raz, tak dla wykończenia, i siadam przy stoliku. Jeffrey usadza się na krześle obok mnie.

Angela wchodzi z zaplecza. Siada bez słowa. Otwiera zeszyt.

— No dobra. Pilna sprawa — mówię.

Bierze głęboki wdech.

— Badałam długość życia anielitów.

— Czy to ma coś wspólnego z twoim pytaniem, jak stary jest pan Phibbs? — pytam.

— Tak. Kiedy przyjrzałam się kongregacji przez weekend, zaczęło mnie to ciekawić. Pan Phibbs jest quartariuszem, jestem prawie pewna, ale wygląda o wiele starszej niż twoja mama, która jest dimidiusem. Więc chyba rozumiesz, czemu jestem skołowana.

Nie rozumiem.

— Albo pan Phibbs jest o wiele starszy od waszej mamy — zaczyna wyjaśniać — albo wasza mama starzeje się w innym tempie niż pan Phibbs. Co podsunęło mi myśl, że może quartariusi, którzy są tylko w jednej czwartej aniołami i w siedemdziesięciu pięciu procentach ludźmi, starzeją się jedną czwartą wolniej niż ludzie? Ludzie zwykle rzadko przekraczają setkę, więc anielita quartarius mógłby żyć jakieś sto dwadzieścia pięć lat. Co by wyjaśniało, dlaczego pan Phibbs wygląda staro.

Milknie. Bębni długopisem o zeszyt. Wygląda na zatroskaną.

— Mów dalej — poganiam ją.

Kolejny głęboki wdech. Nie patrzy na mnie, co naprawdę zaczyna mnie przerażać.

— Myślałam, że dimidiusi, którzy są tylko w połowie ludźmi, mogą żyć przynajmniej dwa razy dłużej, jakieś dwieście, dwieście pięćdziesiąt lat. Więc wasza mama byłaby anielitką w średnim wieku. Wyglądałaby na czterdziestkę. I wygląda.

— Zdaje się, że wszystko rozpracowałam — mówi Christian.

Angela przełyka ślinę.

— Tak mi się zdawało — mówi dziwnie głuchym głosem. — Ale potem przeczytałam to. Przerzuca kilka kartek zeszytu i zaczyna czytać.

— *A kiedy ludzie zaczęli się mnożyć na ziemi, rodziły im się córki. Synowie Boga, czyli anioły, a przynajmniej tak się powszechnie uważa, widząc, że córki człowiecze są piękne, brali je sobie za żony, wszystkie, jakie im się tylko podobały<sup>4</sup>.*

Znam ten ustęp. To Księga Rodzaju, rozdział szósty. Na scenę wchodzi anielici.

Ale Angela czyta dalej:

— Wtedy Bóg Rzekł: *Nie może pozostawać duch mój w człowieku na zawsze, gdyż*

*człowiek jest istotą cielesną: niechaj więc żyje tylko sto dwadzieścia lat.* A potem znowu jest o anielitach, kiedy to synowie Boga zbliżali się do córek człowieczych, te im rodziły, i cała reszta, o mocarzach, mających sławę w dawnych czasach, i przyszło mi do głowy, że coś tu jest nie tak. Najpierw mówimy o anielitach, potem Bóg ustala długość życia człowieka, potem znów wracamy do anielitów. Ale potem do mnie dotarło. To nie jest limit długości życia człowieka. To zdanie w środku nie jest o ludziach. Jest o nas. Bóg chce, żebyśmy byli śmiertelni.

— Bóg chce, żebyśmy byli śmiertelni — powtarzam, nic nie rozumiejąc.

— To nie ma znaczenia, czy jesteśmy zdolni żyć przez setki lat. Nie żyjemy dłużej niż sto dwadzieścia — konkluduje Angela. — Sprawdzalam to wszystko wczoraj w nocy i nie mogę znaleźć ani jednej wzmianki o żadnym anielicie, czy to dimidiusie, czy to quartariusie, który żyłby dłużej. Każdy, o którym pozostał ślad na papierze, umarł albo wcześniej, albo w trakcie sto dwudziestego roku życia. Nikt nigdy nie dożył sto dwudziestego pierwszego.

Jeffrey wydaje nagle odgłos, jakby się dławił. Zrywa się z krzesła.

— Opowiadasz bzdury, Angela. — Jego twarz wykrzywia wyraz, jakiego nigdy u niego nie widziałam, dziki i desperacki, pełen wściekłości. Przeraza mnie.

— Jeffrey... — zaczyna Angela.

— To nieprawda — mówi, niemal jakby jej groził. — Jak to możliwe? Ona jest całkiem zdrowa.

— Okej — mówię powoli. — Uspokójmy się. Więc dożywamy stu dwudziestu lat. To nic złego, prawda?

— Clara — szepcze Christian, a ja czuję od niego coś jakby współczucie, i nagle do mnie dociera.

Jestem taka głupia. Jak mogę być taka głupia? Ja tu sobie myślę, że wszystko jest w porządku, że sto dwadzieścia lat to niezły wiek, bo przynajmniej pozostaniemy silni i młodzi. Jak mama. Mama, która nie wygląda na więcej niż czterdzieści. Mama, która urodziła się w 1890. Margaret i Meg, i Marge, i Margot, i Megan, i wszystkie te obce kobiety, te dawne życia, które przeżyła. I Maggie, moja matka, która kilka tygodni temu skończyła sto dwadzieścia lat.

Robi mi się słabo.

Jeffrey wali w ścianę. Jego pięść przechodzi na wylot jak przez tekturę, gips sypie się dookoła, jego cios jest tak potężny, że cały budynek zdaje się drżeć.

Mama.

— Muszę iść — mówię, i wstaję tak szybko, że przewracam krzesło. Nie zatrzymuję się nawet, żeby zabrać plecak. Po prostu pędzę do wyjścia.

— Clara! — woła za mną Angela. — Jeffrey... czekajcie!

— Puść ich — słyszę Christiana, kiedy jestem już przy drzwiach. — Muszą iść.

Nie pamiętam jazdy do domu. Po prostu nagle jestem tutaj, na podjeździe, i ściskam kierownicę tak mocno, że bieleją mi kostki palców. We wstecznym lusterku widzę pickupa Jeffreya zaparkowanego z tyłu. I teraz, kiedy tu już jestem, kiedy pewnie złamałam z dziesięć przepisów, jadąc tu jak najszybciej, mam ochotę znów odjechać. Nie chcę wchodzić do środka. Ale muszę. Muszę poznać prawdę.

Angela już nie raz się myliła, myślę, chociaż w tej chwili nie potrafię sobie przypomnieć, kiedy. Myliła się. Wygaduje bzdury.

Ale wiem, że się nie myli.

Ten sen o cmentarzu Aspen Hill to nie jest pogrzeb Tuckera. To pogrzeb mamy.

Czuję się, jakbym siedziała na karuzeli z filizankami w Disneylandzie — wszystko wiruje, głowa mi się kręci, chociaż cała reszta ciała jest nieruchoma. Moje emocje to jeden wielki chaos pomieszanej ulgi, że to nie Tucker, szoku i szaleńczej urazy, poczucia winy i rozpacz, i dezorientacji, które przybrały całkiem nowy wymiar. Czuję, że zwymiotuję. Czuję, że się przewrócę. Czuję, że się rozplączę.

Wysiadam z samochodu i powoli wchodzę po schodkach do domu. Jeffrey dogania mnie, kiedy otwieram drzwi, ruszam korytarzem, mijam salon oraz kuchnię i idę prosto do gabinetu

mamy. Drzwi są uchylone i widzę, że czyta coś w komputerze, skupiona wpatruje się w monitor.

Ogarnia mnie dziwny spokój. Pukam, delikatnie bębniąc kostkami palców w drewno.

Mama odwraca się i spogląda na mnie.

— Cześć, skarbie — mówi. — Cieszę się, że już jesteś. Naprawdę musimy porozmawiać o...

— Anielici żyją tylko sto dwadzieścia lat? — wypalam.

Jej uśmiech znika. Mama przesuwając spojrzenie na Jeffreya, który stoi za mną. Odwraca się do komputera i go wyłącza.

— Angela? — pyta.

— Czy to ważne, skąd wiemy? — pytam; mój głos brzmi ostro, piskliwie. — To prawda?

— Wejdźcie — mówi. — Siadajcie.

Siadam w jej wygodnym skórzanym fotelu. Mama odwraca się do Jeffreya, który uparcie stoi w drzwiach, z rękami założonymi na szerokiej piersi.

— Więc umierasz — mówi głosem bez wyrazu.

— Tak.

Jego twarz wiotczeje z rozpaczy, ręce zwisają bezwładnie. Chyba się spodziewał, że mama zaprzeczy.

— I co, umrzesz, bo Bóg uznał, że nie powinniśmy żyć zbyt długo?

— To trochę bardziej skomplikowane — mówi. — Ale zasadniczo tak to wygląda.

— Ale to nie fair. Jesteś młoda.

— Jeffrey — mówi mama. — Proszę cię, usiądź.

Siada w fotelu obok mnie, więc teraz mama może się zwracać do nas obojga. Obserwuję jej twarz, kiedy próbuje zebrać myśli.

— Jak to się odbywa? — pytam.

— Nie wiem. Z każdym jest inaczej. Ale od zeszłej zimy słabnę coraz bardziej. A przez ostatnie tygodnie to się nasiliło.

Te jej wieczne bóle głowy. To zmęczenie, które zwałała na problemy w pracy. Te jej zimne dłonie i stopy, i to wrażenie że opuściło ją całe ciepło. Nowe zmarszczki. Cienie pod oczami. I to, że ostatnio ciągle siedzi, ciągle odpoczywa. Nie mogę uwierzyć, że nie skojarzyłam wcześniej.

— Więc słabniesz — mówię. — A potem co? Po prostu znikniesz?

— Mój duch opuści to ciało.

— Kiedy? — pyta Jeffrey.

Posyła nam to smutne, zatroskane spojrzenie, które już tak dobrze znam.

— Nie wiem.

— Wiosną — mówię, bo to jedno wiem. Pokazał mi to mój sen.

Coś gorącego i ciężkiego zaczyna mi wzbierać w klatce piersiowej, tak potężnego, że ryczy mi w uszach, wyciska powietrze z płuc. Z trudem chwytam oddech.

— Kiedy zamierzałaś nam powiedzieć?

W jej oczach jak nocne niebo błyszczy współczucie, co wydaje mi się ironią losu, bo przecież to ona umiera.

— Musieliście się skupić na swoich zadaniach, nie na mnie. — Kręci głową. — A poza tym było w tym trochę egoizmu. Nie chciałam jeszcze umierać. Zamierzałam powiedzieć wam dzisiaj — mówi z kolejnym znużonym westchnieniem. — Próbowałam powiedzieć ci dziś rano...

— Ale przecież możemy coś zrobić — przerywa jej Jeffrey. — Możemy się zwrócić do jakiejś wyższej instancji, prawda?

— Nie, kotku — odpowiada łagodnie.

— Możemy się modlić, czy coś — upiera się Jeffrey.

— Każdy kiedyś umiera, nawet my, anielici. — Mama wstaje z krzesła i klęka przed fotelom Jeffreya. Kładzie dłonie na jego dłoniach. — Teraz przyszła moja kolej.

— Ale my cię potrzebujemy — wykrztusza Jeffrey. — Co będzie z nami?

— Długo się nad tym zastanawiałam — mówi mama. — Myślę, że najlepiej dla was będzie, jeśli zostanieie tutaj, dokończycie rok szkolny. Więc waszą prawną opiekunką zostanie

Billy, która zgodziła się wami zająć. Jeśli nie macie nic przeciwko.

— A nie tata? — pyta Jeffrey drżącym głosem. — Czy on w ogóle wie?

— Wasz ojciec... nie ma warunków, żeby się wami zaopiekować.

— Chcesz powiedzieć, że nie ma czasu — dodaje drewnianym głosem.

— Nie możesz umrzeć, mamó — mówi Jeffrey. — Nie możesz.

Mama bierze go w ramiona. Jeffrey opiera się przez ułamek sekundy, próbuje się odsunąć, ale w końcu się poddaje, barki zaczynają mu się trząść i straszny, ochrypły szloch wyrывa się z jego piersi. Słyszę ten krzyk rannego zwierzęcia wychodzący z ust mojego brata i coś we mnie rozdziera się na dwoje. Ale ja nie płaczę. Chcę być na nią wściekła, chcę oskarżać ją, że okłamywała mnie przez całe życie, chcę wrzeszczeć, że nas porzuca, i chętnie sama wybiłabym dziurę w ścianie, ale tego też nie robię. Przypominam sobie, co mówiła mi rano o śmierci. Myślałam, że mówiła o mnie i Tuckerze, ale teraz wiem, że mówiła o mnie i o sobie.

Zsuwam się z fotela, podchodzę na kolanach do Jeffrey'a. Mama odsuwa się i patrzy na mnie, jej oczy błyszczą od łez. Odrywa rękę, żeby przyjąć i mnie w objęcia, a ja wtulam się w nią, otacza mnie zapach jej perfum z róży i wanilii zmieszany z wodą po goleniu Jeffrey'a. Niczego nie czuję, zupełnie jakbym unosiła się obok ciała, rozłączona z nim jakimś cudem. Ciągłe nie mogę oddychać.

— Tak bardzo was kocham — mówi w moje włosy. — Zmieniliście moje życie w coś nadzwyczajnego. Nawet nie macie pojęcia.

Jeffrey szlocha. Ten silny macho płacze, jakby miało mu pęknąć serce.

— Przejdziemy przez to razem — mówi mama żarliwie, odsuwając się, żeby spojrzeć nam w twarz. — Wszystko będzie dobrze.

Przy kolacji jest inna. Siedzimy przy stole tylko we dwie, bo Jeffrey ma mecz zapaśniczy i mama nalegała, żeby poszedł. Nie mówi wiele, ale jest jakby lżejsza, siedzi prosto, co uświadamia mi, że ostatnio się garbiła; zjada posiłek do ostatniego kęsa, co z kolei uświadamia mi, że ostatnio ledwie skubała jedzenie. Nagle wydaje się o wiele silniejsza, jakby dotąd nie przygniatała jej choroba, tylko tajemnica. Teraz już wiemy, tajemnica została zdjęta z jej barków i mama znów jest sobą. To nie potrwa. Wie, że to nie potrwa. Ale chce się cieszyć tą chwilą normalności.

Z westchnieniem odkłada widelec, patrzy na mnie nad stołem i unosi brwi. Dopiero po sekundzie orientuję się, że podpatruję jej emocje.

— Przepraszam — mamroczę.

— Nie miałaś ochoty na spaghetti?

Spoglądam na talerz. Ledwie tknęłam jedzenie.

— Jest smaczne. Tylko po prostu...

Umierasz, myślę. Jak mogę jeść, kiedy wiem, że umierasz i nie możemy zrobić nic, żeby temu zapobiec?

— Mogę już iść? — Wstaję z krzesła, nie czekając na jej odpowiedź.

— Jasne — mówi ze speszonym uśmiechem. — Ja pójdę na chwilę na ten mecz Jeffrey'a.

Chcesz iść ze mną?

Kręcę głową.

— Możemy porozmawiać później, jeśli chcesz — mówi.

— A mogę nie chcieć? Znaczy, może kiedyś, ale nie teraz. Nie chcę rozmawiać. Nie pogniewasz się?

— Ależ skąd. Wszyscy potrzebujemy trochę czasu, żeby przywyknąć do tej myśli.

Uciekam do swojego cichego pokoju i zamykam drzwi na klucz. Czy kiedykolwiek przywyknę do myśli, że stracę matkę? To się wydaje takie idiotyczne, takie niemożliwe — moja mama, moja Supermama, która kibicowała na meczach Jeffrey'a, nagrywała na wideo moje taneczne recitale, piekła babeczki na kiermasze drużyny zapaśniczej, nie wspominając już o tym, że walczyła z Czarnymi Skrzydłami i potrafiła dosłownie przeskakiwać (no dobra, przelatywać, ale co to za różnica) nad budynkami jednym susem. A teraz umrze. Dobrze wiem, jak to będzie. Włożymy jej ciało do trumny. Spuścimy w ziemię.

To jest jak zły sen, a ja się nie mogę obudzić.

Sięgam po telefon. Automatycznie wybieram numer Tuckera. Odbiera Wendy.

— Muszę porozmawiać z Tuckerem.

— Ehm, Tucker stracił prawo korzystania z telefonu.

— Wen, proszę cię — mówię, i głos mi się łamie. — Muszę porozmawiać z Tuckerem. W tej chwili.

— Okej. — Biegnie do niego. Słyszę, jak mu mówi, że chyba coś złego się ze mną dzieje.

— Hej, Karotko — wita mnie Tucker. — O co chodzi?

— O mamę — szepczę. — O mamę.

Widzę jakiś ruch za oknem. Christian. Troska bucha od niego na odległość. Chce mi powiedzieć, że rozumie. On też stracił matkę. Nie jestem sama. Ale postanawia, że nie powie mi tego wszystkiego, bo wie, że słowa są bez znaczenia w takich chwilach. Po prostu chce ze mną siedzieć, nawet godzinami, jeśli tego potrzebuję. Wysłucha mnie, gdybym chciała się wygadać. Uściska mnie.

Nie spodziewałam się po nim czegoś takiego. Kiedy powiedziałam Tuckerowi, ciągle powtarzał, jak mu przykro, w kółko i na okrągło, i czułam, że nie wie, co innego mógłby powiedzieć, jak zareagować na taką nowinę, więc powiedziałam mu, że muszę kończyć, i dałam mu spokój.

Wstaję, podchodzę do okna i przez chwilę patrzę na Christiana, na jego plecy — bo siedzi do mnie tyłem na swoim zwykłym miejscu na okapie. Ma na sobie czarny polar. Jego widok jest tak znajomy. Przyszedł tu dla mnie. Czuję, jakby zawsze był przy mnie, w taki czy inny sposób.

O szybę uderza płatek śniegu. Potem kolejny. A potem zaczyna padać na całego — wielkie, ciężkie płatki osiadają na dom. Christian odsuwa kieszeń polaru, wyjmuje czarną, włóczkową czapkę i zakłada na głowę. Wsuwa ręce w kieszenie. I czeka.

Mam ochotę go zawołać. Wiem, jak by to wyglądało. Otworzyłabym okno i wypowiedziała jego imię w zimnym powietrzu. Podeszłabym do niego. On by się odwrócił. Próbowałby coś powiedzieć, ale ja bym go powstrzymała. Wzięłabym go za rękę i poprowadziła przez okno, do pokoju, a potem on wziąłby mnie w ramiona. Byłoby jak w moim śnie. Sprawiłby, że poczułabym się lepiej. Mogłabym na nim polegać. To byłoby takie proste — wystarczyłoby go zawołać.

Jego plecy sztywnieją. Czyżby słyszał te wszystkie myśli tłukące mi się po mózgu?

Odsuwam się od okna.

Mówię sobie, że nie chcę się czuć lepiej. W tym wszystkim nie powinno być szczęścia ani pociechy. Chcę być zdruzgotana. Więc odwracam się od Christiana i idę do łazienki, żeby przebrać się w piżamę. Kiedy wychodzę, ignoruję jego obecność, bo on ciągle tam jest. Pewnie przemarzył na kość, ale wyrzucam tę myśl z głowy. Kładę się do łóżka, plecami do okna, i wreszcie przychodzą łzy — spływają mi po twarzy, do uszu, na poduszkę. Leżę tak bardzo długo, może godzinami, i kiedy wreszcie czuję, że zasypiam, wydaje mi się, że słyszę trzepot skrzydeł Christiana, gdy odlatuje.

## 10. Nieobecność pewności

Zamykam podręcznik fizyki — już trzy razy tego ranka bezskutecznie próbowałam rozwiązać zadanie z zasady Heisenberga. To by było na tyle, jeśli chodzi o dobre oceny. Zresztą, kogo obchodzą oceny? Udało mi się przynajmniej złożyć wreszcie podania na uczelnie, ugięłam się nawet pod naciskiem Angeli i złożyłam podanie do Stanforda, choć wciąż uważam, że mam marne szanse, niezależnie od tego, co mówi mama.

Może w ogóle nie powinnam iść na studia. Przecież kiedy mama umrze, Jeffrey akurat skończy piętnaście lat, i chociaż zgodził się na pomysł, żeby Billy była naszą opiekunką, mnie też będzie potrzebował, prawda? Będę jego jedyną rodziną.

Kładę się na łóżku i zamykam oczy. Dni zaczęły zlewać się ze sobą. Minęły tygodnie, od kiedy mama potwierdziła swój wyrok śmierci. Chodzę do szkoły, jakby nic się nie zmieniło. Wracam do domu. Odrabiam lekcje. Biorę prysznic, myję zęby i jakoś żyję. Mieliśmy parę spotkań Klubu Aniołów, ale teraz to już nie wydaje się takie ważne. Jeffrey w ogóle przestał przychodzić. A ja przestałam tak bardzo się starać przywołać chwałę, skoro już wiem, że i tak niewiele mogę zrobić. Nie mogę uratować matki. Mogę tylko snuć się przez tę namiastkę życia jak zombie. Tucker i ja byliśmy na paru podwójnych randkach z Wendy i Jasonem, i staram się udawać, że wszystko jest w porządku, wszystko jest normalnie. Ale czuję się, jakby ktoś włączył guzik pauzy i zamroził mi życie.

Moja mama umiera. Trudno myśleć o czymkolwiek innym. Jakaś część mnie ciągle nie wierzy, że to prawda.

Coś uderza w moje okno. Przestraszona otwieram oczy. Po szybie zjeżdża grudka śniegu. Potrzebuję sekundy, żeby zaskoczyć: ktoś rzucił mi w okno śnieżką.

Podbiegam i otwieram okno w chwili, kiedy druga śnieżka szybuje w powietrzu. Muszę się uchylić, żeby nie dostać w głowę.

— Ej! — krzyczę.

— Przepraszam. — To Christian. Stoi na podwórku. — Nie celowałem w ciebie.

— Co tu robisz? — pytam.

— Próbuję ściągnąć twoją uwagę.

Patrzę kawałek dalej, na podjazd, i widzę jego błyszczącego czarnego pickupa.

— Czego chcesz?

— Przyszedłem cię wyciągnąć z domu.

— Dlaczego?

— Bo siedzisz tu cały tydzień i się zamartwiasz — mówi, patrząc na mnie spod zmrużonych powiek. — Potrzebujesz się wyrwać. Potrzebujesz się trochę zabawić.

— I ty wyznaczyłeś się do roli zabawiacza.

Uśmiecha się.

— I owszem.

— To dokąd mnie zabierasz? Oczywiście zakładając, że całkiem zwariowałam i z tobą pojedę.

— Na górę, oczywiście. — Na górę. Jakby była tylko jedna. Ale kiedy to mówi, moje serce automatycznie zaczyna bić szybciej.

Bo doskonale wiem, co ma na myśli.

— Odkurzaj sprzęt — mówi. — Jedziemy na narty.

Okej, no więc nie potrafię sobie odmówić nart. To mój narkotyk. Tym sposobem jakąś godzinę później siedzę na wyciągu obok Christiana, sse wiśniowego jolly ranchera i jadę nad zaśnieżonym stokiem, patrząc na narciarzy zjeżdżających zygzakiem z góry. Ta wysokość, to zimne powietrze na twarzy i szuranie nart o śnieg uderza mi do głowy. Jest bosko.

— No, jest — mówi Christian, patrząc na mnie z niejakim podziwem.

— Co jest?

— Uśmiech. Zawsze się uśmiechasz, kiedy jeździsz na nartach.



— Skąd wiesz? — rzucam wyzywająco, choć wiem, że to prawda.

— Obserwowałem cię w zeszłym roku.

— No cóż, a kiedy ty się ścigasz, tak zabawnie wykrzywiasz usta.

Robi zszokowaną minę.

— Nieprawda.

— Prawda. Ja też cię obserwowałam.

Kółka wyciągu grzechoczą, kiedy nasze krzeselko mija wieżę; paru narciarzy pokrzykuje do siebie na dole. Odwracam się od badawczych, zielonych oczu Christiana. Przypominam sobie zeszły rok, kiedy wydało mi się magicznym zrządzeniem losu, że wylądowałam z nim na wyciągu i mogłam z nim tak naprawdę porozmawiać po raz pierwszy.

Teraz nie chcę rozmawiać.

Christian wyczuwa, że się wycofuję, a może czyta mi to w głowie.

— Możesz ze mną porozmawiać, Claro.

— Nie byłoby prościej, gdybyś podsłuchał moje myśli?

Jego twarz pochmurnieje.

— Nie podsłuchuję twoich myśli kiedy mi się zachce.

— Ale mógłbyś.

Wzrusza ramionami.

— Jeśli chodzi o ciebie, mój dar jest nieprzewidywalny.

— To niesamowite, że cokolwiek w twoim życiu może być nieprzewidywalne — mówię.

Odwraca głowę i strząsa śnieg z nart. Patrzymy, jak grudki spadają na ziemię.

— Czytanie myśli nie jest takie fajne, jak się wszystkim wydaje. No bo jak by ci się podobało, gdybyś idąc szkolnym korytarzem, dokładnie wiedziała, co wszyscy o tobie myślą?

— Byłoby do bani.

— Ale z tobą jest inaczej — mówi. — Czasami po prostu rozmawiasz ze mną, nawet jeśli nie wiesz, że to robisz. Nie wiem, jak to wyłączyć. I właściwie nie chcę.

— Ale to nie fair. Ja nigdy nie wiem, co ty myślisz. Jesteś Panem Tajemniczym, który wie o wszystkim więcej niż ja, ale mi nie mówi.

Christian przez chwilę obserwuje wyraz mojej twarzy i w końcu mówi:

— Twoje myśli na mój temat w większości przypadków sprowadzają się do jednego: chcesz, żebym sobie poszedł.

Wzdycham.

— Christian.

— Jeśli chcesz wiedzieć, co mi chodzi po głowie, to po prostu pytaj — mówi. — Ale ja odnoszę wrażenie, że wcale nie chcesz tego wiedzieć.

— Nieprawda, chcę wiedzieć wszystko — protestuję, choć to nie do końca prawda. Bo nie chcę wiedzieć, jak wyglądałaby nasza przyszłość, gdybym nie wybrała Tuckera. Nie chcę czuć tego, co zawsze przy nim czuję: dezorientacji, lęku, podniecenia, wyrzutów sumienia, pragnienia, skrępowania i do tego jeszcze wszystkiego, co czuje on. Mam wrażenie, że potrafi w jakiś magiczny sposób włączać moją empatię, i nawet jeśli to prawda, to nie chcę tego wiedzieć. Nie chcę go potrzebować. — Na litość boską, chcę wiedzieć, na czym miało polegać moje zadanie — ciągnę. — Dlaczego ktoś nie może mi po prostu powiedzieć: to jest twoje zadanie, idź i je wykonaj? Czy wymagam aż tak wiele? Albo, na przykład, gdzie był mój brat tamtej nocy w lesie? O co chodzi z tajemniczym chłopakiem Angeli? Chcę też wiedzieć, dlaczego Czarne Skrzydło jest zakochany w mojej matce i na czym polegało jej zadanie, i dlaczego ciągle, nawet kiedy jest umierająca, nie chce mi nic powiedzieć na ten temat, i jeśli mi powiesz, że to dla mojego bezpieczeństwa czy coś w tym stylu, to chyba cię zrzucę z wyciągu. I czy to wszystko to jest jakaś kara za niewykonanie zadania? I znów wracamy do pytania, na czym polega to moje przekłete zadanie? Bo bardzo, bardzo chciałabym to wiedzieć.

Christian kręci głową.

— Łał.

— Mówiłam ci.

— Więc Angela ma tajemniczego chłopaka... — mówi.

— Kurde, nie powinnam ci tego mówić.

— Fakt, nie powinnaś. Brawo — dodaje ze śmiechem. — Ale nie wygadam się. Chociaż przyznaję, że teraz jestem dość zaintrygowany.

Jęczę.

— Nie potrafię dochowywać tajemnic.

Christian spogląda na mnie.

— Nie wydaje mi się, żeby ktoś cię karał.

— Nie?

— Oj, ja nie wiem nawet, na czym polega moje zadanie — mówi i jego głos łagodnieje. —

Ale wiem, że gdybyś nie miała swojej wizji o pożarze, nie przyjechałabyś do Wyomingu. Nie siedzielibyśmy teraz na tym wyciągu. Gdyby mama wcześniej powiedziała ci o kongregacji, byłabyś na poprzednim zjeździe, tym, na którym ja byłem, i dowiedziałibyśmy się o sobie jeszcze przed pożarem. Wszystko byłoby inaczej. Zgadzasz się?

Tak, byłoby inaczej. Wiedzielibyśmy, że nie mamy ratować się nawzajem.

Wiedzielibyśmy, że nasze spotkanie w lesie ma służyć czemuś innemu. I co by z tego wyszło? Czy wiedząc to, mimo wszystko poleciałabym ratować Tuckera?

— Mam wrażenie, że to test. — Odchyłam się na krzeselku i spoglądam na chmury. — Że to wszystko jest jeden długi egzamin, a ta wizja z cmentarzem to kolejne pytanie. Chociaż nie wygląda na to, że mam w jakikolwiek sposób działać. Z pożarem przynajmniej wiedziałam, że mam coś zrobić.

— I co takiego miałaś zrobić? — pyta rozbawiony.

— Ratować ciebie. Tylko że wyszło na to, że wcale nie.

— Właśnie to jest najtrudniejsze — mówi Christian. — Ta nieobecność pewności.

To zdanie całkiem ładnie brzmi. Mogłoby być mottem mojego życia.

— Więc jeśli to test, co jest według ciebie jego rozwiązaniem? — pyta.

Ty, myślę, rozwiązaniem masz być ty. Ale nie mówię tego na głos. Chyba ciągle walczę z przeznaczeniem, nawet teraz, kiedy już wiem, że to mama umiera, a nie Tucker. Ciągle mam wrażenie, że ktoś każe mi wybierać między Christianem a Tuckerem.

— Nie mam pojęcia — odpowiadam w końcu.

— No dobra. W takim razie — mówi — chcesz mnie spytać o coś konkretnego? Nie mogę obiecać, że udzielę ci dobrej odpowiedzi, ale spróbuję.

Wypowiadam pierwsze zdanie, które mi przychodzi do głowy:

— Czy ty... kochasz Kay?

Odwraca głowę, patrzy na dolinę i miasto w dole, jeszcze raz delikatnie stuka nartą o nartę. Czuję do mnie niechęć za to pytanie.

*Przepraszam, myślę do niego.*

— Nie, to uprawnione pytanie — wzdycha. — Tak. Kochałem ją.

— To dlaczego z nią zerwałeś?

— Bo w końcu by się o mnie dowiedziała.

— Nie powiedziałaś jej?

On też odchyła się na krzeselku i prychna przez nos.

— Od samego początku wbito mi do głowy, że nie powinniśmy mówić tego ludziom. Jak twierdzi mój wuj, to szkodzi obu stronom. I ma rację. Nie da się być w prawdziwym związku z człowiekiem, bo prędzej czy później zauważy, że coś jest z tobą nie tak. A kiedy już zauważy, co dalej?

Nagle myślę o ojcu, który po rozwodzie wyprowadził się na drugi koniec kraju, co zawsze wydawało mi się dość ekstremalnym krokiem. Ale teraz przychodzi mi do głowy, że może dowiedział się, że mama nie jest normalna. Może dlatego nas zostawił. Może wuj Christiana ma rację. Może każdy związek z człowiekiem jest skazany na klęskę.

Kącik ust Christiana podjeżdża do góry.

— Cóż, pewnie mogliśmy sobie wybierać na partnerów totalnych głupoli.

— Kay nie jest głupia — mówię. Może jest straszną suką, może czasami zgrywa głupią na lekcjach, ale nie jest idiotką.

— Nie, Kay nie jest głupia — przyznaje Christian. — I w końcu doprowadziłaby do sytuacji, kiedy musiałbym jej powiedzieć. I cierpiałaby.

Przypominam sobie wieczór, kiedy Tucker się dowiedział — jego nieustanne pytania, szalone założenia. Nie odpuszczał, dopóki się nie ujawniłam.

— Rozumem — mówię cicho, patrząc na swoje rękawice.

— Więc jak dużo wie Tucker? — pyta Christian. — Bo on też nie jest głupi.

Zawstydzam mnie fakt, że Christian okazał się takim grzecznym, małym anielitą i postąpił jak trzeba, i dochował tajemnicy, czego nie da się powiedzieć o mnie. Jak zakochana szczeniara, impulsywnie, samolubnie powiedziałam o wszystkim człowiekowi. I naraziłam wszystkich na niebezpieczeństwo. A szczególnie Tuckera.

— Aż tyle? — mówi Christian.

— Powiedziałam mu... dużo.

— O mnie też?

— Tak.

Kiedy znów na mnie spogląda, jego oczy są o dobre dziesięć stopni zimniejsze niż przed minutą.

— Mówiłam ci. Nie potrafię dochowywać tajemnic — powtarzam.

— No cóż, o jednym mu nie powiedziałaś, i co, nie cieszysz się teraz?

Oczywiście mówi o moim śnie. Bo okazało się, że widuję w nim grób mamy, a nie Tuckera.

— Tak — przyznaję — chociaż nie wiem, czy „cieszę się” to odpowiednie słowa w tej sytuacji.

— Wiem. — Christian wkłada rękawice i klaszcze parę razy, co każe mi spojrzeć przed siebie. Krzeselko szybko zbliża się do szczytu góry.

— Dobra, ogłaszam koniec poważnych rozmów. Ściągnąłem cię tutaj, żebyś się zabawiła. — Poprawia pętle kijków na dłoniach. Ja robię to samo. Krzeselko dojeżdża na szczyt. Zadzieram czubki nart do góry, jak nauczył mnie Christian w zeszłym roku. Krzeselko zbliża się do ziemi, więc wstaję i odpycham się na bok, żartobliwie trącając Christiana ramieniem, kiedy z łatwością prześlizguję się obok niego. Jestem teraz dziewczyną spod znaku niebieskiego kwadratu, nie jestem już narciarskim żółtodziobem.

— Moje małe cudowne dziecko — mówi Christian z udawaną dumą. Ściąga gogle na oczy. Uśmiecha się szelmowsko. — No to wio!

Przez całe przedpołudnie prawie nie myślę o mamie. Christian i ja rysujemy kręte wzory na stoku, szusujemy na prawo i lewo, od czasu do czasu naruszając swoją bezpieczną strefę, zajeżdżając sobie drogę, wygłupiając się jak dzieciaki. Czasami się ścigamy i Christian pozwala mi się trochę wysforować do przodu, a potem włącza swoje superwyścigowe moce i zostawia mnie w chmurze śniegu, ale nigdy nie ucieka mi zbyt daleko. Jedzie moim tempem, dopasowując się do moich umiejętności. Doceniam to.

Potem zabiera mnie na nieprzetartą trasę, którą podobno uwielbia. Stajemy na szczycie i spoglądamy w dół. Znak na początku zjazdu przedstawia czarny romb — ta trasa nie jest po prostu trudna, jest ekstrastwierdza, tak trudna, że możesz zginąć, jeśli nie wiesz, co robisz. Patrę na nią wybałuszonymi oczami.

— Oj, no przestań, nie wymiękaj teraz, tchórze — wyzywa mnie Christian. — Jesteś anielitką. Jesteś praktycznie niezniszczalna, pamiętasz? To będzie pestka, uwierz mi.

Nigdy nie reaguję dobrze, kiedy ktoś nazywa mnie tchórzem.

Nie mówiąc ani słowa więcej, rzuca się w dół stoku z dzikim krzykiem. Przekonuję się, że nie bez powodu ktoś oznaczył tę trasę czarnym rombem. Po pierwsze, góra jest morderczo stroma. Po drugie, pokryta głębokim niemal do pasa sypkim puchem, który obciąża mi narty jak tona cegieł. Po jakichś trzydziestu sekundach totalnie tracę kontrolę. Po niecałej minucie zaliczam

glebę. Dosłownie zmiata mnie z nóg.

Christian podjeżdża do mnie, sypiąc śniegiem.

— Tak do twojej wiadomości, zaufałam ci ostatni raz w życiu — oświadczam.

— Ale jesteś taka urocza, cała utyłana w śniegu.

— Zamknij się i pomóż mi szukać narty.

Przez jakiś czas kopujemy w puchu, ale nie znajduję zgubionej narty. Po dziesięciu minutach bezowocnych poszukiwań jestem już przekonana, że góra ją zeżarła.

— Bardzo ci dziękuję, Christian.

— Nie martw się, może ją znajdą... jakoś latem — odpowiada, chichocząc.

Nie spodziewa się śnieżki, którą w niego rzucam. Kulka eksploduje sypkimi okruchami na jego piersi.

— Ej! — protestuje, patrząc w dół.

Rzucam kolejną wysokim łukiem. Ta trafia go prosto w głowę. Uups.

— Oj, sorka, naprawdę. Nie celowałam w... — Głos zamiera mi w gardle, kiedy Christian spokojnie wbija kijki w śnieg, schyla się, żeby odpiąć narty, które również ustawia na sztorc w zaspie.

— Co ty robisz?

— Przygotowuję się — odpowiada.

— Do czego?

— Do tego — mówi, po czym rzuca się na mnie z wrzaskiem.

Ja też wrzeszczę, kiedy mnie podnosi i wrzuca w śnieg.

— Nie za kurtkę! — krzyczę, kiedy upycha mi garść śniegu za kołnierz. Lodowata woda cieknie mi po szyi. Chwytam garść białego pyłu i rozsmarowuję mu na twarzy, odsuwając gogle, a potem używam anielskiej siły, żeby zrzucić go z siebie; przewracam go na plecy i blokuję mu nogi swoimi. Próbuje mnie powstrzymać, ale bez skutku; w końcu udaje mi się przygwoździć mu ręce i wepchnąć parę kulek śniegu za kołnierz jego kurtki. Pieję zwycięsko. — Poddaj się — rzucam ze śmiechem.

Uśmiecha się, patrząc na mnie z dołu.

— Okej.

O.

Nieruchomieję. Oboje dyszymy ciężko, śnieg klei się nam do włosów, topnieje na ubraniach. Patrzę na niego. Otacza nas białe, falujące morze. Oczy Christiana przepelnia złociste ciepło. Pozwala mi na to. Jest równie silny jak ja, może nawet silniejszy, ale dał się pokonać.

Na ułamek sekundy wsysa dolną wargę do ust, żeby ją zwilżyć — ten ruch jest tak szybki, że ledwie dostrzegalny.

Wystarczy, że zamknę oczy i poddam się chwili.

*Spróbuj*, mówi mi bez słów, tak cicho, że jego myśl jest jak muśnięcie piórka. *Przekonajmy się, co będzie dalej.*

Ale on też się waha; czuję to.

Zsuwam się z niego niezgrabnie i ze wszystkich sił staram się udawać, że to, co się prawie stało, wcale się prawie nie stało. Christian siada i zaczyna otrzepywać śnieg z ramion. Nagle od strony szczytu dobiega nas czyjś grzmiący głos. Narciarski patrol.

— Wszystko w porządku tam na dole?

— Tak! — odkrzykuje Christian. — Nic nam nie jest. — Patrzy na mnie i wyraz jego twarzy zmienia się nagle. — Znalazłem — mówi, sięgając w śnieg obok siebie. — Była tu przez cały czas.

— Co? — pytam trochę półprzytomnie.

— Twoja narta.

No tak. Narta.

— Zdaje się, że się dobrze bawiłaś — mówi Tucker, na którego wpadam w ogrzewalni podczas lunchu. Czuję, że policzki mi płoną i przez chwilę nie mogę złapać oddechu, chociaż

staram się udawać spokój. Christiana na szczęście nie ma — poszedł nam kupić coś do jedzenia.

— Tak, rzeczywiście, była niezła zabawa — odpowiadam w końcu. — Chyba już wiem, co robię. Na stoku, znaczy. Solidny niebieski kwadrat. Ale chyba jeszcze nie dorosłam do czarnych rombów.

Tucker uśmiecha się szeroko.

— Cieszę się, że w końcu postanowiłaś wyjść z domu. W ogóle nie używasz tego wypasionego biletu sezonowego, który mama kupiła ci pod choinkę. — W jego ustach to poważne oskarżenie. Bilet sezonowy to ponad dwa tysiące zielonych. Nie korzystać z niego to jakby spalić te pieniądze w kominku. Zbrodnia.

— No cóż, ostatnio nie byłam w nastroju.

Natychmiast zmienia tryb na superwspierającego chłopaka.

— Wszystko dobrze? — pyta. — Jak twoja mama?

— Nieźle. Może tyle, że wszystko ją trochę bardziej męczy.

— Gdybym mógł cokolwiek zrobić, wołaj — mówi. — Jestem cały dla ciebie.

— Dzięki.

— Chcesz potem pojeździć? Do czwartej uczę maluchy, ale potem możemy trochę porzeźbić tę górkę. Założę się, że mógłbym cię jeszcze nauczyć paru rzeczy.

— Brzmi świetnie, ale...

— Pewnie musisz wracać do domu, do mamy — zakłada ze współczuciem w oczach.

— Nie, tylko...

W tej chwili za plecami Tuckera pojawia się Christian z tacą.

— Przepraszam, że tak długo to trwało. Nałożyłem wszystkiego — mówi, wskazując głową mojego cheeseburgera. — Nie wiedziałem, co lubisz.

Tucker odwraca się, patrzy na Christiana, na jedzenie i znów na Christiana.

— Nie lubi cebuli — mówi. Odwraca się z powrotem do mnie. — Przyszłaś tu z nim?

— Ehm, zaprosił mnie i pomyślałam, że to dobry pomysł. Potrzebowałam się na chwilę wyrwać z domu.

Tucker kiwa głową, zamyślony, a ja nagle czuję, że moje włosy są jeszcze mokre od stopionego śniegu, policzki zaczerwienione, i to nie tylko z zimna.

Weź się w garść, Clara, mówię sobie. Nic się nie wydarzyło. Ty i Christian jesteście przyjaciółmi i Tucker to rozumie, i nie ma nic złego w jeźdzeniu na nartach z przyjacielem. Nic się nie wydarzyło.

*Przepraszam*, mówi Christian w mojej głowie. *Masz przeze mnie kłopoty, co?*

*Nie. Wszystko jest dobrze*, odpowiadam, potwornie zawstydzona, że słyszy w tej chwili, co myślę, odbiera moje poczucie winy.

— Szczerze mówiąc, trochę się bałam ją zaprosić — mówi Christian do Tuckera.

Tucker zakłada ręce na pierś.

— Tak?

— Jeździłem z nią w zeszłym roku i o mało nie zabiła nas obojga.

*Ej*, protestuję milcząco. *To nieprawda. Nie mów mu takich rzeczy.*

— No co, nie zaprzeczaj — rzuca Christian pod moim adresem.

— To był mój pierwszy raz na wyciągu. Odpuść mi trochę — odpowiadam z irytacją.

— Właśnie mi się chwaliła, że już jest o wiele lepsza — mówi Tucker.

— Zabrałem ją na Dog Face — przyznaje się Christian. — Żałuj, że nie widziałeś, jak ją przemielilo. Mega.

— Ach tak? Nie wiedziałem, że się wywaliła — mówi Tucker.

Ta rozmowa jest jak zderzenie pociągów.

— Zgubiła pół sprzętu — ciągnie Christian. — Niezła gleba.

— Halo! Ja tu stoję. — Uderzam go pięścią w ramię.

— To było naprawdę za...

— Wcale nie było zabawnie — przerywam mu. — Było zimno.

— Podobno masz być odporna na zimno — odpowiada Christian. — To niezły trening.

— Jasne. Mhm. — Próbuję się nie uśmiechać. — Trening.

— Na pewno było fajnie — mówi Tucker. Spogląda na zegarek. — Okej, to ja muszę lecieć. Niektórzy z nas pracują. — Schyla się i całuje mnie w policzek, co wychodzi nam trochę niezręcznie z narciarskimi butami i w pełnym zimowym rynsztunku, ale jakoś nam się udaje. — To co, spotkamy się o czwartej na dole oślej łączki? Mogę cię odwiedzić do domu, jeśli Chris nie ma nic przeciwko.

— Spoko — mówi Christian, jakby w ogóle go to nie ruszało. — O czwartej jest cała twoja. Czyli mamy ile, jeszcze ze trzy bite godziny jeżdżenia?

— Świetnie — rzuca Tucker. Zwraca się do mnie: — Postaraj się nie zrobić sobie krzywdy, okej?

Tucker prawie się nie odzywa w czasie jazdy do domu.

— Dobrze się czujesz? — pytam; wiem, że to najgłupsze pytanie pod słońcem, ale nie mogę się powstrzymać. Ta cisza mnie dobija.

Nagle zjeżdża na pobocze i wyłącza silnik starego auta z farmy.

— Kończycie za siebie zdania. — Odwraca się i patrzy na mnie z milczącym oskarżeniem w oczach. — Ty i Christian. Kończycie nawzajem swoje zdania.

— Tuck. To nic wiel...

— Owszem, to jest wielkie. To jest coś więcej. Zupełnie jakbyście czytali sobie w myślach. Kładę mu dłoń na ramieniu, szukam właściwych słów.

— On sprawiał, że się uśmiechałaś — mówi cicho, znów nie patrząc mi w oczy.

— Jesteśmy przyjaciółmi — mówię.

Zaciska zęby.

— Jesteśmy w jakiś sposób związani — przyznaję. — Zawsze byliśmy. To przez nasze wizje. Ale jesteśmy tylko przyjaciółmi.

— I co, spotykasz się z nim jak z przyjacielem? Poza tym anielskim klubem Angeli?

— Zdarzyło się parę razy.

— Parę razy? — powtarza powoli. — Znaczą ile? Trzy? Cztery?

Obliczam w głowie, ile razy zjawił się na dachu mojego domu.

— Może pięć. Sześć. Nie liczę tego, Tuck.

— Sześć — mówi. — No widzisz. To więcej niż „parę”. Powiedziałbym, że to już raczej „całkiem sporo”.

— Tucker...

— I nie powiedziałaś mi o tym, bo...?

Wzdycham.

— Nie powiedziałaś ci, bo nie chciałam, żebyś był...

Nie jestem w stanie tego wymówić.

— Zazdrosny — kończy za mnie. — Nie jestem.

Opiera się w fotelu, na moment zamyka oczy i wypuszcza długi oddech.

— Chociaż, wiesz co? Jestem zazdrosny jak wariat.

Otwiera oczy i patrzy na mnie ze zdziwionym rozbawieniem.

— Rany. Nie chcę być takim facetem. Przez całe popołudnie niewiele brakowało, żebym rozwalil szafkę jak jakiś Hulk. To pewnie bardzo atrakcyjne, co?

Nie potrafię stwierdzić, czy mówi poważnie, więc zachowuję się, jakby żartował.

— Prawdę mówiąc, dość urocze na swój jaskiniowy sposób. A w zieleni byłoby ci do twarzy.

Patrzy na mnie spokojnie.

— Ale nie możesz mieć mi tego za złe. Napalalaś się na Prescottta przez cały zeszły rok.

— Tylko dlatego, że myślałam, że jest moim... — Znów nie mogę tego wypowiedzieć.

— Przeznaczeniem — mówi Tucker. — Dlaczego nie jest mi od tego ani trochę lepiej?

— Widzisz? I kto teraz kończy za mnie zdania? Christian i ja jesteśmy przy-ja-ciół-mi — powtarzam uparcie. — przyznaję, że w zeszłym roku miałam lekką obsesję na jego punkcie. Ale to

było tylko wyobrażenie. Nawet go nie znałam. A ty jesteś w realu.

Śmieje się.

— Jestem w realu — rzuca drwiąco, ale widzę, że mu się to podoba.

— Christian to moja przeszłość. Ty jesteś moją przyszłością.

Teraz gadam tekstami z filmów.

— Jesteś mój tu i teraz — mówię szybko, i to nie brzmi ani trochę lepiej.

Unosi kącik ust, próbując się uśmiechnąć.

— Kurczę, Karotko, czy ty właśnie powiedziałaś, że mam być twój tu i teraz?

— Wybacz.

— Rany, ty to masz gadane. Zamilknij, moje serce.

— Nie o to mi chodziło.

— Więc ty i Prescott jesteście przyjaciółmi. Bardzo zaprzyjaźnionymi przyjaciółmi. W porządku. Mogę z tym żyć. Ale powiedz mi jedną rzecz: czy coś zaszło między tobą i Christianem, tak w realu, nie w wizjach, nie w wyobrażeniach tych twoich anielitów, tylko w prawdziwym życiu. Nawet zanim zaczęliśmy ze sobą chodzić. Powinienem o czymś wiedzieć?

Uch... chyba już ustaliliśmy, że nie najlepiej umiem kłamać. W większości przypadków, kiedy mam wybór między przyznaniem się do prawdy a wymyśleniem jakiejś ściemy — nawet jeśli mam dobry powód, jak ochrona moich bliskich czy ukrycie przed światem anielskich spraw — drętwieję, twarz robi mi się jak z drewna, zasycha mi w ustach. Innymi słowy, zatyka mnie. I dlatego w tej chwili zaskakuję samą siebie, kiedy spoglądam w bezbronne niebieskie oczy Tuckera, w te oczy, które mówią „kocham cię, ale chcę wiedzieć prawdę, choćby najbardziej bolesną”, i mówię spokojnym, pewnym głosem:

— Nie. Nic nie zaszło.

I on mi wierzy.

W tym momencie czuję smutek. Ledwie przebłysk, który mija po kilku uderzeniach serca, tak szybko, że Tucker nie zauważa samotnej łzy, która spływa mi po twarzy.

Tym razem nawet nie biorę pod uwagę, że to może być Czarne Skrzydło. To ja.

Ocieram łzę.

## 11. Nadciągająca burza

Rok temu, kiedy stopniał śnieg, wspaniale było chować do szafy zimowe kurtki, wdychać zapach nowej ziemi i czuć pierwsze podmuchy ciepła powracającego do doliny. Ale w tym roku widok śniegu kapiącego z dachu, kielków wychylających się z kwiatowych klombów, zielonych listków rozwijających się na osikach przepelnia mnie zgrozą.

Jest wiosna. Gdzieś między tym dniem a latem moja matka odejdzie na zawsze.

W ostatnim śnie jestem na cmentarzu, wspinam się po zboczu między grobami w słoneczny dzień. Patrzę na ludzi dookoła i dociera do mnie, że to głównie członkowie kongregacji. Walter z chustką w dłoni. Billy, która w ogóle nie wygląda na smutną, jest wręcz wesoła, i uśmiecha się do mnie, kiedy spoglądam jej w oczy. Pan Phibbs w szarej tweedowej marynarce. Są też inni, których nie znam, anieli z innych części świata, ludzie, z którymi moja mama żyła i pracowała podczas swoich stu dwudziestu lat na tej ziemi.

Teraz wydaje się takie oczywiste, że chodziło o mamę. Dlaczego nie widziałam tego od początku?

Odpowiedź jest prosta: bo nie ma tutaj Tuckera. Nigdy. W żadnej z wizji. I tym razem też nie. Próbuje ignorować narastające poczucie zdrady, bo nie ma żadnego dobrego powodu, który usprawiedliwiłby jego nieobecność na pogrzebie mojej matki. Tucker nie umiera, co przyjmuję z wielką ulgą. Ale jego tutaj nie ma.

Gdyby tylko cokolwiek w tej wizji podpowiedziało mi, co mam robić, jakie działania mam podjąć, gdybym mogła zrozumieć, jaki cel ma to wszystko, w jaki sposób mam się przygotować, planować, trenować, tak jak to robiłam przed pożarem lasu. Ale ten sen nie każe mi niczego robić — mam tylko czekać na największą stratę w moim życiu. Czuję się jak owad pod gigantycznym butem Boga, i sen mówi mi tylko, że mam tu być, stać w miejscu i czekać, aż but mnie zmiążdży.

Jeśli kiedykolwiek zdarzy mi się spotkać Boga, tak jak opowiadała mama, to będzie mi się musiał solidnie wytłumaczyć. Bo to jest po prostu wredne.

We śnie docieramy do miejsca niedaleko szczytu wzgórza. Tutaj wszyscy się zatrzymują. Ja idę dalej, jakbym była pod wodą, powoli przestawiam nogi. Kiedy tłum się rozstępuje, żeby mnie przepuścić, coś zaczyna we mnie zamarzać. Przestaję oddychać, pokonując ostatnie stopnie. Myślę: nie chcę tego widzieć.

Ale widzę, i nic nie mogło przygotować mnie na widok trumny — drogiej, błyszczącej, w kolorze mahoni, zasypanej masą białych róż.

W tej chwili przychodzi mi do głowy przedziwna myśl. Nie potrafię odróżnić, czy to myślę ja, czy Clara z przyszłości, ale myślę: czy mama osobiście wybrała tę trumnę? Jest taka w jej stylu. Wyobrażam ją sobie na trumnowych zakupach, jak chodzi po sali wystawowej i ogląda trumny tak, jak ogląda zabytkowe meble, ocenia, i wreszcie spogląda na sprzedawcę, wskazuje jedną z nich i mówi: „Wezmę tę”. Tę.

Wzrok mi się mąci. Chwieję się na nogach. Christian nagle puszcza moją dłoń. Podchodzi jeszcze bliżej, obejmuje mnie w talii, podtrzymuje. Potem jego dłoń, tym razem prawa, znów chwyta moją. Ścisza ją przelotnie.

*Potrzebujesz usiąść?* — pyta łagodnie w mojej głowie.

Nie, odpowiadam. Znów widzę wyraźnie. Patrzę na Jeffreya, który wpatruje się w trumnę tak intensywnie, że boję się, iż podpali ją wzrokiem; zaciska pięści u boków. W pierwszej chwili chcę patrzeć gdziekolwiek, byle nie na trumnę, i kiedy to robię, kiedy wiodę spojrzeniem dookoła, widzę tylko ludzkie twarze, badawcze oczy, współczujące miny. Zmuszam się, by skupić wzrok na pojedynczej białej róży. Światło sący się spomiędzy drzew pod kątem i promień pada na ten jeden mały pączek róży, który ledwie zaczyna otwierać płatki pałające idealną, świetlistą bielą.

A potem przychodzi smutek — fala rozpaczony tak żarliwej, że z trudem tłumię w gardle zdławiony szloch. Czuję się dziwnie oderwana od tego wszystkiego, jakbym odpływała. Ktoś staje po drugiej stronie trumny, odchrząka. To rudowłosa mężczyzna o poważnych orzechowych oczach. Dopiero po sekundzie przypominam sobie jego imię. Stephen. Duchowny czy coś. Patrzy mi w oczy.



*On chce wiedzieć, czy jesteś gotowa, mówi Christian w moich myślach.*

*Gotowa?*

*Żeby zaczął.*

*Tak. Proszę.*

Stephen z powagą kiwa głową.

— Drodzy przyjaciele — zaczyna.

W tej chwili się wymeldowuję. Nie chcę słyszeć, co mówi Stephen z tym swoim lekkim irlandzkim zaśpiewem. Na pewno mówi dobre rzeczy o mojej mamie. O jej inteligencji. Jej dobroci. Jej sile. Wypowiada słowa, które nie są w stanie jej opisać.

Skupiam się na róży.

Smutek narasta, rozlewa się we mnie jak zamrożone jezioro. Niedługo opuszczą trumnę do dołu. Zasypią ją ziemią. Moja piękna, ognista, słodka Meg odejdzie na zawsze...

Serce bije mi żywiej. To nie przypomina napadów smutku, które miewałam wcześniej. To są słowa, i to nie moje słowa. Nie mój smutek, nie moje uczucia.

A jednak jest tutaj Czarne Skrzydło.

Samjaza.

Nagle jestem superświadoma wszystkiego dookoła. Czuję wietrzyk na nagich ramionach. Słyszę ptaki śpiewające gdzieś daleko na drzewach. Czuję sosny, róże, dzikie kwiaty. Przepatruję wszystkie twarze wokół mnie — niektóre z nich odpowiadają smutnym spojrzeniem — ale nie widzę Samjazy. Jego uczucia docierają do mnie głośno i wyraźnie. To on. Jestem tego pewna. Obserwuje nas z daleka i nie może znieść tego, że nam wolno zgromadzić się tak blisko jej grobu, żeby pożegnać ją w jej ostatnich chwilach na ziemi. Kochał ją, myśli. Kochał ją i jest wściekły, że ją stracił, choć czekał na nią tyle lat. Nienawidzi nas. Gdyby jego nienawiść była słońcem, spaliłaby nas wszystkich na popiół.

— Okej, kochani, uspokójmy się — mówi Billy, rozglądając się po kręgu anielitów zebranych wokół ogniska na łące. — To naprawdę nic wielkiego.

— Nic wielkiego?! — wykrzykuje kobieta z drugiej strony kręgu. — Przecież ona nam powiedziała, że Czarne Skrzydło będzie na pogrzebie Maggie.

— Może się myli. Czarne Skrzydła nie mogą wchodzić na cmentarze. To uświęcona ziemia — mówi ktoś inny.

— Ale czy Aspen Hill jest uświęcony? To nie jest tradycyjny cmentarz. Nie ma tam nawet kaplicy.

— Jest uświęcony. Inni nasi bracia i siostry są tam pochowani — mówi Walter Prescott.

Christian patrzy mi w oczy nad migotliwymi płomieniami.

*Ja tego nie zmyśliłam, posyłam mu, kiedy niemal cała kongregacja znów zaczyna się klócić. On tam był.*

*Wierzę ci.*

— Kochani, proszę. — Billy unosi rękę i, o dziwo, wszyscy zaczynają się uspokajać. Uśmiecha się z pewnością Xeny, wojowniczej księżniczki. — Mówimy tylko o jednym Czarnym Skrzydle, i to o Samjacie, który najprawdopodobniej przyjdzie tam opłakiwać Maggie, a nie walczyć. Wszyscy tam będziemy. Poradzimy sobie.

— Ja muszę myśleć o swoich dzieciach — mówi sztywno jakaś kobieta. — Nie narażę ich na niepotrzebne niebezpieczeństwo.

Billy wzdycha. Wiem, że ledwie się powstrzymuje, żeby nie przewrócić oczami.

— To ich nie przyprowadzaj, Julio.

— A poza tym może ich być więcej — stwierdza ktoś głośno. — To niebezpieczne.

— Zawsze jest niebezpiecznie — rozlega się zdecydowany głos. Znów Walter Prescott. — Czarne Skrzydła mogą przyjść po każde z nas w dowolnej chwili. Nie udawajmy, że jest inaczej.

Mama spogląda znacząco na Waltera.

— Jak dawno to było? — pyta Julia, ta kobieta z dziećmi. — Kiedy ostatnio miałaś kontakt z Samjazą?

— Już to przerabialiśmy. Nie widziałam go od pięćdziesięciu lat, dopóki nie zjawił się zeszłego lata — mówi mama.

— Kiedy to wpadł na twoją córkę na Static Peak — dodaje ktoś. — I broniłaś się, używając chwały.

— Zgadza się.

Więc wszyscy o tym wiedzą. Zupełnie jakby istniał jakiś anielicki tabloid, a my wylądowałyśmy na jego okładce. Jakimś cudem czuję się winna — gdyby nie moje zadanie, gdybym nie latała tego dnia nad górami, szukając pożaru, nie prowadzilibyśmy teraz nieprzyjemnej rozmowy o upadłych aniołach i o tym, gdzie jest najmniej niebezpiecznie.

— Mówiłaś, że twoim zdaniem nie wróci szybko — rzuca oskarżycielsko Julia. — Mówiłaś, że jest ranny.

Więc jednak nie do końca traktują moją mamę z szacunkiem, myślę. Ale teraz wszystko jest jasne. To wcześniej to nie był szacunek. To była litość. Wszyscy wiedzieli, że niedługo umrze, i traktowali ją, jakby się bali, że się stłucze. Nie traktowali jej jak przywódczyni. Traktowali ją jak staruszkę. Ale teraz, kiedy jej śmierć może się dla nich okazać niebezpieczna czy niewygodna, to wszystko poszło w niepamięć.

— Bo był — odpowiada mama bez zająknięcia. — Udało mi się go chwycić, kiedy byłam w chwale, i urwałam mu ucho. Sądziłam, że jest zbyt próżny, by się pokazać, dopóki nie wyzdrowieje do końca.

I znów to samo — nie chce im opowiedzieć, co naprawdę wydarzyło się tego dnia. To kłamstwo w żywe oczy. Posyłam jej ostre spojrzenie, ale nawet na mnie nie patrzy.

— A więc wyzdrowiał — mówi Julia.

— Nie wiem — przyznaje mama. — Wiem tylko tyle, że Clara czuje jego obecność na cmentarzu.

Wszystkie oczy znów zwracają się na mnie.

— Jesteś pewna — mówi Walter, i to nie jest pytanie — że czułaś smutek Czarnego Skrzydła, a nie tylko rozpacz z powodu...

— Śmierci mojej matki? — kończę za niego, zaskakując samą siebie spokojnym tonem mojego głosu. — Nie. To był on.

Przez minutę czy dwie nikt się nie odzywa.

— Więc powiedz nam, Claro. — I znów Walter. Jego oczy są tak podobne do oczu Christiana: głębokie, szmaragdowe jeziora, wycelowane we mnie, jakby chciał wyłuskać tę informację wprost z mojej głowy. — Co czułaś w tym śnie na cmentarzu? Co on dokładnie czuł?

— Smutek — odpowiadam powoli. Nie chcę narobić mamie kłopotów czy jeszcze bardziej jej zawstydzić, mówiąc im, że Samjaza jest w niej zakochany.

— Po prostu im powiedz — mówi mama. — Nie martw się o mnie.

No dobrze. Zamykam oczy, wracam do tego momentu we śnie i próbuję na nowo uchwycić jego uczucia.

— Czuję smutek. Samotność. Ból. I macie rację, z początku myślałam, że to moje uczucia. Ale potem zaczęłam czuć jego desperację. Wie, że już nigdy nie zobaczy mamy. Nie może pójść tam, dokąd ona odeszła. Stracił ją na zawsze. Nidy nie miał szansy się wytłumaczyć. Przeprosić.

— W takim razie powinien próbować przeprosić zeszłego lata — mówi gniewnie Billy. — Zamiast próbować ją udusić.

Mama patrzy na nią ze smutną, błagalną miną, i Billy milknie.

— Rzecz w tym — mówię dalej — że on jest wściekły. Szczególnie na niektórych z nas.

— Na kogo? — pyta Julia.

— Cóż, przede wszystkim na mnie. Uważa mnie za bezczelnego bachora. Upokorzyłam go. Powiedziałam rzeczy, które go zraniły. — Wstrząsa mną dreszcz. — Chce mnie unicestwić.

Przypominam mu o...

— Na kogo jeszcze? — ponagla mnie mama. — Powiedz im, na kogo jeszcze.

— Na pana Phibbsa... znaczy, Corbetta. Z jakiegoś powodu strasznie cię nienawidzi.

— Miło mi to słyszeć — mówi ponuro pan Phibbs.

— Za Billy też nie przepada. Ani za tobą, Walterze.

Billy prycha.

— Powiedz nam coś, czego nie wiemy.

— Dlatego pomyślałam, że powinniście to wiedzieć. Żebyście zdecydowali, czy warto ryzykować przyjscie na mój pogrzeb — mówi mama.

— Och, wszyscy tam będziemy — upiera się Billy. — Jak powiedziałam, poradzimy sobie z Samjazą. Nie zaatakuję czterdziestu osób.

Reszta grupy nie jest tego taka pewna.

— Wszyscy tam będziemy — powtarza Billy, jakby wyzywała każdego, kto chciałby się jej sprzeciwić. — Musimy się wspierać.

Mama wzdycha zirytowana.

— Bill, ja nie będę nikogo wspierać. Mnie tam nie będzie. Bardzo miło, że chcecie mnie pożegnać, ale to naprawdę nie jest konieczne. Nie warto ryzykować, jeśli chcesz znać moje zdanie.

Billy bez zmrużenia oka odwraca się do mojej mamy — do mojej pogodnej, umierającej matki, która nie miałaby siły dojść tutaj bez naszej pomocy, ledwie jest w stanie utrzymać się w pionie na siedząco — i patrzy na nią jak na totalną idiotkę.

— Mags, skarbie — mówi. — Ja to wiem. I nie będziemy tam dla ciebie. Będziemy tam dla Clary. Dla Jeffreya. Dla wszystkich, którzy cię kochają. I jeśli będzie tam Czarne Skrzydło, to tylko jeszcze jeden powód, dla którego powinniśmy się tam stawić. Żeby ich bronić.

Mama zamyka oczy.

— To tylko pogrzeb.

— To twój pogrzeb — mówi Billy, obejmując ją czule. — Kochamy cię. I zaopiekujemy się twoimi dziećmi.

Po grupie rozchodzi się kolejny szept, tym razem potakujący.

— Moim zdaniem to nie pogrzeb jest problemem — mówi nagle pan Phibbs.

— A co jest? — pyta Billy.

— Clara mówi, że Samjaza jest na cmentarzu. I że cierpi, owszem, co jest u Czarnych Skrzydeł normalne. Ale mówi też, że on jest na nas wściekły. Więc moim zdaniem najważniejsze pytanie brzmi: co takiego zrobimy do tego czasu, żeby go wkurzyć?

Okej, teraz wszyscy najeżają się jeszcze bardziej. I znów zaczynają się kłócić.

— Ostatnim razem, kiedy jedna z nas walczyła z Czarnym Skrzydłem, zapłaciła za to życiem — mówi Julia. — I tak dla przypomnienia, poświęciła je, żeby Czarne Skrzydła nie dowiedziały się o reszcie z nas.

Tym razem Christian nie szuka moich oczu. Wpatruje się w trzaskający ogień.

— Nie zapomnieliśmy — odzywa się cicho Walter.

— To zrozumiałe, że się boicie — mówi pan Phibbs. — Ale to było siedem lat temu. Od tamtej pory przestaliśmy być czujni. Bo poczuliśmy się bezpieczni.

— Ty się nie przejmujesz, Corbett, ale ty możesz sobie na to pozwolić — odpowiada Julia. — Nie masz nic do stracenia, bo twój czas też już się prawie skończył.

Pan Phibbs patrzy na nią jak na niesforną uczennicę.

— Może to i prawda — odgryza się. — Ale prowadzimy wojnę, nie zapominajcie. Nie możecie ignorować tego faktu i jak gdyby nigdy nic przeżywać swoich ludzkich żywotów, mieszkać w swoich ludzkich domach i tylko parę razy do roku jeździć sobie na tajny kemping w lesie. Rzeczywistość jest taka, że jesteśmy anielitami. To jest wojna. Zostaliśmy wybrani do walki.

Jego słowa rozlegają się dźwięcznie w chłodnym, nocnym powietrzu, które nagle znieruchomiało.

— Przestańcie — protestuje mama. — Ja jestem odpowiedzialna za te kłopoty z Samjazą. Nikt inny.

— Mags, kochanie, bądź cicho — mówi Billy.

Rozglądam się po kręgu. Pan Phibbs ma rację. Wszyscy wiedzą, że ma rację.

— Ja będę na cmentarzu — mówi nagle Christian stanowczym tonem. — Nieważne, kto jeszcze się zjawi.

— Ja też będę — wtóruje mu Walter, kładąc mu dłoń na ramieniu.

— I ja — wtrąca jeszcze ktoś. — Do końca.

Wszyscy anielicy w kręgu, kolejno, przyrzekają, że będą tego dnia na cmentarzu Aspen Hill. Nawet Julia godzi się niechętnie. Kiedy przychodzi kolej na Jeffreya, który nie odezwał się słowem przez cały weekend, wzrusza ramionami i mówi: — To chyba oczywiste, nie? — A potem Angela rzuca swoje: — Jasna sprawa. — Potem jestem ja, i tylko kiwam głową, bo nagle tak dławi mnie w gardle, że nie mogę wydobyć słowa. W końcu nasze zwołane w pośpiechu zebranie zostaje odroczone i wszyscy wracają do zwykłych spraw, tyle tylko, że w powietrzu czuć nową energię, bo jesteśmy anielitami i nie jesteśmy tchórzami, i dostaliśmy wezwanie do bitwy. Mama jest wyczerpana, więc Billy odprowadza ją do naszego namiotu, a potem wraca do ogniska, gdzie najbardziej zainteresowani siedzą jeszcze i dyskutują, jak zakładam, jak rozwiązać tę sytuację. Spoglądam na pana Phibbsa, który rozsiadł się wygodnie w kręgu z zadowoloną miną.

— Awanturnik z pana, wie pan? — mówię mu.

Unosi krzaczaste, siwe brwi.

— Pozna swój swego.

Śmieję się, ale później, kiedy wszyscy już śpią, rozmyślam o tym, co powiedział. Że jesteśmy wyznaczeni do walki. Że to jest wojna. Bo jeśli tak, to ja, Jeffrey, Christian i Angela, i wszyscy, którzy są mi bliscy, jesteśmy w samym jej centrum.

Rano rozlega się wariacko głośnie, anielskie trąbienie i wszyscy wstają, żeby popatrzeć na wschód słońca. Tym razem to nie jest żadne oficjalne zebranie. Dość się nagadaliśmy wczoraj wieczorem, mówi Stephen. Kiwa na nas wszystkich, nawet na tych, którzy nie są oficjalnymi członkami, żebyśmy zebrali się w kręgu na środku łąki.

— Chcielibyśmy poświęcić tę chwilę, by uhonorować Margaret Gardner, bo to ostatnie spotkanie, w którym bierze udział — mówi, kiedy wszyscy już są na miejscu. — Rozglądam się za Jeffreyem, ale go nie widzę. Pewnie wymknął się, żeby jeszcze powędkować, czy coś, i jestem na niego zła. Powinien tu być w tej chwili.

Mama skłania głowę i wchodzi do środka kręgu. Wszyscy przywołują skrzydła. Stephen kładzie dłoń na śnieżnych piórach na ramieniu mamy.

— Byłaś wierną służką i inspiracją dla nas wszystkich — mówi. — Przyjmij nasze wyrazy miłości, Maggie.

— Przyjmij naszą miłość — mruczy reszta kongregacji i zbliżamy się wszyscy; ci z najbliższego kręgu kładą jedną dłoń na jej skrzydłach, a drugą na skrzydłach osoby obok, ci z kolejnego robią to samo: dotykają osób przed sobą i sąsiadów, i tak dalej, aż wszyscy tworzymy wielką sieć anielitów z mamą w centrum. Słońce wyłania się zza góry, oblewa ją blaskiem — połączenie słońca i chwały jest tak jasne, że oczy mnie boją od patrzenia. Łąkę wypełnia anielskie nucenie, które zmienia się w słowo w anielskim języku — słowo: miłość, jak myślę — brzmiące jak wielotonowa muzyka, a może to jakaś kombinacja słów, może każdy wypowiada inne, i wszystkie w sumie mają to samo znaczenie, które nie poddaje się żadnemu tłumaczeniu.

Czuję, że płaczę, łzy spływają mi po twarzy, po brodzie i kapią na trawę u moich stóp. I uśmiecham się. Mam poczucie, że nieważne co się stanie, jaka ciemność czai się na naszej drodze, nic nie pokona tej mocy.

Do zniweczenia tej radości wystarczy widok mamy, która z trudem wlecze się z powrotem do samochodu;

Jeffrey, Billy i ja idziemy tuż obok, by móc ją złapać, gdyby miała się przewrócić. Łatwiej byłoby lecieć, ale wszyscy dzwigamy jakieś nieporęczne klamoty, a mama nie może bezpiecznie latać sama. Ciągłe powtarza, że czuje się dobrze. Nie czuje się. Jest spocona, i dwa razy musimy się zatrzymać na odpoczynek.

— Jaki to ma sens? — wypala nagle Jeffrey na drugim postoju.

— Sens?

— Cała ta kongregacja. Przecież właściwie nic nie mogą zrobić. Nie mogą jej wyleczyć.

— Oczywiście, że nie — mówię, chociaż taka myśl przeszła mi przez głowę; przecież wszędzie było tyle światła i mocy, a chwala ma zdolność uzdrawiania. Może w głębi duszy miałam nadzieję, że mama zostanie cudownie ocalona, a przynajmniej będzie silniejsza choć przez parę dni. Ale w końcu całe to widowiskowe światło zgasło, pozostawiając tylko zwykły blask słońca, kongregacja opuściła ręce, a mama wróciła do swojego umierania. — Nie bądź palantem, Jeffrey. Kongregacja troszczy się o nas. A może cię nie było, kiedy wszyscy powiedzieli, że przyjdą na pogrzeb?

— Zobaczymy — odpowiada, jakby go to w ogóle nie obchodziło. — Zobaczymy, kto się naprawdę zjawi.

— Przyjdą.

— Dlaczego? Bo widziałaś ich w tym swoim śnie?

— Tak. Widziałam ich.

— A jeśli twój sen nic nie znaczy? — pyta z nagłą goryczą. — Jeśli to tylko sen?

— To jest sen, ale też wizja — odpowiadam zirytowana. — Oczywiście, że coś znaczy.

— Myślisz, że to część twojego zadania?

Wpatruję się w niego. Też chciałabym znać odpowiedź na to pytanie.

— To jest przyszłość — mówię.

Oczy Jeffreya pałają jak srebrny ogień.

— A jeśli nie? Jeśli to tylko dowcip, który ktoś postanowił ci zrobić? Może nasze życie w ogóle nie ma celu, Claro. To, że ktoś ci powiedział, że znalazłaś się na tej ziemi, by wykonać jakies zadanie, odegrać jakąś rolę, nie znaczy jeszcze, że to prawda.

Nie wiem, co go ugryzło, ale wiem, że kwestionuje wszystko, czego nas nauczono, i to mnie niepokoi.

— Nie wierzysz mamie?

— Jasne, bo do tej pory była z nami szczerą do bólu.

— Hej, o co wy się tam kłóciecie? — przerywa nam Billy, podbiegając do nas od stołu piknikowego, osłoniętego drzewami, przy którym zostawiła mamę. — Powinam was rozdzielić?

— O nic — mówi Jeffrey, odwracając się do niej plecami. — Możemy już iść? Mam jeszcze do zrobienia pracę domową na jutro.

— Tak, możemy iść. Myślę, że już dojdzie na miejsce — mówi Billy, patrząc na mnie. Ja wpatruję się w sznurówki traperek. Jestem ciekawa, czy mama to wszystko słyszała. Jestem ciekawa, czy słowa Jeffreya ją zraniły, czy każda zła myśl, każda wątpliwość wbijała się w nią jak strzała. Boleśnie przetykam ślinę.

— Wszystko dobrze? — pyta Billy.

Podnoszę głowę, próbuję się uśmiechnąć i potaknąć.

— Tak, okej. Po prostu chcę wracać do domu.

— No to dobra, idziemy — mówi Billy, ale kiedy Jeffrey oddala się od nas, chwytą mnie za ramię. — Głowa do góry, okej?

— Wiem.

— Nadciąga burza, mała. — Jej uśmiech przypomina mi, jak wygląda nad grobem mojej matki. — Czuję to. I będzie ciężko. Ale jakoś to przeżyjemy.

— Okej.

— Wierzysz mi, tak?

— Tak — odpowiadam ze skinieniem głowy. Choć prawda jest taka, że nie wszyscy z nas to przeżyją, i wcale nie wiem, w co wierzę.

## 12. Nie lataj po pijanemu

Od tej pory wszystko zaczyna się dziać bardzo szybko. Mama rzuca pracę. Dużo czasu spędza przed telewizorem, opatulona kołdrami, albo na werandzie za domem, z Billy, i gadają godzinami. Ucina sobie długie drzemki. Przestaje gotować. Może się wydawać, że to nic wielkiego, ale mama uwielbia gotować. Żadne z domowych zajęć nie dawało jej takiej radości, jak podanie czegoś pysznego na stół, nawet jeśli to coś prostego, jak jej sztandarowe ciasto kawowe albo makaron pięć serów. Teraz ją to przerasta i wszyscy popadamy w przewidywalną rutynę: płatki na śniadanie, kanapki na lunch, mrożone kolacje. Jeffrey i ja nie narzekamy. Nic nie mówimy, ale chyba dopiero w tej chwili to wszystko dociera do nas w całej pełni: kiedy mama przestaje gotować. To jest początek końca.

Nagle, któregoś dnia, mówi do mnie i Billy:

— Chyba musimy się naradzić, co powiemy ludziom.

— Okej — mówię powoli. — O czym?

— O mnie. Chyba powinniśmy powiedzieć, że to rak.

Zszokowana, gwałtownie wciągam powietrze. Do tej chwili w ogóle się nie zastanawiałam, co powiemy ludziom, jak wytłumaczymy „chorobę” mamy, jak sama to nazywa. Rak z pewnością by wszystko wyjaśnił. Ludzie zaczynają zauważać, myślę. To, że cały czas siedzi na zapaśniczych meczach Jeffreya. To, jaka jest milcząca i blada, i to, że jedno pasmo włosów z przodu całkiem jej posiwiało, i teraz zawsze nosi coś na głowie, żeby je przykryć. To, że ze szczuplej zrobiła się po prostu chuda.

To się wydaje takie nagłe, ale dociera do mnie, że przedtem nie zwracałam na nic uwagi. Byłam tak pochłonięta swoim życiem, swoim snem, myślami, że to Tucker umrze. Mama robiła się coraz słabsza przez cały ten czas, a ja nie zauważałam tego aż do teraz.

Też mi córka.

— A jaki rodzaj raka? — pyta zamyślona Billy, jakby to w ogóle nie był makabryczny temat.

— Coś nieuleczalnego, oczywiście — mówi mama.

— Okej, czy możemy o tym nie rozmawiać? — Nie zniosę tego dłużej. — Nie masz raka.

Dlaczego musimy cokolwiek mówić? Nie chcę być zmuszana do opowiadania kolejnego kłamstwa.

Billy i mama wymieniają rozbawione spojrzenie, którego nie rozumiem.

— Jest uczciwa — stwierdza Billy.

— Do bólu — odpowiada mama. — Ma to po ojcu.

Billy parska.

— Och, przestań, Mags, jest jak idealna kopia ciebie w tym wieku.

Mama przewraca oczami i znów spogląda na mnie.

— Racjonalne wyjaśnienie wszystkim dobrze robi. Nie będą zadawać zbyt wielu pytań.

Ostania rzecz, jakiej chcemy, to żeby moja śmierć wydała się komukolwiek tajemnicza.

Ciągle wydaje mi się to obłudem, że może wypowiadać słowa „moja śmierć” tak spokojnie, jakby mówiła „mój samochód” albo „moje plany na wieczór”.

— Okej, dobrze — poddaję się. — Powiedzcie ludziom, co chcecie. Ale ja nie zamierzam brać w tym udziału. Nie będę nazywać tego rakiem ani kłamać w żaden inny sposób. To wasza sprawa.

Billy otwiera usta, żeby rzucić jakąś cwana uwagę, a może zbesztać mnie, że jestem taka niewrażliwa, ale mama unosi rękę.

— Nie musisz nic mówić. Ja się tym zajmę.

Więc zostajemy przy raku. Ale mama się myliła, sądząc, że nie będę musiała się z tym zmierzyć. Może to by się udało, zanim spadła na mnie moja empatyczna moc, ale teraz nie sposób nie wiedzieć, co czują inni w mojej obecności. Nowina, że moja matka umiera na raka, wybuchła jak bomba w Liceum Jackson Hole. Nie mija nawet dzień, kiedy wszyscy — dosłownie wszyscy — już wiedzą. Najpierw ludzie zaczynają odwracać wzrok, niektóre milsze dziewczyny posyłają mi

współczujące spojrzenia. Potem zaczynają się szept. Szybko poznają scenariusz na pamięć. Zaczyna się od: „Słyszałeś o mamie Clary Gardner?”, a kończy czymś w rodzaju: „To takie smutne”.

Ja nie podnoszę głowy, robię swoje i staram się zachowywać normalnie, ale drugiego dnia muszę już znosić przygniatające fale współczucia, i to od ludzi, którzy w zeszłym roku nawet nie raczyli zapamiętać mojego imienia. Nawet nauczyciele są poważni, z wyjątkiem pana Phibbsa, który patrzy na mnie, jakby był mocno rozczarowany moim nedorobionym wypracowaniem na temat *Raju utraconego*, za które daje mi dwóję z minusem i każe pisać od nowa. Czuję się, jakbym płynęła w maleńkiej łódce po oceanie litości.

Na przykład: siedzę w kabinie w damskiej toalecie i zajmuję się swoimi sprawami, kiedy do łazienki wchodzi banda pierwszoklasistek. Trajkoczą jak wiewiórki, nawet kiedy sikają, aż nagle jedna z nich mówi:

— Słyszałyście o mamie Jeffreya Gardniera? Ma raka płuc.

— Ja słyszałam, że mózgu. Czwarte stadium, czy coś takiego. Zostały jej jakieś trzy miesiące życia.

— To takie smutne. Nie wiem, co bym zrobiła, gdyby moja mama umarła.

— A co będzie z Jeffreyem? — pyta jedna. — Znaczą, kiedy ona już umrze. Ich ojciec z nimi nie mieszka, prawda?

Niesamowite, myślę, ile wie o nas banda kompletnie obcych ludzi.

— No, tragiczna sprawa.

Mruczą potakująco. Najtragiczniejsza sprawa świata.

— No i Jeffrey jest totalnie załamany. To widać.

A potem zaczynają omawiać ulubione smaki błyszczyków. Arbuzowy albo jeżynowy. Od mojej umierającej matki do błyszczyku.

Tragiczne.

— *O nieskończona, ogromna Dobroci! / A więc to dobro ze zła się wywodzi, / A zło zmieniło się w dobro, cud większy / niż ów, gdy w chwili stworzenia z ciemności / Powstała światłość!* Zaraz — mówię, kładąc książkę na podłodze koło swoich stóp. — Nawet nie wiem, kto to mówi. Michał czy Adam?

— Adam — podpowiada Wendy, najlepsza towarzyszka przy pracy domowej, patrząc na mnie z mojego łóżka. Widzisz? Tu jest napisane: *Tak rzekł Archanioł Michał, później urwał / Jak gdyby nadszedł wielki okres Ziemi, / A nasz praojciec, wypełniony szczęściem / i zadziwieniem, tak mu odpowiedział.* Więc teraz mówi Adam. To on jest naszym praojcem, rozumiesz? Uwielbiam ten wers: *Jak gdyby nadszedł wielki okres Ziemi.*

— Uch! A co to w ogóle znaczy?

— No, Michał opowiada mu o odkupieniu, o tym, jak dobro w końcu zatriumfuje nad złem, i tak dalej.

— Więc teraz Adam nie ma nic przeciwko? Zostanie wyrzucony z Raju, ale wszystko jest cudownie, bo kiedyś tam, tysiące lat po jego śmierci, zwycięży dobra strona?

— Claro, chyba bierzesz to wszystko trochę zbyt poważnie. To tylko poemat. Sztuka. Ma cię skłonić do myślenia, i tyle.

— No cóż, w tej chwili skłania mnie do myślenia, że praca domowa z fizyki jest superzabawna i powinnam się za nią zabrać. — Zamykam denerwującą książkę i odsuwam ją od siebie.

— Ale pan Phibbs powiedział, że masz jutro oddać poprawione wypracowanie. Dość objawiania się, powiedział.

— Tak, i prawdopodobnie z drugiego wypracowania też dostanę dwóję, czy się będę uczyć, czy nie. Przysięgam ci, on chce mnie tylko torturować.

Wendy robi zatroskaną minę.

— To pewnie będzie na teście sprawdzającym.

Wzdycham.

— Nie chcę myśleć o teście sprawdzającym. Ani o studiach. Ani o mojej cudownie świetlanej przyszłości. Postanowiłam żyć chwilą.

Wendy zamyka książkę i posyła mi to swoje spojrzenie pod tytułem „mówmy poważnie”.

— Powinnaś się cieszyć, Claro. Złożyłaś podania do tylu świetnych szkół. Masz duże szanse dostać się przynajmniej do jednej z nich. Nie każdy ma takie możliwości.

Jest nerwowa. W tym tygodniu powinny przyjść nasze listy kwalifikacyjne. Od poniedziałku była już na poczcie chyba ze trzy razy.

— Okej, okej, niech ci będzie, że się cieszę — mówię, żeby ją udobruchać. — Juhu. Hura, hura.

Wendy wyjmuję książkę do chemii; najwyraźniej nie chce jej się ze mną gadać. Ja otwieram podręcznik fizyki. Uczymy się. Nagle Wendy wzdycha.

— Bo widzisz... Tucker jest taki sam — mówi. — Rodzice ciągle próbują go namówić na studia, a on nie jest tym ani odrobinę zainteresowany. Nie złożył ani jednego podania. Nawet na nasz uniwersytet stanowy, tak na wszelki wypadek.

— On chce zostać tutaj — mówię.

— A ty? — pyta Wendy.

— Co ja?

— Czy ty też chcesz zostać tutaj? Bo Tucker zostaje? Bo jeśli tak, to uważam, że to romantyczne i tak dalej, ale nie... — Urywa i zdenerwowana skubie koniec warkocza, zastanawiając się, czy na pewno chce mi to powiedzieć. — Nie rezygnuj z życia dla faceta — mówi w końcu stanowczo. — Nawet jeśli to świetny facet. Nawet jeśli to Tucker.

Nie wiem, co powiedzieć.

— Wendy...

— Ja zerwę z Jasonem — dodaje. — A lubię go. Bardzo. Ale kiedy przyjdzie czas wyjechać na uczelnię, będę musiała spuścić go z haczyka.

— On nie jest rybą, Wen — wytykam jej. — A co będzie, jeśli Jason nie chce zostać spuszczonej? Jeśli będzie chciał spróbować związku na odległość?

Wendy kręci głową.

— On będzie w Bostonie albo w Nowym Jorku, albo na innej drogiej uczelni, na które złożył podania. A ja będę w Waszyngtonie, mam nadzieję. To się nie uda. Ale na tym polega dorosłość. Trzeba myśleć o przyszłości.

Chcę jej przypomnieć, że jeszcze nie jesteśmy dorosłe, że mamy ledwie po siedemnaście lat. Nie powinnyśmy myśleć o przyszłości. Poza tym moja przyszłość — ta, którą widuję prawie co noc, kiedy zamknę oczy — to cmentarz. Niewiarygodna, porażająca strata. A wszystko potem, moje życie po tym dniu, jest jak wykasowana taśma wideo: śnieg i trzaski. Owszem, prawdopodobnie pójdę na studia. Może poznam nowych ludzi, będę chodzić na imprezy i w końcu zacznę myśleć, że życie jest okej. Ale w tej chwili jestem uwięziona w tym jednym słonecznym dniu na zboczu wzgórza.

— Dobrze się czujesz? — pyta Wendy. — Przepraszam. Nie mam prawa cię pouczyć. Wiem, że przeżywasz ciężki okres, martwisz się o mamę.

— Nie ma sprawy — próbuję ją zapewnić, otrząsnąć się z niechęci, ignorować litość, którą zaczynam od niej czuć. — Wiesz co, mam pomysł — mówię, żeby zmienić temat. — Chodźmy na pocztę.

— Jest inaczej, niż się spodziewałam — mówi Wendy, kiedy idziemy deptakiem w stronę centrum.

Przytrzymuję jej drzwi i wchodzimy na pocztę.

— Co jest inaczej?

— Ty i Tucker. Myślałam, że jesteście dla siebie stworzeni, że się uzupełniacie, twoje yin z jego yang, coś w tym stylu, i sądziłam, że przez cały czas będziecie szczęśliwi, ale... — Przez chwilę gryzie dolną wargę. — Czasami jesteście tak wkręceni, tak skupieni na sobie, że nie zauważacie innych ludzi dookoła. Jak na przykład, ehm, mnie.



— Przepraszam, Wendy — mówię. — Ciągłe jesteś moją najlepszą kumpelą, przecież wiesz, nie?

— To się zgadza — odpowiada. — Mówię tylko, że chłopak zawsze przebija kumpelę. Chociaż pewnie jest w tym i moja wina.

Ma rację. W tym roku o wiele rzadziej się z nią widywałam, po części dlatego, że kiedy mam wolny czas, przeważnie spędzam go z Tuckerem albo w Klubie Aniołów, a po części dlatego, że Wendy dużo czasu spędza z Jasonem. Należało się tego spodziewać. Jak sama powiedziała — kiedy dziewczyna ma chłopaka, nie ma już tyle czasu dla koleżanek. Ja osobiście zawsze uważałam, że to głupie, i jakoś nie powstrzymało mnie to od robienia tego samego. A na dodatek spędzam mniej czasu z Wendy, bo nie wie o mnie mnóstwa rzeczy, nie może ich wiedzieć, i wolę się trzymać z daleka niż bez przerwy ją okłamywać. W zeszłym roku mogłam jeszcze udawać przez większość czasu, że jestem normalna. W tym roku nie mogę.

Rozdzielamy się i każda sprawdza swoją skrzynkę. Nasza jest pełna zwykłych śmieci: rachunków, reklamówek, ale na samym dnie leży gruba koperta. Z trudem przełykam ślinę. Uniwersytet Stanforda.

Wendy zjawia się u mojego boku, blada pod opalenizną, z szeroko otwartymi oczami. Pokazuje mi kopertę. Uniwersytet Stanu Waszyngton. To jest to. Jej wymarzona szkoła. Jej przyszłość. Jej życie. Próbuje się uśmiechać, ale wychodzi jej raczej grymas. Jej spojrzenie pada na kopertę w mojej dłoni i aż się zachłystuje z przejęcia.

— Mamy... poczekać, aż wrócimy do domu? — pyta piskliwym głosem.

— Nie. Absolutnie nie. Otwórzmy je teraz. Miejmy to z głowy.

Nie trzeba jej tego powtarzać dwa razy. Natychmiast rozdziera kopertę, zerka na pierwszą stronę i przyciska dłoń do ust.

— Och — mówi.

— Co? Co? Dostałaś się, tak?

W jej oczach błyszczą łzy.

— Jednak jest Bóg na niebie — mówi. — Dostałam się!

Przez parę minut ściskamy się, podskakujemy i piszczymy jak małe dziewczynki, aż w końcu się uspokajamy.

— Teraz ty — mówi Wendy.

Ostrożnie otwieram kopertę. Wyjmuję zawartość. Na podłogę wypada mi broszura reklamująca akademiki. Wendy i ja gapimy się na nią.

— Clara — szepcze. — Ty też się dostałaś.

Czytam pierwszą linijkę na pierwszej stronie: *Droga Claro, z przyjemnością informujemy*, i próbuję wykrzesać z siebie równie radosny uśmiech jak Wendy, choć w mojej głowie wybucha w tej chwili coś zupełnie innego niż ekscytacja, coś innego niż uniesienie i radość. To raczej kombinacja niedowierzania i przerażenia. Ale to dobrze, mówię sobie. Będę mogła wrócić do domu, do Kalifornii. Naprawdę będę mogła uczęszczać na Uniwersytet Stanforda, studiować co zechcę i budować dla siebie nowe życie.

— Dostałam się — szepczę osłupiała.

Wendy obejmuje moje ramiona.

— To wspaniale — mówi. — I uwierz mi. Tucker będzie przeschęśliwy.

— Więc ustalone — mówi rzeczowo Angela, kiedy zjawiam się na spotkaniu Klubu Aniołów. — Jedziesz.

— Niekoniecznie. — Znów stoję na swoim zwykłym miejscu w Różowej Podwiązce i ćwiczę przywoływanie chwały, bo to jedyne zajęcie, jakie przychodzi mi do głowy w tym półsensnym oszołomieniu, w którym tkwię od popołudnia.

Angela odkłada długopis i posyła mi spojrzenie pod tytułem „ty kompletna kretynko”.

— Claro Gardner. Dostałaś się do Stanforda. Nawet przyznali ci stypendium. Nie mów mi, że nie jedziesz.

Pieniądze to kolejna zadra między nami. Oto ja, Panna Kasiasta, moja matka była nadziana

od II wojny światowej, inwestowała w takie rzeczy jak komputery w czasach, kiedy jeden komputer zajmował cały pokój, i dostałam stypendium. Nie jest jakieś wielkie, to prawda, i tylko za zasługi dla uczelni, dzięki mojej „babcini”, ale to i tak więcej niż potrzebuję. A Angela (bo to oczywiste, że się dostała) będzie musiała oszczędzać na wszystkim, dorabiać i brać pożyczki, żeby zapłacić za studia. Ona też dostała stypendium, bo jest superuczennicą, ale nie dość duże, żeby w pełni pokryć koszty.

Powinłam mieć wyrzuty sumienia, że jestem taka niezdecydowana, ale nie mam. Nie mam miejsca na świeże wyrzuty sumienia w tym potężnym kłębie sprzecznych emocji, który wypełnia mi głowę. W tej chwili myślę tylko o tym — i to od tamtej chwili na poczcie, kiedy zobaczyłam logo Stanforda na kopercie — że nie muszę iść na te studia. W moim mózgu rodzi się inny plan. Nowy i ulepszony. Wręcz świetny.

— Może w tym roku nie pójde na studia — mówię tak od niechcienia, jak tylko się da. — Może zrobię sobie rok czy dwa przerwy.

— Żeby co? — prychna Angela.

— Zostałabym tutaj. Posiedziałabym tu jeszcze, dopóki Jeffrey nie skończy szkoły. Znalazłabym sobie pracę.

— Niby gdzie, w sklepie z pamiątkami? Przy sprzedaży krówek na deptaku? W knajpie?

— Jasne, czemu nie?

— Jesteś anielitką, temu nie. Powinnaś robić w życiu coś wyjątkowego.

Wzruszam ramionami. W Jackson są inni anielicy i mają zwykłe posady. Poza tym ten plan mi się podoba. Czuję, że jest słuszny. Mogę zostać w Jackson. Mogę zadbać o Jeffreya. To dobry plan, w którym nie muszę zostawiać domu i rodziny (czy też tego, co z niej zostanie po śmierci mamy) i mogę stworzyć sobie miłe, normalne życie.

Angela kręci głową i mruży złote oczy.

— Tu chodzi o Tuckera.

— Nie. — Spoglądam na nią z oburzeniem. Ale przyznaję, że to też przeszło mi przez głowę.

— O mój Boże, spuścisz Stanforda do kanału, żeby zostać z Tuckerem — krzywi się z obrzydzeniem Angela.

— Daj jej spokój, Angela — wtrąca się nagle Christian. W czasie naszej rozmowy siedział przy swoim ulubionym stoliku i odrabiał lekcje. — To życie Clary. Może robić, co chce.

— Właśnie, dobrze mówi. — Posyłam mu uśmiech wdzięczności. — A zresztą — mówię do Angeli — chcesz, żebym jechała na US, tylko dlatego, że nie chcesz zostać tam sama ze swoim zadaniem.

Angela patrzy w dół, przygląda obrus, jakby chciała chwilę odpocząć, zanim się zerwie i da mi w nos. Przygotowuję się na konfrontację.

— Okej, może to prawda — przyznaje nagle, kompletnie mnie zaskakując. — Jesteś moją najlepszą przyjaciółką i masz rację. Nie chcę tam jechać sama.

— Ange, na pewno sobie poradzisz. Jesteś najmądrzejszą, najbardziej czytana, najzdolniejszą anielitką, jaką świat widział od tysiąca lat. Jeśli ktokolwiek poradzi sobie śpiewając i z przypupem ze swoim zadaniem, to właśnie ty.

— Wiem — mówi z zadowolonym uśmiechem. — Nie chodzi o to. Tylko... — Milknie i spogląda na mnie tymi swoimi poważnymi, kocimi oczami. — Ja wiem, że pojedziesz do Stanforda, C. Bo cię tam widziałam.

— Co?

— W mojej wizji. Widziałam cię.

Przez następne piętnaście minut stoję na scenie i usiłuję się skupić na przywołaniu chwały, próbuję się wyciszyć, ale mogę myśleć tylko o jednym: jakie to nie fair, że moja przyszłość ciągle jest planowana bez mojego udziału. Najpierw przez moje wizje. Teraz przez wizje Angeli.

— Okej, nie zniosę tego dłużej — mówi Christian (i znów nas zaskakuje, bo nigdy nie jest szczególnie rozmowny na spotkaniach). Zatrząskuje książkę. A ja otwieram oczy.

— He?

— Nie mogę patrzeć na tę twoją udawaną medytację. — Wbiega po schodkach na scenę i podchodzi do mnie szybko. — Pomogę ci.

Serce mi przyspiesza.

— Co, ty wiesz, jak przywołać chwałę?

— Widzisz, i w tym właśnie tkwi twój błąd. Myślisz, że to polega na przywoływaniu czegoś, jakby chwała była gdzieś tam — wskazuje ciemną przestrzeń dookoła nas — a nie tu. — Kładzie rękę na piersi, bierze głęboki oddech. — Ona jest w tobie, Claro. Jest częścią ciebie i pojawi się w naturalny sposób, jeśli przestaniesz sama sobie przeszkadzać.

Jestem zawstydzona, ale i zaintrygowana.

— Umiesz to zrobić?

Wzrusza ramionami.

— Uczyłem się.

Wyciąga rękę. Gapię się na nią — na jego wyprostowane, zapraszające palce, i natychmiast staje mi przed oczami moja wizja, ta chwila, kiedy bierzemy się za ręce pod drzewami, a ogień z rykiem schodzi po zboczu góry. Potem przypominam sobie sen, w którym uścisk jego dłoni sprowadza mnie na ziemię, gdy mam wrażenie, że odpłynę na chmurze rozpacz. Kładę dłoń na jego dłoń.

Przeszywa mnie żar. Christian trzyma moją dłoń jakby od niechcenia, nie ściska, nie głaszcze kciukiem kostek moich palców, jak to robił w wizji o pożarze lasu, a mnie doprowadzała do obłądu myśl, co to może znaczyć.

— O czym myślisz? — pyta.

Krew uderza mi do twarzy.

— Co?

— Kiedy starasz się o chwałę. O czym myślisz?

— A. Hm... — Przeważnie staram się myśleć o Tuckerze, o tym, jak bardzo go kocham, co tak naprawdę zadziałało ten jeden raz, w lesie... ale jednak zadziałało w najważniejszym momencie. — Myślę... myślę o chwilach, kiedy byłam szczęśliwa.

— Okej, daj sobie z tym spokój. — Chwyta moją drugą dłoń, obraca mnie, tak, że stoimy teraz na środku sceny twarzami do siebie, połączeni dłońmi. Widzę, że Angela pochyła się do przodu, obserwuje nas; jedną ręką podpira głowę, drugą jest gotowa pisać notatki w zeszycie.

— Nie patrz na nią — mówi Christian. — Nie myśl o niej, ani o przeszłości, ani o niczym innym.

— Dobrze...

— Po prostu bądź tutaj — mówi cicho. Jego oczy są piękne w scenicznych światłach, bursztynowe cętki strzelają iskrami. — Bądź w terażniejszości.

*Uwolnij się od wszystkiego innego, zachęca mnie w myślach. Po prostu bądź tutaj. Ze mną.*

Patrzę na niego, pozwalam sobie skupić się na jego twarzy, czego zwykle unikam, wiodę wzrokiem po jego kościach policzkowych, po konturze ust, po jego czarnych, gęstych rzęsach i krzywiźnie czoła, po barkach, których kształtu nauczyłam się na pamięć już tak dawno. Nie myślę. Pozwalam sobie patrzeć. I nagle żar z naszych złączonych dłoni rozlewa się po moim ciele, zagnieżdża się w klatce piersiowej, kiedy pozwalam sobie zatonać w jego oczach.

Czuję to, co on. Pewność — zawsze ta jego niezłomna pewność — niezależnie od tego, co mówił wcześniej o nieobecności pewności. On zna siebie. Wie, czego chce. Widzę siebie z jego perspektywy, poznaję własne piękno jego oczami: włosy jak złota aureola wokół twarzy, uderzający kontrast bladej skóry i różowych warg, i policzków, chmurne, świetliste oczy, które w tej chwili wydają się błękitne jak głębokie jeziora, w których można utonąć. Słyszę, jak śmieje się wewnątrz, zadowolony z siebie, bo bije ode mnie blask, moje światło wylewa się na zewnątrz, palamy razem, światło przebija się z naszych złączonych dłoni, jego włosy zaczynają lśnić i blask rozrasta się wokół nas.

Chce mi coś powiedzieć. Chce otworzyć się przede mną całkowicie, pokazać mi wszystko, pozwolić się poznać do końca, do diabła z zasadami... I nagle idziemy razem po cmentarzu, czując

ciepło słońca na plecach; on trzyma mnie za rękę, prowadzi mnie. Czuję się w tej chwili taka silna, pełna życia i energii.

— Święta Mario, Matko Boża! — krzyczy jakiś głos.

Christian i ja odskakujemy od siebie. Otaczające nas światło się rozprasza. Przez chwilę jestem kompletnie oślepią tym nagłym przejściem z jasności w ciemność, ale kiedy oczy mi się przyzwyczajają, widzę mamę Angeli stojącą w przejściu na widowni i gapiącą się na nas. Unosi dłoń do ust, twarz ma popielatą. Angela zrywa się i podbiega do niej, ledwie zdąża ją złapać, kiedy pani Zebrino pada na kolana.

— Mamo, to nic wielkiego — mówi Angela, podciągając ją na nogi. — Oni tylko coś ćwiczyli.

— Nie życzę sobie tutaj takich rzeczy — szepcze Anna; jej ciemne oczy wbijają się we mnie z taką intensywnością, że wbrew sobie odwracam wzrok. — Nie życzę sobie, mówiłam ci.

— Więcej nie będziemy. Obiecuję. Musisz iść na górę i się położyć — mówi Angela.

Anna kiwa głową; Angela obejmuje jej barki i niemal wywłóczy ją z teatru. Słuchamy ich kroków na schodach prowadzących do mieszkania; Anna wciąż mówi, Angela próbuje ją uspokoić. Skrzypnięcie drzwi. A potem cisza.

Christian i ja spoglądamy na siebie, a potem odwracamy oczy.

— No proszę, zadziałało — mówię, żeby tylko coś powiedzieć. — Udało nam się.

— Tak, udało się — przyznaje Christian. Ociera spocone czoło.

— Chciałeś mi coś powiedzieć — zauważam.

Marszczy brwi.

— I kto tu teraz czyta w myślach?

— To była empatia. Czułam to, co ty. Chciałeś mi coś powiedzieć.

Z jakiegoś powodu strasznie go to peszy. Zeskakuje ze sceny, idzie do stolika, gdzie zostawił pracę domową, i zaczyna zbierać rzeczy. Idę za nim i kładę mu dłoń na ramieniu. Sztynnieje. Mam wrażenie, że powinnam go za coś przeprosić — za to, że tak go zdemaskowałam albo że mówię o tym, kiedy Angela jest tak blisko i może usłyszeć.

— Christian, ja...

Angela wpada z powrotem do sali, dziko podekscytowana.

— To było niesamowite! Nie do wiary, jak było jasno. Łał. Widzieliście moją mamę? Dosłownie padła. Była biała jak ściana. Nigdy jej nie widziałam w takim stanie. Ale już się dobrze czuje. Dałam jej wody i jakoś się otrząsnęła. Nic jej nie jest.

— Chwała przeraża ludzi — przypominam jej, usiłując zachować spokój, ale trudno nie dać się porwać jej entuzjazmowi. To naprawdę było niesamowite. I mam wrażenie, że ta magia ciągle jest w powietrzu, unosi się dookoła z drobkami kurzu, wsiąka w aksamitną kurtynę. Nie chcę, żeby zniknęła.

— No, chyba się przekonaliśmy, że to prawda, co? Zróbmy to jeszcze raz. Tym razem spróbuj ze mną — nalega Angela, patrząc na Christiana.

— Chyba nie dam rady.

— No przestań, chcę się tego nauczyć. Strasznie cię proszę! — błaga.

Christian zwiesza głowę i wzdycha z rezygnacją.

— No dobra. Możemy spróbować.

To może być niezłe. Siadam na krześle Angeli, a oni wchodzą na scenę, biorą się za ręce, koncentrują.

— Bądź w terażniejszości — mówi znów Christian. — To jest klucz. Ale nie chodzi o to, co teraz myślisz; oderwij się od myśli. Dla ciebie to będzie trudne, bo za bardzo wszystko analizujesz. Pamiętaj, że nie jesteś swoimi myślami.

— Okej, sensei, do roboty — żartuje Angela.

Obydwoje zamykają oczy. A ja pochylam się do przodu i patrzę, czekam, aż pojawi się blask, i próbuję opanować zazdrość, że to Angela tam stoi, a nie ja. Ale nic się nie dzieje. Po prostu stoją, jakby zawieszeni w czasie.

— Nie życzę sobie tych rzeczy! — dobiega nas głos z foyer. Anna widocznie boi się wejść.

Angela i Christian opuszczają ręce, otwierają oczy. Angela przez moment ma zawiedzioną minę, ale nagle na jej twarzy pojawia się łobuzerski uśmiech.

— To było kręjące — mówi. Spogląda na mnie z uniesioną brwią. — No nie, Clara?

— Ehm...

— Zdaje się, że mnie też chciałeś coś powiedzieć — mruczy do Christiana, udając na całego. I on o tym wie. Przypominam sobie, jak opowiadała mi kiedyś, że w dziewiątej klasie grali w butelkę i jego całus był jak całus brata.

— O tak — odpowiada Christian bez wyrazu. — To było kręjące, Ange. Jesteś dziewczyną moich marzeń. Zawsze chciałem ci to powiedzieć.

— Nie życzę sobie takich rzeczy! — woła znów Anna Zebrino.

Wybuchamy śmiechem.

W środku nocy budzi mnie głośny hałas. Przez chwilę leżę w łóżku i nasłuchuję, nie mając pojęcia, co się dzieje. Czuję się, jakbym ocknęła się ze złego snu. Patrzę na budzik. Jest czwarta nad ranem. W domu panuje cisza. Zamykam oczy.

Słyszę łoskot. Siadam na łóżku. Najlepsza broń, jaka przychodzi mi tym razem do głowy, to lakier do włosów — jakby mógł mi w czymkolwiek pomóc, jeśli Samjaza tu jest.

Na przyszłość: kupić sobie nunczako czy coś w tym rodzaju.

Kolejny łoskot rozlega się po domu, potem głośne przekleństwo, odgłos tłuczonego szkła.

Hałas dobiega z pokoju Jeffreya.

Wkładam szlafrok i pospiesznie idę korytarzem. Słyszę kolejny huk. Ten głupek obudzi mamę, jeśli już tego nie zrobił. Otwieram jego drzwi.

— Co ty wyprawiasz? — wołam w ciemność, zirytowana.

Zapalam światło.

Jeffrey stoi na środku pokoju, ze skrzydłami na wierzchu, w samych dzinsach. Krzyczy z zaskoczenia, kiedy światło się zapala, i obraca się do mnie, osłaniając ręką oczy, jakbym go oślepiła. Skrzydła zahaczają o stertę książek na biurku; sterta z hukiem spada na podłogę. Jeffrey jest przemoczony, włosy kleją mu się do twarzy, na drewnianej podłodze pod nim tworzy się kałuża. I śmieje się.

— Nie pamiętam, jak się chowa skrzydła — mówi, i najwyraźniej strasznie go to bawi.

Patrzę za jego plecy, na otwarte okno z pogiętą żaluzją zwisającą z boku.

— Dopiero teraz wróciłeś do domu? — pytam.

— Nie — odpowiada, szczerząc zęby. — Położyłem się wcześniej. Byłem tu całą noc.

Robi krok w moją stronę i się potyka. Chwytam go za łokieć, żeby pomóc mu złapać równowagę. W tej chwili śmieje mi się w twarz i bucha mi w nos jego paskudny oddech.

— Jesteś pijany — szepczę osłupiała.

— Ale przynajmniej nie prowadziłem auta — mówi.

Nie jest dobrze.

Stoję tak przez chwilę, trzymając go i usiłując zmusić mózg do pracy o czwartej w nocy. Mogłabym pójść po mamę, jeśli sama jeszcze nie idzie na górę, żeby sprawdzić, co to za hałasy. O ile jeszcze ma dość siły, żeby wdrapać się po schodach. Nawet nie wiem, co by zrobiła, czy też, co gorsza, jak mogłoby to na nią wpłynąć. To o niebo przewyższa wszelkie przestępstwa, za które musiała nas kiedykolwiek karać. To zasługuje na roczny szlaban.

Jeffrey wciąż się śmieje, jakby ta cała sytuacja wydawała mu się przezabawna. Łapię go za ucho. Wrzeszczy, ale nie jest w stanie mi się wyrwać. Ciągnę go na łóżko i popycham na materac, twarzą w dół. Po czym zaczynam się siłować z jego skrzydłami, próbuję je poskładać, przycisnąć płasko do pleców. Szkoda, że nie ma jakiegoś magicznego słowa po anielsku, które schowałoby je na zawołanie — jakiegoś „złóćcie się!” — ale byłoby niezłe, gdyby chociaż udało mi się je opanować, żeby nie powodowały więcej szkód.

Jeffrey mówi coś w poduszkę.

— Nie słyszę cię, kretynie — odpowiadam.

Przekreca głowę.

— Daj mi spokój.

— Gadaj zdrow — mamroczę, wciąż usiłując ułożyć skrzydła równo. — Gdzie masz koszulkę? I dlaczego jesteś cały mokry?

W tej chwili zauważam szare pióra. Skrzydła są jaśniejsze niż w noc pożaru. Wtedy były ciemnoszare, miałam nadzieję, że tylko od sadzy. Moje skrzydła też były wtedy usmolone, ale właściwie wszystko się zmyło. Skrzydła Jeffreya wciąż są szare. Jasnopopielate. A na końcu jednego z nich jest kilka piór koloru smoły.

— Twoje pióra... — Pochylam się bliżej, żeby je obejrzyć.

Akurat w tej chwili mój brat przypomina sobie nagle, jak się chowa skrzydła. Padam na niego niezgrabnie i złażę natychmiast. A on się śmieje.

— Nagrabiłeś sobie na całego — mówię wściekła.

Jeffrey odwraca się na plecy i patrzy na mnie z taką złością, że dosłownie dreszcz mi przebiega po grzbiecie. Jakby mnie nienawidził.

— Bo co, powiesz mamie?

— Powinnam — jąkam.

— To proszę — syczy. — Sama nie raz się wymykałaś z domu. Powiedz mamie. Ciekawe, czy się odważysz. Zobaczymy, co będzie.

Siada. Wciąż patrzy na mnie takim wzrokiem, jakby lada moment miał się na mnie rzucić. Cofam się o kilka kroków.

— Zawsze myślisz tylko o sobie — mówi. — O swojej wizji. O swoich głupich snach. O swoim głupim chłopaku.

— To nieprawda — odpowiadam drżącym głosem.

— Ale wiesz co, nie ty jedna się tu liczysz. Nie ty jedna masz zadanie.

— Wiem...

— Odczep się ode mnie. — Uśmiecha się: twardo, szyderczo, szczerząc zęby. — Daj mi spokój, do cholery.

Wychodzę z jego pokoju. Mam ochotę wrzeszczeć. Mam ochotę biec na dół, obudzić mamę i powiedzieć jej, żeby to załatwiła. Załatwiła jego. Ale zamiast tego podchodzę do bieliźniarki. Wyjmuję ręcznik. Wracam do pokoju Jeffreya i rzucaam w niego tym ręcznikiem. Trafia go w pierś. Mój brat patrzy na mnie, zaskoczony.

— Wiem, że masz gówniane życie — mówię. — Bycie mną to też nie jest piknik. — Serce mi łomocze, ale staram się wyglądać na spokojną i pozbieraną. — Tym razem nie powiem mamie. Ale przysięgam, Jeffrey, jeśli nie weźmiesz się w garść, pożałujesz. Jeśli jeszcze raz wytniesz taki numer, mama będzie ostatnią osobą, o którą będziesz się musiał martwić.

I wychodzę wściekłym krokiem z pokoju, zanim Jeffrey zauważy moje łyzy.

### 13. Odejść z hukiem

Wyglądasz ślicznie, Claro — mówi Billy, kiedy wchodzę do sypialni mamy w balowej sukni. Specjalnie dla niej robię piruet i warstwy czerwonego jedwabiu wzdymają mi się wokół nóg. Suknia jest dość ekstremalna. Na dodatek kosztowała fortunę, ale kiedy Angela, Billy i ja zobaczyłyśmy ją w zeszłym tygodniu w centrum handlowym w Idaho Falls, dosłownie zawołała do mnie. Włóż mnie, powiedziała. Potem Billy rzuciła jakiś tekst w rodzaju: „A co ci szkodzi, to twój ostatni bal w liceum, odejdz z hukiem”. Motyw przewodni tegorocznego balu to Raj Odzyskany — tak, organizuje go ostatnia klasa, którą pan Phibbs zmusił do czytania *Raju Utraconego*. Mojej ulubionej lektury wszechczasów.

Więc albo ta suknia, albo listek figowy.

Staralam się nie wpatrywać w to miejsce przed drogerią, gdzie po raz pierwszy poczułam na sobie spojrzenie Samjazy. Kiedyś wydawało mi się zabawne, że widziałam Czarne Skrzydło w centrum handlowym. Próbowalam go sobie wyobrazić robiącego zakupy, spacerującego między półkami z książkami w Barnes & Noble z najnowszą powieścią Dana Browna, w Macy's, przeglądającego krawaty, grzebiącego w bieliznie, bo przecież nawet anioły potrzebują bielizny, kiedy zstępują między nas, zgadza się? Pamiętam, jak śmiałam się z tego z Angellą, ale kiedy teraz myślę, że mogłyśmy z tego żartować, mówię sobie: rany, ależ byłyśmy głupie. Wiedziałyśmy, że Czarne Skrzydła są przerażający i potężni, wiedziałyśmy, że mama zbladła jak ściana tamtego dnia w centrum handlowym, i też się bałyśmy, ale nie miałyśmy o niczym pojęcia. Więc starałam się nie patrzeć w miejsce, gdzie wtedy stał, i nie przypominać sobie jego ochryplego głosu, kiedy warczał mi w samo ucho, żebym się nie bała. Nie chcę pamiętać tego uczucia, że jestem czymś, co może sobie wziąć. I o mało nie wziął.

Ta wycieczka do centrum handlowego była dziwna pod jeszcze jednym względem: nie było z nami mamy. Wysłała Billy. Wygląda na to, że Billy już teraz zaczyna ją zastępować — ostatnio ciągle jest u nas, rzuca żarciki w maminym stylu, zabiera mnie na zakupy, i teraz to ona, a nie mama, pomaga mi ułożyć włosy na bal. To Billy mówi mi, jaka jestem śliczna, a mama leży tylko, podparta poduszkami, i patrzy na mnie zmęczonymi oczami.

— Prawda, że wygląda niesamowicie, Mags? — wyciąga z niej Billy, kiedy mama nic nie mówi. — Czerwień to twój kolor, Claro.

— Tak — przyznaje mama słabym głosem. — Jesteś piękna.

— Uwierz mi, Tuckerowi opadnie szczęka na twój widok — mówi Billy, wyprowadzając mnie z pokoju, żeby mama mogła odpocząć. — Z tobą u boku będzie się czuł jak milioner.

— Chcesz powiedzieć, że jestem tylko ładnym dodatkiem do faceta?

— Dzisiaj tak — mówi Billy. — I ciesz się tym.

Muszę pojechać po Tuckera, bo w tym roku został bez transportu — stary samochód z rancza wreszcie wydał ostatnie tchnienie. Wendy też z nami jedzie; auto Jasona Lovetta zepsuło się dwa dni temu, więc zgodziła się spotkać z nim na miejscu. Nie jest to zbyt romantyczna sytuacja dla żadnej z nas, ale jestem pewna, że jakoś to będzie.

Billy zatrzymuje mnie w drzwiach. Rozpryskuje w powietrzu jakieś niesamowite, cudne perfumy i każe mi przejść przez ich chmurkę.

— Masz być w domu o wpół do pierwszej, albo przyjadę cię szukać — zapowiada, a ja nie potrafię poznać, czy mówi poważnie.

— Tak, mam — mamroczę.

Uśmiecha się ze współczuciem.

— Baw się dobrze.

I taki mam plan. Wiosna mija zbyt szybko, nieubłaganie maszeruje w stronę cmentarza, lata, uczelni i wszystkich innych spraw, o których nie chcę myśleć. To może być ostatni wieczór dobrej zabawy, jaki czeka mnie w najbliższym czasie. I zamierzam go przeżyć na maksa.

W tym roku bal jest w bazie narciarskiej Snow King. Komitet organizacyjny przerobił lokal na dżunglę ze sztucznymi drzewami, wielkimi, sztucznymi kwiatami, w rogu stoi nawet

gigantyczna jabłoń z plastikowym węzem wijącym się między gałęziami.

W zeszłym roku wystrój miał większą klasę.

Ale to nieważne. W tym roku jestem z Tuckerem. W normalnych okolicznościach, w swoich kowbojskich ciuchach — wysokich butach, koszulkach i obcisłych dżinsach, we flanelowych koszulach i stetsonach — jest niewiarygodnie przystojny. Szorstki, nieokrzesany i obłędnie seksowny. Ale są też dni jak dziś, kiedy się goli i wkłada wypożyczony smoking, krawat, z grubsza czesze włosy — i w takie dni wygląda jak gwiazdor filmowy.

— Patrzą na ciebie — szepczę, kiedy przechodzimy przez hol i grupka dziewczyn odwraca głowy, żeby się pogapić.

— Niece — mówi. — Patrzą na ciebie. Ta sukienka jest niesamowita.

Tańczymy. Tucker nie jest najlepszym tancerzem, ale brak umiejętności nadrabia żartami. Rozśmiesza mnie przez cały czas. W pewnym momencie próbuje mnie nauczyć two-stepa, a potem western swinga. Potem zaczyna się wolny kawałek, więc kładę mu dłonie na barkach i staram się rozkoszować tą chwilą, jakbyśmy na świecie byli tylko ja i on, i żadnych zmartwień, żadnych sztywnych godzin pracy, żadnych nadciągających nieszczęść, żadnych planów na przyszłość.

Czuję na sobie spojrzenie Christiana, jeszcze zanim go dostrzegam. Tańczy z Avą Peters po drugiej stronie parkietu. Unoszę głowę i patrzę nad ramieniem Tuckera, jak sprawnie prowadzi Avę w tym tłumie. Ava śmieje się do niego, mówi coś uwodzicielskiego, zerkając na niego spod sztucznych rzęs.

Z powrotem przyciskam policzek do barku Tuckera, zamykam oczy. Ale kiedy znów je otwieram, odruchowo szukam Christiana, a gdy go odnajduję, on patrzy wprost na mnie, wbija spojrzenie w moje oczy.

*Zatańczysz ze mną, Claro? — pyta. Tylko jeden raz?*

Zanim mam czas odpowiedzieć, Tucker się odsuwa. Podnosi moją dłoń do ust i całuje ją, dziękując za taniec. Uśmiecham się do niego.

— Weźmy sobie coś do picia — mówi. — Gorąco tu.

Pozwalam, żeby poprowadził mnie do misy z ponczem i nalał mi szklanekę. Przez kilka minut stoimy przy drzwiach, owiewa nas chłodne powietrze.

— Dobrze się bawisz? — pyta.

— Super. — Szczęrze się radośnie. — Ale tak się zastanawiam, gdzie jest reszta twoich dziewczyn?

— Reszta moich dziewczyn?

— O ile dobrze pamiętam, w zeszłym roku przyszedłeś na bal z trzema kobietami. Gdziez się podziewa nieuchwytna panna Allison Lowell?

— W tym roku widzę tylko ciebie.

— Poprawna odpowiedź. — Obejmuję go za szyję i ukradkiem daję mu całusa.

— Oj, oj, oj, kochani — mówi pan Phibbs i chrząka z dezaprobatą.

Przyzwoitka. Próbuje przepędzić go wzrokiem.

— Czystość to cnota — żartuje.

— Tak jest, proszę pana — odpowiada Tucker z pełnym szacunku skinieniem głowy. Pan Phibbs odpowiada skinieniem i idzie sobie szukać jakiejś innej parki, której przerwie błogie chwile.

Wymykam się do łazienki, żeby przypudrować nos, i wpadam na Kay Patterson. Kay z zadowoleniem ogląda się w lustrze i nakłada nową warstwę szminki. Wygląda powalająco w długiej, czarnej, syreniej sukni połyskującej kryształkami. Sztucznymi, mam nadzieję.

— Słyszałam, że twoja mama jest chora. Współczuję — mówi.

Spoglądam w lustrze w jej wielkie, brązowe oczy. Nie odezwała się do mnie bodaj słowem od zeszłego roku, od dnia, kiedy zerwała z Christianem.

— Ehm, dzięki.

— Mój tato umarł na raka okrężnicy — mówi głuchym głosem. — Miałam trzy lata. Nie pamiętam tego.

— Och, przykro mi. Nie wiedziałam.

Nie przychodzi mi do głowy nic więcej do powiedzenia, więc zaczynam myć ręce przy



sąsiedniej umywalce. Kay kończy dopieszczać swoją i tak już idealną twarz i chowa szminkę do torebki. Ale potem staje i patrzy na mnie. Przygotowuję się na jakąś obelgę.

— Większość ludzi nie wie. Mam ojczyma, i wszyscy myślą, że to mój prawdziwy ojciec.

Kiwam głową, nie bardzo wiedząc, dlaczego mi to mówi. Zerkam na drzwi.

— W każdym razie — ciągnie Kay — przyjmij moje kondolencje. O ile cokolwiek dla ciebie znaczą.

Jeszcze raz mamrocze „dzięki” i zaczynam machać ręką przed pojemnikiem z papierowymi ręcznikami, żeby uruchomić komórkę i zmusić urządzenie do wyplucia papieru. Bez efektu. Kay podaje mi ręcznik ze stosiku na blacie.

— Christian się o ciebie martwi — mówi. — Widzę to. On też wcześniej stracił mamę. To była jedna z pierwszych rzeczy, które nas zbliżyły.

— Wiem — mówię jej wyniośle. Mając na myśli: mnie też powiedział.

Kiwa głową.

— Powinnaś mu trochę odpuścić. Zasluguje na szczęście.

— Christian nie jest moim chłopą...

— Patrzysz na niego — mówi. — Gruchacie ze swoim chłopakiem jak dwa gołąbki, ale patrzysz na niego.

— Nieprawda.

Przewraca oczami. Po chwili dodaje:

— On mnie rzucił dla ciebie.

Wybałuszam na nią oczy jak jeleń schwyty w snop światła na drodze.

Kay przez moment zaciska usta, jakby powstrzymywała uśmiech.

— Oczywiście nie powiedział mi tego. Wstawiał mi jakieś kity, że chce być wobec mnie uczciwy i że potrzebuję czegoś innego, i zachowywał się, jakby mi wyświadczał przysługę. Ale ja się tego spodziewałam. Od jakiegoś czasu zachowywał się dziwnie. Nie był sobą. I widziałam, jak ty na niego patrzyłaś, i jak on patrzył na ciebie.

— Nie patrzył na mnie — protestuję.

Prycha drwiąco.

— Skoro tak twierdzisz.

— Christian i ja jesteśmy przyjaciółmi — próbuję jej wyjaśnić. — Ja mam chłopaka.

— Może i masz — mówi Kay, wzruszając nagimi ramionami. — Ale i tak na niego patrzysz.

Moja twarz ma chyba kolor buraczków.

Kay obrzuca mnie spojrzeniem, ogląda moją suknię.

— Będiesz musiała nabrać klasy, jeśli chcesz z nim być.

— Pilnuj swojego nosa, Kay — mówię wkurzona i wychodzę z łazienki.

I wpadam prosto na Christiana. Dokładnie w chwili, kiedy zaczyna się kolejny wolny kawałek.

Zaczynam myśleć, że ten bal będzie dla mnie przeklęty już do końca.

— Cześć — mówi. — Zatańczysz ze mną?

*Jesteśmy sobie przeznaczeni*, słyszę nagle w głowie. I nie potrafię rozpoznać, czy to moja, czy jego myśl.

Czuję w piersi paniczny trzepot.

— Co... Ja... Boże — jąkam, po czym wzdygam, zrezygnowana. — Gdzie jest Ava?

— Nie przyszedłem tu z Avą. Jestem sam.

— Sam. Ty. Dlaczego?

— Żeby moja partnerka nie poczuła się urażona, kiedy zechcę zatańczyć z tobą — mówi.

W tej chwili zauważam Tuckera — stoi jakieś pięć kroków od nas i słucha.

— Zapominasz o jednym — rzuca, stając obok mnie i obejmując mnie w talii. — Clara ma partnera. Mnie. Więc masz pecha.

Christian nie jest ani trochę speszony.

— To tylko jeden taniec — mówi. — Clara i ja jesteśmy przyjaciółmi. Co w tym złego?

— Miałeś swoją szansę — odpowiada chłodno Tucker. I ją zmarnowałeś. Więc idź deptać po palcach komuś innemu.

Christian się waha. Patrzy na mnie.

Tucker kręci głową.

— Stary, nie zmuszaj mnie, żebym cię tu poobijał. Nie chcę sobie uświnić smokingu.

Na policzku Christiana drga mięsień. Odbieram od niego falę uczuć w rodzaju „gdybym chciał, skopałbym ten twój żaloszny tyłek”. Jasną i wyraźną.

Boże. Faceci.

Staję między nimi.

— Bez urazy, Tuck — mówię, odwracając się do niego — ale nie jestem kawalkiem mięsa, okej? Przestań nade mną warczeć. Sama to załatwię.

Odwracam się do Christiana.

— Nie — mówię po prostu. — Dziękuję za propozycję, ale mam partnera.

*Sama decyduję, przy kim jest moje miejsce*, mówię mu bez słów.

Kiwa głową, robi krok w tył. *Wiem*.

Biorę Tuckera za rękę i prowadzę go na parkiet, zostawiając Christiana samego.

Po tym wszystkim tańce nie są już tak przyjemne. Zużywam ogromną ilość energii na próby zablokowania Christiana, jednocześnie usiłując wcale o nim nie myśleć, co okazuje się niemożliwe. Oboje z Tuckerem jesteśmy spięci przez resztę wieczoru, milczymy, lgniemy do siebie w tańcu, jakbyśmy się bali, że się sobie wymkniemy.

W drodze do domu nie rozmawiamy.

Zanim się tu przeprowadziłam, nigdy nie miałam problemu pod tytułem miłosny trójkąt. No wiecie, jak w filmach czy romansidłach, gdzie jest dziewczyna, do której ślinią się wszyscy faceci, chociaż nie ma w niej nic szczególnego. Ale nie, obydwaj muszą ją mieć. A ona w kółko: o rety, kogóż mam wybrać? William jest taki wrażliwy, rozumie mnie, zwała mnie z nóg, o ja nieszczęsna, bla bla, ale jak mogę dalej żyć bez Rafe'a i jego szalonych pomysłów, i jego mrocznej, i tylko odrobinę brutalnej miłości? Porzygać się można. Zawsze uważałam, że to takie nierealistyczne.

Teraz można się pośmiać ze mnie.

Ale Christian i ja w pewnym sensie zostaliśmy sobie przydzieleni. On nie interesuje się mną z powodu mojej powalającej urody czy zniewalającej osobowości. Chce mnie, bo kazano mu mnie chcieć. Nie jest mi obojętny, bo jest dla mnie wielką tajemnicą, i dlatego, że ktoś sobie życzy, żebym go chciała — i to nie tylko moja matka, ale wyższa instancja, ci na górze i Ten Najważniejszy. A do tego Christian jest seksowny i jakoś zawsze wie, co ma mi powiedzieć, i rozumie mnie.

Naprawdę, można się ze mnie śmiać.

Ale dlaczego — właśnie tego nie mogę pojąć — tych na górze obchodzi, kogo kocham w wieku siedemnastu lat? Wybrałam Tuckera. Moje serce podejmuje własne decyzje.

Nagle zachciewa mi się płakać; od dawna nie czułam tak potężnego przyływu smutku — i myślę sobie: Boże, dasz mi wreszcie spokój?

— Dobrze się czujecie? — pyta Wendy nerwowo z tylnego siedzenia.

— Cudownie — odpowiadam.

Nagle Tucker mówi:

— Co to jest?

Wciskam hamulec i zatrzymujemy się z piskiem.

Ktoś stoi na środku drogi. Wygląda, jakby na nas czekał. Wysoki mężczyzna w długim, skórzanym płaszczu. Mężczyzna z włosami czarnymi jak węgiel. Poznaję go nawet z pięćdziesięciu metrów. Czuję go.

A więc to nie mój smutek.

To smutek Samjazy.

Już po nas.

— Clara, kto to jest? — pyta Tucker.

— Nikt fajny — mamrocę. — Wszyscy zapieci?

Nie czekam na odpowiedź. Nie wiem, co robić, więc słucham instynktu. Powoli zdejmuję nogę z hamulca i przenoszę ją na gaz. I wciskam do dechy.

Błyskawicznie nabieramy prędkości, ale jednocześnie jedziemy jak w zwolnionym tempie, czołgamy się w jakimś alternatywnym czasie, kiedy ściskam kierownicę i skupiam się na Samjazy. Ten samochód to moja jedyna broń. Może jeśli go porządnie walnę, uda nam się jakoś uciec. To nasza jedyna szansa.

Tucker zaczyna krzyczeć i ściska siedzenie. Mnie smutek zaćmiewa myśli, ale pędzę dalej. Snop światła z reflektorów pada na anioła na drodze, oczy Samjazy świecą jak oczy zwierzęcia, i w ostatniej, szalonej sekundzie, kiedy samochód wpada na niego, wydaje mi się, że widzę jego uśmiech.

Przez moment wszystko jest czarne. Wokół mojej głowy unosi się biały talk, pewnie z poduszek powietrznych. Tucker obok mnie przytomnieje nagle, bierze głęboki wdech. Nie widzę go zbyt dobrze w ciemności, ale szybę pasażera pokrywa srebrzysta pajęczyna pęknięć. Tucker jęczy.

— Tucker? — szepczę.

Unosi drżącą dłoń do czoła, dotyka go ostrożnie i patrzy na palce. Jego krew wygląda jak rozlany tusz w kontraście ze zbielałą skórą. Porusza zuchwą na wszystkie strony, jakby dostał od kogoś w zęby.

— Tucker? — Słyszę nutę paniki we własnym głosie, który brzmi niemal jak szloch.

— Coś ty sobie myślała, do licha?

— Przepraszam, Tuck. Ja...

— Rany, te poduszki potrafią niezłe przywalić, co? — mówi. — A co z tobą? Jesteś ranna?

— Chyba nie.

— Wendy? — woła.

Wykręcam głowę, żeby móc zajrzeć na tylne siedzenie, ale ze swojego miejsca widzę tylko pasmo jej długich włosów zasłaniające twarz. Tucker zaczyna szarpać za klamkę, próbuje wysiąść, iść do niej, ale drzwiczki są wygięte i się nie otwierają. Próbuję swoich — ten sam problem. Zamykam oczy i próbuję wymieść z głowy kłęb pajęczyn, który się w niej zebrał.

Zrób to, nakazuję sobie.

Mocno chwytam klamkę, pociągam, a potem przyciskam bark do drzwiczek i napieram z całej siły. Słyszę, że coś puszcza, potem zgrzyt ustępującego metalu i nagle drzwiczki odpadają od zawiasów. Uderzają o ziemię. Odpinam pas i wysiadam, biegnę na drugą stronę auta, bez trudu wyrywam drzwiczki Tuckera, rzucam je w zielsko na poboczu. Tucker gapi się na mnie przez sekundę z otwartymi ustami. Nigdy wcześniej nie widział czegoś takiego w moim wykonaniu.

Ja też nie widziałam.

Podaję mu rękę. Tucker chwytą ją, wyciągam go z samochodu. Idzie prosto do drzwiczek Wendy, które otwierają się z łatwością. Próbuje ją wyciągnąć, ale coś trzyma ją na miejscu.

— Pas — mówię.

Tucker przeklina, wciąż oszołomiony, po omacku szuka zatrasku i wyciąga siostrę z samochodu. Wendy nie wydaje ani jednego dźwięku, kiedy niesie ją na pobocze i delikatnie układa na żwirze. Zdejmuje marynarkę smokingu i wsuwa jej pod głowę i plecy.

— Ocknij się, Wendy — nakazuje, ale nic się nie dzieje. Klękam obok niego i przez chwilę obserwuję ruchy jej klatki piersiowej. Nasłuchuję serca — bije powoli i miarowo — to najcudowniejszy dźwięk na świecie.

— Oddycha — mówię do Tuckera. — I ma silny puls.

Tucker z ulgą spuszcza głowę.

— Musimy zadzwonić pod 911. W tej chwili. Gdzie twój telefon?

Wracam do samochodu. Jest skasowany: cały przód jest zmiażdżony, jakbym setką wjechała w śłup. Ani śladu anioła. Może zwiął z powrotem do piekła. Idę na stronę kierowcy i zaczynam kopać w bałaganie, szukając małej kopertówki z telefonem. Nigdzie nie mogę jej znaleźć. To wszystko jest tak nierealne, jakby nie działo się naprawdę. Jakby to był zły sen.

— Nie wiem, gdzie jest! — wołam. — Miałam go, kiedy wychodziliśmy.

— Clara — mówi Tucker powoli.

— Daj mi chwilę. Wiem, że tu jest.

— Clara — mówi jeszcze raz.

Coś w jego głosie każe mi znieruchomieć. Brzmi jak tamtego dnia, kiedy poszliśmy w góry oglądać wschód słońca i z zarośli wyszedł grizzly. „Nie uciekaj”, powiedział Tucker dokładnie w ten sam sposób. Powoli, jak w smole, wysuwam się z samochodu, prostuję się, spoglądam w stronę głosu i zamieram.

Koło Tuckera stoi Samjaza. Nawet nie jest draśnięty. Mój samochód wygląda, jakby przeszedł przez zgniatarkę, a on stoi sobie, lekko uśmiechnięty, wyluzowany, jakby on i Tucker po prostu przystanęli na poboczu. W dłoni trzyma moją komórkę.

— Cześć, ptaszyno — mówi. — Miło cię znowu widzieć.

Kiedy słyszę to przezwisko, strach i obrzydzenie wypełniają mi żołądek. Całe ciało zaczyna mi się trząść.

— Przejechałaś mnie — stwierdza. — To twój chłopak?

Odwraca się do Tuckera, jakby chciał mu ucisnąć rękę, ale Tucker odwraca oczy, patrzy w ziemię, na samochód, gdziekolwiek, byle nie w płonące bursztynowe oczy anioła. Zaciska pięści.

Samjaza wybucha krótkim śmiechem.

— Zastanawia się, czy powinien mnie uderzyć. Wjechałaś we mnie samochodem, a on mimo wszystko zastanawia się, czy powinien ze mną walczyć. — Kręci głową. Ten ruch jest dziwnie zamazany, jakby tak naprawdę było go dwóch, jeden w drugim: — ludzkie ciało i jakaś inna istota. Prawie o tym zapomniałam. — Ech, ci ludzie — mówi ubawiony.

Gardło mam tak ściśnięte, że boli przy przełykaniu. Nie chcę patrzeć na Wendy leżącą na poboczu. Na Tuckera też nie mogę patrzeć; teraz nie mogę się o niego bać. Muszę być silna. Znaleźć sposób, żeby nas z tego wypłatać.

— Czego chcesz? — pytam, z trudem panując nad głosem.

— Doskonałe pytanie, które sam zadawałem sobie od bardzo dawna. Byłem na ciebie zły, mała quartariusko, od kiedy... — Odwraca głowę i unosi włosy, żeby pokazać ucho; nawet po ciemku widzę, że jest zniekształcone. Odrasta, dociera do mnie. Urwałam je zeszłego lata, kiedy otaczała mnie chwała, i przez cały ten czas jeszcze mu nie odrosło.

— Ja nie chciałam... — mamroczę. — To nie było specjalnie...

Macha lekceważąco ręką, odwraca się.

— Oczywiście, że chciałaś. Ale nie warto się o to złościć.

— Dlaczego tu jesteś? — pytam. — Przejdźmy od razu do tej części, okej? Jeśli zamierzasz mnie unicestwić, to zrób to.

— Och, nie — mówi, jakbym go uraziła; jakby przy naszym ostatnim spotkaniu nie próbował zrobić dokładnie tego. — Chcę z tobą porozmawiać. Obserwowałam cię i wydajesz się nieszczęśliwa, moja droga. Rozdarta. Byłem ciekaw, czy nie mógłbym pomóc.

— Ty nie chcesz mi pomóc.

— Och, ależ chcę — mówi. — Już przy pierwszym spotkaniu wydałaś mi się bardzo interesująca, wręcz fascynująca. Zdaje mi się, że twoja matka ukrywa coś na twój temat.

— Za to mnie powiedziała wszystko na twój temat — mówię.

Unosi brwi.

— Wszystko na mój temat? Doprawdy. No cóż, to niezła historia, ale nie ma wielkiego związku z tobą. Bardziej mnie interesuje to, co masz zrobić. Twoje zadanie. Twoje wizje. Twoje sny.

— Moje zadanie nie ma nic wspólnego z tobą.

Samjaza kręci głową.

— A może chodzi o coś innego? — Czuję, jak sonduje mój mózg. — Nie powiedziała ci — stwierdza rozczarowany. — Wyczułbym to, gdybyś wiedziała.

Najgłupsze jest to, że jestem ciekawa. Chcę wiedzieć, o czym on mówi, i on oczywiście to wie, i dlatego się uśmiecha, a ja tańczę, jak mi zagrał, bo myślę o tym, co powiedział, zamiast

kombinować, jak nas od niego uwolnić.

Nic na to nie poradzę.

— Czego mi nie powiedziała? — pytam.

Unosi mój telefon.

— Zapytajmy ją.

Zrób coś! — myślę. Muszę wymyślić jakąś strategię, przywołać chwałę, co wydaje mi się niemożliwe, kiedy przygniata mnie ciężki całun jego smutku. Pajęczyny w głowie nie chcą zniknąć, smutek zaćmiewa wszystko.

Myśl.

— Czyżbyś chciał ze mnie zrobić zakładniczkę? Bo mama na pewno uzna to za superromantyczne.

Jego twarz pochmurnieje.

— Nie zmuszaj mnie do zrobienia czegoś, czego będę żałował — mówi i zbliża się o krok do Tuckera.

Spoglądam Tuckerowi w oczy. Przełyka ślinę, jego jabłko Adama drga. Jest przerażony. Samjaza go zabije, myślę. Dlatego Tuckera nie ma na cmentarzu. Dla Samjazy to takie proste — trwałoby mgnienie, wystarczyłby drobny ruch nadgarstka. Dlaczego jestem taka głupia? Dlaczego tego nie przewidziałam? Przez tyle miesięcy kombinowałam, jak go ochronić, potem zlekceważyłam wszystko, kiedy dowiedziałam się o mamie, a teraz doszło do tego.

Chciałabym mu powiedzieć, jak mi przykro, że wciągnęłam go w moje obłąkane życie.

— No już, zadzwoń do niej — mówi Samjaza.

Kiwam głową i podchodzę do niego, krok za krokiem, żeby wziąć telefon. Próbuję zablokować smutek, kiedy nagle docieram do niewidzialnej granicy jego aury, tej bańki utkanej z bólu. Łzy palą mnie w oczach. Mrugam, żeby je odpędzić. Idę dalej. Staję wprost przed nim i patrzę mu w oczy.

Samjaza kładzie komórkę na mojej dłoni.

Wcisgam dwójkę. Telefon dzwoni długo, tak długo, że boję się, iż zaraz włączy się poczta głosowa, ale w końcu słyszę głos mamy.

— Clara? — Po jej tonie poznaję, iż wie, że stało się coś złego.

— Mamo... — Przez chwilę nie jestem w stanie zmusić gardła do działania, wydobyć z niego słów; słów które sprowadzą ją tutaj, na spotkanie Samjazy i kto wie jakiego losu. — Samjaza jest tutaj.

— Jesteś pewna? — pyta.

Czuję na sobie oczy Samjazy, jego obecność w moim umyśle; grzebie w nim — właściwie nie naciska, ale próbuje mnie rozszyfrować czy podsłuchać.

— Stoi przede mną.

Cisza w słuchawce. W końcu mama pyta:

— Gdzie jesteś?

— Nie wiem. — Rozglądam się zdezorientowana. Nie pamiętam, gdzie jesteśmy, a widzę tylko ciemne pola i rząd słupów elektrycznych ciągnących się w dal.

— Coltman Road — mówi Tucker półgłosem.

Mówię jej.

— Rozbiłam samochód — dodaję, bo jakaś głupia część mojego mózgu potrzebuje się przyznać, jak strasznie narozrabiałam.

— Claro, posłuchaj mnie — szepcze mama. Chwyta głęboki, drżący oddech. — Wiesz, że nie mogę do ciebie przylecieć.

Wiedziałałam to. Mimo to wstrząsa mną szok. Wiem, że jest za słaba na latanie, nawet na schodach dostaje zadyszki, ale jakaś mała część w głębi, w sercu, wierzyła, że mama i tak się zjawi, niezależnie od wszystkiego.

— Co mówi? — pyta Samjaza, podchodząc do mnie i przysuwając usta do mojego ucha. Jest podekscytowany. Myśli, że mama popędzi mi na ratunek, jak ostatnim razem. Ta myśl ogromnie go cieszy, myśl, że zobaczy moją matkę, że spojrzy jej w twarz, usłyszy jej głos. Niemal

tańczy wokół mnie z radosnej niecierpliwości. Ma plan: chce zrobić coś, co zrehabilituje go w oczach innych. Chce zatrzymać mamę na zawsze przy sobie. W piekle.

Tyle że ona nie przyleci.

Zdaje się, że mamy przechłapanę na całego.

— Co mówi? — pyta znów Samjaza. Jego umysł naciska na mój, próbuje sam wydobyć tę informację. Walczę z nim, i tym razem zadziwiająco łatwo wypycham go z moich myśli.

Psychicznie jestem silniejsza niż ostatnim razem. Jestem w stanie go wyrzucić. I to bardzo dobrze, biorąc pod uwagę, że teraz muszę skłamać.

— Już jest w drodze.

— Bądź dzielna, kochanie — mówi do mnie mama. — Pamiętaj, co ci mówiłam: walcz z nim sercem i umysłem. Jesteś silniejsza, niż sądzisz. Kocham cię.

— Okej. — Rozłączam się. Samjaza wyciąga rękę, a ja staram się opanować drżenie, kiedy z powrotem wkładam w nią telefon.

— Teraz czekamy — mówi. Kiwa głową jak nerwowy uczeń, uśmiecha się. — Nigdy nie potrafiłem cierpliwie czekać.

Panika trzepocze w mojej piersi jak przestraszony ptak, ale pacyfikuję ją jak umiem.

Graj na czas, mówię sobie. Wymyśl sposób, jak odciągnąć go od Tuckera i Wendy, żeby móc przywołać chwałę.

— Musimy wezwać karetkę dla mojej przyjaciółki. — Wskazuję Wendy, leżącą u stóp Tuckera jak szmaciana lalka w czarnej, aksamitnej sukience. To moja sukienka. I moja wina.

Samjaza spogląda na telefon i zaborczym gestem zamyka go w dłoni.

— Nie wydaje mi się.

Przełykam ślinę.

— Jest ranna. Potrzebuje pomocy. Dla ciebie to i tak nie ma znaczenia. Ciebie, mnie i mamy może tu już dawno nie być, zanim przyjedzie karetka.

— Proszę — mówi Tucker, i w jego głosie słychać szczere błaganie. — To moja siostra. Może umiera. Błagam pana.

Może ten „pan” wreszcie go rusza. Smutek wokół mnie pulsuje i czuję przeblysłk czegoś ludzkiego, być może współczucia. Jakieś sprzeczne emocje. Znów patrzy na telefon, otwiera go. Przebiega wzrokiem po guzikach, ale chyba nie wie, który wcisnąć. Dociera do mnie, że Samjaza nie umie używać komórki.

— Ja to zrobię — mówię. — Możesz mnie obserwować. Wcisnę tylko 911. Jeśli zrobię cokolwiek innego, możesz mnie zmiażdżyć, czy jak to tam robisz.

Uśmiecha się.

— Ale jeśli cię zmiażdżę, nie dostanę tego, po co przyszedłem, prawda? To może inaczej. Zadzwoń, i jeśli spróbujesz mi wyciąć jakiś numer, zmiażdżę jego.

Ruchem głowy wskazuje Tuckera. Ogarnia mnie lodowata fala strachu.

— Okej — szepczę.

— Tylko szybko — mówi.

Podaje mi telefon. Wybieram numer i podnoszę komórkę do ucha w drżącej dłoni.

— Dziewięćset jedenaście, w czym problem? — odzywa się kobiecy głos.

— Wypadek... — Odchrząkam i zaczynam od nowa: — Wypadek samochodowy na Coltman Road. Proszę przysłać karetkę.

Pyta o moje nazwisko. Nie mogę jej go podać, bo kiedy przyjadą ratownicy, będą spodziewali się mnie tu zastać, a mnie nie będzie. Ale może to nie ma znaczenia. Może wtedy będę już zbyt martwa, żeby się tym przejmować.

— Jestem... ehm, jestem... — jąkam.

Samjaza wyciąga rękę. Zrobiłam to, co miałam zrobić. Zadzwołam. Oddaję mu telefon. Dyspozytorka wciąż mówi, zadaje pytania, chce wiedzieć, jak poważne są obrażenia.

— Halo — mówi Samjaza z powagą, ale w jego oczach jest zupełnie coś innego.

— Halo? — pyta kobieta słabym głosem. — Kto mówi?

— Właśnie zjawiłem się na miejscu. Straszny wypadek. Niestety, dziewczyna jest

nieprzytomna. I młody mężczyzna. Są ubrani jak na bal. Proszę się pospieszyć. Oboje są poważnie ranni.

Zamyka telefon.

Oboje poważnie ranni.

— Ale mama...

— Nie przyleci — mówi Samjaza, patrząc na mnie, jakby wiedział wszystko. Jest bardzo rozczarowany. — Będę musiał zadowolnić się tobą.

Zaczyna się odwracać do Tuckera.

Spoglądam Tuckerowi w twarz; w jego chmurnych niebieskich oczach widzę, że rozumie, co Samjaza zamierza zrobić. Akceptuje to. Przygotowuje się na to.

Czas się zatrzymuje.

Muszę przywołać chwałę. Właśnie dla tej chwili ćwiczyłam przez cały rok. Teraz.

Patrzę na Tuckera i nie czuję nic prócz bicia serca, tak spowolnionego, jakby uderzało raz na pięć sekund; czuję krew krążącą w żyłach, w płucach, pulsującą rytmicznie i napełniającą mnie siłą, życiem, a w końcu świadomością samej siebie i czegoś więcej niż ja. Czegoś więcej niż ludzkie ciało. Czuję swojego ducha. Swoją duszę.

Światło eksploduje wokół mnie. Zwracam się do Samjazy i w tej samej chwili, jakby spowolniony dwadzieścia razy, on spogląda w moją twarz i dociera do niego, co kombinuję. Wybuch gniewem, ale nie ma czasu zadziałać. Z nieziemską szybkością odsuwa się poza zasięg chwały.

Biorę głęboki wdech, powoli wypuszczam powietrze i czuję w opuszkach palców mrowienie tego światła promieniującego z mojego ciała. Moje włosy emanują blaskiem, klatkę piersiową wypełnia ciepło. Ogarnia mnie spokój. Znów spoglądam na Tuckera, który unosi rękę, żeby osłonić oczy przed moim światłem. Chwytam jego drugą dłoń. Jest zimna, lepka w zetknięciu z moją niemal rozpaloną skórą. Drga, kiedy go dotykam, ale w końcu rozluźnia się, opuszcza rękę i patrzy na mnie spod zmrużonych powiek, jakby bardzo się starał patrzeć w słońce. Widzę w jego oczach niewylane łzy. I strach.

Unoszę rękę i przykładam palec do skaleczenia na jego głowie; patrzę, jak światło go pieści, skóra się zamyka, zrasta, aż po ranie nie zostaje śladu.

— Już dobrze — szepczę.

Śmiech przeszywa mój spokój. Samjaza śmieje się, stojąc w bezpiecznej odległości.

— Ciągle cię nie doceniam — mówi niemal z podziwem. — Twarda z ciebie ptaszyna.

— Idź sobie.

Znów się śmieje.

— Chcę się dowiedzieć, co będzie dalej. Ty nie?

— Idź. Sobie.

— Nie utrzymasz jej w nieskończoność, przecież wiesz.

Powiedział coś takiego mojej mamie tamtego dnia w lesie. Kiedy przywołała chwałę, stwierdził: „Nie utrzymasz jej w nieskończoność”, a ona odparła: „Utrzymam wystarczająco długo”.

Ile to jest wystarczająco długo? Już teraz, po zaledwie kilku minutach, czuję, że zaczynam się męczyć. To jest jak trzymanie drzwi do mojej duszy szeroko otwartych na nieubłaganym wietrze, który chce je zatrasnąć. Prędzej czy później drzwi się zamkną.

Samjaza zamyka oczy.

— Już niemal słyszę syreny. Pędzą w naszą stronę. Będzie ciekawie, kiedy pogotowie się tu zjawi.

Ściskam dłoń Tuckera. Próbuje się do mnie uśmiechnąć. Ja próbuję odpowiedzieć uśmiechem.

Przydałby się jakiś plan. Sterczenie tutaj i czekanie, aż przepali mi się żarówka, to żaden plan. Czekanie na pogotowie i mieszanie w ten pasztet dodatkowych osób to też nie plan.

— Może przestaniesz się już wygłupiać? — mówi Samjaza. — Owszem, jestem pod wrażeniem. Raczej się nie słyszy, żeby ktoś w twoim wieku i z tak rozcieńczoną krwią potrafił w

pojedynek przywołać chwałę. Ale powinnaś już przestać.

Mówi spokojnie, ale czuję, że zaczyna być wściekły.

Widziałam go już wściekłego. I to nie był ładny widok. Zaczyna robić różne rzeczy, jak na przykład strzelać ci w głowę kulami ognia.

Na drogę skręcają światła. Oddech zamiera mi w płucach. O mało nie tracę chwały. Światło filuje, przygasa, ale jakoś się trzymam.

— No już, dość tych głupot — rzuca niecierpliwie Samjaza. — Musimy iść.

Jest za późno. Samochód podjeżdża do nas powoli. Zatrzymuje się, słyszę pisk hamulców. Ale to nie jest karetka. To poobijana srebrna honda z zardzewiałym, zielonym zderzakiem. Wyteżam wzrok, żeby przez własny blask dostrzec osobę w środku. To mężczyzna z siwymi włosami i brodą.

Pan Phibbs.

Nigdy nie widziałam niczego piękniejszego niż pan Phibbs w tym jego tandetnym, brązowym garniturze. Idzie do nas z uśmiechem, jakby wybrał się na nieśpieszną przechadzkę w środku nocy. Czuję się silniejsza, kiedy się zbliża — czuję, że mogę zrobić wszystko, czego się po mnie oczekuje, wszystko co trzeba. Czuję nadzieję.

— Dobry wieczór — mówi pan Phibbs, kiwając mi głową. — Jak się macie?

— Jest ranna — odpowiadam, wskazując Wendy. Chwała Bogu, ciągle oddycha. —

Pogotowie już jedzie. Powinno tu zaraz być.

Samjaza mu się przygląda.

— Rozumiem — mówi pan Phibbs. Zwraca się do złowrogiego Czarnego Skrzydła: — W czym problem?

— Kim pan jest? — pyta Samjaza.

— Nauczycielem. — Pan Phibbs poprawia okulary. — To moi uczniowie.

— Mam sprawy z tą dziewczyną — oznajmia Samjaza niemal uprzejmie. — Pójdziemy sobie, a pan będzie mógł się zająć resztą.

— Obawiam się, że nie mogę na to pozwolić — oświadcza pan Phibbs. — To prawda, zapewne mógłbyś mnie zgnieść jak robaka, gdybyś zechciał. I jeśli zdołasz do mnie dotrzeć — dodaje. — Ale staję przeciw tobie w imieniu Pana Wszzechmogącego, którego imię kalasz. Więc czołgaj się z powrotem w ciemność, Czuwający.

Mam nadzieję, dla dobra nas wszystkich, że nie blefuje.

Samjaza nie rusza się z miejsca.

— Czyżbyś mnie nie dosłyszał? — pyta pan Phibbs, jakby upadły anioł był opieszalym uczniem. — Widzę, że twoje ucho jest w kiepskim stanie. To twoje dzieło, Claro?

— Ehm, tak.

— No cóż, brawo. — Zwraca się z powrotem do Samjazy.

— Uważaj, starcze — warczy anioł. Powietrze wokół niego zaczyna skwierczeć od energii.

A ja zaczynam się martwić, że zaraz porwie nas wszystkich do piekła.

— Corbett — rzucam nerwowo.

Szybciej niż mgnienie oka pan Phibbs unosi rękę i otaczające nas światło rozbłyska wokół niej, skręca się, przybiera kształt długiego, cienkiego przedmiotu z punktem jaskrawego blasku na końcu. To strzała, myślę, strzała utworzona z chwały, i zanim mam czas zorientować się, co to może znaczyć, pan Phibbs wykonuje ręką silny zamach i wypuszcza to coś prosto w Samjazę.

Obserwuję w zwolnionym tempie, jak strzała szybuje łukiem przez powietrze, niczym spadająca gwiazda, i trafia anioła w bark. Wydaje odgłos jak nóż wbijający się w arbuza. Samjaza patrzy na nią, zdumiony, a potem znów spogląda na pana Phibbsa, jakby oczom nie wierzył. Światło ze strzały sączy się z jego barku niczym krew; syczy w miejscach, których dotyka, przeżera tę drugą warstwę, pod którą Samjaza ukrywa prawdziwe ja. Unosi rękę i zamyka dłoń wokół beltu. Marszczy brwi i wrywa strzałę. Wyje z bólu. Upuszcza ją, a ona w zetknięciu z ziemią wybucha chmurą drobnych iskier. Zdyszany Samjaza patrzy wprost na mnie — nie na pana Phibbsa ani na Tuckera, ale na mnie — a jego oczy są smutne. Jego ciało nagle robi się półprzezroczyste, przyćmione i szare; nawet skóra, jakby zmieniał się w ducha.



I znika.

Pan Phibbs obok mnie powoli wypuszcza powietrze; to jedyna oznaka, że to wszystko było potwornie przerażające. Wreszcie przestają podtrzymywać chwałę i blask gaśnie.

— Cóż, teraz przynajmniej wiemy, dlaczego jest na mnie wściekły — mówi wesoło pan Phibbs.

— Jak pan to zrobił? — pytam bez tchu. — To było super.

— Dawid i Goliat, moja droga — odpowiada. — Wystarczy mały, gładki kamyk, żeby powalić olbrzyma. Choć szczerze mówiąc, celowałem w serce. Nigdy nie byłem najlepszym strzelcem.

Tucker, zataczając się, odchodzi parę kroków w zielisko, żeby zwymiotować. Pan Phibbs marszczy nos, kiedy słuchamy, jak pozbywa się kolacji.

— Niestety, ludzie i chwała to nie najlepsze połączenie — mówi.

— Wszystko dobrze? — wołam do Tuckera.

Tucker prostuje się i wraca na drogę, ocierając usta rękawem smokingu.

— Czy on wróci? — pyta.

Patrzę na pana Phibbsa, który wzdycha.

— Raczej tak.

— Ale pan go zranił — mówię spiętym głosem. — Czy oni nie potrzebują dużo czasu, żeby się wyleczyć? Przecież urwałam mu ucho wiele miesięcy temu i jeszcze nie odrosło.

Pan Phibbs ponuro kiwa głową.

— Powinienem był trafić w serce.

— To by go zabiło?

— Boże, nie. Nie da się zabić anioła — mówi.

— Patrzcie. — Tucker wskazuje coś w oddali. Widzimy radiowóz, a za nim karetkę i wóz strażacki, pędzące szosą w naszą stronę.

— Trochę im zeszło — stwierdzam.

Pan Phibbs klęka, żeby obejrzeć Wendy. Delikatnie dotyka palcami jej szyi. Powieki jej trzepoczą, ale nie budzi się. Jęczy. To naprawdę piękny dźwięk.

— Wyjdzie z tego? — pyta Tucker; twarz ciągle ma lekko zielonkawą.

— O tak, myślę, że będzie zdrowa — odpowiada pan Phibbs.

Milkniemy wszyscy, kiedy syreny się zbliżają; ich ton zmienia się, a w końcu oblewa nas migające, czerwone i niebieskie światło i niczego nieświadomi ludzie pędzą nam na pomoc.

## 14. Pieśń smutku

Jest już prawie ranek, kiedy wchodzę do domu, wciąż ubrana w poplamioną i zmiętą suknię, bez butów. Jeffrey i mama czekają w salonie. Na mój widok mama wydaje dziwny, zduszony krzyk, zrywa się tak szybko, że niepokoi Billy, i niemal pada mi w ramiona, żeby mnie uściskać.

— Tak mi przykro — szepcze w moje włosy. — Dobrze się czujesz?

Głupie pytanie.

— Mamo... — mówię zażenowana, obejmując ją. — Nic mi nie jest.

Pan Phibbs chrząka za moimi plecami. Był ze mną przez cały czas na oddziale ratunkowym, kiedy przechodziłam wszystkie niepotrzebne badania, został nawet kiedy już zjawiała się Billy; siedział z Averymi w holu, czekając na wieści o Wendy, która doszła do siebie, tak jak zapowiedział, a potem pomagał mi opędzić się od gradu pytań policji, na które nie wiedziałam, jak odpowiedzieć.

Mama odsuwa się ode mnie i spogląda na pana Phibbsa błyszczącymi oczami.

— Dziękuję, Corbett.

— Nie ma za co — odpowiada szorstko.

— Co im powiedzieliście? — pyta Jeffrey, a mówiąc „im”, ma na myśli wszystkich zwykłych ludzi.

— Oficjalna wersja jest taka, że wjechała w łośia — odpowiada ze śmiechem Corbett.

W łośia. Może kiedyś wyda mi się to zabawne. Ale nie dziś.

— Nie powinnam była próbować go przejechać — mówię, masując skronie. — To było głupie.

— Żartujesz? To była najodważniejsza akcja świata — mówi Billy.

— Byłaś niesamowita, Claro — dodaje mama. — Stawiłaś mu czoła. Ochroniłaś wszystkich. Przywołałaś chwałę całkiem sama, mimo ogromnej presji, i utrzymałaś ją, aż nadeszła pomoc. Nigdy nie byłam z ciebie taka dumna.

Mam coś mokrego na policzkach. Wycieram to.

— Och, kotku — mówi mama. Bierze mnie za łokieć i ciągnie do salonu, gdzie, jak sądzę, chce usadzić mnie przy kominku i spróbować wszystko naprawić słowami.

Wrywam jej się.

— Może teraz wreszcie mi powiesz, mamo?

— Co?

— Samjaza powiedział, że jest coś, czego mi nie mówisz o moim zadaniu, wizjach albo o mnie. To prawda?

Mama wzdryga się, jakbym dała jej w twarz. Ona i Billy wymieniają spojrzenia, kłócąc się bez słów.

Więc coś jednak jest na rzeczy.

— Samjaza miał jakiś plan — mówię. — Tym razem chciał cię zmusić, żebyś z nim została.

Mama marszczy brwi i milczy. Nagle Billy rzuca:

— Mags, nawet o tym nie myśl.

— Nie myślałam — odpowiada mama.

— Myślałaś. Znam cię. Samjaza nie może zostać zrehabilitowany. Sam sobie posłał. Nie namówisz go, żeby przestał być Czarnym Skrzydłem.

— On myślał, że jeśli zabierze cię ze sobą do piekła, naprawi swoje stosunki z innymi Czarnymi Skrzydłami. Co to znaczy? — pytam.

— Kiedyś miał mnie zabić — mówi mama, jakby to nie było nic wielkiego. — Nie zrobił tego. I został za to ukarany.

— Od tej pory nie jest całkiem normalny — dopowiada Billy. — Jest rozdarty. I dlatego za żadne skarby tej ziemi nie dopuszczę cię w pobliże tego walniętego anioła. On cię zabije.

Mama wzdycha.

— Ale ja i tak umieram. Nie mam nic do stracenia.

Pan Phibbs kaszle.

— Popieram Billy. Uważam, że powinnaś trzymać się od niego z daleka. Masz wszystko do stracenia. Może uwięzić twoją duszę i nigdy cię nie wypuścić. Może cię trzymać tam, na dole, nie wiadomo jak długo.

— Nie zdołałyby mnie zatrzymać — sprzeciwia się mama. — Nie na zawsze. Cokolwiek mu się wydaje.

Pan Phibbs wzrusza ramionami.

— Ja nie chciałbym spędzić w tym miejscu nawet dziesięciu minut.

— No dobrze. — Usta mamy wykrzywia grymas frustracji. — Nie będę się do niego zbliżać. Zostanę tutaj i po prostu zniknę.

Po raz pierwszy okazuje jakieś inne emocje niż godną akceptację tego, co się z nią dzieje. Po raz pierwszy widzę ją autentycznie pokonaną.

— Powinnaś się położyć — mówi do mnie. — Możemy o tym porozmawiać później, ale teraz jesteś wykończona. Musisz się przespać.

— Chyba lepiej pójde się pakować — stwierdzam, ruszając w stronę schodów.

Mama spogląda na mnie, nic nie rozumiejąc.

— A nie musimy się stąd wynosić? Samjaza powiedział, że mnie obserwował. Na pewno wie, gdzie mieszkamy. Nie jesteśmy tu bezpieczni. On wróci. Przecież wiesz.

Mama kiwa głową.

— To raczej oczywiste. To tylko kwestia czasu. Ale on cię już zna, Claro. Jeśli naprawdę będzie chciał cię znaleźć, to znajdzie. Ucieczka nic nam nie da.

Jakoś mnie to nie pociesza.

Mama zamyka oczy, jakby potrzebowała się zdrzemnąć, tu, w tej chwili.

— Musimy tu zostać, Claro. Właśnie tutaj mam być.

Ma na myśli to, że właśnie tutaj ma umrzeć. Przelykam ślinę.

— Dom jest bezpieczny — oświadcza.

— I teren szkoły — dodaje pan Phibbs. — Zadbalem o to wiele lat temu.

— Zaraz — przerywam mu. — Jak to bezpieczny?

— Uświęcony — odpowiada. — Ziemia została poświęcona. Czarne Skrzydła nie mogą postawić nogi na świętej ziemi, to dla nich zbyt bolesne.

— Więc nasz dom stoi na uświęconej ziemi? — pytam. Słowo brzmi znajomo. Kongregacja pytała, czy cmentarz jest uświęcony.

— Tak — odpowiada pan Phibbs.

Wracam myślą do dnia, kiedy po raz pierwszy zobaczyłam nasz dom; przypominam sobie poczucie ciepła i bezpieczeństwa, które przepełniło mnie, kiedy tylko wysiadłam z samochodu. Ciekawe, czy to było działanie jego „uświęconości”, czy jak to się mówi.

I szkoła. To dlatego mama kazała Angeli i mnie jechać do szkoły tamtego dnia, kiedy miałam napad smutku. Bo w szkole jest bezpiecznie.

Pan Phibbs zwraca się do mamy:

— Billy i ja możemy codziennie wozić dzieci do i ze szkoły.

— Dobrze — mówi mama. — Ustalimy grafik. Przykro mi, Claro, ale to będzie trochę przypominało szlaban.

— A co ze mną? — pyta Jeffrey.

Kompletnie zapomniałam, że tu jest; że stoi w kącie z założonymi rękami.

W granatowych oczach mamy błyska smutek.

— Ty też będziesz musiał siedzieć w domu. Przykro mi.

— Fantastycznie — mruczy Jeffrey. — Właśnie tego mi potrzeba. Kolejnego niebiańskiego przykazu. Jak długo?

— Dopóki nie odejdę — mówi mama.

Jeffrey odwraca się i patrzy na mnie ze wściekłością, jakby to była moja wina. Porusza zuchwą, jakby zgrzytał zębami, po czym rusza do swojego pokoju, żeby się dąsać. Słyszymy

trzaśnięcie drzwi.

— A co do ciebie — mówi Billy — koniec z nocnymi wycieczkami do Leniwego Psa. Osobiście zabiję ci okno gwoździami, przysięgam. To nie jest pora na szlajanie się po nocy i odwiedziny u chłopaka.

Tucker. Ciągłe staje mi przed oczami wyraz jego twarzy, kiedy Samjaza zamierzał go skrzywdzić. I pamiętam, jak czułam się w tamtej chwili, nie mogąc go powstrzymać.

Przecież go powstrzymałaś, mówi mój wewnętrzny głos.

Tak. Ale następnym razem? A poza tym co z Wendy, która ma rękę złamaną w dwóch miejscach, lekki wstrząs mózgu; która ocknęła się w szpitalu i ze skołowaną miną słuchała wyjaśnień, co się stało. „Łoś?” — powtarzała. Nie pamiętam...

To wszystko moja wina. Oni nie byliby w niebezpieczeństwie, gdyby nie ja.

— A jak tam Tucker? — pyta mama. — Nic mu nie jest?

— Jest wstrząśnięty. Ale cały i zdrowy. Mówią, że Wendy też dojdzie do siebie. — Nie chcę więcej myśleć o tym, co się mogło stać. Jestem zbyt zmaltretowana. — Chyba pójdę już do łóżka. Dobranoc. Czy raczej dzień dobry?

Mama przytakuje mi skinieniem.

— Dobranoc. — Kiedy wchodzę już po schodach, dodaje: — Naprawdę jestem z ciebie dumna. I kocham cię, nie zapominaj o tym.

Wiem, że mnie kocha. Ale coś przede mną ukrywa. Ciągłe.

Te tajemnice nie mają końca.

Kiedy wychodzę spod prysznic, słońce już wstaje. Wkładam czystą koszulkę na ramiączkach i spodnie od piżamy, po czym zbieram zrujnowaną sukienkę z podłogi pod drzwiami łazienki i rzucam ją do kąta, gdzie osiada jak dziurawy balon.

To już dla mnie koniec balów. Koniec eleganckich sukien. Koniec głupich chłopaków, którzy klóć się, z kim mam zatańczyć, do kogo należę.

Koniec jazdy samochodem.

Ale Tucker żyje.

Dostrzegam jakiś ruch na dworze i odskakuję od okna z łomoczącym sercem, chociaż wiem, że Samjaza nie może tu przyjść. Do okna podchodzi Christian i zagląda do środka, jakby miał wszelkie prawo tu być. Czekam na jego głos w myślach albo przebłysk jego uczuć, ale nie odbieram niczego. Moja głowa jest cicha, zamknięta na cztery spusty.

Christian marszczy brwi. Wyciąga rękę i cicho puka w szybę.

Jestem piekielnie zmęczona. Czuję tę noc we wszystkich mięśniach naraz. Mam ochotę go zignorować, powlec się do łóżka i schować pod kołdrą.

Ale podchodzę do okna i otwieram je.

— To nie jest dobry moment — mówię.

— Nic ci nie jest? Wpadłem tu wcześniej, chciałem przeprosić, że zachowałem się na balu jak idiota, i twoja mama powiedziała, że miałaś wypadek.

Nie mam siły opowiadać mu całej historii, więc wyciągam rękę przez okno, kładę dłoń na jego ramieniu i otwieram przed nim umysł, żeby sam obejrzał każdy przerażający moment tego koszmaru. Kiedy jest po wszystkim, Christian jest blady. Wstrząsa nim bezwiedny dreszcz. Kaszle cicho.

— A tobie nic nie jest? — pytam.

Opiera się o parapet.

— Nigdy wcześniej tego nie robiłem — mówi. — Nikt nigdy nie... zwał mi na głowę czegoś takiego.

— Spróbuj to przeżyć osobiście.

— I twoja mama jest pewna, że tu jesteś bezpieczna? Nie uważa, że bezpieczniej byłoby...

— Uciec z wrzaskiem? Wziąć udział w programie ochrony świadków? Nie. Mama uważa, że nic by nam z tego nie przyszło. A poza tym dom stoi na uświęconej ziemi.

Christian kiwa głową, jakby ten smakowity news go nie zdziwił. Oczywiście, że mój dom

stoi na uświęconej ziemi. Jak wszystkie porządne domy, nie?

— Żałuję, że mnie przy tobie nie było — szepcze. — Że ci nie pomogłem.

Naprawdę żałuje. I to jest miłe. Ale ja jestem marudna. Jestem zmęczona. Nie jestem w nastroju na uprzejmości.

— Powiniennem już iść — stwierdza.

— Tak, powinieneś.

— Przepraszam za to, co zaszło na balu — mówi. — Nie chcę, żebyś myślała, że jestem takim typem faceta.

Sądzi, że jestem na niego o to zła. Jakbym w ogóle jeszcze o tym myślała.

— Jakim typem?

— Który podrywa dziewczynę innego gościa.

— Nie myślę, że jesteś takim typem faceta. Więc naprawdę nic się nie stało.

— Chcę, żebyśmy byli przyjaciółmi, Claro. Lubię cię. I lubiłbym cię nawet gdyby nikt tego od nas nie wymagał. Chcę, żebyś to wiedziała.

Serio, jestem o wiele za bardzo zmęczona na tę rozmowę.

— Jesteśmy przyjaciółmi. I w tej chwili muszę ci powiedzieć jak przyjaciółka: idź do domu, Christian. Bo naprawdę chcę, żeby ten dzień się już skończył.

Christian przywołuje skrzydła i odlatuje. Zamykam okno. I chociaż jestem wykończona, chociaż wcale nie chcę myśleć o balu, o swoim zadaniu i o tym, że ciągle wszystko wskazuje, że Christian stoi w samym jego centrum, teraz, kiedy go nie ma, czuję się samotna jak nigdy.

Nienawidzę tych przeklętych schodów w lesie. Nienawidzę tego, że znam je tak dobrze, że nauczyłam się na pamięć każdego centymetra — wszystkich pęknięć, wyłobień w cemencie, ciemnozielonego, aksamitnego mchu wylewającego się ze szpar. Nienawidzę szurania moich stóp po nierównej powierzchni. Nienawidzę poręczy, której się trzymam. Gdybym miała teraz taką możliwość, zabrałabym ze sobą młot pneumatyczny i rozwalila te schody na kawałki, a potem wzięłabym wszystkie kawałki i jeden po drugim wrzuciła do jeziora Jackson.

Rozjechałabym buldożerem cały ten cementarz.

Spaliłabym czarną sukienkę, którą mam na sobie. Wyrzuciłabym eleganckie buty mamy do śmieci.

Ale nie mogę. Jestem we śnie, a we śnie rządzi Clara z przyszłości, która ledwie czuje własne stopy, przesuwane się po ziemi. Okrywa się odrętwieniem jak peleryną, chowa się pod nią, ten płaszcz przygniata ją do ziemi, przez co każdy krok wymaga wysiłku. Ta Clara uważa, że powinna płakać. Ale nie może. Chce puścić rękę Christiana, ale nie puszcza. Obie jesteśmy jakby sparaliżowane, niezdolne w tej chwili do niczego prócz tego marszu — wiecznie ten marsz, wiecznie w górę, do miejsca, gdzie zbierają się ludzie.

Do dziury w ziemi.

Do śmierci. Śmierci mojej matki. A na obrzeżach mojego umysłu waruje Czarne Skrzydło, zrozpaczony, zrozpaczony do obłędu, z dziurą ziejącą w sercu.

Mama nie żartowała, mówiąc, że następny tydzień będzie jak areszt domowy. Każdego ranka Billy odwozi nas do szkoły. Zawsze zachowuje się jak gdyby nigdy nic, jakby to nie był problem, ale jest czujna do bólu.

Próbowałam przekonać mamę, że powinnam w ogóle odpuścić sobie szkołę, spędzać czas z nią, ale mama nie chciała o tym słyszeć.

— Co by powiedzieli na US? — żartuje.

— Masz raka. Na pewno by zrozumieli — odpowiadam. To solidny argument.

Nic z tego. Mama ubzdurzyła sobie, że ma być normalnie. Mamy się zachowywać, jakby wszystko było w porządku, dopóki się da. To denerwujące, bo od kiedy to w ogóle jesteśmy normalni? To bez sensu udawać, że jest inaczej. Ale ona jest uparta. Normalne dzieci chodzą do szkoły. Więc chodzimy do szkoły.

Chcę odzyskać swoje życie. Chcę chodzić do Podwiązki i spotykać się z Angelą. Chcę

jadać kolacje z Averymi w niedzielne wieczory, przytulać się z Tuckerem na werandzie za domem. Właśnie to robią normalni ludzie, nie? Spotykają się z przyjaciółmi. Z chłopakami. A poza tym chcą latać. Czasami czuję obecność skrzydeł i aż mnie świerzbi, żeby je rozprostować i poszybować w niebo, poczuć unoszący mnie wiatr.

— To jest do bani — mówi Angela w czwartek, cztery dni po wypadku. Odgryza wielki kęs zielonego jabłka i chrupie go hałaśliwie. — Ale zaatakował cię Czarne Skrzydło, Claro. Lepiej przesadzić z ostrożnością niż potem żałować.

— A ja jestem ostrożna i żałuję.

Posyła mi poważne spojrzenie, mówiące: przestań truć.

— Okej. Lepiej przesadzić z ostrożnością niż zginąć.

— Słusznie.

— Boże, żałuję, że mnie tam nie było! — wykrzykuje tak głośno, że mijające nas dwie osoby zatrzymują się i wytrzeszczają oczy: co wstąpiło w Angelę Zebrino? Angela odpowiada im złym spojrzeniem, więc ruszają swoją drogą.

— Ominęła mnie cała zabawa — jęczy już ciszej.

— To nie była zabawa. Uwierz mi.

— Ale na pewno była niezła jazda. Ta adrenalina. Te nerwy.

— Od kiedy to jesteś adrenalinową ćpunką? — pytam. — I nie, to nie była niezła jazda. Było tylko przerażająco. No wiesz, „mam nadzieję, że nie narobię w gacie”. „Mam nadzieję, że wyjdę z tego żywa”. Taki rodzaj jazdy.

— Ale Czarne Skrzydło był wspaniały, prawda? Wyglądał jakoś imponująco? Widziałaś jego skrzydła?

— To nie jest jakiś dziki okaz, Ange.

— No, z całą pewnością nie jest łosiem — odpowiada, prychnąwszy pogardliwie.

— Wspomniałam już, że było przerażająco? Przez cały czas myślałam: to jest to. Dlatego Tuckera nie ma na cmentarzu. Samjaza zaraz go zabije.

Angela nieruchomieje z zębami w jabłku.

— Na jakim cmentarzu?

O kurczątko.

Angela przygląda mi się uważnie.

— Clara, na jakim cmentarzu?

No cóż, chyba jej powiem.

— Mój nawracający sen to wizja. Ten dziwny las ze schodami to cmentarz Aspen Hill. Jestem tam na pogrzebie. Z początku myślałam, że to pogrzeb Tuckera, bo nie ma go w wizji, ale potem okazało się, że to mama.

Angela przykładła dłoń do głowy, jakby moje słowa przerastały jej pojmowanie.

— Jak się domyśliłaś?

— Dzięki Christianowi. Jego mama jest tam pochowana. Ale pewnie sama bym w końcu na to wpadła. Teraz to już dość oczywiste.

— Więc powiedziałaś Christianowi. — Jest autentycznie urażona. — Powiedziałaś Christianowi, a mnie nie.

Próbuję wymyślić jakąś sensowną wymówkę, na przykład że nie chciałam jej odciągać od jej zadania, nie chciałam nic mówić, dopóki nie będę miała pewności, o co chodzi, że nawet własnej matce powiedziałam dopiero, kiedy musiałam, ale z moich ust wychodzi tylko:

— Ej, to ty kazałaś mi powiedzieć Christianowi o śnie.

— Nie ufasz mi? — pyta.

Chce powiedzieć jeszcze coś, ale nagle w stołówce wybucha jakieś zamieszanie. Ktoś z kimś publicznie zrywa, to jedno jest jasne. Jakaś dziewczyna zaczyna płakać; nie jest to histeryczny płacz, nic równie dramatycznego jak zesłoroczny popis Kay, ale tłum i tak się od niej odsuwa. Nagle rozpoznaję w tym nieszczęśliwym stworzeniu Kimber, dziewczynę mojego brata. A Jeffrey, jak niewzruszony kamienny posąg, stoi obok niej.

— Jeffrey — jąka Kimber między szlochami. Trzyma poły jego drużynowej bluzy. — Nie

mówisz poważnie.

— To nie działa, Kimber — mówi Jeffrey. Odwraca się, odrywa od siebie jej ręce i rusza do drzwi.

Doganiam go jeszcze przed progiem.

— Jeffrey, nie możesz jej tak rzucać na oczach wszystkich — szepczę, starając się nie ściągać na nas jeszcze więcej uwagi. — Chodź.

— Nie mów mi, co mam robić — rzuca. I już go nie ma.

Przyjaciółki Kimber stoją już wokół niej, pocieszają, gruchają i strzelają złym okiem w kierunku, w którym odszedł, głośno deklarując, że to palant, że na nią nie zasługuje, jego strata. Kimber się nie odzywa. Siedzi przy stoliku, zgarbiona, totalnie załamana.

Wracam do swojego stolika.

— Co się z nim dzieje? — pyta Angela. — Czy tego też mi nie możesz powiedzieć? Auć.

— Niezbyt dobrze znosi tę historię z mamą.

— Nic dziwnego — mówi Angela z błyskiem współczucia w oczach. — Ale szkoda.

Kimber to miła dziewczyna. A to było dość... zimne.

Przypominam sobie dzień, kiedy byliśmy mali i ptak wpadł na nasze okno. Był sobotni ranek, oglądaliśmy kreskówki, i nagle łup. Jeffrey wybiegł na dwór, żeby zobaczyć, co to było. Podniósł ptaszka i delikatnie trzymając go w dłoniach, spytał, czy nie możemy go jakoś naprawić. To był szpak, miał skręcony kark. Już nie żył.

— A dokąd poszedł? — spytał Jeffrey, kiedy próbowałam mu to wyjaśnić.

— Może do nieba. Nie wiem.

Uparł się, żeby pochować ptaka w ogródku, wygłosił przemowę jak miniaturowy pastor, o życiu, jakie na pewno miał szpak, kiedy fruwał sobie po świecie, i o tym, że bracia ptaki będą za nim tęsknić. A kiedy przysypaliśmy go ziemią, rozplakał się.

Co się stało z tym małym chłopcem? Próbuję to zrozumieć, z trudem przetykając kluchę, która stanęła mi w gardle. Gdzie się podział? I nagle chce mi się płakać. Czuję, że wszystko rozpada się wokół nas.

— No dobra — mówi Angela. — Powinnyśmy porozmawiać.

— Ehm... — To może być problem, skoro przez cały czas siedzimy pod strażą. — Tylko widzisz, ja jestem uziemiona... — mówię. Ale nagle przerywam, bo coś odwraca moją uwagę. Uczucie majaczące na peryferiach mojego umysłu. Coś, czego nie powinno tu być, nie w taki sposób, nie tak ciężkie i natarcywe.

Smutek.

Podchodzę do okna i wyglądam. Burzowe chmury, granatowoczarne i groźne, zasłaniają góry. Powietrze jest naelektryzowane, jakby zaraz miał uderzyć piorun.

I przesycone smutkiem. Czuję w nim wyraźny posmak smutku.

Samjaza tu jest.

— Clara? — mówi Angela. — Ziemia do Clary.

Ale to niemożliwe. Szkoła stoi na uświęconej ziemi. Samjaza nie może tu przyjść.

Patrzę w dal, na teren za parkingiem, za ogrodzeniem, gdzie kończy się teren szkoły i zaczynają pola, pusty topolowy zagajnik. Nie widzę Samjazy, ale on tam jest. Tym razem w jego smutku jest jakiś magnetyzm, samotność, która do mnie woła. Kładę dłoń na chłodnym szkle i pozwalam pociągnąć się w tę stronę. Wyteżam wzrok. W wysokiej trawie jest coś czarnego.

— Co jest grane? — pyta Angela, stając obok mnie. Jej głos przerywa ten czar, który smutek rzucił na mnie. Odsuwam się od okna.

Christian nagle jest przy mnie i kładzie mi dłoń na ramieniu, aż podskakuję przestraszona. Jego zielone oczy są szeroko otwarte, pełne niepokoju.

— Czujesz to? — rzucam bez tchu.

— Czuję ciebie. Co się dzieje?

— Samjaza tu jest. — Jakimś cudem mam dość przytomności umysłu, żeby ściszyć głos i nie wrzasnąć tego na całą szkołę.

— Tu? — powtarza Angela osłupiałym głosem zza pleców Christiana. — Serio? Gdzie?

— Na polu za szkołą. Chyba jest w innej postaci, ale czuję go.

— Ja też go czuję — mówi Christian. — Chociaż nie potrafię powiedzieć, czy odbieram to bezpośrednio, czy przez ciebie.

Angela marszczy brwi. Koncentruje się przez kilka sekund, ale w końcu wzdycha.

— Ja nic nie czuję. — Spogląda w korytarz, na boczne drzwi wychodzące od strony pola.

Chce zobaczyć tego anioła.

Mocno ściskam jej ramię.

— Nie. — Sięgam do kieszeni po komórkę i przypominam sobie, że ciągle ma ją Samjaza.

— Masz telefon?

Angela kiwa głową i upuszcza plecak na podłogę, żeby wyjąć komórkę z zewnętrznej kieszeni.

— Zadzwoń do mnie do domu. Byle nie na moją komórkę — dodaje szybko, kiedy wybiera numer. — Pewnie odbierze Billy. Powiedz jej, co się dzieje.

Spoglądam na Christiana.

— Idź po pana Phibbsa. Zwykle je lunch w swoim gabinecie. Poszukaj go.

Christian potakuje ruchem głowy i rusza biegiem do wyjścia. Angela z przejęciem rozmawia przez telefon.

— Gdzie jest Tucker? — pytam; w mojej piersi pojawia się kawał lodu, kiedy przez mózg przelatuje mi obraz Tuckera wybierającego się na trening rodeo i idącego na parking. Samjaza już go zna. Wie, że go kocham.

Tuckera nie ma na cmentarzu, myślę znów.

— Jest tam — odpowiada szybko Angela, widząc przerażenie na mojej twarzy.

Obracam się gwałtownie, natychmiast dostrzegam Tuckera i wszystko mi wiotczeje z ulgi. Tucker wstaje, kiedy widzi, że idę do niego, rusza mi na spotkanie i obejmuje mnie. Nawet nie muszę go o to prosić.

— Co się dzieje? — pyta. — Wyglądasz, jakbyś...

— Ten anioł tu jest. Na polu za szkołą. — Przeszywa mnie dreszcz.

— W tej chwili?

O tak. Ciągle tu jest. Smutek snuje się w moją stronę jak dym, owija mackami moje serce; samotność Samjaza jest jak pełne bólu nuty syreniej pieśni.

— Tak — mówię. — W tej chwili.

— I co robimy? — pyta Tucker ponuro.

— Zostajemy w środku. On nie może wejść na teren szkoły. To święta ziemia.

Mimo fatalnej sytuacji kącik ust Tuckera podjeżdża do góry w kpiącym uśmiechu.

— Szkoła to święta ziemia. Chyba sobie jaja robisz.

Angela, która wciąż rozmawia przez telefon, unosi rękę.

— Billy chce wiedzieć, czy wszyscy tu jesteśmy — mówi.

Nie, dociera do mnie nagle. Nie wszyscy. Jednego z nas tu nie ma. Jeffreya. Wszedł ze stołówki.

W stronę parkingu.

— Clara, czekaj! — woła za mną Tucker, kiedy już pędzę. — Biegniesz do niego?

— Zostańcie tutaj! — krzyczę przez ramię.

Nie mam czasu na wyjaśnienia. Nie obchodzi mnie, co sobie pomyślą inni uczniowie. Po prostu biegnę. Wypadam ze stołówki i gnam korytarzem, przelatuję przez boczne drzwi i biegnę prosto na parking, tropem smutku. Nagle zauważam Jeffreya, idącego między samochodami, z uniesioną głową, jakby czegoś nasłuchiwał. Jest zaciekawiony. Reaguje na ten zew.

— Jeffrey! — krzyczę.

Zatrzymuje się, ogląda się na mnie przez ramię. Krzywi się gniewnie. Odwraca się z powrotem w stronę pola. Jest już prawie na końcu parkingu. A ja pędzę tak szybko jak nigdy i mam w nosie, czy ludzie to zobaczą. Koncentruję się na skróceniu odległości między mną a bratem. Koncentruję wszystkie siły na tej akcji ratunkowej. I dopadam go tuż przy niskim drewnianym



ogrodzeniu, które wyznacza granicę pola. Chwytam go za barki i pociągam do tyłu tak mocno, że oboje tracimy równowagę i się przewracamy. Jeffrey próbuje mnie od siebie odepchnąć.

— Jeffrey — sapię. — Stój.

— Boże, Clara. Uspokój się. To tylko pies — mówi Jeffrey, wciąż próbując się ode mnie uwolnić.

Zbieram się z ziemi, nie puszczając go. Patrzę na pole. Jeffrey ma rację: to pies, wielki, czarny pies, dość podobny do labradora, tylko o gęstszej sierści. Jest coś wilczego w wyrazie jego pyska, kiedy siedzi tak absolutnie nieruchomo i patrzy na nas, z jednym uchem sterczącym, drugim trochę przyklapniętym. I coś dziwnie ludzkiego w jego żółtych oczach.

— To pies, widzisz? — powtarza Jeffrey. — Jest ranny. — Podchodzi do ogrodzenia. — Chodź tu, piesku.

Odciągam go szarpnięciem, obejmuję rękami w pasie i nie puszczam.

— To nie jest pies. Popatrz na jego prawe ucho. Widzisz, że jest zniekształcone? To dlatego, że urwałam je zeszłego lata. Musiał je wyhodować na nowo. Widzisz ten zakrwawiony bark? W to miejsce pan Phibbs trafił go strzałą chwały.

— Co? — Jeffrey kręci głową, jakby próbował otrzeźwieć.

— To jest Czarne Skrzydło.

Pies wstaje. Podchodzi do ogrodzenia. Skomli. Cichy, błagalny dźwięk sprawia, że smutek jeszcze przybiera na sile. Chodź. Chodź, zdaje się wołać.

— To jest Samjaza — powtarzam uparcie, ciągnąc Jeffreya za ramię, ale jest silniejszy ode mnie. Nie mogę go ruszyć.

— Moim zdaniem oficjalnie zwariowałaś — stwierdza Jeffrey.

— Nie, nie zwariowała, synu — dobiega nas czyjś głos. Pan Phibbs idzie szybko w naszą stronę. — Odejdźcie stamtąd, dzieci — mówi.

Jeffrey przestaje się ze mną szarpać. Odwracamy się i powoli podchodzimy do pana Phibbsa. A on nie spuszcza wzroku ze zwierzęcia. Pies warczy.

— Co, chcesz jeszcze? — pyta pan Phibbs. — Tym razem pošlę ci strzałę między oczy.

Pies znów warczy i ten dźwięk jest przepełniony taką nienawiścią, że włosy stają mi dęba. I nagle pies znika. Żadnego puf!, żadnych magicznych słów, nic. Chłodny powiew w powietrzu, lekki zapach ozonu, i już go nie ma.

Dopiero po minucie zaczynamy normalnie oddychać.

— Oblęd — mówi w końcu Jeffrey. — Zabrałbym go do domu, gdybyście mnie nie powstrzymali.

## 15. Anioł na moim progu

Od tamtej pory widuję Samjagę na polu niemal codziennie. Nie zawsze mnie woła, nie zawsze słyszę tę smutną, uwodzicielską muzykę, której nie potrafię wyrzucić z głowy. Ale pojawia się choćby na parę minut. Chce, bym wiedziała, że tam jest.

Nie sprawia żadnych kłopotów, nie robi krzywdy żadnemu z uczniów, nie ukazuje się. Nie atakuje nas w drodze do i ze szkoły, ale już wie, gdzie mieszkamy. Śledzi nas w drodze powrotnej. Kiedy jestem w domu, zwykle go nie czuję, bo nasza ziemia jest uświęcona i jest jej bardzo dużo, od głównej drogi aż do lasu i strumienia za domem. Samjaza nie może podejść wystarczająco blisko, żeby mnie niepokoić. A mimo to, jeśli się postaram, jeśli nasłuchuję, czasem go słyszę. A on czeka.

Jestem ciekawa, czy mama też go czuje.

— Musisz się nauczyć blokować jego wpływ — mówi, kiedy ją o to pytam. — Może byłoby niezłym pomysłem nauczyć się całkowicie wyłączać empatię, bo będą takie chwile, kiedy będziesz musiała to zrobić.

— Jak?

— To przypomina zamykanie drzwi — odpowiada. — Wznosisz duchową barierę między sobą a nadawcą uczuć.

— Duchową barierę?

— Odcinasz się od tej siły, która łączy nas wszystkich. Na dłuższą metę to nie jest dobre. Jeśli będziesz to robić stale, zobojętniejesz, ale na razie to może być najlepsze rozwiązanie. Tylko na tyle, żebyś mogła chodzić spokojnie do szkoły, żeby nic cię nie rozpraszało. Spróbuj.

— Co, teraz? Z tobą?

— Tak — mówi. — Bierze mnie za rękę. — Użyj na mnie swojej empatii.

Nie wiedzieć czemu, trochę mnie to przeraża.

— No nie wiem — mówię. — Nie potrafię tego kontrolować. Właściwie empatia działa na moje żądanie, tylko kiedy jestem z Christianem. A czasami... odbieram od ludzi nie tylko uczucia, ale i myśli. Dlaczego tak się dzieje?

— Nasze uczucia i myśli są ze sobą splecione — mówi. — Wspomnienia, obrazy, pragnienia, uczucia. Ty chyba masz talent do uczuć. To zadziała silniej, jeśli dotkniesz danej osoby, skóra do skóry. A czasami możesz odebrać obraz konkretnego zdania, które ta osoba myśli w danej chwili. Ale przeważnie będą to uczucia, jak sądzę.

— Ty to potrafisz?

— Nie. — Na chwilę spuszcza wzrok. — Nieczęsto odbieram uczucia. Ale jestem telepatką. Potrafię czytać w myślach.

Halo, news z ostatniej chwili! Nic dziwnego, że zawsze wyprzedza mnie o dwa kroki. Kiedy byłam mała, autentycznie myślałam, że ma oczy z tyłu głowy.

*Tak, to było wyjątkowo skuteczne narzędzie rodzicielskiej kontroli*, mówi w mojej głowie. Uśmiecha się.

— Nie patrz tak na mnie, Claro. Nie czytałam każdej twojej myśli. Najczęściej nie pcham się ludziom do głów, a szczególnie do głów moich dzieci, bo zasługujecie na trochę prywatności.

*A teraz poćwiczmy*, mówi. *Otwórz się. Spróbuj poczuć to, co ja czuję.*

Zamykam oczy, wstrzymuję oddech i zaczynam nasłuchiwać, jakby jej uczucia były czymś, co da się usłyszeć. Nagle widzę pod powiekami przeblysł białego różu. Gwałtownie chwytam powietrze.

— Róż — szepczę.

— Skup się na nim.

Próbuję. Próbuję wpatrywać się w ten róż, aż zaczyna mnie boleć głowa, i kiedy już, już mam się poddać, widzę, że to zasłony — różowe zasłony wiszące w oknie.

Różowe zasłony w oknie to nie uczucie.

Ale jest tego więcej — śmiech; śmiejące się dziecko. Zanoszące się śmiechem tak mocno, jak to potrafią tylko małe dzieci, kiedy myślisz, że zaraz się posusiają z tego śmiechu. I śmiech

mężczyzny: słodki, zachwycony śmiech. Rozpoznaję go. Tata. Na myśl o tacie ściska mnie w gardle.

— Nie pozwalaj, żeby twoje własne uczucia zaciemniły obraz — mówi mama.

Róż. Śmiech. Ciepło. Czuję, czym to wszystko jest dla niej.

— Radość — mówię w końcu. Otwieram oczy.

Mama się uśmiecha.

— Tak — mówi. — To była radość.

— Mamo...

— A teraz spróbuj to zablokować.

Znów zamykam oczy, ale tym razem wyobrażam sobie, że buduję między nami niewidzialny mur, cegła po cegle, myśl po myśli, aż pod powiekami nie zostaje mi nic — żadnych barw, żadnych uczuć, tylko szara próżnia.

— Okej, niczego nie czuję. — Otwieram oczy, a na twarzy mamy maluje się dziwny wyraz: ulga.

— Brawo — mówi i puszcza moją dłoń. — Teraz wystarczy, że będziesz ćwiczyć, aż nauczysz się zablokować, kogo chcesz i kiedy chcesz.

To z pewnością byłoby przydatne.

Więc przez cały kolejny tydzień, ilekroć czuję Samjazę w szkole, pracuję nad wznoszeniem duchowej bariery między nami. Z początku absolutnie nic się nie dzieje. Smutek Samjazy wciąż wpływa we mnie, utrudniając myślenie o czymkolwiek innym. Ale powoli zaczynam wyczuwać, w jaki sposób jestem połączona z życiem wokół mnie, z moją wewnętrzną energią, z chwałą, a kiedy już umiem rozpoznać ją w sobie, mogę też pracować nad jej wyłączeniem. Pod pewnymi względami to jest jak odwrotność używania chwały. Żeby przywołać chwałę, trzeba uciszyć wewnętrzne głosy. Żeby ją wyłączyć, trzeba być całkowicie skupionym na własnych myślach. To ciężka praca.

Robi się jeszcze gorzej, kiedy w piątek mama kładzie się do łóżka i już z niego nie wstaje. Leży w piżamie, oparta na poduszkach jak porcelanowa lalka. Czasami czyta, ale przeważnie śpi, całymi godzinami, w dzień i w nocy. Coraz rzadziej można ją złapać przytomną.

W połowie kolejnego tygodnia zjawia się pielęgniarka, Carolyn. Widywałam ją na spotkaniach kongregacji. Wygląda na to, że jej specjalność to opieka nad anielitami, których życie dobiega końca.

— Macie się nie martwić o żadne szczegóły — mówi mama któregoś dnia, kiedy ja i Jeffrey dotrzymujemy jej towarzystwa. — Billy się wszystkim zajmie, okej? Tylko wspierajcie się nawzajem. Tego sobie życzę. Bądźcie razem. Pomóżcie sobie to przetrwać. Możecie mi to obiecać?

— Okej — mówię. Patrzę na Jeffreya.

— Dobra — mamrocze i wychodzi z pokoju.

Przez cały tydzień tłukł się po domu jak zwierzę w klatce. Czasami czuję jego gniew jak uderzenie gorąca; jest wściekły, bo to nie fair, że nasza mama umiera przez jakąś głupią zasadę, że naszym życiem rządzi jakaś siła, która nie przejmuje się, że rujnuje wszystko. Nienawidzi własnej bezradności. A przede wszystkim nienawidzi tej izolacji, tej konieczności siedzenia w domu, ukrywania się. Wydaje mi się, że wołałby wyjść i stawić czoła Samjazi, żeby już było po wszystkim.

Mama wzdycha.

— Wolalabym, żeby nie był taki wściekły. Przez to będzie mu tylko jeszcze ciężiej.

Ale prawdę mówiąc, ta izolacja mnie też zaczyna działać na nerwy. Mam tylko szkołę, gdzie obecność Samjazy zmusza mnie do ciągłej czujności, i dom, gdzie myśl, że mama niedługo umrze, cały czas jest ze mną. Rozmawiam z Angelą przez telefon, ale uznałyśmy, że nie powinna się wychylać, dopóki Samjaza tu jest. On jeszcze o niej nie wie. A do tego jest trochę obrażona, od kiedy powiedziałam jej o cmentarzu Aspen Hill.

— Mam teorię — mówi mi któregoś wieczoru przez telefon. — Na temat twojego snu.

— Okej.

— Ciągle myślisz, że Tuckera tam nie ma, bo jest ranny czy coś w tym rodzaju.

— Czy coś w tym rodzaju — mówię. — Do czego zmierzasz?

— A jeśli go nie ma, bo zerwaliście ze sobą?

Zabawne, że ten pomysł przeraża mnie jeszcze bardziej niż myśl, że mogłoby mu się coś stać.

— Dlaczego mielibyśmy zerwać? — pytam.

— Bo masz być z Christianem — odpowiada. — Może właśnie to mówi ci sen.

Ta myśl mnie rani. Wiem, że poczułabym się lepiej, gdybym zobaczyła się z Tuckerem, gdybym go pocałowała i zapewniła, że go kocham, i dała się przytulić, ale zwyczajnie się boję. Nieważne, co myśli Angela. Nie mogę ryzykować, że narażę go na niebezpieczeństwo. Znowu.

Siedzę na piętze i nastawiam pranie — oddzielam białe od kolorów — ale mogę myśleć tylko o tym, co powiedziała Angela. Może naprawdę zerwiemy. I nie dlatego, że „mam być z Christianem”, ale dlatego, że chcę, żeby Tucker był bezpieczny. Chcę, żeby był szczęśliwy. Chcę, żeby miał normalne życie, i musiałabym być wariatką, by myśleć, że coś takiego jest możliwe ze mną. Wrzucam białe rzeczy do pralki, nalewam wybielacza i nagle przygniata mnie taki ciężar, ogarnia takie przerażenie, że mam ochotę krzyknąć, wypełnić ten cichy dom hałasem. To nie jest cudzy smutek, to nie jest smutek Czarnego Skrzydła, ale mój własny. Sama go na siebie sprowadzam.

Idę do pokoju, żeby zabrać się za lekcje, i jestem smutna.

Rozmawiam przez telefon z Wendy i jestem smutna. Wendy jest cała nakręcona studiami, opowiada mi, jak wyglądają akademiki na waszyngtońskim uniwerku i jak będzie super, a ja jestem smutna. Próbuję przed nią grać, udawać, że też się cieszę, ale czuję tylko smutek.

Smutek, smutek, smutek.

Jakiś czas później pralka pika. Idę przelożyć pranie do suszarki. Jestem po łokcie w mokrych ciuchach, kiedy nagle smutek znika. Zamiast niego ogarnia mnie niesamowita, przenikająca wszystko radość, zalewa mnie ciepło, poczucie błogostanu, przyływ prawdziwego szczęścia, tak wszechogarniającego, że chce mi się śmiać na głos. Zakrywam usta dłonią i zamykam oczy, dając się porwać temu uczuciu. Nie wiem, skąd się wzięło. Dzieje się coś dziwnego.

Może wreszcie mi odbija od tego stresu.

Rozlega się dzwonek przy drzwiach.

Rzucam majtki Jeffreya na podłogę pralni i pędzę na dół, do wejścia. Staję na palcach, żeby wyjrzeć przez małe okienko w górnej części drzwi. I nie mogę chwycić powietrza.

Na moim progu stoi anioł. Czuję go. Anioł. Białe Skrzydło, dokładnie rzecz biorąc. Wysoki, złotowłosy mężczyzna, od którego bucha taka miłość, że w oczach staje mi całkiem inny rodzaj łez.

Otwieram drzwi.

— Tata?

Spogląda na mnie i uśmiecha się — widzę ten jego szczeniacki, krzywy uśmiech, o którym kompletnie nie pamiętałam aż do tej chwili. Gapię się na niego bez słowa, patrzę, jak słońce lśni w jego włosach absolutnie nieziemskim blaskiem. Przyglądam się jego twarzy, która nie postarzała się nawet o jeden dzień, od kiedy widziałam go cztery lata temu, od kiedy w ogóle go pamiętam. Nie zmienił się. Dlaczego wcześniej tego nie zauważyłam?

Jest aniołem.

— Nie uściskasz mnie? — pyta.

Jak zombie wchodzę w jego objęcia.

Ogarniają mnie uczucia, jakich bym się nie spodziewała w takiej chwili. Powinnam chyba być... hm, zaskoczona. Zdumiona. Osłupiała. Ogłuszona samym nieprawdopodobieństwem czegoś takiego. Ale ja w tej chwili czuję tylko radość. Jak w tym dniu z różowymi zasłonami, kiedy tata trzymał mnie w pasie i podnosił wysoko. Właśnie taką radość. A on ściska mnie mocno, podnosi z ziemi, śmieje się i w końcu stawia z powrotem na nogach.

— Tęskniłem za tobą — mówi.

Jest powalająco przystojny. Tak jak Samjaza — jakby był odlany z doskonałej męskiej formy, wyrzeźbiony jak posąg — ale uroda Samjazy jest mroczna, a tata jest cały złoty. Złote włosy. Złota skóra. Srebrne oczy, które wydają się chłodne i ciepłe jednocześnie; jest w nich coś prastarego, tyle mądrości w ich głębinach. I tak jak Samjaza jest bezwieczny, mógłby uchodzić za dwudziesto-, trzydziesto-, czterdziestolatka, zależnie od tego, jak uważnie mu się przyjrzyysz.

Jakim cudem to zjawisko może być tym samym skrępowanym, nieobecny ojcem z wysiłonych rozmów telefonicznych, które odbywaliśmy przez lata?

— Tato... — mówię. — Jak to?

— Będzie czas na wyjaśnienia. Ale teraz, czy mogłabyś mnie zaprowadzić do mamy?

— Jasne. — Odsuwam się w wejściu i patrzę, jak ten świetlisty, barczysty mężczyzna wchodzi do naszego domu; jego ruchy są tak płynne, tak pełne gracji, tak ewidentnie nieludzkie. I jest w nim jeszcze coś; coś co sprawia, że widzę go jakby w dwóch warstwach, jak to ludzkie ubranie, które nosi Samjaza. Kiedy się porusza, jest jakby lekko zamazany. U taty obie warstwy wydają się bardziej solidne, jakby widoczne na przemian. I nie potrafię odróżnić, która z nich to prawdziwy on, a która to kostium.

Znów się uśmiecha.

— Wiem, że to dla ciebie spora niespodzianka, kiedy już potrafisz dostrzegać takie rzeczy. Niedopowiedzenie roku. Usta mam zaschnięte, jakby od dłuższego czasu były otwarte.

— Mama? — przypomina mi.

Jasne. Stoję jak głupia i gapię się na niego. Ruszam korytarzem.

— Mogę ci coś podać? Szklankę wody albo soku, albo kawy, czy czegokolwiek? — paplam, kiedy mijamy kuchnię. Nagle dociera do mnie, że w ogóle go nie znam. Nie znam własnego ojca na tyle dobrze, by wiedzieć, jaki jest jego ulubiony napój.

— Nie, dziękuję — odmawia grzecznie. — Potrzebna mi tylko twoja mama.

Stajemy pod drzwiami mamy. Pukam. Otwiera Carolyn. Jej spojrzenie natychmiast pada na tatę i twarz wiotczeje jej ze zdumienia, oczy robią się wielkie jak u postaci z kreskówki.

— On... ehm... chciał się zobaczyć z mamą.

Carolyn szybko bierze się w garść, kiwa głową i schodzi nam z drogi, żebyśmy mogli wejść do pokoju.

Mama śpi podparta poduszkami, jej długie, kasztanowe włosy są rozsypane dookoła głowy, twarz blada, ale pełna spokoju. Tata siada na krześle koło łóżka i dotyka kosmyka włosów, tego z przodu, który posiwał. Potem delikatnie bierze jej dłoń w swoje dłonie.

Mama zaczyna się budzić, wzdycha.

— *Dzień będzie nocą, póki nie przybędziesz, noc dniem, gdy we śnie ze mną znowu będziesz*<sup>5</sup> — szepcze tato.

Jej oczy się otwierają.

— Michael.

— Witaj, ślicznotko. — Unosi jej dłoń do ust, całuje, przytula do policzka.

Nie wiem, co spodziewałam się zobaczyć, gdyby rodzice jeszcze kiedyś wpadli na siebie. Nie to. Zupełnie jakby nigdy nie było żadnego rozstania, żadnego stania przed domem, kiedy odjeżdżał. Żadnego rozwodu. Żadnej separacji.

— Jak długo możesz zostać? — pyta mama.

— Jakiś czas — opowiada on. — Wystarczająco długo.

Mama przymyka powieki. Na jej twarzy pojawia się piękny uśmiech. Kiedy znów otwiera oczy, błyszczą w nich łzy. Łzy szczęścia. Mój tata sprawia, że mama płacze ze szczęścia.

Carolyn, która stoi w głębi pokoju, kaszle dyskretnie.

— To ja już pójdę. Chyba nie będziecie mnie potrzebować.

Mama kiwa głową.

— Dziękuję, Carolyn. I jeśli mogę cię prosić o ogromną przysługę, nie wspominaj o tym nikomu. Nawet kongregacji. Proszę.

— Oczywiście — mówi Carolyn i zamyka za sobą drzwi.

Mama wreszcie zauważa i mnie.

— Cześć, skarbie.

— Cześć — odpowiadam półprzytomnie, nie mogąc oderwać oczu od złączonych dłoni rodziców.

— Jak ci mija dzień? — pyta z psotną nutą w głosie, której nie słyszałam od tygodni.

— Och, świetnie. Właśnie się dowiedziałam, że mój ojciec jest aniołem — rzucam od niechcenia. — I trochę mi się to nie mieści w głowie.

— Tak też myślałam.

— To jest to coś, prawda? To, czego mi nie powiedziałaś?

Jej oczy błyszczą. Szczęście na jej twarzy dosłownie wbija mnie w podłogę. Nie sposób się na nią złościć, kiedy tak wygląda.

— Od tak dawna chciałam ci to powiedzieć. Nawet nie masz pojęcia. — Wybucha śmiechem, słabym, ale pełnym zachwytu. — Ale najpierw będę potrzebować dwóch rzeczy. Filiżanki herbaty. I twojego brata.

Tata zgłasza się do parzenia herbaty.

— Chyba jeszcze pamiętam, jak to się robi — mówi i wychodzi z kuchni.

To znaczy, że ja muszę przyprowadzić Jeffreya.

Jest w swoim pokoju, jak zwykle. Łupie muza. Jak zwykle. Chyba nawet nie słyszał dzwonnka, a może ma to gdzieś. Leży na łóżku, czyta „Sports Illustrated”, ciągle w piżamie, chociaż zbliża się południe. Leniuch. Gdzie był, kiedy ja się męczyłam z praniem? Patrzy na mnie ze złością, kiedy wchodzi. Jak zwykle.

— Nie umiesz pukać?

— Pukałam. Może przebadaj sobie słuch.

Ścisza muzykę.

— Czego chcesz?

Nie potrafię zdecydować, ile powiedzieć mu tutaj i jak mu przekazać tę nowinę. Decyduję się więc na najprostsze podejście.

— Tata przyjechał.

Jeffrey nieruchomieje, a potem odwraca się do mnie, jakby naprawdę potrzebował sobie zbadać słuch.

— Czy ty powiedziałaś, że tata przyjechał?

— Zjawił się jakieś dziesięć minut temu.

Ile to czasu minęło, od kiedy ostatni raz widział tatę? Ile miał wtedy lat? Jedenaście? Jeffrey nie miał nawet dwóch lat, kiedy tata odszedł; był za mały, żeby pamiętać cokolwiek oprócz kilku naszych wizyt u niego, urodzinowych kartek z gotówką w środku, prezentów, które zwykle były bardzo drogie (jak pickup Jeffreya, zeszłoroczny prezent na urodziny), i rzadkich rozmów telefonicznych, przeważnie krótkich.

— Po prostu zejdź na dół — mówię mu.

Zjawiamy się w kuchni w samą porę, by zobaczyć, jak tata parzy sobie rękę o czajnik. Nie przeklina, nie podskakuje, nic z tych rzeczy. Ogląda palec, jakby był ciekaw, co to się stało. Na jego skórze nie ma śladu, nawet zacerwienia, ale widocznie to poczuł. Zalewa herbatę dla mamy, stawia filiżankę na delikatnym, porcelanowym spodku z kilkoma waniliowymi ciastkami, które znalazł w szafce. Dwie kostki cukru. Kropla śmietanki. Tak jak mama lubi.

— A, jesteście — mówi na nasz widok. — Witaj, synu.

— Co pan tu robi? — Głos Jeffreya jest piskliwy, niemal łamiący się. — Kim pan jest?

Tata poważnieje.

— Jestem twoim ojcem. — Nie sposób temu zaprzeczyć, widząc ich dwóch stojących tak blisko siebie. Jeffrey jest jak niższa, bardziej napakowana kopia taty. Mają takie same włosy, identyczne oczy.

— Chodźmy do mamy — mówi tata. — Ona wszystko wyjaśni.

Opowiedzenie tej historii zajmuje jej cały dzień, bo nie ma siły opowiedzieć wszystkiego

jednym ciągiem. A poza tym ktoś nam ciągle przerywa. Najpierw Billy, która wpada do domu i porywa tatę w niedźwiedzi uścisk, mówi do niego Mikey i tak się cieszy szczęściem mamy, że na chwilę łzy stają jej w oczach. Oczywiście wiedziała. Wiedziała przez cały czas. Ale mnie takie rzeczy przestały zaskakiwać już jakiś czas temu.

No i jeszcze to, że Jeffrey co chwila zaczyna świrować i wychodzi z pokoju. Zupełnie jakby mógł wysłuchać tylko kawałka naraz, bo inaczej głowa mu eksploduje. Mama mówi na przykład, że zawsze w głębi duszy wiedziała, że ona i Michael (to imię taty, którego prawie nigdy nie słyszeliśmy z jej ust przez ostatnie czternaście lat) byli sobie przeznaczeni, a Jeffrey wstaje, szarpie się za włosy, kiwa głową albo mamrocze coś od rzeczy, po czym wychodzi. I musimy czekać, aż wróci, żeby mogła opowiadać dalej tę historię.

Ale co to za historia.

Zaczyna się w dniu wielkiego trzęsienia ziemi w San Francisco. Wtedy ona i tata poznali się oficjalnie. Zanim mama dociera do tego punktu opowieści, ja domyślam się już, że to on jest aniołem, który uratował ją tamtego dnia i który powiedział jej o wszystkim: że jest wyjątkowa, że jest anielitką. Miała wtedy szesnaście lat.

A kiedy miała dziewięćdziesiąt dziewięć, wyszła za niego.

— Jak? — pytam ją.

Mama wybucha śmiechem.

— Jak to jak? Poszliśmy do kościoła, wypowiedzieliśmy przysięgę, wymieniliśmy się obrączkami, potem było „możesz pocałować pannę młodą” i tak dalej.

— I wolno mu było to zrobić? Anioł może się ożenić z kim chce?

— To jest skomplikowane — przyznaje. — I zdarza się rzadko. Ale owszem, anioł może się ożenić.

— Ale w takim razie, dlaczego się rozwiedliście? Dlaczego odszedł? — pyta ponuro Jeffrey.

Mama wzdycha.

— Anioł nie może przestać być aniołem. Anioły mają swoje obowiązki, zadania, które wymagają ich nieustannej uwagi. Wasz ojciec dostał urlop, jeśli można tak powiedzieć; siedem lat, które mógł spędzić ze mną w linearnym czasie i żyć przez ten okres jak człowiek. Ożenić się ze mną. Zobaczyć, jak przychodzicie na świat i pobyc z wami. A potem musiał wracać.

Nie wiedzieć czemu, w oczach stają mi łzy.

— Więc nie jesteście rozwiedzeni?

Mama się uśmiecha.

— Nie. Nie jesteśmy rozwiedzeni.

— Ale przez ten cały czas nie mogłaś się z nim widywać?

— Odwiedzał mnie. Raz w roku, czasem dwa, jeśli mieliśmy szczęście. Musiało nam to wystarczyć.

— A nie mógł odwiedzać nas? — I znów Jeffrey z tym swoim gniewem. Niezbyt dobrze przyjmuje tę całą niespodziankę pod tytułem „twój ojciec jest aniołem i właśnie wrócił z nieba”. Pewnie nie czuje tej niewiarygodnej radości. — Swoich dzieci?

— Żałuję, ale nie mogłem — mówi tata z progu pokoju mamy. To jego popisowy numer. Pojawianie się znikąd. To jest dziwne.

Wchodzi i siada na łóżku koło mamy, bierze ją za rękę. Zauważyłam, że bez przerwy się dotykają. Cały czas są w kontakcie.

— Uznaliśmy, że będzie lepiej, jeśli przestanę was odwiedzać. Dla waszego dobra — mówi tata.

— Dlaczego?

— Bo kiedy byliście mali, łatwo mi było ukryć, kim jestem. Nie widzieliście we mnie niczego dziwnego, a nawet jeśli, to nie rozumieliście, że to coś niezwykłego. Ale kiedy podrośliście, to się stało trudniejsze. Kiedy widziałem was ostatnim razem, z całą pewnością czuliście moją obecność.

Pamiętam. To było na lotnisku. Zobaczyłam go i poczułam jego radość. A myślałam, że po

prostu mam beznadziejnie skopaną psychikę.

— Ale czuwałem nad wami z daleka — ciągnie tata. — Byłem z wami przez całe wasze życie, w taki czy inny sposób.

Okej, oto spełnione marzenie każdego dziecka rozwodników. Okazuje się, że rodzice się kochają. Że chcą być razem. Że mój tata przez cały czas chciał być ze mną.

Ale to też trochę jakby ktoś wziął gumkę, wymazał całą historię mojego życia i napisał ją od nowa, całkiem inaczej. Wszystko, co wiedziałam na swój temat, zmieniło się w przeciągu paru godzin.

Jeffrey nie przyjmuje tego do wiadomości.

— A co by się takiego stało, gdybyśmy wiedzieli, kim jesteś? — mówi. — Twierdzisz, że to dla naszego dobra, ale to bzdura. Nasz ojciec jest aniołem. I co z tego?

— Jeffrey... — rzuca ostrzegawczo mama.

Tata unosi rękę.

— Nie, w porządku. To dobre pytanie. — Patrzy z powagą na Jeffreya. Jest w nim coś królewskiego, coś, co wzbudza szacunek nawet wbrew twojej woli. Jeffrey przełyka ślinę i spuszcza wzrok.

— Tu nie chodzi o mnie. Tu chodzi o was — mówi tata.

— Michael — szepcze mama. — Jesteś pewien?

— Już pora, Maggie. Wiedziałaś, że ta chwila kiedyś nadejdzie. — Głaszcze jej dłoń. I zwraca się do nas: — Jestem intangere. Wasza matka jest dimidiusem, aniołem półkrwi. A to oznacza, że ty i twoja siostra jesteście bardzo rzadką, bardzo potężną odmianą anielitów. Nazywamy ich triplare.

— Triplare? — powtarza Jeffrey. — Trzy czwarte?

— To bardzo niebezpieczny świat dla triplare — mówi dalej tata. — Występujecie tak rzadko, że wasze moce nie są do końca poznane, ale podejrzewa się, że triplare, w gruncie rzeczy bardziej anioły niż ludzie, są niemal równie potężni jak anioły pełnej krwi. Jest tylko jedna zasadnicza różnica.

— Jaka różnica? — pogania go Jeffrey.

— Wolna wola — odpowiada tata. — Owszem, odczuwacie skutki swoich czynów, subtelne smutki i radości podjętych przez was działań, ale w ostatecznym rozrachunku możecie z całkowitą swobodą wybrać własną drogę.

— I niby dlaczego to jest niebezpiecznie? — pytam.

— Bo czyni was niezmiernie atrakcyjnymi dla sił ciemności. Ci nieliczni triplare, którzy chodzili po tej ziemi, byli bardzo pożądani przez naszego wroga. Są bezlitośnie prześladowani, a jeśli nie dają się przeciągnąć na ich stronę, są unicestwiani. Dlatego wasza mama i ja robiliśmy, co w naszej mocy, by nikt się o was nie dowiedział. Ukrywanie waszej tożsamości nawet przed wami samymi było niezmiernie ważne. Po prostu chcieliśmy wam zapewnić bezpieczeństwo.

— Więc dlaczego teraz nam to mówicie? — pyta Jeffrey.

Tata uśmiecha się blade.

— Wygląda na to, że wróg zwrócił już na was uwagę. To było raczej nieuniknione, ale tym samym wasze bezpieczeństwo i tak jest już zagrożone. Zawsze wiedzieliśmy, że nie zdołamy was ukrywać w nieskończoność. Chcieliśmy, żebyście mieli możliwie zwyczajne życie, jak długo się da. Ale ten czas dobiegł końca.

Zapada cisza. Jeffrey i ja próbujemy jakoś przelknąć tę nowinę. Triplare. Anioł w trzech czwartych. Więc jednak nie quartarius. I jeszcze coś, co powiedział tata, i co płonie mi w mózgu jak rozżarzony węgiel.

Bardziej anioł niż człowiek.

Więc tata jest aniołem. Co czyni nas dziwadłami nawet wśród anielitów. Nagle zaczynam rozumieć, dlaczego mama nie zabierała nas wcześniej na spotkania kongregacji. Ukrywała nas nawet przed innymi anielitami. Nawet, jak powiedział tata, przed nami samymi.

Mama jest teraz cichsza, dużo śpi. Opowiedzenie tej historii, którą tak długo i z taką



determinacją ukrywała w sobie, kosztowało ją mnóstwo sił. Jest zmęczona, ale kiedy nie śpi, widać, jaka jest szczęśliwa. Zrzuciła z siebie ciężar. Jakby powiedzenie nam prawdy ją uwolniło.

Cały ten wieczór spędzam na przyglądaniu się tacie. Nic na to nie poradzę. Chwilami wydaje się normalnym człowiekiem — dowcipkuje sobie z Billy, że ze smakiem kolację, którą Billy dla nas przyrządziła. To każe mi się zastanawiać, czy anioły potrzebują pożywienia tak jak my. Ale są też chwile kiedy, szczerze mówiąc, zachowuje się jak kosmita. Na przykład kiedy próbuje użyć pilota. Patrzy na niego przez chwilę, jakby to była jakaś nowomodna czarodziejska różdżka. Ale szybko domyśla się, jak go używać, po czym zachwyca się cudem kablówki.

— Tyle kanałów — duma głośno. — Kiedy ostatni raz oglądałem telewizję, były tylko cztery. Jak decydujecie, co oglądać?

Wzruszam ramionami. Dość rzadko oglądam telewizję, ale jestem raczej pewna, że tata nie wciągnie się w *Kawalera do wzięcia*.

— Jeffrey zawsze ogląda ESPN. — Tata spogląda na mnie, czekając na rozwinięcie. — Kanał sportowy.

— Jest kanał w całości poświęcony sportowi? — pyta z nabożnym zachwytem.

Okazuje się, że jest wielkim fanem bejsbola. Szkoda, że Jeffrey nie chce z nim pooglądać meczu. Ja nie mogę przestać patrzeć na tatę, obserwuję każdy jego ruch, ale Jeffrey nie jest w stanie znieść jego towarzystwa. Kiedy tylko pozwolono mu się urwać z tego naszego rodzinnego zjazdu, uciekł do siebie. I od paru godzin nic nie słychać z jego pokoju, nawet muzyki.

Próbuję go wyczuć, co nie jest zbyt trudne. Od czasu lekcji z mamą coraz sprawniej włączam i wyłączam empatyczną moc. A kiedy siedzę tutaj i czuję ledwie powstrzymaną chwałę bijącą od taty, jest mi śmiesznie łatwo nastroić się na to, co dociera z piętra, z pokoju Jeffreya.

Jest wściekły. Nie obchodzi go, dlaczego to zrobili. Chciałby, ale nie potrafi przestać się złościć. Zdradzili nas, oboje. To nieważne, dlaczego. Okłamywali nas.

Nie chce już grać według ich zasad. Ma tego dość. Ma dość bycia pionkiem na jakiejś kosmicznej szachownicy.

Rozumem go. Po części sama tak się czuję. Tyle że trudno mi się wściekać, kiedy tata samą swoją radosną obecnością przegania z mojego umysłu wszelki mrok i ból. Co już samo w sobie wydaje mi się nie fair, jakby nie było mi nawet wolno czuć tego, co chcę. Może miałabym o to do niego pretensje, gdybym zdołała.

— Myślę, że byśmy sobie z tym poradziła — mówię mamie jakiś czas później, kiedy pomagam jej wrócić z łazienki. Jest w tym coś upokarzającego, myślę; w tych jej krótkich, szurających kroczkach, w tym, że potrzebuje pomocy, nawet żeby się wysikać. Jej też się to nie podoba. Za każdym razem, kiedy to robimy, ponuro marszczy brwi; dałaby wszystko, żebym nie musiała jej oglądać w takim stanie.

— Z czym? — pyta.

— Z prawdą. Z tym, że tata jest aniołem. A my jesteśmy triplare. I tak dalej.

Zachowalibyśmy to w tajemnicy.

— Mhm — mówi mama. — Bo ty rzeczywiście świetnie dochowujesz tajemnic.

— Gdybym wiedziała, że to kwestia życia i śmierci, to umiałabym trzymać język za zębami — protestuję. — Nie jestem idiotką.

Odwijam kołdrę i ostrożnie podtrzymuję mamę, kiedy kładzie się do łóżka. Podciągam jej kołdrę do pasa, przyglądam fałdy.

— Nie mogłam ryzykować — mówi.

— Dlaczego nie?

Pokazuje mi gestem, żebym siadła, więc siadam. Mama zamyka oczy. Otwiera je. Marszczy brwi.

— Gdzie tata?

— Zniknął. A w ogóle, gdzie on tak znika?

— Pewnie ma pracę.

— Tia, muszę podpalić krzak dla Mojżesza — żartuję.

Mama się uśmiecha.

— Marge Whittaker, 1949.

Dopiero po sekundzie załapuję, o czym mówi.

— Chodzi ci o tę przed Margot Whitfield?

— Tak.

— Marge. Ładnie. Zawsze przybierałaś jakąś odmianę imienia Margaret? — pytam.

— Prawie zawsze. Chyba że uciekałam przed czymś bardzo złym. No więc, Marge

Whittaker się zakochała.

Mam przecucie, że nie mówi o tacie. Mówi o tej historii, o której mi kiedyś wspominała; kiedy była zaręczona. W latach pięćdziesiątych.

— Kto to był? — pytam cicho, niepewna, czy chcę to wiedzieć.

— Robert Turner. Miał dwadzieścia trzy lata.

— A ty miałaś... — Szybko liczę w głowie. — Prawie sześćdziesiąt. Mamo. Ty podrywaczko jedna.

— Robert był triplare — mówi mama. — Przedtem nie znałam wielu anielitów, właściwie tylko Bonnie i Waltera, których poznałam jako trzynastolatka, zanim w ogóle się dowiedziałam, kto to są anielici, i Billy, którą spotkałam w czasach I wojny światowej, ale nigdy nikogo takiego jak Robert. Był zdolny do wszystkiego. Któregoś dnia wszedł do biura, gdzie pracowałam, i zaprosił mnie na kolację. Oczywiście byłam zaskoczona, nie widziałam go wcześniej na oczy. Spytałam, dlaczego uważa, że zgodzę się pójść na kolację z całkiem obcym mężczyzną. A on na to, że nie jesteśmy sobie obcy. Powiedział, że o mnie śnił. Wiedział, że lubię chińszczyznę i do której restauracji mnie zabierze. Wiedział, że zamówię słodko-kwaśną wieprzowinę i co będzie napisane w moim ciastku z przepowiednią. Więc rozumiesz, że musiałam z nim iść i przekonać się, że ma rację.

— I miał — mówię.

— Miał.

— I co było napisane? W tym twoim ciastku, znaczy.

— Och. — Śmieje się. — „W najbliższym czasie czekają cię podniecające przygody”. — A w jego było: „Ten, kto śmieje się z siebie, zawsze ma powód do śmiechu”. I oczywiście obie przepowiednie się sprawdziły.

— Byłaś elementem jego zadania?

— Tak. Myślę, że miał mnie znaleźć.

— I co się z nim stało? — pytam po chwili, bo coś czuję, że nic dobrego.

— Czarne Skrzydła dowiedzieli się o nim. Nie chciał się do nich przyłączyć, więc go zabili.

Samjaza przy tym był. Prosiłam go, żeby nam pomógł, ale... nie chciał. Stał z boku i patrzył.

— Och, mamo...

Mama kręci głową.

— Właśnie to się dzieje — mówi. — Zrozum to. Właśnie to się dzieje, kiedy oni wiedzą.

Musisz walczyć o życie.

Następnego ranka Billy jak zwykle odwozi nas do szkoły. Od kiedy tata się pojawił, wszyscy z wyjątkiem Jeffreya jakoś mniej się przejmują obecnością Samjazy. Myślę sobie, że jeśli Samjaza jest potężny, to tata jest dwa razy bardziej macho, skoro nie przygniata go smutek, skoro działa w imieniu Pana i tak dalej. Prawie nie rozmawiamy po drodze, każde jest pogrążone we własnym świecie, aż Billy pyta nagle:

— I jak się trzymacie?

Jeffrey gapi się za okno i udaje, że jej nie usłyszał. Billy spogląda na mnie.

— Nie mam pojęcia — mówię jej.

— Nie co dzień dostaje się taką nowinę.

— Fakt.

— Ale to dobra nowina — mówi Billy. — Że wasz tata jest intangere. Rozumiecie to, prawda?

Wydaje się, że powinna być dobra. Gdybyż tylko nie oznaczała, że Jeffrey i ja w zasadzie urodziliśmy się z tarczą strzelniczą na czole.

— W tej chwili jest tylko dziwnie.

Billy zerka na Jeffreya we wstecznym lusterku.

— Żyjesz tam z tyłu?

Potakujące burknięcie. Zwykle Billy potrafi z czarować Jeffreya, wyłudzić od niego uśmiech, niezależnie od jego nastroju. Pewnie dlatego, że jest taka ładna. Ale dzisiaj Jeffrey nie współpracuje.

— Domyślam się, że jest dziwnie — mówi Billy do mnie. — Wszystko stanęło na głowie.

— A ty spotkałaś jakiegoś triplare? — pytam ją po minucie.

Drapie się w tył głowy, zastanawia się, czy powiedzieć.

— Tak. Dwójkę, nie licząc ciebie i tego smutasa z tyłu. Dwójkę, przez całe sto dwanaście lat mojego życia na ziemi.

— I umiałaś rozpoznać, że są inni niż reszta anielitów?

— Szczerze mówiąc, nie poznałam żadnego z nich. Ale na pierwszy rzut oka zachowywali się i wyglądali tak samo jak wszyscy.

— Masz sto dwanaście lat? — wtrąca nagle Jeffrey.

Miły uśmiech Billy rozciąga się w szelmowski wyszczerz.

— Matka cię nie nauczyła, że kobiet nie pyta się o wiek?

— Sama przed chwilą powiedziałaś.

— To po co pytasz? — odgryza się wesoło.

— Więc zostało ci tylko osiem lat. — Jeffrey wbija wzrok we własne kolana.

Świadomość, że Billy ma tylko osiem lat życia, sprawia, że nagle czuję się boleśnie samotna. Nie będę się zbyt długo cieszyć jej obecnością w moim życiu. Myśl, że Billy będzie przy nas, kiedy mama odejdzie, przynosiła mi ogromną pociechę. Jakbym miała zatrzymać w jej osobie jakąś cząstkę mamy. Billy ma tyle wspomnień o mamie, o tych czasach, które spędziły razem.

— Osiem lat to niewiele — mówię.

— Osiem lat to bardzo dużo na to, co zaplanowałam.

— Czyli?

— Po pierwsze, chcę poznać was oboje. To był jedyny element mistrzowskiego planu waszych rodziców, z którym się nigdy nie godziłam. Nie wiecie o tym, ale kiedy byliście mali, zmieniałam wam pieluchy.

Puszcza oko do Jeffreya, który się czerwieni.

— Nie zrozumcie mnie źle. Mieli swoje powody, żeby trzymać was w izolacji. Bardzo słuszne powody. Ale teraz zamierzam spędzać z wami czas. Chcę patrzeć, jak kończycie szkołę. Jak wyjeżdżacie na studia. Słyszałam, że to Stanford, Clara. To prawda?

— Tak. Stanford. — Przyjęłam ich ofertę. Według Angeli ta uczelnia to moje przeznaczenie.

Billy kiwa głową.

— Mags zawsze miała słabość do tego uniwerku.

— Studiowałaś tam z nią?

Billy parska.

— Boże, nie. Nigdy nie znosiłam szkoły. Moimi nauczycielami były wiatr, drzewa, strumienie i rzeki.

Podjeżdżamy pod szkołę.

— I tym optymistycznym akcentem kończymy naszą pogadankę — mówi wesoło Billy. — Sio. Spróbujcie się czegoś nauczyć.

Chcę powiedzieć Tuckerowi o tacie, ale za każdym razem, kiedy otwieram usta, kiedy próbuję jakoś to sformułować, wydaje mi się, że to zabrzmia koszmarnie głupio. „Wiesz co? Wczoraj wpadł do nas mój tata. I wiesz, co jeszcze? jest aniołem. A to znaczy, że ja jestem superspecjalüberanielitką. I co ty na to?”

Patrzę na niego. Wygląda na to, że autentycznie słucha wykładu z wiedzy o ustroju. Jest uroczy, kiedy się tak skupia.

*Pan A zaraz cię weźmie do odpowiedzi.*

Christian. Zaczynam uważać w samą porę, żeby usłyszeć, jak pan Anderson mówi:

— Proszę, kto wie, jakie prawa zawarto w Pierwszej Poprawce? Clara, może ty spróbujesz?

— Okej. — Spoglądam na pusty zeszyt.

*Kongres nie może uchwalać ustaw wprowadzających wyznanie bądź zakazujących swobodnego praktykowania religii, ograniczających swobodę wypowiedzi lub prasy, bądź też naruszających prawo do pokojowych zgromadzeń i składania pod adresem rządu wniosków o naprawę krzywd.*

Powtarzam to, co podpowiedział mi w głowie Christian.

— Świetnie. — Pan Anderson jest pod wrażeniem, że nauczyłam się tego wszystkiego na pamięć. Przechodzi dalej, a ja się rozluźniam. Uśmiecham się do Tuckera, który patrzy na mnie, jakby nie wierzył, że trafiła mu się taka genialna dziewczyna.

*Dzięki*, mówię bez słów do Christiana. Zerkam na niego. Odpowiada mi lekkim skinieniem głowy.

Moja empatia rozbłyska blado, jak energooszczędna żarówka, która potrzebuje chwili, żeby się rozgrzać. Smutek spada na mnie jak chmura przesłaniająca słońce. Samotność. Poczucie separacji — wiecznie ta separacja od wszystkiego, co dobre w tym życiu. Pole, na którym stoi Samjaza, jest pełne słońca, ale on nie potrafi wchłaniać jego ciepła. Nie czuje zapachu młodej trawy u stóp, aromatu świeżego deszczu, który przeszedł z rana. Nie czuje wiatru. To wszystko to piękno, a piękno przynależy do światła. Nie do niego.

Powinno już się przyzwycząić do tego, że pojawia się znieca i miesza mi w głowie.

*On znowu tu jest, prawda?* Znów Christian. Tym razem zaniepokojony.

Posyłam mu myślowy odpowiednik kiwnięcia głową.

*Co powinniśmy zrobić?*

*Nic. Ignorować go. Nic nie możemy zrobić.*

Ale nagle przychodzi mi do głowy, że może to już nieprawda. Prostuję się. Podnoszę rękę i proszę pana Andersona o przepustkę, sugerując mętnie, że muszę skorzystać z toalety z kobiecych powodów.

*Dokąd idziesz?* — pyta zaalarmowany Christian, kiedy zbieram rzeczy. *Co ty kombinujesz?*

*Nie martw się. Chcę tylko zadzwonić po tatę.*

Dzwonię do domu z telefonu w sekretariacie. Odbiera Billy,

— Kłopoty? — pyta natychmiast.

— Mogę porozmawiać z tatą?

— Jasne. — Cisza, kiedy odkłada słuchawkę. Przytłumione głosy. Kroki.

— Clara — odzywa się tata. — Czego ci potrzeba?

— Samjaza tu jest. Pomyślałam, że może mógłbyś coś zrobić.

Milczy przez chwilę.

— Będę tam za minutę — mówi w końcu.

Dotarcie do szkoły zajmuje mu dosłownie minutę. Ledwie mam czas usiąść na ławce w korytarzu, żeby na niego poczekać, kiedy on nagle wchodzi przez główne drzwi. Wybałuszam oczy.

— Przyleciałeś tu?

— W pewnym sensie.

— Łał.

— Pokaż mi. — W jego przeszywających oczach widzę niezłomną siłę, która wydaje mi się dziwnie znajoma, jakbym widziała już kiedyś ten wyraz na jego twarzy. Ale kiedy? Prowadzę go na dwór, przez parking, na granicę pola. Wstrzymuję oddech, kiedy bez wahania przechodzi przez płot, na niechronioną ziemię.

— Zostań tutaj — nakazuje mi. Więc zostaję.

Samjaza, w ludzkiej postaci, stoi na dalszym krańcu pola. Boi się. I pamiętam ten jego

strach; przypominam sobie, co widziałam w dniu pożaru. Mama zasugerowała, że ktoś na pewno po nią przyjdzie, i Samjaza wyobraził sobie dwa białoskrzydłe anioły; jeden z nich był rudowłosy, a drugi był blondynem, świetlistym i groźnym, z płonącym mieczem w dłoni.

Mój tata.

Samjaza nie porusza się, nie odzywa. Stoi nieruchomo, a strach bucha od niego razem ze smutkiem. I upokorzenie, że aż tak się boi.

Tata robi kilka kroków w jego stronę i się zatrzymuje.

— Szemjaza.

Ludzkie ciało, w które ubrany jest Samjaza, wydaje się przejrzyste, fałszywe w zestawieniu z solidnością i blaskiem taty. Włosy taty lśnią w słońcu. Jego skóra promienieje. Samjaza kurczy się przed nim, ale jeszcze usiłuje szydzić.

— Co tu robisz, Księżę Światła? Co cię obchodzi ta dziewczyna o rozwodnionej krwi?

W dzisiejszym przedstawieniu będzie grał czarny charakter wszech czasów.

— Obchodzi mnie jej matka — odpowiada tata. — Już raz cię ostrzegałem.

— Tak, i jestem bardzo ciekaw, co cię łączy z Margret.

Radość taty jakby słabnie.

— Obiecałem jej ojcu, że się nią zaopiekuję — mówi.

Jej ojcu? Boże drogi. Więc ciągle jeszcze nie wiem wszystkiego.

— I nic więcej?

— Głupcze — mówi tata, kręcąc głową. — Opuść to miejsce i nie waz się więcej niepokoić tego dziecka i jej matki.

— Czy nie chciałeś powiedzieć: dzieci? Jest jeszcze chłopak, nieprawdaż?

— Daj im spokój — mówi tata.

Samjaza waha się, choć nie ma najmniejszego zamiaru walczyć z tatą. Nie jest na tyle szalony. Mimo to wysuwa podbródek, przez kilka sekund patrzy wprost w ręciovne oczy taty i się uśmiecha.

— Trudno się w nich nie zakochać, co? Gdzieś w tobie też jest Czuwający, Michale.

Tata pała coraz jaśniejszym blaskiem. Szepcze słowo, które jest w moich uszach jak wiatr, i nagle widzę jego skrzydła. Są ogromne i białe — czysto, śnieżnie białe, i słońce odbija się w nich tak mocno, że trudno patrzeć wprost na nie. Nigdy nie widziałam czegoś tak wspaniałego jak mój ojciec — gardło mi się ścisza, kiedy myślę to słowo — ta istota stworzona z dobroci i światła, stojąca tutaj, by mnie bronić. I on jest moim ojcem. Jestem jego częścią.

— Zmiażdżę cię pod obcasem — mówi cicho. — Odejdź. I nie wracaj.

— Nie ma potrzeby się ekscytować — mówi Samjaza, cofając się o krok. — Przecież jestem kochankiem, nie wojownikiem.

A potem zwyczajnie zamyka oczy i znika.

Skrzydła taty też znikają. Idzie po trawie z powrotem do mnie.

— Dzięki — mówię.

Jest dziwnie smutny.

— Nie dziękuj mi. Właśnie naraziłem cię na większe niebezpieczeństwo, niż zdajesz sobie sprawę. Ale teraz — dodaje już zupełnie innym tonem — bardzo chciałbym poznać twojego chłopaka.

Czekamy do dzwonka. Ludzie wypełniają korytarze. Rozstępują się przed nami, omijając tatę szerokim łukiem i gapiąc się na niego.

Tata jest chyba trochę spięty.

— Dobrze się czujesz? — pytam. Jestem ciekawa, czy to, co powiedział Samjaza, że tata jest trochę jak Czuwający, trafiło w czułe miejsce.

— Świetnie — odpowiada. — Po prostu w obecności tylu ludzi muszę się bardziej wysilać, żeby powstrzymać chwałę. Inaczej wszyscy mogliby paść na kolana i zacząć mnie wielbić.

Mówi to żartobliwym tonem, ale wiem, że nie żartuje. Mówi absolutnie poważnie.

— Nie musimy tu być. Możemy iść.

— Nie, chcę poznać tego twojego Tuckera. Podobno to miły dzieciak.

— Tato. On nie jest dzieciakiem.

— Nie chcesz mi go przedstawić? — pyta z bladym uśmiechem. — Boisz się, że go wystraszę?

Tak.

— Nie — mówię. — Ale nie próbuj go straszyć, okej? Jak na razie nieźle znosił to całe wariactwo. Nie chcę przeginać.

— Rozumiem. Mam się nie odgrażać, że go zabiję, jeśli nie będzie dobrze traktował mojej córki.

— Tato. Ja mówię serio.

Na końcu korytarza pojawia się Jeffrey. Rozmawia z kumplem, uśmiecha się. Zauważa nas. Uśmiech znika z jego twarzy. Odwraca się na pięcie i rusza w przeciwną stronę.

Tata patrzy za nim, zdziwiony.

— Otrząśnię się — mówię mu.

Zamyślony kiwa głową i mówi:

— Prowadź więc. Obiecuję, że będę grzeczny.

— No to chodź. Jego szafka jest tam.

Idziemy korytarzem do szafki Tuckera. Jest tam, tak jak się spodziewałam, i gorączkowo grzebie w notatkach. Doucza się w ostatniej chwili przed poprawkowym testem z hiszpańskiego.

— Hola — mówię, opierając się o sąsiednią szafkę. Nagle jestem kłębkiem nerwów. Zaraz przedstawię ojcu mojego chłopaka. Gruba sprawa.

— Cześć — mówi, nie podnosząc głowy. — Co się stało na wiedzy o ustroju? Po prostu wyszłaś.

— Musiałam coś załatwić.

— Jak jest po hiszpańsku leniuch? — pyta kwaśno. — *Mi novia, la chica hermosa, que huye*. Tłumaczenie: Moja dziewczyna, ślicznotka, która ucieka.

— Tuck.

— Przepraszam — mówi, wciąż nie odrywając oczu od zeszytu. — To przez ten test. Przysięgam, dłonie mi się pocą, serce mi wali i zaraz dostanę ataku paniki. Chyba. Nigdy nie miałem ataku paniki. Ale mam niecałe trzy minuty na wypełnienie mózgu użyteczną wiedzą.

— Tuck, możesz przerwać na dwie sekundy? Chciałam ci kogoś przedstawić.

Unosi głowę, zauważa tatę za moimi plecami. I drętwieje.

— Tucker, to jest mój tata, Michael. Tato, to jest Tucker Avery.

Tata uśmiecha się i wyciąga rękę. Tucker głośno przełyka ślinę, wytrzeszczając oczy, i ściska jego dłoń.

— Witam pana — wykrztusza. Spogląda na mnie. — Twój tata?

— Przyjechał wczoraj, żeby nam pomóc, jako że mama...

— Bardzo miło mi cię poznać — mówi ciepło tata. Zresztą on chyba wszystko robi ciepło. Ciepły facet. — Dużo o tobie słyszałem. Przykro mi, że odrywam cię od nauki, ale chciałem poznać młodego człowieka, który skradł serce mojej córki.

„Skradł” jest tu kluczowym słowem. Posyłam tacie ostrzegawcze spojrzenie.

— Mnie też jest bardzo miło, proszę pana — mówi Tucker. — Jest pan profesorem fizyki na Uniwersytecie Nowojorskim, zgadza się?

Obracam się, żeby spojrzeć na tatę. Nie wypytałam go jeszcze o to konkretne kłamstwo.

— Jestem na urlopie naukowym — mówi tata.

Sprytne. Bardzo sprytne.

— No, ehm, rany, miło, że pan wpadł pomóc — jąka Tucker. Nie wie, co powiedzieć. — Ja, ehm, naprawdę podziwiam pańską córkę.

To nie idzie dobrze. Twarz Tuckera jest już bardziej niż blada. Robi się zielonkawa. Czoło błyszczy mu od potu. Martwię się, że ledwie tłumiona chwała taty doprowadzi go do wymiotów. Pora stąd zniknąć.

— No dobrze, chciałam was przedstawić, i przedstawiłam, ale Tucker ma za minutę ważny

test, więc powinniśmy już iść. — Biorę tatę pod rękę i odciągam go, posyłając Tuckerowi spojrzenie, które, mam nadzieję, uzna za przeprosiny, że wycięłam mu taki numer. — Zadzwoń później, okej?

— Okej — mówi. Nie wraca już do hiszpańskiego. Jeszcze długo po dzwonku stoi oparty o szafkę i próbuje złapać oddech.

## 16. Kwadratowe lody

Angela ćwiczy grę na skrzypcach, kiedy wchodzimy. Lubi to robić na scenie Różowej Podwiązki, w świetle reflektorów, wypełniając muzyką pusty teatr. Nie znam tego kawałka, ale to piękna, wpadająca w ucho melodia, która płynie do mnie i taty, kiedy stajemy w wejściu. Kiedy cichnie ostatnia nuta, zaczynamy klaskać. Angela opuszcza skrzypce i osłania oczy, żeby na nas spojrzeć; nic nie widzi poza kręgiem świateł.

— Świetny kawałek, Ange — wołam do niej.

— Och, C, to ty. Boże, ale mnie wystraszyłaś. Myślałam, że masz areszt domowy. Ale oczywiście cieszę się, że cię widzę. Badałam w tym tygodniu parę szalonych teorii... Jest taki jeden historyk, który analizował *Księgę Henocha* na przełomie wieków. Fascynująca rzecz.

— Ja też mam nowiny. Możesz zejść?

Rusza po schodach. Nic nie motywuje Angeli równie skutecznie jak nowiny. Kiedy tylko jej oczy przyzwyczajają się do słabszego światła na widowni, dostrzega tatę.

— Jasna cholera!

— Niezupełnie. — Muszę przyznać, że uwielbiam zaskakiwać Angelę.

— Pan jest intangere — wypala.

— Witam — mówi tata. — Jestem Michael. Ojciec Clary.

Szydło na dobre wylazło z worka. To trochę dziwne, bo oboje z mamą tak się starali zachować to wszystko w tajemnicy, a teraz on chodzi po mieście i przedstawia się jako mój ojciec, jakby to była najbardziej naturalna rzecz na świecie. Ale właśnie taki jest, uświadamiam sobie. Po prostu nie jest zdolny ukrywać, kim jest.

— Ojciec Clary... — Oczy Angeli są jak spodki. — Ojciec...

— Tak.

— Ale to znaczy...

— Bardzo ci ufamy, Angelo — mówi tata. — Musisz zachować to w ścisłej tajemnicy.

Angela solennie kiwa głową.

— Tak. Oczywiście, że zachowam. — Uśmiecha się. — Kurczę. Tego się nie spodziewałam. — Patrzy na mnie. — Tylko mi nie mów, że wiedziałaś o tym cały czas.

— Dowiedziałam się wczoraj. Kiedy się zjawił.

— Łał.

— Co ty powiesz.

Angela zwraca się do taty z całą powagą.

— No dobrze. Więc co pan sądzi o Henochu?

Tata myśli przez chwilę.

— Był dobrym człowiekiem. Lubiłem go. Ale pozwalał się wykorzystywać w najgorszy sposób.

Ona oczywiście miała na myśli księgę.

On człowieka.

— Więc nie jesteś quartariuszem — mówi nagle Angela. Coś w tonie jej głosu każe mi na nią spojrzeć. Jej twarz jest bez wyrazu, jakby bardzo się starała ukryć, co czuje.

Zazdrość. Rany, zazdrość. Czuję ją, choć nawet się nie staram. Przez cały czas sądziła, że to ona jest potężniejsza w naszej dwójce. Ona była dimidiusem, ja quartariuszem, i to jej odpowiadało. Teraz... nawet nie wie, jak nazwać to, kim jestem. I jest tu mój ojciec, przystojny, potężny i dobry, i zależy mu na mnie, i jest lepszym źródłem informacji niż wszystkie zakurzone księgi świata. Bo mój ojciec jest starszy niż wszystkie zakurzone księgi świata.

Jej zazdrość wije się w moim umyśle jak coś oślizgłego.

— Okej, nie ekscytujmy się przesadnie, dobrze? — mówię. — To nic wielkiego.

— To jest coś ogromnego! — wykrzykuje Angela i nagle gwałtownie chwyta powietrze. — Czytałaś moje uczucia. Użyłaś empatii.

— Przepraszam. Ale czujesz do mnie coś strasznie głupiego, zgadza się?

— Nie możesz tego robić — mówi, ale nagle przypomina sobie, że mój tata tu jest, i



zamyka się. — Jej twarz jest biała jak alabaster, i nagle błysk niebieskiego światła strzela z jej włosów, tylko jeden, jak samotny fajerwerk widoczny na czarnym tle głębin teatru.

— Nie zrobiłam tego celowo — mówię.

O tak, jest wkurzona.

— Bardzo miło było pana poznać, panie Gardner — mówi Angela. — Ale powinnam już wracać do ćwiczeń. — Patrzy na mnie. — Znasz drogę do wyjścia.

— Dobra. — Ruszam do drzwi. — Chodź. Nic tu po nas.

— Mnie też było bardzo miło, Angelo — mówi tata. — Jesteś taka, jak opisała cię Maggie. To imponujące, ile osiągnęłaś, żyjąc tak długo w izolacji.

— Dzięki — mówi Angela trochę piskliwie; nie jest w stanie utrzymać tej swojej wrednej pozy, kiedy on jest w pobliżu.

O tak, mój ojciec to czaruję.

Uczy mnie, jak stawać się niewidzialną. No, może „uczy” to zbyt mocne słowo. To skomplikowana sprawa, która ma coś wspólnego z ugięciem fal świetlnych. Mówi mi o tym, jakby to był wzór matematyczny, który kiedyś jakiś geniusz zapisze mazakiem na szybie. Rozumiem to tylko w połowie, ale nagle tata to robi. Sprawia, że oboje stajemy się niewidzialni, co okazuje się bardzo pożyteczne, bo można latać, dokąd się chce, nie ryzykując, że ktoś pokaże palcem na niebo i powie: „O, patrzcie, anioł!” To nawet lepsze niż teoria Jeffrey’a o białych ptakach.

Po spotkaniu z Angelą ciągle jestem w złym nastroju, ale trudno się długo złościć, kiedy od taty bucha radość, a potem latam z nim, wiatr niesie mnie jak nuty piosenki. Nie latałam od bardzo dawna i obawiałam się, że zapomniałam, jak to się robi, ale z tatą to jest łatwe jak oddychanie. Opadamy spiralą w dół, muskamy korony drzew. Wystrzelamy w górę, przebijając zwały chmur, coraz wyżej i wyżej, aż powietrze wokół staje się rzadsze. Szybujemy jak orły.

Lądujemy koło salonu samochodowego w Idaho Falls, za budynkiem. Tata staje na ziemi pierwszy i sprawia, że znów stajemy się widzialni.

Angela by się posikała, gdyby to zobaczyła, myślę. I należałoby jej się.

Ale ja też byłam zazdrosna. Przez cały czas, kiedy myślałam, że to ona jest silniejsza. To ona zawsze trzymała wszystko w garści. Wiedziała wszystko pierwsza, nawet o tym, że moja mama umiera. Pierwsza nauczyła się latać. Potrafiła zmieniać wygląd skrzydeł. Poznała prawdziwego anioła i spędzała wakacje we Włoszech.

— Nie rozpamiętuj tego — mówi tata. — Jej reakcja była naturalna. Tak jak przedtem twoja.

— Czytasz w myślach?

— Potrafię to. Ale lepiej mi idzie z uczuciami. Tak jak tobie.

Tak jak mnie. Mogę tylko pokręcić głową ze zdumienia, bo to zupełnie obłądna sprawa, że on i ja jesteśmy do siebie podobni choćby w tak małej sprawie.

— No więc, jesteśmy w Idaho Falls. — Spoglądam na zegarek. Jest czwarta po południu. Dotarcie tutaj zajęło nam dwadzieścia minut, choć samochodem to dwie godziny jazdy. Lecieliśmy naprawdę szybko. — Co tu robimy? — pytam.

— Chcę ci kupić nowy samochód.

Jaka dziewczyna przy zdrowych zmysłach powiedziała by, nie?

Okazuje się, że tata potrafi się ostro targować. Jestem praktycznie pewna, że uzyskaliśmy dolną granicę ceny nowego, białego subaru forester, którym w końcu odjeżdżamy.

Wiozę nas do domu, jako że prowadzenie samochodu to kolejna rzecz, której nie robił od dłuższego czasu. Zastanawiam się, czy teraz będziemy regularnie spędzać ze sobą czas. Czy może, kiedy tylko mama odejdzie, on też zniknie.

— Będę tu tak długo, jak zechcesz — mówi. — Nie w każdej minucie, według twojego postrzegania świata, ale w pewnym sensie zawsze będę z tobą.

— To kwestia innego upływu czasu, zgadza się? Mama próbowała mi to wyjaśnić.

— Dla ciebie czas jest jak linia narysowana na kartce; wydarzenia następują kolejno. A

prowadzi do B, B do C, każda chwila następuje po poprzedniej. Tam, skąd ja pochodzę, nie ma linii. My jesteście kartką.

— Okej, już kompletnie nic nie rozumiem. — Zjeżdżam na stację benzynową Rainy Creek County Store.

— Kiedyś zrozumiesz.

— Nie mogę się doczekać.

— Gdzie jesteśmy? — pyta.

— W Swan Valley. Musisz spróbować ich kwadratowych lodów.

— Kwadratowych lodów? — powtarza osłupiały, jakby to była kolejna nowomodna fanaberia, o jakiej jeszcze nie słyszał.

— No widzisz? Nie wiesz wszystkiego. Ja też mogę cię czegoś nauczyć.

Kupujemy lody nakładane specjalnymi łyżkami, które formują je w idealne sześciany. Tata wybiera miętowo-czekoladowe. Ja wolę truskawkowe.

— Kiedy byłaś mała, byłaś moją truskawkową dziewczynką — mówi po wyjściu ze sklepu. — Mama zasadziła poletko za domem w Mountain View i jeśli nie mogliśmy cię znaleźć, przeważnie byłaś właśnie tam, wcinając truskawki prosto z krzaczków, usmarowana sokiem. Mama miała pełne ręce roboty z wywabianiem plam z twoich ubranek.

— Nie pamiętam tego. — Idę za budynek, gdzie jest ławeczka, na której można posiedzieć. Siadam. Tata przez chwilę stoi obok, i w końcu też siada. Patrzymy na góry w gasnącym świetle, słuchamy strumyka ciurkającego niedaleko, samochodów przejeżdżających szosą, ich niemal rytmicznego szumu. — W ogóle niewiele pamiętam — przyznaję.

— Wiem. Byłaś bardzo mała.

— Pamiętam, jak się goliłeś.

Uśmiecha się.

— Tak. Fascynowało cię to. Koniecznie chciałaś też spróbować, więc mama wpadła na genialny pomysł, żeby wyciąć stare karty kredytowe w kształt golarek. No i siedziałaś na szafce w łazience i goliłaś się ze mną.

— Dziwne, że anioł musi się golić.

Przeciąga dłonią po gładkim podbródku.

— Nie muszę. Chociaż czasami zawód wymaga ode mnie noszenia brody.

Zawód. Obracam to słowo w myślach.

— W tamtych czasach, kiedy byłem z twoją mamą, wszystko wyglądało inaczej, jeśli chodzi o fizyczność. Musiałem się golić, myć ciało, jeść i pić.

— A teraz nie musisz?

— Mogę. Ale nie muszę. — Odgryza wielki kęs lodu, krusząc rozek. Lód cieknie mu po brodzie, tata próbuje go wytrzeć. Podaję mu serwetkę.

— Bo masz inne ciało.

— Każdy z nas składa się z dwóch części — mówi. — Z ciała i ducha.

— Więc ciało jest rzeczywiste. A duch jest... duchowy — mówię.

— U ludzi, owszem. Ciało jest namacalne, a duch eteryczny. Dopóki się nie rozdzieli.

Wtedy ciało obraca się w proch, a duch przechodzi na inną płaszczyznę egzystencji. I tam staje się namacalny.

— A ja? — pytam. — Jaka jest moja dusza? Widzisz ją?

— Jest piękna. — Uśmiecha się. — Masz przepiękną duszę. Jak twoja mama.

Jest już całkiem ciemno. Kilka kroków od nas zaczyna cykać samotny świerszcz.

Powinniśmy iść, myślę. Mamy jeszcze ponad godzinę jazdy do domu. Ale nie wstaję.

— Czy mama... pójdzie do nieba?

Tata kiwa głową, jego twarz się rozpogadza. Zaczynam rozumieć, że cieszy się z jej śmierci. Bo w niebie pewnie będzie ją widywał bez przerwy. Cieszy się, ale ze względu na mnie stara się stłumić tę radość, zrozumieć mój punkt widzenia.

— Jej ciało gaśnie — mówi. — Niedługo całkiem z niego zrezygnuje.

— Będę mogła ją odwiedzić? — Nadzieja rozkwita mi w sercu. Wiem, że możemy

przekraczać barierę między niebem i ziemią. Mama była już w niebie, przynajmniej raz. Ja też bym mogła. Może to wszystko nie byłoby takie straszne, gdybym wiedziała, że od czasu do czasu zobaczę mamę, że będę mogła z nią porozmawiać. Nasłuchać się jej rad, jej żartów i ciętych uwag. Mogłabym ciągle mieć mamę.

— Możesz odwiedzać niebo — mówi tata. — Jako triplare masz zdolność przekraczania granicy między światami. Dimidius muszą mieć pomoc, ale wiemy z doświadczenia, że triplare są w stanie nauczyć się podróżować tam sami.

Ta wiadomość jest tak wspaniała, że o mało nie wybucham śmiechem.

— Ale jest mało prawdopodobne, że zobaczysz mamę — dodaje tata. — Kiedy przybędzie na miejsce, musi odbyć swoją własną podróż, w której nie możesz jej towarzyszyć.

— Ale dlaczego? — Wiem, że zachowuję się jak trzylatka płacząca za mamusią, ale nic na to nie poradzę. Ocieram nagłe, irytujące łzy. Zrywam się z ławki i ciskam do kosza resztki lodu.

Tata nie odpowiada, przez co wstydzę się jeszcze bardziej.

— Powinniśmy już jechać — mówię mu. — Wszyscy będą się zastanawiać, gdzie się podzialiśmy.

Tata dojada rożek i idzie za mną do samochodu. Jedziemy w milczeniu przez godzinę, mijając oświetlone wiejskie domy odsunięte daleko do głównej drogi, sylwetki koni na pastwiskach, wjeżdżamy w sosnowy las i przekraczamy przełęcz Teton z drogowskazem: „Tam w dole to Jackson Hole”. Tata nie jest chyba rozgniewany — po prostu szanuje moją prywatną przestrzeń. Doceniam to, a jednocześnie mnie to złości. Złości mnie, że on potrafi sprawić, że to doceniam, chociaż uznał, że może sobie tak po prostu wparować w moje życie i zrzucić mi na głowę serię bomb. A potem robi mi się głupio, że się złościę, bo przecież on jest aniołem, uosobieniem dobra.

— Przepraszam — mówię w końcu, kiedy zaczynamy zjeżdżać serpentyną do Jackson.

— Kocham cię, Claro — mówi po długiej chwili. — Chcę, żebyś to czuła. Czujesz?

— Tak.

— I obiecuję ci, że jeszcze zobaczysz mamę.

Mówię sobie, że przecież taki gość jak on nigdy nie łamie danego słowa.

Kolację jemy w ciszy; przy stole siedzimy tylko ja, tata i Jeffrey. Jeffrey dosłownie wsysa jedzenie, byle szybciej się od nas urwać, co zasmuca tatę — na ile tata jest zdolny do takiego uczucia jak smutek.

— Fajnie nam się dzisiaj rozmawiało — mówi mi, kiedy pakujemy naczynia do zmywarki. — Bardzo chciałem z tobą porozmawiać.

— Przecież do mnie dzwoniłeś — przypominam mu. — Dlaczego wtedy nie chciałeś rozmawiać?

— Źle się czułem z tą mistyfikacją — mówi, spuszczać wzrok.

— Chcesz powiedzieć: z okłamywaniem mnie?

— Tak. To mi nie przychodzi łatwo. Sprawia mi ból.

Kiwam głową. To by się zgadzało. Wreszcie wszystko zaczyna mi się zgadzać. Oczywiście niczego mi to nie wynagradza. Ale pomaga.

Uśmiecham się do taty, żegnam się i idę do siebie, żeby zabrać się do lekcji. Siedzę w pokoju ledwie od dziesięciu minut, kiedy na dachu ląduje Christian. Podchodzi prosto do okna, przez chwilę gapi się na mnie, i w końcu puka w szybę.

Otwieram okno.

— Miałeś tu nie przylatywać. To niebezpieczne. Po okolicy krąży Czarne Skrzydło, zapomniałeś?

Jego zielone oczy patrzą na mnie bystro, taksując mnie.

— To zabawne, bo chyba widziałem, jak jakiś anioł przegnał dzisiaj Samjagę z pola. Uznałem, że już jest bezpiecznie.

— Widziałeś to?

— Patrzyłem z okna na końcu korytarza na piętrze. To było imponujące. Te skrzydła. Rany. Nie wiem, co powiedzieć. Więc mówię coś głupiego:

— Chcesz wejść?

Waha się. Nigdy nie był w moim pokoju.

— Okej.

Jestem zażenowana dziewczynskim wystrojem mojej sypialni, ilością różowych rzeczy walających się dookoła. Wkopuję różowego misia pod łóżko, błyskawicznie zdejmuję biustonosz wiszący na słupku łóżka i próbuję dyskretnie wrzucić go do kosza na brudne rzeczy. W końcu zakładam za ucho niesforny kosmyk włosów i staram się patrzeć gdziekolwiek, byle nie na Christiana.

On też jest zażenowany; nie wie, jak ma się zachować w tej sytuacji. Więc wyobraźcie sobie nasze wspólne zażenowanie, kiedy w tej chwili rozlega się delikatne pukanie i do pokoju wchodzi tata.

— O, witam — mówi, patrząc na Christiana.

— Tato! Czy ty... to jest...

— Christian Prescott — kończy za mnie tata. — Wszędzie bym poznał te oczy.

Christian i ja patrzymy na siebie — Christian jest dezorientowany, że tata cokolwiek o nim wie, ja skręcam się ze wstydu, bo nie chcę, żeby pomyślał, że opowiadałam tacie o jego oczach.

— Jestem Michael. Ojciec Clary — mówi tata, wyciągając rękę.

Zabawne, że za każdym razem mówi to dokładnie tak samo.

Christian się nie waha. Chwyta dłoń taty i ściska ją mocno.

Tata się uśmiecha.

— To naprawdę niezwykle, jak bardzo jesteś podobny do matki.

— Znał pan moją matkę? — Głos Christiana jest niemal boleśnie neutralny.

— Bardzo dobrze. Była czarującą kobietą. Pełną dobroci.

Christian na moment spuszcza wzrok, ale szybko znów spogląda w oczy mojemu ojcu.

— Dziękuję. — Zerka na mnie, przygląda się przez moment mojej twarzy, jakby widział ją w zupełnie nowym świetle. W końcu mówi: — No cóż. To ja już pójdę. Chciałem się tylko upewnić, że u Clary wszystko w porządku, bo wyszła dzisiaj z klasy w środku lekcji.

Od taty aż bucha aprobata na myśl, że Christian miałby się mną opiekować.

— Nie wychodź przeze mnie. Zostawię was, rozmawiajcie sobie.

I zostawia nas. Nawet zamyka za sobą drzwi. Jaki ojciec zostawia nastoletnią córkę w jej pokoju sam na sam z chłopakiem i zamyka drzwi? Jest strasznie do tyłu, jeśli chodzi o rodzicielskie zachowania, myślę. A może po prostu nie widzi się w roli rodzica. Albo wie, że Christian musiałby być nienormalny, żeby spróbować czegoś nieodpowiedniego, kiedy po drugiej stronie drzwi jest anioł.

— No proszę — mówi Christian po chwili. — Twój tata jest aniołem.

— Na to wygląda.

— Fajny gość.

— To prawda. Fajniejszy niż podejrzewałam.

— Cieszę się — mówi Christian.

I naprawdę się cieszy. Czuję to. Jest szczęśliwy, widząc, że mam tatę, który się o mnie troszczy, który jest dość potężny, żeby mnie ochronić i który jest przy mnie teraz, w tych trudnych chwilach. Ale chce mi też coś powiedzieć. To coś jest wyraźnie widoczne, jakby słowa unosiły się na samym wierzchu jego myśli; i to jest coś, co jego zdaniem zbliży nas do siebie jeszcze bardziej. Ale się powstrzymuje.

— No gadaj, o co chodzi?

Posyła mi ten swój tajemniczy uśmiech.

— Jutro po szkole chciałbym cię zabrać w jedno miejsce. Pojedziesz ze mną?

Odzyskuje głos.

— Jasne.

— Okej. Dobranoc, Claro. — Wychodzi przez okno.

— Dobranoc — mamroczę, a potem patrzę, jak przywołuje skrzydła, te swoje piękne, cętkowane skrzydła, i odlatuje.



## 17. Moment, w którym cię całuję

Doprowadzam się do obłędu, próbując zgadnąć, dokąd chce mnie zabrać Christian, ale kiedy następnego dnia po lekcjach zjawia się koło mojej szafki, zaczynam się wahać. Nie bardzo wiem, dlaczego. Może przez to, że patrzy na mnie z takim spokojem, z ciepłymi, złotymi plamkami w oczach.

— Gotowa? — pyta.

Kiwam głową. Wychodzimy w blask słońca. Nie ma tu nawet śladu szeptu Samjazy. Tata musiał przepłoszyć go na dobre, bo nagle mama nie ma nic przeciwko temu, żebyśmy z Jeffreyem opuszczali bezpieczną, uświęconą ziemię.

Christian otwiera pickupa. Wsiadam. Staram się nie rozglądać dookoła za Tuckerem, kiedy wyjeżdżamy z parkingu. Tucker dzwonił do mnie wczoraj i próbowaliśmy rozmawiać o tacie, ale żadne z nas nie miało zbyt wiele do powiedzenia. Nie mogłam tak prosto z mostu wypalić, że mój ojciec jest aniołem, choć pewnie Tucker sam się domyślił. Ta wiedza byłaby dla niego zbyt niebezpieczna: Samjaza z przyjemnością wyłowiłby ten smakowity kąsek z jego umysłu. Im mniej wie, tym jest bezpieczniejszy — już dawno doszłam do tego wniosku. A dziś nie powinno go tu być; ma jutro rodeo i wyszedł ze szkoły wcześniej, żeby mieć parę godzin więcej na trening. Był zajęty. Nie pytał, jakie mam plany, a ja nie wychylałam się z informacjami.

Christian skręca w polną drogę, która wije się po zboczu góry za miastem. Dostrzegam jakiś znak i wyciągam szyję, żeby go przeczytać.

„Cmentarz Aspen Hill”.

Nagle wszystkie wnętrzości zmieniają mi się w kamień...

— Christian.

— Spokojnie, Claro. — Zjeżdża na pobocze, parkuje samochód. Otwiera drzwiczki, wysiada i odwraca się, żeby na mnie spojrzeć. — Zaufaj mi. — Wyciąga rękę.

Mam wrażenie, że poruszam się w zwolnionym tempie, kiedy kładę dłoń w jego dłoni i pozwalam się wyciągnąć z samochodu po jego stronie.

Okolica jest piękna. Zielone osiki szepczą, w oddali widać góry.

Nie spodziewałam się, że tu będzie tak pięknie.

Christian prowadzi mnie na leśną drogę. Obchodzimy groby — większość z nich to standardowe marmurowe nagrobki, nic wymyślnego, proste epitafia z nazwiskami i datami. Nagle stajemy przed ciągiem cementowych schodów, schodów w środku lasu, z długą, pomalowaną na czarno żelazną poręczą z boku. Na ich widok serce podchodzi mi do gardła; szara plama napiera z boków na moje pole widzenia — coś takiego czułam w zeszłym roku tuż przed wizjami. Przygryzam wargę, tak mocno, że czuję smak krwi. Ale nie odlatuję, nie wpadam głową naprzód w dzień pogrzebu mamy. Zostaję tutaj. Z Christianem.

— Tędy — mówi, delikatnie ciągnąc mnie za rękę. Idziemy, ale tym razem nie pod górę, nie do miejsca, gdzie zostanie wykopany dół w ziemi dla mojej matki, ale w poprzek zbrocza do małej ławeczki z białego marmuru, otoczonej osikami; obok posadzony jest krzew różany na którym kwitnie jeden idealnie biały kwiat.

Christian dostrzega tę różę i z jego gardła wrywa się zduszony śmiech. Puszcza moją dłoń.

— Mówiłeś, zdaje się, że ten krzew nigdy nie kwitnie — mówię, wpatrując się w inskrypcję na ławce. „Kochająca matka, oddana siostra, wierna przyjaciółka”. Jest też tabliczka w ziemi, prosty, biały prostokąt z nazwiskiem „Bonnie Elizabeth Prescott”. I z wyrzeźbioną różą. Bez dat urodzenia i śmierci, co wydaje mi się dziwne, ale jeśli Bonnie była choćby anielitką w średnim wieku, to jej data urodzenia pewnie niejednego by mocno zdziwiła.

— Bo nie kwitnie — wyjaśnia Christian. — To pierwszy raz.

Bierze głęboki wdech, delikatnie dotyka róży. A potem spogląda na mnie. Jest w nim w tej chwili tyle emocji, że instynktownie próbuję zamknąć drzwi między nami; tego jest za wiele, ale i tak widzę wszystko w jego twarzy. Chce mi coś powiedzieć. Nie, musi mi coś powiedzieć.

— Moja matka miała piękne włosy — mówi.

Okej, nie całkiem tego się spodziewałam.

— Były bardzo jasne, jak dojrzałe zboże. Lubilem się przyglądać, jak je czesze. Siadała przy toalecie w sypialni i szczotkowała je, aż zaczynały błyszczeć. Miała zielone oczy. I lubiła śpiewać. Bez przerwy śpiewała. Jakby nie mogła się powstrzymać.

Christian siada na ławce. Stoję obok niego i patrzę, jak pograża się we wspomnieniach o matce.

— Myślę o niej codziennie — mówi. — I tęsknię za nią. Każdego dnia.

— Wiem.

Patrzy na mnie z powagą.

— Chcę, żebyś wiedziała, że będę przy tobie. Kiedy to spotka ciebie. Będę stał u twojego boku przez cały czas, jeśli tylko mi pozwolisz. Obiecuję ci to.

Ostatnio dostaję sporo obietnic. Kiwam głową. Siadam na ławce obok niego i patrzę na góry; z tego miejsca ledwie widać biały szczyt Grand Teton. Lekki wiatr porywa mi włosy, zdmuchuje je na ramię Christiana.

To jest najpiękniejsze miejsce na cmentarz. Tak spokojne, tak dalekie od życia i jego zmartwień, a mimo to połączone z nim. Ten cmentarz patrzy na miasto. Strzeże nas. Idealne miejsce spoczynku dla ciała mamy, myślę, i w tej chwili, kiedy wyobrażam ją sobie tutaj inaczej niż w nawracającym koszmarze, po raz pierwszy dostrzegam też, jak to będzie po jej śmierci. I nie widzę pogrzebu, dziury w ziemi ani innych rzeczy z mojego snu. Widzę to, co będzie później. Zostawimy ją tutaj, i to jest w porządku. Złożymy jej ciało na spoczynek w tym pięknym miejscu, koło mamy Christiana. I będę tu przychodzić od czasu do czasu, tak jak on, żeby położyć kwiaty na jej grobie.

Christian znów bierze moją dłoń.

— Płaczesz.

Podnoszę wolną rękę do policzka: rzeczywiście. Płaczę. Ale to dobry płacz, myślę. Może oznacza, że zaczynam się z tym godzić.

— Dziękuję, że mnie tutaj przyprowadziłeś — mówię.

I w tej chwili Christian oznajmia:

— Claro, muszę ci coś powiedzieć.

Podnosi się. Nie puszczając mojej ręki, staje przede mną. Popołudniowe słońce pada na jego włosy i obrysowuje je złotą obwódka. Mrużę powieki, patrząc w jego oczy.

— Twój tata jest aniołem, a mama dimidiusem — mówi — czyli ty jesteś triplare.

— Skąd w ogóle wiesz, co to jest? — pytam bez tchu. Myślałam, że to jakaś ściśle strzeżona tajemnica.

— Od wuja. Kiedy miałem dziesięć lat, posadził mnie i opowiedział mi o triplare. O tym, jak są rzadko spotykani. Uważa, że po ziemi w jednym i tym samym czasie chodzi zaledwie siedmioro. I jacy są potężni. I że trzeba ich chronić za wszelką cenę.

To o to mu chodzi? Chce mnie chronić? To stąd te jego teksty w rodzaju „zawsze będę przy tobie”? Czy jego zadanie polega na byciu jakimś moim strażnikiem?

— Chciałem ci to powiedzieć od miesiący — mówi. — Czasami miałem wrażenie, że to wyrwie się ze mnie samo, jak Obcy.

— Zaraz — mówię. — Co chciałeś mi powiedzieć? Że jestem triplare?

— Wiedziałem to od tamtego dnia w Klubie Aniołów, kiedy ćwiczyliśmy z chwałą. — Przeciąga dłonią po włosach, wypuszcza długi oddech. — Ale podejrzewałem jeszcze od pożaru.

Gapię się na niego. Jak mógł wiedzieć, że jestem triplare, zanim ja sama się dowiedziałam?

— Nigdy o tym nikomu nie mówiłem — ciągnie. — Wuj wbił mi to skutecznie do głowy: nikt nie może wiedzieć. Nikt. Nawet inni anielici. A raczej przede wszystkim inni anielici. Mówi, że nie możemy ufać nikomu, rozumiesz? Nikomu.

Jego dłoń zaciska się w mojej.

— Ale wuj się myli — mówi żarliwie. — Chociaż sama twierdzisz, że nie potrafisz dochowywać tajemnic. Nie powiedziałaś Tuckerowi, że podejrzewasz, że umrze. To wymagało siły. Jesteś taka silna, Claro, że nawet nie masz pojęcia. Jesteś niesamowita. Jesteś piękna, odważna, dowcipna i zabawna, i myślę... — Bierze wdech. — Wizje pokazują mi, ciągle i ciągle od nowa, że

mogę ci ufać. Mogę ci ufać.

Coś zmienia się w jego twarzy. Zaraz mi powie. Zapomni o ostrożności i wyłoży kawę na ławę.

— Moja matka była dimidiusem. Była piękna, tak niewiarygodnie piękna, że czasami patrzenie na nią było niemal bolesne. Tak jak ty. I niecałe dwadzieścia lat temu uwiódł ją Czuwający, który postanowił kolekcjonować najpiękniejsze anielitki na świecie. I stąd wziąłem się ja.

W tym roku na moją głowę spadło całe mnóstwo bomb — tych druzgocących rewelacji starczyłoby moim zdaniem na całe życie. Ale nic nie wbiło mnie w ziemię bardziej niż Christian, patrzący na mnie błyszczącymi zielonozłotymi oczami, oczami swojej pięknej matki, i mówiący mi, że jego ojcem był Czarne Skrzydło.

— Ty też jesteś triplare — szepczę.

— Tak. — W jego głosie słyszę ulgę. — Nie rozumiesz, co to znaczy?

Nie mówi tego, ale i tak wiem. Jesteśmy sobie przeznaczeni. Jesteśmy parą niezwykle rzadkich istot. Powinniśmy pilnować się nawzajem, powinniśmy trzymać się za ręce i iść razem przez ogień, przez śmierć, mamy się chronić i strzec, i...

Mam wrażenie, że spadam gdzieś z wysoka, lecę na ziemię, a jednocześnie tonę w głębokim jeziorze, walczę, by wypłynąć na powierzchnię, rozpaczliwie pragnąc zaczerpnąć powietrza.

Christian podciąga mnie na nogi.

— Z początku nie wiedziałem, co o tym myśleć, co czuć. Nie chciałem być do niczego zmuszany, rozumiesz? Chciałem, żeby to był mój wybór. Ale zawsze kiedy jestem przy tobie, czuję, że tak ma być — mówi. — Czuję się silniejszy. Odważniejszy. Czuję w sobie chwałę, tę moc krążącą we mnie. Czuję, że mógłbym dokonać wszystkiego i wszystkiemu stawić czoła. Z tobą.

Chciałabym, żeby przestał mówić. Chciałabym, żeby las przestał wirować wokół mnie, chciałabym móc wyjść w tej chwili z własnego ciała i zapytać samą siebie: I co ty na to, Claro?

Ale tego nie wiem.

Kocham Tuckera, myślę.

Oczy Christiana przytomnieją.

— Wiem.

— Wiesz?

— Ja kochałem Kay. Nie wiem, na ile to dobrze o mnie świadczy, ale naprawdę ją kochałem. W jakimś sensie ciągle kocham. Wuj mówi, że to dlatego, że była moją pierwszą miłością. Mówi, że pierwszej miłości nigdy się nie zapomina.

No tak. Ale Tucker jest nie tylko moją pierwszą miłością. Jest moją obecną.

— Musiałem wybrać — mówi Christian. — W zeszłym roku, kiedy zrozumiałem, że moje zadanie to coś więcej niż odnalezienie i uratowanie jakiejś tajemniczej dziewczyny. — Kącik jego ust unosi się lekko. Oto ja. Jego tajemnicza dziewczyna. — Kiedy wizja pokazała mi, jak to ma być... kiedy wzięliśmy się za ręce i... dotknęliśmy się, i poczułem to, co poczułem, zrozumiałem, że muszę wybrać. To by było nie fair wobec Kay. Więc z nią zerwałem.

Zamyka na sekundę oczy, a ja odbieram słabe echo zamętu, który wciąż czuje w sobie na myśl o Kay.

W tej dziewczynie musi być coś, czego nie dostrzegam. Musi.

— Musiałem wybrać — powtarza Christian. — I nawet nie to, że musiałem wybierać między tobą a Kay. Przecież ledwie cię wtedy znałem. Musiałem wybrać, kim będę. Ale teraz... Claro, ja myślę...

— Muszę iść — mówię, odsuwając się od niego gwałtownie. — Nie jestem w stanie myśleć. Nie jestem w stanie wybierać.

Ku mojemu osłupieniu na twarzy Christiana pojawia się ten słodki, grzeszny uśmiech, od którego w moim żołądku zrywa się stado motyli.

— Co? — pytam gniewnie. — O co znowu chodzi?

— Nigdzie nie pójdziesz — mówi.



— Zobaczymy.

— Wizja pokazywała mi także tę chwilę. — To powstrzymuje mój szaleńczy, tchórzliwy (jak on może mnie uważać za odważną?) odwrót na drogę. Spoglądam na niego. Wciąż stoi przy grobie matki, z rękami w kieszeniach džinsów, i patrzy na mnie z takim żarem w oczach, że drzenie przeszywa moje ciało od czubka głowy po palce stóp.

— Ty też miewasz nową wizję? — pytam.

— Ta wizja jest tutaj. — Rusza po trawie w moją stronę długim, zdecydowanym krokiem.

— W tej chwili. Miewałem ją od tygodni, i dzieje się teraz.

Zatrzymuje się przede mną.

— A to jest moment, w którym cię całuję — mówi.

I wtedy, pod sosnami, wśród drżących osik Aspen Hill, w blednącym wiosennym słońcu, wśród śpiewu ptaków nad naszymi głowami, w słabym zapachu róż przesycającym powietrze, które osusza ślady łez na mojej twarzy, Christian Prescott całuje mnie po raz pierwszy. Wciąga mnie w swoją wizję.

Nigdy, przenigdy, nawet jeśli dożyję swoich stu dwudziestu lat, nie zapomnę smaku jego ust. Nie potrafię tego opisać, to po prostu Christian — trochę słodczy i całe mnóstwo czegoś ostrzejszego — i teraz, w tej chwili to jest absolutnie w porządku. Jego żar miesza się z moim, i razem tworzą coś potężniejszego niż pożar lasu, coś gorętszego niż najgorętsza część płomienia. Wszelkie ściany, które próbowałam zbudować wokół siebie, wałają się z hukiem. Jego serce łomocze pod moją dłoń. Nie okłamywał mnie przed chwilą. To jest jego wizja, jego sen, który dosłownie spełnia się w tej chwili, i jest dokładnie tak, jak sobie wyobrażał. Lepiej. Jestem czymś więcej, niż kiedykolwiek miał nadzieję, niż kiedykolwiek marzył. Jestem jego tajemniczą dziewczyną. Dziewczyną, którą miał odnaleźć. I teraz należę do niego, tak jak on zawsze należał do mnie.

To ta myśl pomaga mi oprzytomnieć. Odsuwam się gwałtownie, zrywam kontakt potwornym wysiłkiem woli.

— Nie jestem twoja — rzucam bez tchu. I uciekam. Bo jeśli zostanę jeszcze sekundę, to ja go pocałuję. To ja go wybiorę.

Więc uciekam, pędzę przez cmentarz Aspen Hill, jakby gonił mnie sam diabeł, a potem lecę, nie przejmując się, czy ktokolwiek mnie zobaczy, śmigam po niebie jak spadająca gwiazda. Do domu.

## 18. Alternatywa

Następnego dnia nie idę do szkoły i nikt nie ma o to do mnie pretensji.

Po lekcjach dzwoni do mnie Angela.

— Przepraszam. — To pierwsze słowo, jakie pada z jej ust. — Naprawdę, strasznie, potwornie przepraszam, okej? Ta zazdrość była totalnie głupia. Już mi przeszło.

Myśli, że nie poszłam do szkoły, bo jej unikam.

— Nic się nie stało. A ja nie powinnam była czytać twoich myśli. W sumie człowiek dostaje, na co sobie zasłużył, kiedy próbuje poznać uczucia innych na swój temat.

— Mimo wszystko to nie było w porządku. Nie powinnam była tego czuć.

— Nie zawsze możemy kontrolować uczucia — mówię jej. Rany, wczorajszy dzień to najlepszy przykład. — Zresztą, ja też od czasu do czasu ci zazdrościłam. Ta historia z moim ojcem to była spora niespodzianka. A wszyscy wiemy, że nie jesteś aniołem.

To ostatnie to miał być żart. Tyle że Angela się nie śmieje.

— Więc mi... wybaczasz? — pyta. Trochę mi dziwnie, kiedy Angela, zwykle tak silna, odzywa się tak niepewnie. To pozwala mi zajrzeć przez małe okienko do jej świata, w którym jestem jej jedyną przyjaciółką. Jeśli to schrzani, będzie całkiem sama.

— Jasne. Było, minęło — mówię.

Wzdycha z ulgą.

— Chcesz wpaść?

— Nie mogę. Mam dzisiaj coś do załatwienia.

Chcę zobaczyć Tuckera.

Tegoroczne regionalne zawody kowbojskie szkół średnich odbywają się na arenie w Jackson Hole, i to jedna z niewielu okazji w tym roku, kiedy drużyna Tuckera występuje u siebie. Kiedy próbuję zapłacić za wstęp, właściciel, Jay Hooper, puszcza mnie bez biletu. Prawie zapomniałam, że to anielita.

— Bo jesteś córką Maggie — mówi.

Nie sprzeciwiam się.

Wybieram sobie miejsce na samym końcu widowni. Wiem, że nie powinnam tu być, nie powinnam wychodzić, nie mówiąc nikomu, dokąd się wybieram. Ale chcę zobaczyć Tuckera. Coś we mnie myśli, że jeśli tylko na niego spojrzę, odnajdę się na nowo. Będę wiedziała.

Obserwuję rodeo, które zaczyna się od wiązania cieląt, ale nie mogę się skupić. Od wczoraj czuję się zagubiona w morzu wyrzutów sumienia i naprawdę mam wrażenie, jakbym była pod wodą. Głosy spikerów są przytłumione. Nie widzę wyraźnie. Próbuję oddychać i zachłystuję się poczuciem winy.

Pozwoliłam Christianowi, żeby mnie pocałował. Wciąż jeszcze czuję mrowienie warg, wciąż czuję jego smak.

Ta myśl sprawia, że robi mi się słabo. To nie jestem ja, myślę. Niemożliwe, żebym była tą dziewczyną, która całuje się z innym facetem, chociaż ma tak silnego, niesamowitego, cudownego, kochającego, uczciwego, zabawnego, seksownego do bólu, trzeba by być wariatką żeby takiego zdradzać chłopaka.

Zamykam z jękiem oczy. O Tuckerze można powiedzieć to wszystko i o wiele, wiele więcej. A ja w tej chwili czuję się jak ta pusta puszcza po piwie, którą widzę pod ławkami.

Słyszę, że wywołują nazwisko Tuckera. Ludzie na widowni zaczynają pohukiwać i wiwatować. I nagle Tucker i Midas wypadają z bramki i pędzą za czarnobiałym cielakiem. Tucker ma w dłoni długie lasso, zatacza nim krąg nad głową, niemal delikatnie, raz, dwa, trzy, i wypuszcza je z dłoni. Lasso idealnie chwyta cielaka za szyję. Tucker zsuwa się z grzbietu Midasa, pędzi do cielaka, trzymając w zębach drugi kawałek liny, zręcznie przewraca zwierzę na piasek i wiąże mu nogi. Wszystko razem zajmuje mu dwie minuty, może mniej. I gotowe. Macha do tłumu.

Łzy stają mi w oczach. Mam wrażenie, że ostatnio płaczę bez przerwy, ale nic na to nie poradzę. Jest taki piękny; nawet kiedy jest zakurzony, utyłany i spocony z wysiłku, jest

najpiękniejszym chłopakiem na świecie.

Może i Christian ma rację. Jesteśmy sobie przeznaczeni. Trudno temu zaprzeczyć. Jest moim zadaniem, a przynajmniej jego znaczącym elementem.

Ale Tucker to mój wybór. Kocham go. I to mi nie przejdzie.

Chciałam odpowiedzi i lepszej już nie dostanę. Teraz powinnam wymknąć się stąd, zanim mnie zauważy i zobaczy winę wypisaną na mojej twarzy.

Tłum wokół mnie znów wiwatuje, kiedy spiker ogłasza jego czas. Nieźle mu poszło. Mimo całej góry emocjonalnego śmiecia, która mnie przytłacza, jestem z niego dumna.

Wstaję i zaczynam przesuwać się w stronę alejki, a potem zbiegam po schodach. Już prawie wychodzę. Ale nagle ktoś woła głośno do Tuckera z pierwszego rzędu. Ktoś płci żeńskiej. I coś w jej głosie każe mi się zatrzymać.

Starcza mi sekunda, żeby ją namierzyć. To dziewczyna w formalnym kowbojskim stroju: białej koszuli z gwiazdkami na ramionach, w białych dżinsach z frędzlami i w białych kowbojkach. Po jej plecach spływa kaskada idealnych, rudych loków. Patrzy na Tuckera z takim blaskiem w oczach, że natychmiast wszystko się we mnie skręca.

Mam wrażenie, że powinnam wiedzieć, kto to taki. Jest w niej coś znajomego — na pewno chodzi do naszej szkoły — i nagle olśnienie. To Allison Lowell. Jedna z dziewczyn, które Tucker zabrał w zeszłym roku na szkolny bal. Siedziała koło mnie, kiedy rozwoził nas wtedy do domów — drobna, rudowłosa ślicznotka w granatowej sukni.

Nie rób tego, Clara, mówię sobie. Nie czytaj jej uczuć.

Ale robię to. Uchylam ściany, tylko odrobinę, i sięgam ku niej umysłem. Czuję to, co ona. I nie podoba mi się to.

Bo ona też uważa, że jest piękny. Jego bliskość sprawia, że dłonie jej się pocą i głos robi się zenująco piskliwy. Ale on zawsze jest dla niej miły. Jest naprawdę miły, i ona doskonale wie, że to rzadkość u tak boskiego faceta. Jakby sam nie wiedział, jaki jest seksowny. Pamięta, jak z nim tańczyła, pamięta jego szorstką, twardą dłoń w swojej dłoni, kiedy tańczyli two-stepa. Drugą dłoń trzymał jej w talii. Myślała, że wybuchnie. Jego oczy, błękitne jak chabry. Wypisuje jego imię na marginesie notatek z hiszpańskiego. Tyle rzeczy chciałaby mu powiedzieć.

*Me gustas.* Podobaś mi się.

Mimo to wie, że to tylko marzenie. On nigdy na nią nie spojrział. Nawet teraz nie widzi, że ona tu stoi. Gdyby tylko ją dostrzegł... I tęsknota, która przesywa ją w tym momencie, sprawia mi wręcz fizyczny ból. Gdyby tylko otworzył oczy.

— Rządzisz, Tuck! — krzyczy na jego cześć.

Odsuwam się od niej, oszołomiona, półprzytomna. Tyle razy żartowaliśmy sobie z panny Allison Lowell. A ona przez cały czas kochała się w nim na zabój.

Przyglądam jej się uważnie. Pierwsza rzecz, która rzuca się w oczy, to rude włosy o naturalnym odcieniu błyszczącej miedzi; zupełnie innym niż mój zeszłoroczny marchewkowy koszmar. Są w kolorze nowej jednopensówki. Jest smukła jak trzcina, ale pod skórą wyczuwa się mięśnie — regularne ćwiczenia, przebywanie na powietrzu. Jest silniejsza, niż wygląda. Jasna, mleczna skóra usiana piegami, ale to jej pasuje. Koralowe usta. Wyraziste brązowe oczy.

Jest ładna.

I startuje w rodeo. I jest stąd, może nawet chce tu zostać. Normalna dziewczyna. I ruda. On lubi rude. I podoba się jej.

Gdybym nie pojawiła się zeszłej zimy w szkole, może na tamtym balu zauważyłby, jaka jest ładna w sukni. Może by porozmawiali. Może nawet zacząłby ją przezywać Karotką.

To zdrowa alternatywa mojej pokręconej osoby.

Nie mogę oddychać. Ruszam do wyjścia. Jeszcze bardziej skołowana niż przedtem.

Ale kiedy przepycham się między ludźmi, jeszcze jeden, ostatni raz odwracam się, żeby spojrzeć na Tuckera, który siedzi z powrotem na Midasie. Ledwie widzę jego głowę, kapelusz, jego poważne oczy, kiedy obraca konia w stronę bramki. Wychodzę.

Tego wieczoru leżę skulona obok mamy w jej łóżku i oglądam z nią nasze rodzinne

nagrania. Tata przychodzi od czasu do czasu i przez chwilę, z prawie smutną miną, ogląda z nami to wszystko, co go ominęło. A potem wychodzi. Nigdy nie wiem, gdzie się podziewa, kiedy nie ma go w domu. Po prostu go nie ma.

To, które teraz oglądamy, było kręcone na plaży. Ja mam około czternastu lat. To musiało być jakoś, tuż zanim mama zabrała mnie na Buzzard Roost i opowiedziała mi o aniołach. Na filmie jestem typową dziewczyną — idę po piasku i przyglądam się seksownym surferom. To trochę żenujące, jak łatwo mnie rozszyfrować, kiedy pojawiają się przystojni goście. Próbuję zgrywać pewną siebie, rzucam włosami, żeby się nimi popisać, idę wzdłuż brzegu z gracją tancerki. Chcę, żeby mnie zauważyli. Ale kiedy jesteśmy sami — tylko mama, Jeffrey i ja — jestem totalnym dzieciakiem. Chlapię się w wodzie, biegam po piachu z Jeffreyem, buduję i rozwalam zamki z piasku. W pewnej chwili zabieram kamerę mamie, żeby i ją sfilmować. Ma zwiewne, białe pareo założone na kostium kąpielowy, wielki słomkowy kapelusz, wielkie okulary. Jest tak pełna życia, tak zdrowa. Przyłącza się do naszej zabawy, śmieje się, biega po brzegu, goniąc się z falami. To dziwne, że kiedy ludzie się zmieniają, tak szybko zapominamy, jacy byli kiedyś. Ja zapomniałam, jaka była piękna, chociaż ciągle jest piękna. Ale nie tak samo. Wtedy była w niej energia, niezłomny duch, światło, które nigdy nie gasło.

W tej chwili milczy. Myślę, że może śpi, ale nagle mówi:

— To był najszcześniejszy czas w moim życiu.

— Nawet bez taty? — pytam.

— Tak. Wy dwoje mnie uszczęśliwialiście.

Podsuwam jej torbę z popcornem, ale mama kręci głową. Już całkiem przestała jeść.

Carolyn wmusza w nią tylko łyżki wody, czasem łyżkę czy dwie czekoladowego budyniu w lepsze dni. Martwi mnie to, bo żywi ludzie muszą jeść. To niejedzenie oznacza, że tak naprawdę nie jest już żywa.

— Całkiem możliwe, że to był i mój najszcześniejszy czas — mówię, widząc, jak uśmiecham się do kamery.

Przed wizjami. Przed zadaniem. Przed tymi wszystkimi decyzjami, których nie jestem gotowa podjąć.

— Nie — mówi mama. — Twoje najszcześniejsze chwile dopiero nadejdą.

— Skąd to wiesz?

— Widziałam to.

Siadam prosto i patrzę na nią.

— Co masz na myśli?

— Przez całe życie widywałam przebłyski tego, co się wydarzy, przede wszystkim w moim życiu, w postaci wizji, ale czasem też tego, co spotka innych. I widywałam twoją przyszłość, a przynajmniej jej różne wariacje.

— I co widziałas? — pytam przejęta.

Uśmiecha się.

— Studiujesz na US.

— Powiedz mi coś, czego nie wiem.

— Podoba ci się tam.

— Więc Stanford równa się szczęście? To świetnie, w takim razie jestem ustawiona.

Możesz mi podpowiedzieć kolor przewodni mojego pokoju w akademiku? Bo nie mogę się zdecydować: lawenda czy granat? — Tak, jestem złośliwa, a może nie powinnam, bo ona chyba chce mi powiedzieć coś ważnego. Ale prawda jest taka, że nie potrafię sobie wyobrazić prawdziwego szczęścia. Bez niej.

— Och, skarbie — wzdycha. — Bądź tak miła i zajrzyj do górnej szuflady komody. Z tyłu.

Odnajduję zakurzoną szkatułkę z czerwonego aksamitu, schowaną za skarpetkami.

Otwieram ją. W środku leży srebrna bransoletka z charmsami, stara i trochę poczerniała. Unoszę ją do światła.

— Co to jest? — Nigdy nie widziałam, żeby mama to nosiła.

— Chciałabym, żebyś to założyła na cmentarz.

Patrzę na charmsy, które wyglądają całkiem zwyczajnie. Serduszko. Konik. Dwa sztuczne klejnoty. Rybka.

— Dawno temu była moja — mówi mama. — Teraz należy do ciebie.

Przetykam ślinę.

— Nie powiesz mi, że zawsze będziesz przy mnie? Nie to się mówi w takich chwilach? Że zawsze będziesz w moim sercu, i tak dalej?

— Jesteś częścią mnie — odpowiada mama. — A ja jestem częścią ciebie. Więc tak, będę z tobą.

— Ale nie ta rzeczywista, rozmowna część ciebie?

Mama kładzie dłoń na mojej. Jest taka lekka, lżejsza niż powinna być dłoń, skóra jest jak miękki, biały papier. Jakby mógł ją zdmuchnąć wiatr.

— Ciebie i mnie łączy więź, której nic, ani w niebie, ani na ziemi, ani nawet w piekle, nie zdoła zerwać. Jeśli będziesz chciała ze mną rozmawiać, to rozmawiaj. Usłyszę cię. Może nie będę mogła odpowiedzieć, a w każdym razie nie dość szybko, żeby prowadzić rozmowę...

— Bo dzień trwa tysiąc lat...

Uśmiecha się drwiąco.

— Oczywiście. Ale cię usłyszę. W każdej chwili będę słać ci swoją miłość.

— Jak? — Nie potrafię ukryć łez w głosie.

— W chwale — odpowiada. — To w niej się odnajdziemy. W świetle.

Znów płaczę, a mama mnie obejmuje, całuje w czubek głowy.

— Moja droga, kochana córeczka. Tyle na siebie bierzesz. Tak głęboko wszystko przeżywasz. Ale będziesz szczęśliwa, kochanie. Będziesz lśnić.

Kiwam głową, ocierając oczy. Wierzę jej. Postanawiam iść za ciosem i mówię pierwszą rzecz, jaka mi przychodzi do głowy:

— Mamo, a powiesz mi, co było twoim zadaniem?

Odsuwa się i patrzy na mnie, zamyślona.

— Moje zadanie to ty.

Tego wieczoru opowiada mi kolejną historię, inną wersję tej, którą wcześniej opowiedziała mnie i Jeffreyowi, o dniu trzęsienia ziemi. Dodaje coś, o czym nie wspomniała wcześniej.

A mianowicie, że kiedy zobaczyła tatę, kiedy wydobył ją z gruzów jej pokoju i zaniósł do nieba, rozpoznała go.

— Śniłam o nim — mówi.

— I co ci się śniło? — Siedzę po turecku w nogach łóżka, żeby móc na nią patrzeć, kiedy mówi.

— Pocałunek — wyznaje.

— Pocałunek? — Czuję wyrzuty sumienia już na sam dźwięk tego słowa. Na wspomnienie ust Christiana na moich.

— Tak. We śnie całowałam go. Stał na plaży. — Zerka na ekran telewizora, na migotliwe, przetaczające się fale. — A ja podeszłam, chwyciłam jego twarz w dłonie i pocałowałam go. Nie zamieniliśmy ani słowa. Tylko pocałunek.

— Rany — szepczę. Ale romantycznie. — Więc kiedy go zobaczyłaś po trzęsieniu ziemi, rozpoznałaś w nim mężczyznę, którego całowałaś.

— Tak.

— I co zrobiłaś?

Śmieje się lekko, niemal chichocze.

— Natychmiast zakochałam się w nim na zabój. Ostatecznie miałam szesnaście lat, a on był...

— Nieziemsko sexy — kończę za nią trochę zażenowana, bo przecież mówimy o moim ojcu.

— Rzeczywiście, był boski, oj, był.

— I co było dalej?

— Został z nami przez trzy dni po trzęsieniu ziemi, w Parku Golden Gate, i ostatniej nocy próbowałam go uwieść.

— I...

— Nie chciał o tym słyszeć. Odrzucił mnie, moim zdaniem dość niegrzecznie. A następnego ranka już go nie było. I nie widziałam go przez trzy lata.

— Och, mammo...

— Nie użalaj się nade mną zanadto — przypomina mi z bladym uśmiechem. Przecież w końcu wszystko się udało. Złowiłam go.

— Ale co się stało, kiedy zobaczyłaś go znowu? Założę się, że było niezręcznie.

— Och, do tego dnia zdążyłam już postanowić, że go nie chcę.

Opada mi szczęka.

— Nie chciałaś go? Dlaczego?

— Z wielu powodów. W międzyczasie dowiedziałam się, kim jest. Wiedziałam, że nie zechce się ze mną ożenić, a nawet gdyby zechciał, wiedziałam, że to nie będzie tradycyjne małżeństwo. I w ogóle sądziłam, że nie chcę wyjść za mąż. Nie chciałam, żeby ktoś dyktował mi, jak ma wyglądać moje życie. To chyba był najważniejszy powód. Więc kiedy znów go zobaczyłam, bardzo jasno dałam mu do zrozumienia, że nie jestem zainteresowana.

— I jak on to przyjął? — Jakoś nie umiem sobie wyobrazić, że ktokolwiek mógłby czegokolwiek odmówić tacie.

— Wyśmiał mnie. Co nie poprawiło sytuacji. Ale już nie odszedł. Często czułam jego obecność w pobliżu, chociaż czasami nie pokazywał się przez całe lata.

— A co z twoją wizją?

— Ciągle mnie nawiedzała.

— I tak po prostu ignorowałaś swoje zadanie?

— O nie — mówi ponuro. — Nie ignorowałam go tak po prostu. Ja z nim walczyłam. Opierałam się z całą mocą, jaką miałam w sobie. Nie zamierzałam pozwolić, żeby ktokolwiek kontrolował moje życie.

— Jak długo? — pytam bez tchu.

— Och, jakieś sześćdziesiąt lat, mniej więcej.

— Sześćdziesiąt lat. — Oto ja. Clara papuga. Moje miejsce jest na ramieniu pirata. — To dlatego mi nie powiedziałaś. Oczywiście nie licząc ukrywania, że tata jest intangere. Gdybyś mi powiedziała, że walczyłaś z zadaniem, że to nie było tak, jak zawsze sobie wyobrażałam, to pewnie i ja walczyłabym ze swoim.

— Otóż właśnie — mówi. — Tylko że ty i tak w końcu zaczęłaś się buntować. Niedaleko pada jabłko od jabłoni.

— I pozwolili ci na to? Ci w niebie, znaczy.

— Pozwolili mi. Widzisz, miałam wolną wolę, i mówię ci, mała, używałam jej na całego.

— Co robiłaś?

Mama wzdycha. Jakiś cień zasnuwa jej oczy. Wyczuwam od niej lekki żal. Najwidoczniej ta część jej życia nie należy do jej ulubionych.

— Popelniałam błędy — wyznaje. — Błąd za błędem. Sprowadziłam na siebie cały ocean cierpienia. Szamotałam się. Raniłam ludzi, nawet tych, których kochałam. Stałam się specjalistką od okłamywania siebie. Cierpiałam, czasami niewyobrażalnie. I uczyłam się.

Wpatruję się w nią.

— Myślałaś kiedykolwiek, że to kara? Za niewypełnienie zadania?

Spogląda mi w oczy.

— Nikt cię nie karze, Claro. Ale to prawda, czasami to było straszne i przypominało karę. Nie chciałam tego dla ciebie. Ale zapominasz, że w końcu wyszło tak, jak miało być. Ten pocałunek na plaży jednak miał miejsce.

— Co sprawiło, że zmieniłaś zdanie? — pytam, ale patrząc na jej spokojną, pewną twarz, chyba się domyślam.

— Zaczęłam widywać to, co miało nadejść po pocałunku — odpowiada. — I zobaczyłam

ciebie. I Jeffreya. I przebłytki tych najszcześniejszych chwil.

Znów patrzy w telewizor. Sceneria się zmieniła. Teraz jesteśmy na deptaku w Santa Cruz. Ja jem wałeczek cukrowy, narzekam, że się klei, oblizuję palce. Mama domaga się kęsa i kamera robi gwałtowne zbliżenie do kłębka waty. Dostrzegam fragment nosa, podbródka, ust, kiedy mama odrywa kawałek wargami.

— Mniemam — słyszę jej głos, i przesadne mlaskanie na potrzeby filmu.

Czternastoletnia Clara przewraca oczami, jakby nie mogła wytrzymać z własną matką. Ale uśmiecha się. Kawałek dalej na deptaku Jeffrey woła:

— Patrzcie na mnie. Mamo, patrz na mnie! — Nie do wiary, że jego głos był kiedyś taki wysoki.

Kamera odnajduje Jeffreya stojącego przy grze w siłacza. Ma dwanaście lat, jest chudy jak szczapa, wygląda jak bocian w czapce Giantsów. Jego srebrne oczy błyszczą z podniecenia. Szczerzy się do nas, a potem podnosi gumowy młot i wali z całej siły w podkładkę. Kula wystrzela z podstawy platformy i uderza w dzwonek na szczycie. Błyskają światełka. Gra muzyka.

Mój mały brat właśnie wygrał nagrodę siłacza.

Facet prowadzący stoisko jest osłupiały, podejrzliwy, jakby Jeffrey mógł go jakoś oszukać. Ale podaje mu wielką pluszową pandę, którą Jeffrey sobie wybrał.

— Proszę, Clara — woła piskliwie, biegnąc do nas z dumnie wyprężoną piersią. — Wygrałem to dla ciebie.

— Brawo, mój mały mężczyzno! — mówi mama zza kamery. — Jestem z ciebie taka dumna!

— Jestem mały, ale silny — chwali się Jeffrey. Nigdy nie był szczególnie skromny. — Jestem Pan Niesamowity!

— Jak to zrobiłeś? — Młodsza Clara udaje równie zdumioną, jak właściciel stoiska. Przyjmuje wielkiego, czarno-białego misia. Ciągle go mam. Siedzi na górnej półce szafy. Nazwałam go Pan Niesamowity. I dopiero teraz przypomniałam sobie, dlaczego.

— Chcesz zobaczyć jeszcze raz, jak to robisz? — pyta Jeffrey.

— Wystarczy, kolego — mówi łagodnie mama. — Powinniśmy dać szansę innym. A poza tym nie chcemy się popisywać.

Kiedy go ściska, kamera przechyla się i pokazuje błękitne, bezchmurne niebo. Hałas deptaka cichnie na moment i słychać huk przyboju, krzyki mew. I nagle ekran gaśnie. Koniec szczęśliwych chwil.

Odwracam się, żeby spojrzeć na mamę. Oczy ma zamknięte, oddycha głęboko i miarowo. Mocno śpi.

Przykrywam ją i delikatnie całuję w policzek, wdychając zapach róż i wanilii. To ja byłam jej najszcześniejszą chwilą, myślę. I wygląda na to, że przy tym wszystkim, co przeżyła, czego doświadczyła przez sto dwadzieścia lat na ziemi, bycie jej najszcześniejszą chwilą to wielki zaszczyt.

— Kocham cię, mamo — szepczę, a ona słyszy mnie nawet przez sen.

*Wiem*, odpowiada mi w głowie. *Ja też cię kocham.*

Później tata wynosi ją na ganek za domem, żeby mogła popatrzeć na gwiazdy. Jest ciepła noc, świerszcze cykają jak oszalałe, wieje lekki wietrzyk. Wiosna lada chwila ustąpi miejsca latu. Kiedy patrzę na rodziców i widzę, jak zdają się rozmawiać ze sobą bez słów, jak dotyk taty dodaje siły mamie, mam pewność, że ich miłość to potężna transcendentalna siła. Ta miłość przetrwa jej śmierć. Ale czy było warto? Nie mogę się nad tym nie zastanawiać. Czy to było warte wszystkich ciężkich chwil, o których mówiła? Cierpienia, kiedy nie byli razem? Bólu, kiedy musiała pozwolić mu odejść, choć byli ze sobą tak krótko?

Kiedy tak na nich patrzę, myślę, że było warto. Gdy tata całuje ją w usta, delikatnie odgarnia jej z twarzy kosmyk włosów, poprawia jej szal na ramionach, ona patrzy na niego z najczystsza miłością w granatowych oczach. Jest szczęśliwa.

„Będziesz szczęśliwa”, powiedziała mi.

„Będziesz lśnić”.

Mama prosi o rozmowę z Jeffreyem. Mój brat wychodzi do niej na ganek i długo rozmawiają. Obserwuję ich z salonu. Jeffrey siedzi przygarbiony na drewnianym fotelu obok mamy, z rękami na kolanach, ze wzrokiem wbitym w podłogę. Nie słyszę, co mówią, a zresztą to nie mój interes, ale myślę, że może mówi mu to samo, co mnie wcześniej. „Moje zadanie to ty”, powiedziała.

Jeffrey ciągle kiwa głową, a w końcu klęka przed nią, przechyla się niezgrabnie, żeby ją uściskać, a ja odwracam się od okna. Wzdrygam się, zaskoczona, widząc tatę przy kominku, z kieliszkiem czerwonego wina w dłoni. W jego oczach jest wiedza o tym, co nadchodzi.

— Przyszedł czas, kiedy musisz być dzielna, Claro — mówi. — Już niedługo.

Potakuję w milczeniu. Podchodzę do taty, wkraczam w krąg jego radości i próbuję wpuścić ją w siebie, żeby wyparła nagły ból, który narasta mi w piersi.



## 19. Słowo na ś

Budzę się przed świtem z dziwnym uczuciem, przypominającym déja vu. Siadam błyskawicznie, gwałtownie chwytając powietrze w płuca, a potem wyskakuję z łóżka, pędzę na dół i wpadam do pokoju mamy, z którego wychodzi właśnie Carolyn.

— Dzisiaj — mówi.

Teraz wszyscy jesteśmy tutaj. Jeffrey, którego na tę chwilę opuścił gniew, siedzi na kuchennym krześle przy jej łóżku, oparty łokciami o kolana. Nie spuszcza wzroku z jej twarzy. Billy stoi w kącie i nie odzywa się słowem, ale kiedy mama spogląda na nią, uśmiecha się. Carolyn wpada co chwila, mierzy jej puls i próbuje ją nakłonić, żeby cokolwiek wypić. Tata siedzi w nogach łóżka i umila sobie czas dowcipami o aniołach.

— Wiecie, dlaczego anioły w ogóle mogą latać? — pyta nas. Wszyscy kręcimy głowami. — Bo za lekko się prowadzą.

Suchar, wiem. Ale jego obecność tutaj to ogromna pociecha. Jest z nami trochę ponad tydzień, ale ja już do niego przywykłam — do jego cichej radości, jego spokoju, jego dziwnego poczucia humoru, które tak pasuje do humoru mamy.

No i ja. Trzymam ją za rękę. Czekam. Wszyscy czekamy, jakbyśmy byli kołem, a mama jego osią. Nasza egzystencja kręci się wokół niej.

— Co za smętne miny — szepcze. — Jezu, ktoś umiera?

Ale potem w ogóle przestaje mówić. To zbyt wielki wysiłek. Śpi, a my obserwujemy, jak jej klatka piersiowa unosi się i opada. Potwornie chce mi się siku, ale boję się wyjść z pokoju. Bo jeśli odejdzie, kiedy mnie nie będzie? Jeśli przegapię ten moment?

Zakładam nogę na nogę i czekam. Przyglądam się jej dłoni w mojej. Znowu ma na palcu obrączkę ślubną, prosty, cienki, srebrzysty paseczek metalu. Dociera do mnie, że mamy takie same dłonie. Nigdy tego nie zauważyłam. Jej są teraz takie kruche, lekkie jak puste kości ptaka, ale mimo wszystko podobne do moich. Mamy tak samo długie płytki paznokci. Taką samą odległość między stawami palców, i tak samo długie palce, i identyczną żyłę, która przecina grzbiet lewej dłoni.

Żeby znaleźć matkę, wystarczy, że spojrzę na dłoń.

Nagle mama bierze głęboki, drżący wdech i otwiera oczy, a ja zapominam, że chce mi się siku.

Patrzy na tatę, który chwyta jej wolną dłoń, tę, której ja nie ściskam z całej siły, i całuje nadgarstek.

Mama rozgląda się, nie poruszając głową, tylko wielkimi, niebieskimi oczami, ale nie potrafię stwierdzić, czy jeszcze widzi kogokolwiek z nas. Jej wargi się poruszają.

— Piękne — mówi chyba.

Rozpraszam się na chwilę, bo tata znika. Zwyczajnie znika nam sprzed oczu. W jednej sekundzie siedzi na łóżku i trzyma mamę za rękę, a w następnej już go nie ma.

Dopiero po chwili orientuję się, że mamy też nie ma. Jest tak cicho, że powinnam była się domyślić. Wszyscy wstrzymujemy oddech. Mama leży na poduszkach i znowu ma zamknięte oczy. Ale już jej tu nie ma. Jej pierś się nie porusza. Jej serce przestało bić. Ciało leży tutaj, ale jej nie ma.

— Amen — mówi Billy.

Jeffrey zrywa się na równe nogi. Hałas krzesła uderzającego o ścianę wydaje się nieznośny. Jego twarz wygląda jak maska — wargi są rozciągnięte, brwi zmarszczone nisko nad zaczerwienionymi oczami. Po jego policzku spływa samotna łza, zawisa na podbródku. Jeffrey ociera ją z furią i wypada z pokoju.

Słyszę huk drzwi od frontu, kiedy wybiega z domu. Jego pickup zapala z rykiem a potem rusza po podjeździe, strzelając żwirem.

Coś wzbiera mi w piersi i podchodzi do gardła — to nie jest dźwięk, ale straszny, dławiący ból, od którego chyba eksploduje mi serce.

— Billy... — wołam rozpaczliwie.

Jest przy mnie. Kładzie mi dłoń na ramieniu.

— Oddychaj, Claro. Oddychaj.

Skupiam się na wciąganiu i wypuszczaniu powietrza. Nie wiem, jak długo pozostajemy w tej pozycji — ja na krześle i Billy z palcami wbitymi w mój bark. Zadaje mi ból, ale ten ból jest dobry, przypomina mi, że ja, w odróżnieniu od mojej matki, ciągle zamieszkuję własne ciało.

Mijają sekundy. Minuty. Może godziny. Dociera do mnie, że moja dłoń ogrzewa dłoń mamy. Jeśli zabiorę swoją, jej dłoń wystygnie. I już nigdy nie będę mogła jej trzymać.

Niebo za oknami szarzeje. Na dom pada lekka mżawka. Deszcz wydaje się bardzo odpowiedni w takiej chwili. Bardzo na miejscu.

Spoglądam na Billy.

— To ty? — Ruchem głowy wskazuję okno.

Uśmiecha się — jej wargi wykrzywia dziwny, bolesny grymas.

— Tak. Wiem, że to niemądry, ludzki punkt widzenia, ale nic nie poradzę.

— Nie chcę jej puszczać. — Wiem, że to zdanie, wypowiedziane drżącym, łamiącym się głosem, będzie brzmieć w mojej głowie już zawsze.

— Wiem, mała — mówi Billy; jej własny głos nie brzmi wiele lepiej. — Ale tak naprawdę nie trzymasz już jej. Wiesz, że to już nie jest ona.

Po pierwszej chwili ciszy telefon zaczyna dzwonić co parę minut, a potem dzwonek u drzwi, i do domu zwalają się ludzie. Z początku czuję się w obowiązku witać ich, jakby to była moja rola; jestem jedynym członkiem rodziny, który tak naprawdę został na posterunku. Jako córka czuję się zobligowana wpuszczać ich i dziękować im za to morze współczucia i jedzenia. Co do jedzenia, powinno się jakoś przed tym ostrzegać. Kiedy dzieje się coś takiego, kiedy umiera ktoś bliski, ludzie przynoszą jedzenie. Więc tak oto wygląda zawartość lodówki Gardnerów: jedne gigantyczne lasagne, trzy różne, choć jednakowo obrzydliwe sałatki makaronowe, dwie sałatki owocowe, jeden placek wiśniowy, trzy szarlotki (w tym jedna na chrupko), jeden pojemnik pieczonego kurczaka na zimno, jedna tajemnicza zapiekanka, jedna sałatka ze szpinakiem, żurawiną i orzechami, do której dodano zapieczętowaną buteleczkę serowego dressingu, i klops. Półki naszej biednej lodówki uginają się pod ciężarem tego wszystkiego.

A oto kolejna sprawa, przed którą mnie nie ostrzeżono: ludzie przynoszą tyle żarcia, że można by nim wyżywić chiński sierociniec, ale ty nie będziesz głodny.

Zaczynam mieć wrażenie, że każda zjawiająca się osoba odłupuje kawałek mnie, kiedy mówi:

— Tak mi przykro, Claro. Gdybyś czegokolwiek potrzebowała, dzwoń bez wahania.

— Nagle zrobiła się strasznie pomocna, co? — mamrocze Billy, kiedy Julia (tak, ta anielitka, która zadawała jadowite pytania na ostatnim spotkaniu kongregacji) zostawia jedną z rzeczonych sałatek makaronowych i swoje najszczerze kondolencje.

— Tak, miałam ochotę jej powiedzieć, że Samjaza czai się w lesie.

Billy otwiera szeroko czarne oczy.

— A czai się?

Kręcę głową.

— Nie. Myślę, że kiedy tata kogoś przegoni, to ten ktoś jest przegoniony na dobre.

Chciałam ją tylko trochę nastraszyć.

— No tak. To trzeba było jej powiedzieć. Zobaczyłybyśmy, jak szybko potrafi latać.

Uśmiechamy się. Prawie udało nam się żartować. Ale ból wciąż jest we mnie jak otwarta, ziejąca dziura w samym środku piersi. Przyłapuję się na dotykaniu tego miejsca na środku mostka, jakbym się spodziewała, że za którymś razem uda mi się wsadzić tam pięść.

Billy patrzy na mnie.

— Może idź na górę, co? Nie musisz przyjmować tych wszystkich ludzi. Ja się tym zajmę.

— Okej. — Tyle tylko, że nie wiem, co mam ze sobą zrobić na górze.

Kiedy wchodzę do pokoju, dostrzegam Christiana siedzącego na okapie dachu. Przychodzi mi do głowy, że gościom może się to wydać dziwne, ale mam to gdzieś. Ból zamienia się w ohydny pustkę, która jakimś cudem jest gorsza niż ból. Ale przynajmniej nie czuję emocji Christiana za oknem. Ani jego wspomnienia naszego pocałunku.

*Kiedy się zjawileś? — posyłam mu pytanie.*

*Wcześniej. Koło dziewiątej.*

Nie czuję nawet własnego zaskoczenia. Mama umarła kilka minut przed dziesiątą.

*Mówiłem ci, że tu będę. Ale możesz mnie ignorować. Rób, na co masz ochotę.*

*Chcę się zdrzemnąć.*

*Okej. Będę tutaj.*

Kładę się na kołdrze, bo nie chce mi się nawet wchodzić pod pościel. Odwracam się twarzą do ściany. Christian nie patrzy na mnie w tej chwili, ale wolę leżeć tyłem.

Powinna płakać, myślę. Jeszcze nie płakałam. Dlaczego jeszcze nie płakałam? Od miesiący wybucham płaczem przez byle bzdurę, bu-hu-hu, o ja biedna, ale dzisiaj, kiedy moja matka naprawdę umarła — nic. Ani jednej łzy.

Jeffrey płakał. Billy płakała całym niebem. Ale nie ja. Mnie został tylko ból.

Zamykam oczy. Kiedy znów je otwieram, widzę, że minęły dwie godziny, chociaż nie czułam, że śpię. Słońce jest niżej na niebie.

Christian ciągle siedzi na dachu.

Ogarnia mnie nagła chęć, żeby go zawołać, poprosić, żeby tu przyszedł i położył się ze mną. Tak jak wtedy, kiedy dowiedziałam się o regule stu dwudziestu lat. Ale tym razem nie chcę, żeby mnie dotykał. Nie chcę rozmawiać. Chodzi tylko o to, że gdyby był blisko mnie, może bym coś poczuła. Może mogłabym płakać i ten ból by zniknął.

Christian odwraca głowę, patrzy mi w oczy. Słyszysz mnie.

Ale nie zapraszam go do środka.

Późnym popołudniem Christian wstaje nagle bez słowa i odlatuje.

Potem słyszę ciche pukanie do drzwi i Tucker zagląda do pokoju.

— Hej.

Wyskakuję z łóżka i rzucam mu się w ramiona. Tucker przytula mnie mocno, przyciska moją głowę do piersi, mówi coś, czego nie rozumiem, bo usta ma w moich włosach.

Dlaczego nie mogę płakać?

Odsuwa się.

— Przyjechałem, jak tylko się dowiedziałem.

Oczywiście zadzwoniłabym do niego, jak tylko się to stało, ale był w szkole, a ja nie miałam dość siły, żeby kazać go wyciągać z lekcji, organizować mu transport i tak dalej.

— Wszyscy w szkole już wiedzą?

— W zasadzie tak. Jak się czujesz?

Nie wiem, co mu na to odpowiedzieć.

— Spałam.

Wyplątuję się z jego objęć, podchodzę do łóżka i siadam. Trudno mi na niego patrzeć, kiedy tak uważnie wpatruje się w moją twarz, próbuje patrzeć mi w oczy. Skubię szew na kołdrze.

Tucker chyba nie wie, co powiedzieć. Rozgląda się po mojej sypialni.

— Nigdy tu nie byłem — mówi. — Ładny pokój. I pasuje do ciebie. — Chrząka. — Wendy jest na dole. Przywieźliśmy wam ciasto czekoladowe od mamy. I piezonego kurczaka z jakimś wynalazkiem z zielonej fasolki.

— Dzięki — mówię.

— To smaczne ciasto. Chcesz, żebym poszedł po Wendy?

— Jeszcze nie. — Wreszcie zbieram się na odwagę, żeby na niego spojrzeć. — Mógłbyś po prostu... mnie przytulić?

Widzę ulgę na jego twarzy. Wreszcie coś, co może zrobić. Kładzie się na łóżku za mną. Wyciągam się obok niego i wtulam w niego plecy; jego dłoń leży na moim biodrze.

Niczego nie czuję. Niczego nie myślę. Po prostu oddycham. Wdech, wydech. Wdech, wydech.

Tucker głaszcze mnie po włosach. Ten gest jest taki czuły. Równie dobrze mógłby szeptać „kocham cię”.

*Ja też cię kocham, posyłam mu myślą, choć wiem, że tego nie usłyszy.*

Ale nie czuję miłości. Mówię to, bo wiem, że to prawda, ale nie czuję tego. Jestem zbyt odrętwiała. Nie zasługuję na jego miłość, myślę. Nawet teraz ta chwila z Christianem na cmentarzu przesłania mi myśli jak czarna chmura.

Mijają trzy dni. To też jest coś, czego człowiek się nie spodziewa. Myślisz: śmierć, potem pogrzeb, grób i cała reszta, a potem koniec. Ale między śmiercią i pogrzebem jest milion małych wydarzeń, o których nikt nawet nie myśli. Pisanie nekrologów. Wybieranie kwiatów. Wybieranie mamie ubrania do trumny i wymyślanie, w co ja się ubiorę na pogrzeb. Nad tym akurat nie muszę się zastanawiać: czarna sukienka, skromne czółenka mamy, jej srebrna bransoletka z charmsami. Podpowiadam nawet Jeffreyowi, jaki krawat powinien założyć — ten srebrny w prążki — ale kiedy mu to mówię, tylko patrzy na mnie zimno i oznajmia, że założy czarny.

Nie wiem, co to oznacza. To tak jak z moją fioletową sztruksową marynarką w dniu pożaru. Czy kolor krawata może zaburzyć równowagę wszechświata?

Pierwszego dnia Tucker odpuszcza sobie szkołę, żeby ze mną być. To bycie polega głównie na tym, że siedzi obok mnie — odrętwiałej i bezczynnej — na krześle, próbuje ze mną rozmawiać, od czasu do czasu pyta, czy czegoś nie potrzebuję, na co ja niemal zawsze odpowiadam „nie”, aż w końcu, wieczorem, mówię:

— Możesz już jechać do domu? Nie obraż się, ale chcę być teraz sama. — To jest prawda. Chcę być sama. Ale przede wszystkim nie chcę mieć teraz koło siebie Tuckera, bo są sprawy, o których mu nie mówię, wielkie sprawy, a ja nie chcę o tych sprawach myśleć.

Tucker mówi, tak, oczywiście, jasne, doskonale rozumie, ale jest urażony. Nie potrzebuję empatii, żeby dostrzec to w jego twarzy.

Każdego dnia wyczuwam obecność Christiana gdzieś w pobliżu. Nie próbuje ze mną rozmawiać. Nie naciska w żaden sposób, nie wymaga żadnej reakcji. Po prostu jest blisko. Pozwala mi być samej, ale też jest przy mnie, gdzieś na obrzeżach, na wypadek, gdybym nie chciała być sama.

Skąd on wie, że tak trzeba? Był dzieciakiem, kiedy umarła jego mama, a jednak to rozumie. Jestem ciekawa: czy po prostu to działa tak samo u wszystkich, czy Christian jest tak dostrojony do mnie, że lepiej niż inni rozumie, czego mi potrzeba?

Trzeciego dnia Tucker wreszcie zmusza mnie do konfrontacji. Nie w złym sensie, ale w sensie „proszę, pozwól sobie pomóc, bo bardzo chcę ci pomóc”. Leżę na łóżku, nie śpię, nie robię niczego, kiedy nagle wchodzi do mojego pokoju.

— Chcę cię wspierać — mówi bez żadnego cześć czy innych wstępów. — To proste.

Strzelam oczami w stronę okna. Christiana nie ma.

— Okej.

— Ale ty mi nie pozwalasz. Nie dopuszczasz mnie do siebie, Claro. Odpychasz mnie. Nie mówisz mi, co czujesz.

— Bo nic nie czuję — odpowiadam. — Nie odpycham cię celowo.

Ale prawda jest taka, że właśnie odpycham go celowo.

Tucker tego nie kupuje.

— Odpychasz mnie od miesięcy. Nie mówisz mi o różnych sprawach, tak jak nie powiedziałas mi o tym złym aniele. Ja ciągle czekam, aż mi powiesz, o co właściwie chodziło z tym gościem, ale ty mi nic nie mówisz. Myślisz, że sobie z tym nie poradzę.

— Tucker.

— Dlaczego ostatnio mam wrażenie, że tylko grasz na czas? Że prędzej czy później ze mną zerwiesz?

— Moja mama umarła — wypalam, siadając. — W tej chwili raczej nie myślę o niczym innym.

Tucker kręci głową.

— Czego ty mi nie mówisz? Dlaczego uważasz, że sobie z tym nie poradzę? Czy nie poradziłem sobie ze wszystkim, co zwałaś mi na głowę?

— Okej, dobra. — Wiem, że w moim głosie słychać gniew, chociaż nie jestem

rozgniewana. Jestem zmęczona. Jestem zmęczona tajemnicami, zmęczona robieniem tego, czego wszyscy oczekują ode mnie w tej chwili, zmęczona byciem dziewczyną, której właśnie umarła matka i przy której trzeba chodzić na paluszkach. W pewnym sensie ta napaść Tuckera przynosi mi ulgę. Przynajmniej przestał się zachowywać, jakbym była ze szkła.

Tucker czeka.

— Co chcesz wiedzieć?

— Wszystko — odpowiada bez namysłu.

— Dobrze. Zacznijmy od tego. Przez jakiś czas myślałam, że grozi ci śmierć. Miewałam wizję cmentarza Aspen Hill, i wszyscy tam byli, bo ktoś umarł, a ciebie nie było. Więc myślałam, że to ty. Nie chciałam ci mówić, bo gdybym się myliła, tylko bym cię niepotrzebnie nastraszyła, i okazało się, że się myliłam, więc cieszę się, że ci nie powiedziałam.

— Ale powiedziałaś Christianowi — mówi.

— Tak. Christian potrafi mi czytać w myślach, więc wiedział.

— Ha — mówi Tucker, ale widzę, że bardzo mu się nie podoba fakt, że ja i Christian mamy umysłową łączność.

— I potrafię odczytać ludzkie uczucia. Czasami widzę jakąś myśl czy dwie, ale głównie uczucia.

Jest mi lepiej przez tę spowiedź. Przynajmniej coś czuję.

— Oczywiście jest tego więcej.

Mruga zdumiony.

— Okej, strzelaj.

Zabawne, że sformułował to w taki sposób, kiedy moje następne zdanie rzeczywiście jest jak pocisk, mknący z prędkością dźwięku z moich ust prosto w jego serce. Nie wiem, dlaczego to robię. Wiem tylko, że nie chcę już żadnego udawania między nami. Bo to wbrew mojej naturze.

— Moje zadanie nie jest zakończone. Nie wiem dokładnie, na czym polega, ale wiem, że ma związek z Christianem. Mam wrażenie, że mamy być jakby dwiema stronami tej samej monety. Ja go... nie kocham tak, jak kocham ciebie, ale jesteśmy tacy sami, on i ja. Przy nim jestem silniejsza. I vice versa.

Burzowe chmury zbierają się w błękitnych oczach Tuckera. Wpatruje się we mnie. Nie chce słyszeć, co jeszcze mam do powiedzenia.

Ale i tak mu mówię. Bo w głębi duszy rozumiem, że choć tak bardzo go kocham, choć mam ochotę chwycić go w tej chwili i już nigdy nie puszczać, jemu będzie lepiej beze mnie. Będzie bezpieczniejszy z dala od mojego zwariowanego świata zbuntowanych aniołów i tajemniczych obowiązków, które będą co chwila wyskakiwać w moim życiu. Będzie szczęśliwszy bez moich kłamstw i przemilczeń, bo one przez cały czas będą obecne w naszym związku. Wiem, że powiedzenie prawdy teraz — szczególnie tego, co zaraz powiem — prawdopodobnie na zawsze zniszczy wszystko między nami, i choć bardzo tego nie chcę, to może być jedyny sposób zakończenia naszego związku, zanim stchórzę.

Więc mówię.

— Pocałowałam Christiana. — Głos łamie mi się na jego imieniu. — Chociaż właściwie to on pocałował mnie. Ale ja mu pozwoliłam. Powiedział, że to część jego zadania, i pozwoliłam mu. Bo jesteśmy połączeni. Bo w moim śnie, kiedy mama umiera, kiedy jesteśmy na cmentarzu, to on mnie trzyma za rękę, pociesza i wspiera. Bo ciebie tam nie ma.

Twarz Tuckera jest jak z kamienia. Mięśnie pleców ma naprężone. Porusza zuchwą.

— Kiedy? — pyta ochryple. — Kiedy on...

— Dwa dni przed śmiercią mamy.

Tucker wstaje.

— Muszę iść.

— Tuck.

Zamyka oczy. Zaciska i rozluźnia pięści u boków. Kiedy znów otwiera oczy, widzę w nich zapowiedź łez. Wypuszcza drżący oddech.

— Muszę iść.

Co ja narobiłam? — myślę półprzytomnie. Idę za nim na korytarz, potem na dół.

— Przepraszam, Tuck — mówię. Jakby to mogło cokolwiek naprawić.

Moje słowa go nie ruszają. Przebija się przez środek grupki współczujących osób w salonie, mija Wendy i Angelę, które siedzą razem na kanapie.

— Wendy, jedziemy.

Wendy zrywa się na nogi.

— Tuck! — wołam znów. Ale potem przestaję. Postanawiam, że pozwolę mu odejść, nawet gdyby miał się do mnie więcej nie odezwać. Ból w mojej piersi uderza ze zdwojoną siłą, sprawia, że brak mi tchu. Opieram się o ścianę salonu i patrzę bezradnie, jak Tucker niemal biegiem wypada z mojego domu.

Zatrzymuje się przy samochodzie, gorączkowo szuka kluczyków. Wendy dogania go, chwytając za ramię, mówi coś i ruchem głowy wskazuje dom. Tucker potakuje. A potem ogląda się i zauważa Christiana stojącego na ganku, i wszystko zaczyna się dziać w zwolnionym tempie.

— Ty. — Strząsa z siebie Wendy i robi kilka powolnych kroków w stronę domu.

— Tucker — mówi cicho Christian.

— Co z ciebie za facet? — warczy Tucker, zbliżając się do niego. Ignoruje Wendy, która błaga go, żeby wracali do domu. — Czekasz, aż będzie zupełnie bezbronna, i wtedy się do niej przystawiasz?

— Tak ci powiedziała? — pyta Christian; w jego tonie nie ma cienia groźby, ale też się nie wycofuje.

Chcę tam wyjść, powstrzymać to, zanim komuś stanie się krzywda. A mam przeczucie, że ktoś naprawdę zaraz ucierpi. Ale kiedy robię krok w stronę drzwi, Angela chwytając mnie za łokieć.

— Nie idź — mówi. — Tylko pogorszysz sprawę.

— Powiedziała mi, że ją pocałowałeś — mówi Tucker.

— Bo pocałowałem.

— Nie obchodzi cię, że ona ma chłopaka? Że kocha mnie? — Tucker wchodzi już po schodkach na ganek. Zatrzymuje się kilka kroków przed Christianem i stoi tak, z zaciśniętymi pięściami, tylko czekając na pretekst, żeby dać mu w zęby.

Ze swojego miejsca nie widzę twarzy Christiana. Stoi plecami do mnie. Ale skądś wiem, że jego twarz jest niewzruszona, że jego oczy jak zimne szmaragdy błyszczą nienaturalnie. Nie ma w nim ani odrobiny ciepła, kiedy mówi:

— Zawsze cię lubiłem, Tucker. Uważam, że jesteś przyzwoitym gościem.

Tucker wybucha śmiechem.

— Ale co, nie jestem jej wart? Jest poza moją ligą, tylko dlatego...

— Ona i ja jesteśmy sobie przeznaczeni — przerywa mu Christian.

— Jasne. Przez wasze zadanie — mówi cicho Tucker.

Christian rozgląda się, zirytowany, że Tucker zna to słowo, że odważył się wypowiedzieć je tutaj, przy tych wszystkich ludziach.

— Przez to, i jeszcze sto innych powodów, których nie byłbyś w stanie pojąć — mówi.

— Ty zadufany draniu. — W tej chwili Tucker daje mu pięścią w twarz. Głowa Christiana odskakuje do tyłu, z nosa natychmiast zaczyna mu płynąć krew. Ociera ją, patrzy na zabrudzone palce. Bardzo możliwe, że nigdy wcześniej nie widział własnej krwi. Mruży oczy. Wyciera dłoń o dzinsy. I nagle na ganku wybucha dzika kotłowanina, ludzie w popłochu uciekają im z drogi, kobiety wrzeszczą, pięści śmigają. Wyrывam się Angeli w samą porę, by zobaczyć, jak Tucker rzuca Christiana na ścianę domu, z taką siłą, że pęka szyba w oknie. Widzę, jak ciemne brwi Christiana zsuwają się nisko na oczy, jak wzbiera w nim autentyczna furia, która zaraz eksploduje. Uderza płaską dłoń w środek piersi Tuckera i odrzuca go do tyłu; Tucker przelatuje przez poręcz ganku, która pęka z obrzydliwym trzaskiem, i pada na plecy na podjeździe. Żwir strzela na boki. Tucker zrywa się na nogi, ocierając krew z podbródka, potargany, z błękitnym ogniem w oczach.

— No chodź, ślicznotko — rzuca szyderczo. — Pokaż, co jesteś wart.

— Przestańcie! — krzyczę.

Christian przeskakuje przez połamaną poręcz tak swobodnie, jakby frunął. W zestawieniu z

Tuckerem jest pełen lekkiej gracji — nie ma mięśni od wiązania cielaków i ciężkiej, codziennej harówki, nie jest twardym wiejskim chłopakiem z Wyomingu, ale wiem, że jest niewiarygodnie silny.

Tucker robi zamach, Christian się uchyla. Zadaje Tuckerowi cios w bok i jeszcze raz powala go na ziemię. Tucker stęka, ale podnosi się i atakuje.

— Przestańcie! — krzyczę znów.

Żaden z nich nie zwraca na mnie uwagi. Tucker markuje kolejny cios, po czym niemal trafia Christiana w brzuch, ale Christian znowu się odsuwa, zanim dosięga go pięść. Tucker warczy sfrustrowany. Christian uderza i tym razem trafia go w szczękę.

To jest nie fair. Tucker nie może wygrać tej walki. Christian zawsze będzie szybszy, silniejszy i odporniejszy.

*Proszę cię, posyłam mu w myślach, włączając swoją telepatyczną moc na cały regulator. Jeśli choć trochę ci na mnie zależy, przestań.*

Christian się waha.

Potykać się, zbiegam po schodkach w ich stronę. Już nie myślę. Po prostu muszę stanąć między nimi.

— Christian, nie rób mu krzywdy — mówię na głos.

Obaj stają jak wryci. Tucker posyła mi niedowierzające, urażone spojrzenie. Jak mogę myśleć, że on da się pobić temu miejskiemu picusowi? Kogo obchodzi, jaka krew płynie w jego żyłach? Dosłownie krzywi wargi z obrzydzeniem. Nie wierzysz we mnie, mówią jego oczy. Dlaczego we mnie nie wierzysz?

Christian też opuszcza pięści i patrzy na mnie z urazą.

*Nie zamierzałem mu zrobić krzywdy, mówi mi w myślach. Sądziś, że użyłbym przeciwko niemu swoich mocy?*

Nie mam odpowiedzi dla żadnego z nich.

— Okej, dość tego! — rozlega się czyjś głos. Billy schodzi po stopniach. Staje obok mnie i patrzy gniewnie na Tuckera i Christiana.

— Co wy sobie wyobrażacie, żeby zachowywać się tutaj jak jelenie na rykowisku? To jest dom żałoby. Powinniście się wstydzić.

— Idę — mówi Tucker. Już na mnie nie patrzy. Na pewno jest cały obolały, ale idzie do samochodu z uniesioną głową, prosty jak struna. Nad jego ramieniem Wendy posyła mi spojrzenie, na wpół mordercze, na wpół przeprasające. Wsiada za kierownicę. Kiedy odjeżdżają, widzę, że mówi do Tuckera, może nawet krzyczy na niego.

Christian ociera twarz. Krew przestała mu już płynąć z nosa, ale jest nią cały upapwany.

— Wuj mnie zabije — mówi.

— Może się ustawić w kolejce — rzucam wściekle.

Patrzy na mnie przestraszony. *Claro, ja...*

*Nie waż się mnie przepraszać. Idź stąd.*

*Ja tylko...*

*Idź, powtarzam w myślach. Chcę, żebyś sobie poszedł, Christian. Nie chcę cię tutaj. Nie potrzebuję ciebie.*

Przetyka ślinę, wpycha ręce w kieszenie i patrzy na mnie twardo. Nie wierzy mi.

— Wynoś się stąd — mówię na głos.

Odwraca się i wściekłym krokiem idzie w las; ginie w wydłużających się cieniach drzew.

— Dziewczyno, ty to masz talent do ściągania kłopotów — mówi Billy, kładąc mi dłoń na ramieniu zamaszystym, serdecznym gestem.

Jakbym nie wiedziała.

Po zmroku wszyscy się rozchodzą. Dom robi się brutalnie pusty. Jeffrey wraca skądś — gdziekolwiek znika każdego dnia — i nie odzywając się do nikogo słowem, idzie do siebie. A ja stoję przed drzwiami gabinetu mamy i je uchylam. Coś we mnie spodziewa się ją tam zobaczyć, zgarbioną nad komputerem, piszącą oprogramowanie. Zaraz uniesie wzrok i uśmiechnie się do

mnie.

— Ciężki dzień, skarbie? — powie.

Przełykam ślinę. Próbuję sobie powtarzać, że przecież mama jest w niebie. Ale nie potrafię sobie tego wyobrazić. Nie potrafię tego poczuć. Wiem tylko, że odeszła i nigdy nie wróci.

Tej nocy nie mogę spać. Nawet nie wiem, czy chcę. Gapię się w sufit i obserwuję przemykające po nim cienie, zarysy liści drzewa za oknem, poruszające się w tę i z powrotem.

Okolo północy zaczyna dzwonić telefon. Czekam, aż ktoś odbierze, ale nikt tego nie robi. Gdzie jest Billy? Kiedy wróci tata?

Telefon wciąż wydzwania swoją smętną piosenkę. Idę w skarpetkach do kuchni, podnoszę słuchawkę z bazy i patrzę na identyfikację numeru.

CLARA

Hę?

Dzwoni do mnie moja własna komórka.

Wciskam guzik rozmowy. Nagle jestem całkiem przytomna.

— Halo?

Cisza.

— Halo? — mówię po kilku sekundach milczenia na drugim końcu linii.

— Witaj, ptaszyno.

To takie dziwne, słyszeć głos Samjazy bez towarzyszącego mu smutku. To niemal jak rozmowa z normalnym człowiekiem, zwyczajna pogawędka, podczas której nie muszę się bać o życie ani zastanawiać, czy zostaną porwana do piekła. Dziwne, jak powiedziałam.

— Czego chcesz? — pytam go.

Cisza.

— No cóż, miło się rozmawiało, ale muszę już kończyć... — Zaczynam odkładać słuchawkę. — Bo rano muszę pochować matkę.

— Co? — pyta Samjaza autentycznie wstrząśnięty.

On nie wie.

— Proszę cię — mówi po minucie ze szczerą desperacją w głosie. — Co się stało?

— Przecież znasz zasadę stu dwudziestu lat, nie?

Wypuszcza z sykiem powietrze.

— Miała już tyle lat? Wiedziałem, że zbliża się do tego wieku, ale... trudno mi być na bieżąco z ludzkim czasem. Kiedy?

— Trzy dni temu. — Czuję przyływ gniewu, i to jest naprawdę przyjemne. Wszelkie emocje inne niż miazdzący smutek są w tej chwili przyjemne. — Więc teraz już nie będziesz mógł jej skrzywdzić.

I znów ta cisza. Zaczynam myśleć, że się rozłączył. Ale nagle mówi:

— Nie czułem, że odeszła. Powinienem był to poczuć.

— Może nie byliście tak blisko związani, jak ci się zdawało.

— Och, Meg — mówi.

W tej chwili wybucham. On nie ma prawa rozpaczać, myślę. To on jest czarnym charakterem. Próbował ją zabić. Chciał ją zabrać ze sobą do piekła, zgadza się? Nie zasługuje na moją litość.

— Kiedy to wreszcie do ciebie dotrze? — pytam z furią. — Moja mama nie ma na imię Meg. Cokolwiek było między wami, cokolwiek was łączyło, skończyło się dawno temu. Ona cię nie kocha. Nigdy nie kochała. Zawsze, od samego początku, była przeznaczona komuś innemu. I teraz już nic nie możesz z tym zrobić, bo ona nie żyje.

Ostatnie słowa wiszą w powietrzu. Wyczuwam za plecami czyjąś obecność. To Billy. Chwyta mnie za ramiona i podtrzymuje, choć nawet nie zdawałam sobie sprawy, że się chwieję, że zaraz się przewrócę. Potem powoli wyjmuje mi słuchawkę z dłoni i odkłada na bazę.

— No cóż, teraz wiemy, dlaczego jutro na cmentarzu będzie wściekły i na ciebie — mówi, kręcąc głową. — Czułabym się o wiele lepiej, gdybyś nie zadzierała z Czarnymi Skrzydłami. — Nawet nie muszę jej prosić, żeby odprowadziła mnie do pokoju; kładzie się koło mnie w



ciemnościach i zaczyna śpiewać cichą piosenkę, która pasuje do kadencji wiatru za oknem. Jakbym znów była dzieckiem. I trzyma mnie za rękę, aż zasypiam.

## 20. W serdecznej pamięci

Jest całe mnóstwo rzeczy, na które sen mnie nie przygotował. Jak na przykład widok ciała mamy, nieruchomego i woskowego, leżącego w trumnie. Zrobili jej za mocny makijaż. Mama prawie nigdy nie używała niczego oprócz tuszu i błyszczyka. W trumnie wygląda jak malowana lala. Piękna. Spokojna. Ale to nie ona. Trudno na nią patrzeć, kiedy tak wygląda, ale trudno też oderwać wzrok.

Ani na kolejkę ludzi, którzy ustawiają się, żeby na nią popatrzeć, a potem porozmawiać ze mną. To jak odwrotność ślubu. Najpierw zobaczyć ciało. Pożegnać się. Potem przywitać się z rodziną. Wszyscy myślą, że mama umarła na raka, więc ciągle gadają o bólu.

— Przynajmniej nie czuje już bólu — mówią, klepiąc mnie po ręce. — Jest już ponad wszelkim bólem.

Przynajmniej to jest prawdą.

Ani na pogrzeb sam w sobie. Na nabożeństwo. Siedzę w pierwszej ławce z Jeffreyem i Billy, kilka kroków od trumny. Tata wciąż się nie pokazuje i czuję się trochę zdradzona. Powinien tu być, myślę. Ale wiem, że jest w lepszym miejscu. Dosłownie i w przenośni. Z mamą.

— On jest z mamą, prawda? — spytałam Billy, kiedy zaplatała mi rano włosy; zrobiła mi długi, prosty warkocz, który jakimś cudem trzyma się przez cały dzień. — Był z nią przez cały ten czas?

— Tak myślę. Pogrzeby nie są dla aniołów, mała. Gdyby twój ojciec przyszedł, niepokoiłby wszystkich. Wie o tym. Więc to lepiej, że go nie ma. A poza tym chce teraz być z twoją mamą, pomóc jej w przejściu na drugą stronę.

Tucker jest w kościele. Po mszy podchodzi do mnie, staje przede mną ze złożonymi rękami, kompletnie zagubiony. Patrzę na jego podbite oko, rozcięcie na policzku, zadrapania na kostkach palców.

— Jestem tutaj — mówi. — Myliłaś się. Jestem tutaj.

— Dziękuję — odpowiadam. — Ale nie idź na cmentarz. Proszę cię, Tucker. Nie idź. Będzie tam Samjaza, jest wściekły, i nie chcę, żeby stała ci się krzywda.

— Ale ja chcę tam być — protestuje.

— Ale nie będziesz. Bo ja cię proszę, żebyś trzymał się z daleka — szepczę.

Powiedziałabym to samo Wendy, ją też poprosiłabym, żeby nie przychodziła na cmentarz, ale już wiem, że nie posłucha. Bo jest tam za każdym razem, w każdej wizji.

— Proszę cię — mówię do Tuckera. — Nie idź.

Waha się, ale w końcu kiwa głową i wychodzi z kościoła.

Więc nareszcie, po dniu, który wydawał się dłuższy niż którykolwiek inny, jakby naprawdę mógł się rozciągnąć na tysiąc lat, wysiadam z samochodu na cmentarzu Aspen Hill. Widziałam go tyle razy. Ale tym razem, tym prawdziwym razem, czuję się całkiem inaczej. Teraz to ja jestem Clarą z przyszłości. W piersi czuję ból, który sprawia, że mam ochotę wyciąć sobie serce i cisnąć w krzaki. Ale znoszę go. Idę. Bo nie mam innego wyboru niż stawiać jedną nogę przed drugą.

Widzę przed sobą Jeffreya, wypowiadam jego imię.

— Miejmy to już z głowy — mówi.

Więc jednak kolor jego krawata nie ma żadnego znaczenia.

Wszyscy są tutaj. Cała kongregacja, co do anielity — nawet Julia. Nikt nie stchórzył.

Zabawne, że mój sen okazał się samospełniającą przepowiednią. Doprowadzałam się do obłędu, próbując wymyślić, dlaczego nie ma tutaj Tuckera. Myślałam, że nie żyje. Myślałam, że żadna siła na ziemi i niebie nie zdoła go powstrzymać przed przyjściem tutaj. I w końcu okazało się, że go nie ma, bo sama go o to poprosiłam.

To się nazywa ironia losu.

W tej chwili ból dopada mnie na całego. To jest to. Chwila, którą miałam przeżyć. Moja ścieżka tortur, którą mam przejść bez Tuckera. Jest tak fatalnie, że mam problemy z oddychaniem. Zatrzymuję się, żeby złapać oddech.

Ktoś bierze mnie za rękę. Christian, tak jak przepowiedział sen. Patrzę na niego — na jego

schludny, czarny garnitur, wyprasowaną koszulę, srebrny krawat. Jego złoto cętkowane oczy są zaczerwienione, jakby i on płakał. Widzę w nich pytanie, a zarazem odpowiedź.

I nagle dociera do mnie, że to jest chwila decyzji; że to przed nią ostrzegęła mnie wizja. Mogę teraz zerwać kontakt, zabrać dłoń z jego dłoni, powiedzieć mu jeszcze raz, że go nie potrzebuję. Mogę czepiać się kurczowo swojego gniewu, swojej frustracji, że zmusza się mnie do dokonania tego wyboru. Albo mogę go przyjąć. Mogę stawić czoła temu, co jest między nami, i ruszyć naprzód. To nie fair, że w takiej chwili wymaga się ode mnie tak poważnej decyzji. Naprawdę nie fair. Ale przecież to nigdy nie było fair — cała ta katastrofa, od początku do końca.

Rzecz w tym, że kiedy on trzyma mnie za rękę, dotyka mojej skóry, ból w mojej piersi słabnie. Zupełnie jakby Christian potrafił wziąć jego część na siebie. Przy nim czuję się o wiele lepiej. Czuję się silniejsza. A on chce zdjąć ze mnie ten ból. Chce go dźwigać ze mną.

Widzę to w jego lśniących oczach. Jestem dla niego kimś więcej niż powinnością. Kimś więcej niż dziewczyną z jego snu. Kimś o wiele więcej.

Wracam myślą do tamtego listopadowego poranka, w kuchni, jeszcze w Kalifornii, kiedy po raz pierwszy ujrzałam go stojącego wśród drzew, czekającego na mnie. Pamiętam swoje łomoczące serce, usta otwarte, by go zawołać, choć nie znałam jeszcze nawet jego imienia, to nieodparte pragnienie, które pchało mnie do niego. Wszystko to przemyka mi przed oczami jak film na szybkim podglądzie, każda chwila, jaką spędziłam z nim od tamtej pory — ten dzień, kiedy niósł mnie do gabinetu pielęgniarki pierwszego dnia szkoły, lekcja historii pana Eriksona, Pizza Hut. Wspólna jazda na wyciągu. Szkolny bal. Siedzenie na ganku i patrzanie w gwiazdy. On, wychodzący spomiędzy drzew w noc pożaru. Wszystkie wieczory, które przesiedział na dachu, łąka, stok narciarski, ten cmentarz w dniu, kiedy mnie pocałował. I w każdej chwili, którą spędziliśmy razem, czułam tę siłę przyciągającą mnie do niego. Słyszałam ten głos, szepczący w mojej głowie:

*Jesteśmy sobie przeznaczeni.*

Nie zdaję sobie sprawy, że wstrzymywałam oddech, dopóki go nie wypuszczam. Patrzę na nasze złączone dłonie. Jego kciuk powoli głaszcze moje palce. Unoszę wzrok, patrzę w jego twarz. Czy słyszał to wszystko? Tę paplaninę mojego serca? Czy odczytał moje myśli?

*Dasz radę, mówi. I nie wiem, czy mówi o mamie, czy o czymś innym.*

Może to nie ma znaczenia.

Spoglądam mu w oczy, ściskam jego dłoń.

*Chodźmy tam, posyłam mu w myślach. Ludzie czekają.*

I idziemy dalej. Razem.

Spodziewam się kręgu żałobników, trumny mojej matki ustawionej nad dziurą ziejącą w ziemi, i ten widok nie działa już na mnie tak wstrząsająco. Wiem, jakie słowa wypowie Stephen. Spodziewam się Samjazy, którego obecność czuję. Ale nie wiedziałam, że w tej chwili zrobi mi się go żal. Nie planowałam, że pójdę go szukać, kiedy wszystkie modlitwy zostają już wypowiedziane, trumna opuszczona w ziemię, zasypana; kiedy wszyscy się rozchodzą i zostajemy tylko Jeffrey, Christian, Billy i ja. Czuję Samjazę, czuję jego smutek, który nie wypływa z rozdzielania z Bogiem czy z buntu przeciwko anielskiemu przeznaczeniu, ale z faktu, że wreszcie pogodził się, że stracił moją mamę na zawsze. I nagle dokładnie wiem, co mam robić.

Puszczam dłoń Christiana. Podchodzę do ogrodzenia na skraju cmentarza.

*Clara? — woła za mną zaniepokojony Christian.*

*Zostań tutaj. Wszystko w porządku. Nie zejdę z uświęconej ziemi.*

Wołam Samjazę.

Spotyka się ze mną przy płocie. Wbiega na wzgórze pod postacią psa, a potem przemienia się i staje w milczeniu po drugiej stronie siatki. Widzę jego smutne bursztynowe oczy. Nie potrafi płakać — nie pozwala na to jego anatomia. I nienawidzi tego, że odmówiono mu godności łez.

To niezręczna sytuacja — przecież on jest wcieleniem zła, i tak dalej. Ale ja wreszcie wzniosłam się ponad swoją złość.

— Proszę — mówię.

Drżącymi palcami odpinam bransoletkę z nadgarstka. Tę starą bransoletkę mamy z charmsami. Wysuwam ją przez dziurę w siatce.

Samjaza patrzy na mnie z twarzą zwiotczałą ze zdumienia.

— Weź ją — ponaglam go.

Wyciąga rękę, uważając, żeby mnie nie dotknąć. Upuszczam mu bransoletkę na dłoń. Metal dzwoni cicho, upadając. Samjaza zamyka palce.

— Ja jej to dałem — mówi. — Skąd wiedziałaś...?

— Nie wiedziałam. Improvizuję.

Potem odwracam się i idę do rodziny. Nie oglądam się za siebie.

— Dziewczyno, o mało nie dostałam zawału — denerwuje się Billy.

— Chodźmy — mówię. — Chcę wracać do domu.

Kiedy odjeżdżamy, Samjaza ciągle tam stoi, jakby zmienił się w kamień — anioł z marmuru.

Ale przede wszystkim nie spodziewam się, że pod domem będzie na nas czekać policja.

— O co chodzi? — pyta Billy, kiedy wysiadamy z samochodu i z otwartymi ustami gapimy się na radiowóz zaparkowany na podjeździe i na dwóch funkcjonariuszy myszkujących wokół domu.

— Chcemy zamienić dwa słowa z Jeffreyem Gardnerem — oznajmia jeden z nich. Patrzy na Jeffreya. — To ty?

Jeffrey blednie.

Billy, jak zawsze, jest wcieleniem spokoju.

— A konkretnie w jakiej sprawie? — Bierze się pod boki i gromi ich spojrzeniem.

— Chcemy spytać, co wie na temat pożaru w Palisades z sierpnia zeszłego roku. Mamy podstawy sądzić, że mógł być zamieszany w podpalenie.

— Chcielibyśmy się też rozejrzeć, jeśli nie ma pani nic przeciwko — mówi drugi funkcjonariusz.

Billy jest rzeczowa do bólu.

— Macie nakaz?

Policjant czerwieni się pod jej groźnym spojrzeniem.

— Nie, szanowna pani.

— Jestem prawną opiekunką Jeffreya. Chłopak właśnie wraca z pogrzebu matki. Wasze pytania mogą poczekać. A teraz życzę panom miłego popołudnia.

Kładzie jedną dłoń na moim ramieniu, drugą na ramieniu Jeffreya i prowadzi nas do domu. Drzwi trzaskają za nami. Billy wypuszcza powietrze.

— Hm, to może być problem — mówi, patrząc na Jeffreya.

Jeffrey wzrusza ramionami.

— Niech mnie przesłuchają. Mam to gdzieś. Powiem im. Ja to zrobiłem.

— Że co? — Ale w głębi duszy nie jestem zbyt zaskoczona. Coś we mnie podejrzewało, że mogło tak być, już od pierwszej chwili, kiedy zobaczyłam go, jak wypadł wtedy z lasu. Coś we mnie wiedziało.

— To było moje zadanie — mówi. — Śniłem o tym, od kiedy przeprowadziliśmy się do Wyomingu. Miałem wzniecić ten pożar.

Billy marszczy brwi.

— Więc jednak mamy problem. Zostańcie dziś wieczorem w domu, okej? Ja muszę zadzwonić w parę miejsc.

— Do kogo? Kongregacja ma prawnika? — pyta drwiąco Jeffrey.

Billy patrzy na niego bez radości w swoich zwykle wesołych, ciemnych oczach.

— Szczerze mówiąc, ma.

— A mamy też księgowego?

— Mitcha Hammonda.

— Dobra, nieważne — mówi Jeffrey. Bezbronność, którą widziałam wcześniej w jego twarzy, wszelki ślad małego chłopca, który chce do mamy, zniknął. — Będę w swoim pokoju.

Idzie do siebie. Billy idzie do gabinetu mamy i zamyka za sobą drzwi. A ja zostaję sama. Znowu.

Czekam kilka minut, aż cisza przepelniająca dom zaczyna mi brzęczeć w głowie. Myślę sobie, a co mi tam, i idę na górę, do pokoju Jeffreya. Nie odpowiada, kiedy pukam. Zaglądam do środka, żeby sprawdzić, czy nie wyfrunął przez okno.

Jest; grzebie w komodzie z ciuchami. Na mój widok przestaje i spogląda na mnie ze złością.

Wzdycham.

— Wiesz, może nam obojgu byłoby łatwiej, gdybyś przestał mnie nienawidzić chociaż na dziesięć minut.

— To twoja siostrzana rada?

— Tak. Jestem starsza i mądrzejsza. Więc powinieneś mnie słuchać.

*A mama chciała, żebyśmy się wspierali.* Nie mam odwagi powiedzieć tego na głos.

Jeffrey prycha i wraca do liczenia par skarpetek.

— Co ty robisz? — pytam.

— Pakuję torbę na treningi w tym tygodniu.

— A.

— Jestem zajęty, okej?

— Jeffrey... — Zdejmuję z krzesła stertę brudnych ciuchów i siadam. — Co ja ci zrobiłam, że mnie tak nienawidzisz?

Nieruchomieje.

— Dobrze wiesz, co zrobiłaś.

— Nie. To znaczy tak, domyślałam się, że przez cały zeszły rok byłam strasznie samolubna, zajęta swoim zadaniem i tak dalej. Nie myślałam o tobie.

— Och, doprawdy — mówi.

— Przepraszam, jeśli cię ignorowałam albo odciągałam uwagę od ciebie przez swoje zadanie. Nie wiedziałam o twoim, przysięgam. Ale czy mnie też nie należą się przeprosiny?

Odwraca się do mnie z taką miną, jakby uszom nie wierzył.

— Niby za co? — pyta gniewnie.

— No wiesz...

— Nie. Ty mi powiedz. — Zdejmuje szarpnięciem krawat i rzuca go na łóżko.

— Podpaliłaś las!

— Tak, pewnie pójdę do poprawczaka. Czy w Wyomingu jest chociaż poprawczak?

— Jeffrey...

Ale teraz, kiedy już zaczął mówić, nie zamierza przestać.

— To dla ciebie dość wygodne, co? Bo teraz możesz zwalić winę na mnie. Gdybym nie podpalił tego lasu, Tucker byłby bezpieczny i to, co miałaś zrobić z Christianem, poszłoby śpiewająco, i byłabyś grzeczną małą anielitką, która wypełniła zadanie. Zgadza się?

— Jesteś pewien, że to było twoje zadanie?

— A ty jesteś pewna swojego? — odgryza się.

— Okej, racja. Ale serio, nie rozumiem. To nie ma sensu. Ale skoro mówisz, że miałaś wizję na ten temat i właśnie to miałaś zrobić, to ci wierzę.

— Masz pojęcie, jakie to było trudne? — Teraz już prawie krzyczy. — Wiesz, jakie straszne rzeczy chodziły mi po głowie? Że być może morduję ludzi, podpalając ten las? I te wszystkie zwierzęta, cała ta ziemia, i strażacy, i wszyscy, którzy ryzykowali życie, żeby go zgasić. Ale i tak to zrobiłem. — Krzywi się z obrzydzeniem. — Odwaliłem swoją część roboty. A ty musiałaś wymigać się od swojej.

Spuszczam oczy, patrzę na własne dłonie.

— Gdybym tego nie zrobiła, Tucker by zginął.

— Mylisz się tak bardzo, że to aż żalosne — mówi Jeffrey już spokojniej. — Jak zwykle.

— Co? — Zdumiona podrywam głowę. — Jeffrey, ja tam byłam. Uratowałam go. Gdybym się nie zjawiła w tamtej chwili, to on by...

— Nie. Nic by mu się nie stało. — Jeffrey wygląda przez okno, jakby widział to wszystko na nowo. — Nie zginąłby. Bo ja bym go uratował. — Znów zaczyna pakować torbę; tym razem majtki. Z jego gardła wyrywa się wredny, wyprany z radości śmiech. Kręci głową. — Boże, alez panikowałem tamtej nocy, szukając go. Nie pojawił się tam, gdzie miał być, gdzie zawsze był w moich wizjach. Pomyślałem, że coś schrzanilem. Byłem pewien, że się usmażył. W końcu poddałem się i wróciłem do domu. Zobaczyłem cię na ganku z Christianem i pomyślałem: uff, przynajmniej jej się udało. Przynajmniej ona wykonała zadanie. A potem zwijałem się całą noc, myśląc, jaką będziesz mieć minę, kiedy się dowiesz, że Tucker nie żyje.

— Och, Jeffrey.

— Więc sama widzisz — mówi dalej po minucie. Bierze dezodorant i chowa do torby. — Myślisz, że to ja spaprałem ci zadanie, tak? Ale prawda jest taka, że gdybyś posłuchała swojej wizji, gdybyś zaufała, że będzie dobrze, to ty i Christian zrobilibyście swoje w tym lesie, Tucker byłby bezpieczny i wszystko by się udało. Ale ty musiałaś spieprzyć wszystko nam obojgu.

Nic nie mówię. Zmywam się jak niepyszna z jego pokoju i zamykam drzwi. Kiedy już jestem u siebie, kładę się na łóżku i patrzę na pusty sufit szeroko otwartymi, suchymi oczami, i mam wrażenie, że ból wyrywa coraz większą, coraz głębszą dziurę w mojej piersi.

— Przepraszam — szepczę, chociaż nie mam pojęcia, kogo przepraszam, Jeffrey czy mamę, która tak we mnie wierzyła, czy może Boga. Wiem tylko, że za wszystko ponoszę winę i że mi przykro.

*Nie zadreżczaj się tym*, mówi Christian w mojej głowie. Siadam i wyglądam przez okno, i oczywiście on tam jest — siedzi na swoim ulubionym miejscu.

*Tobie też wszystko skopałam*, przypominam mu.

Kręci głową.

*Nieprawda. Tylko zmieniłaś bieg rzeczy.*

Podchodzę do okna i otwieram je, wychodzę na chłodne nocne powietrze. Chyba już jest lato; noc jest jakby inna, inaczej pachnie.

— Musisz się trzymać z daleka od mojej głowy — mówię, kuląc się niezgrabnie obok niego. Ciągle jestem w ładnych, czarnych czółenkach mamy. Bolą mnie palce stóp. — To chyba nie jest szczególnie zabawne, co chwila poznawać moje najmroczniejsze sekrety.

Wzrusza ramionami.

— Nie są takie znów mroczne.

Spoglądam na niego zimno.

— Moje życie to telenowela.

— Bardzo, bardzo wciągająca telenowela — mówi. A potem obejmuje mnie ramieniem i przyciąga do siebie. A ja mu pozwalam. Zamykam oczy.

— Dlaczego mnie chcesz, Christian? Jestem totalnie pokręcona.

— Wszyscy jesteśmy pokręceni. A ty wyglądasz uroczo, kiedy to robisz.

— Przestań.

Kark pali mnie od jego oddechu, poruszającego pasemka włosów, które jednak wymknęły się z warkocza.

— Dziękuję — mówię. Siedzimy tak przez chwilę, nie rozmawiając. W oddali pohukuje sowa. I nagle, o cudzie, czuję w oczach łzy.

— Tęsknię za mamą — wykrztuszam.

Ramiona Christiana obejmują mnie mocniej. Kładę głowę na jego ramieniu i płaczę, szloch wstrząsa moim ciałem. To jedna z tych hałaśliwych, niezbyt atrakcyjnych szlochających popisówek, kiedy człowiekowi cieknie z nosa, oczy robią się wielkie i spuchnięte, a cała twarz zmienia się w mokre, różowe bagno, ale mam to gdzieś. Christian mnie tuli, a ja płaczę. Ból wylewa się na jego koszulkę, odciażając mnie, i tym razem to jest dobry rodzaj pustki — może nawet gdybym spróbowała, byłabym dość lekka, by móc latać.

## 21. W góry

Na rozdaniu świadectw dziewczyny mają białe togi, a chłopcy czarne. Kiedy zaczyna grać orkiestra, wchodzimy dwójkami do sali gimnastycznej Liceum Jackson Hole, która jest już pełna rozgadanych, roześmianych, gorączkowo pstrykających zdjęcia przyjaciół i krewnych. Ale ciężko mi patrzeć na widownię, kiedy wiem, że nie ma tam mamy. Czy choćby Jeffreya. Następnego dnia policjanci przyjechali go przesłuchać. Tym razem nawet mieli nakaz. Ale Jeffreya nie było. W jego pokoju przekonaliśmy się, że brakuje części ciuchów i przyborów toaletowych (ja głupia uwierzyłam w to kłamstwo, które mi sprzedał poprzedniego wieczoru), i znalazłyśmy żółtą karteczkę przylepioną na oknie.

„Nie szukajcie mnie”.

Nie wziął nawet pickupa. Szukamy go jak oszalałe od wielu dni, ale wszelki ślad po nim zaginął. Jeffrey po prostu zniknął.

Na widowni, obok Billy, dostrzegam tatę. Pokazuje mi uniesione kciuki. Uśmiecham się, próbuję wyglądać na szczęśliwą. Przecież kończę liceum. To wielkie wydarzenie.

Kiedy ktoś umiera w filmie, zawsze jest taka scena, w której główna bohaterka stoi w garderobie zmarłego i przeciąga palcami po rękawie jego ulubionej koszuli czy bluzki, tej, którą pamięta z tyłu szczęśliwych chwil. To właśnie ja, dziś rano. Poszłam do garderoby mamy po białą sukienkę ozdobioną francuskim haftem, którą tak uwielbiała. Pomyślałam, że włożę ją na siebie pod togę. Że może w ten sposób jakaś część jej będzie tam ze mną. Sentymentalne, wiem.

W filmach bohaterka zawsze przyciska twarz do ubrań, żeby poczuć resztki zapachu tej ukochanej osoby. A potem płacze.

Wolałabym nie wiedzieć, jak realistyczne są te sceny, jak niewiarygodnie bolesne jest patrzenie na wszystko, co zmarły pozostawia po sobie. Jak to możliwe, że te buty wciąż tu są? — myślałam. Jak te ubrania mogły przetrwać, kiedy ona nie przetrwała? Znalazłam włos na ramieniu flanelowej koszuli i chwyciłam go delikatnie między palec wskazujący a kciuk — ten włos kiedyś rósł na głowie osoby, którą tak bardzo kochałam. Trzymałam go bardzo długo, nie wiedząc, co z nim zrobić, aż w końcu go puściłam. Pozwoliłam mu odfrunąć.

Bolało.

Ale teraz ona jest ze mną, zapach jej waniliowych perfum unosi się z materiału i jakimś cudem czuję się dzięki temu silniejsza.

*Co za tortura, mówi Christian w mojej głowie. Ile jest tych przemówień?*

Zaglądam w program.

*Cztery.*

Bezgłośny jęk.

*Ale musimy klaskać Angeli, przypominam mu. Klub Aniołów trzyma się razem, nie?*

*Podtrzymuję swoje zdanie. Tortura.*

Obracam się lekko i dyskretnie zerkam na niego. Siedzi dwa rzędy za mną, koło Avy Peters. Jeden rząd przed nim Kay Patterson uśmiecha się do mnie drwiąco.

Wiem, wiem, myślę. Ciągłe na niego patrzę.

Christian unosi brwi.

*Nieważne, mówię mu.*

Kończy się pierwsze przemówienie i nadchodzi pora na Angelę. Dyrektor zapowiada ją jako chlubę naszej klasy. Jedną z najjaśniejszych gwiazd Liceum Jackson Hole. Jedną z trójki uczniów, którzy na jesieni zaczną naukę na Uniwersytecie Stanforda.

Oklaski, oklaski.

*Stanford chyba obniżył kryteria, stwierdza Christian.*

*Wiem. Zaraz, czy on powiedział: z trójki uczniów?*

*Zdaje się.*

*Więc kto jest tym trzecim szczęściarzem?*

Zero odpowiedzi.

Odwracam się, żeby znów na niego spojrzeć.

*Nie.*

Szczerzy się do mnie.

*Teraz wszystko rozumiem, mówię mu. Prześladujesz mnie.*

*Cicho już. Angela zaraz zacznie przemawiać.*

Skupiam się na mównicy, przy której sztywno stoi Angela z plikiem notatek przed sobą.

Podsuwa okulary wyżej na nos.

*Od kiedy Angela nosi okulary? — pyta Christian.*

*Udaje dzisiaj Angelę Wzorową Uczennicę, odpowiadam. Te okulary to kostium.*

*O-keej.*

Angela chrząka cicho. Naprawdę jest zdenerwowana, widzę to. Patrzy na nią tyle par oczu.

Wszyscy skupieni są na niej, a przecież zwykle chowała się z książką po kątach. Patrzy na mnie.

Uśmiecham się i mam nadzieję, że ten uśmiech doda jej otuchy.

— Wiem, jak przewaźnie wyglądają takie mowy — zaczyna. — Oczekujecie ode mnie, że stanę tutaj i będę mówić o przyszłości. Jaka to będzie wspaniała, jak to wszyscy będziemy spełniać nasze marzenia i stawać się kimś. Może powinnam poczytać książeczkę dla dzieci o wszystkich miejscach, które odwiedzimy, o świetlanej przyszłości, która czeka nas w szerokim świecie. To by było inspirujące, co?

Widownia mruczy.

*O-oj, mówi Christian.*

Wiem, o co mu chodzi. Znosi się na to, że Angela wygłosi jedną z tych antyinspirujących mówek, w której nazwie szefową czirliderek tępą Barbie, a ulubionego nauczyciela starym zbokiem.

Angela odkłada notatki.

*Nie rób tego, myślę.*

— Kiedy ja myślę o swojej przyszłości, czuję się przytłoczona, wiedząc, jak wiele się ode mnie oczekuje. Są duże szanse, że poniosę porażkę w wielu sprawach. A to wielka odpowiedzialność. Co będzie, jeśli odgadnę, na czym polega moja rola na tym świecie, moje zadanie, i nie uda mi się go wypełnić? Co będzie, jeśli obleję test życia?

Znów patrzy na mnie. Wstrzymuję oddech. Kącik jej ust unosi się — śmieje się ze mnie. Ale szybko znów poważnieje.

— Ale potem myślę o tym wszystkim, czego nauczyłam się tutaj przez ostatni rok, i to nie na lekcjach, ale obserwując moich przyjaciół, którzy stawiali czoła swojej przyszłości i szukali sensu swojego życia. Nauczyłam się, że burza to nie zawsze tylko zła pogoda, a pożar może być początkiem czegoś nowego. Dowiedziałam się, że na świecie jest o wiele więcej odcieni szarości, niż sobie wyobrażałam. Nauczyłam się, że czasami największym aktem odwagi jest iść naprzód mimo lęku. I nauczyłam się, że w życiu nie chodzi o porażkę czy sukces. Chodzi o to, by być obecnym tu i teraz, kiedy dzieją się wielkie rzeczy, kiedy zmienia się wszystko, włącznie z nami. Więc mówię wam: — to nie ma znaczenia, jak świetlana wydaje nam się nasza przyszłość. Czy pójdziemy na świetną uczelnię, czy zostaniemy w domu i zaczniemy pracę. To nas nie definiuje. Nasze zadanie na tej ziemi to nie jest pojedyncze wydarzenie, pojedyncze osiągnięcie, które możemy odfajkować na liście. Nie ma żadnego testu. Nie ma wygranych ani przegranych. Jesteśmy tylko my, w każdym momencie życia kształtujący samych siebie w ludzi, którymi się staniemy. Zwracajcie uwagę na chwilę obecną. Na tu i teraz. Zapomnijcie o oczekiwaniach. Po prostu bądźcie. Bo tylko wtedy macie szansę być kimś wspaniałym.

Skończyła. Tłum klaszcze i klaszcze, chyba przede wszystkim dlatego, że jej przemówienie było dość krótkie. Większości moich kolegów pewnie wpadło jednym uchem i wypadło drugim. Ale nie mnie. Ja słyszałam ją jasno i wyraźnie.

— Okej, muszę powiedzieć, że to była chyba najbardziej tandetna pogadanka, jaką słyszałam w życiu — mówię do Angeli, kiedy wszyscy kłębią się w sali po uroczystości. Ściskamy się, żeby Billy mogła nam zrobić zdjęcie. — Jak słowo daję. „Po prostu bądźcie”? Powinnaś pisać reklamówki dla Nike.



- Tak do twojej wiadomości, to było naprawdę dobre. Mądrość z głębi serca i tak dalej.
- Więc od tej pory będziesz podchodzić do zadania na pełnym luzie?
- Może nie do końca na luzie. Postaram się zastosować podejście zen.
- No to powodzenia.
- Hej. — Robi lekko urażoną minę. — Naprawdę ci się nie podobała moja mowa? Bo

właściwie napisałam ją dla ciebie.

— Wiem. Podobała mi się. Po prostu ostatnio nie mam w głowie za wiele miejsca na filozofię. Ciągle jeszcze muszę sobie przypominać, że trzeba oddychać.

— Rozmawiałaś już z Tuckerem? — pyta.

Dziewczyna wie, jak popsuć miłą chwilę.

— Nie.

— To zaraz porozmawiasz — mówi, patrząc mi przez ramię. — Do zobaczenia później.

I znika w morzu czarnych i białych tog. Odwracam się i widzę Tuckera stojącego tuż za mną. Wygląda na speszzonego.

— Cześć, Karotko — mówi.

— Cześć.

— Oblęd, co?

— Co takiego?

— Rozdanie świadectw. — Pokazuje ręką dookoła. — Wreszcie się stąd wynosimy.

— A. Tak. Oblęd.

Skupia wzrok na mojej twarzy.

— Możemy wyjść na minutkę i porozmawiać?

Wychodzę za nim tylnymi drzwiami na trawnik za szkołą. Tu jest trochę ciszej, choć ciągle słychać gwar rozmów z sali gimnastycznej. Tucker chowa ręce do kieszeni.

— Przepraszam. Zachowałem się tamtego dnia jak palant. Nie wiem, zaskoczyło mnie to wszystko, a potem zobaczyłem... — Urywa, bierze głęboki wdech. — Zdaje się, że jakiś jaskiniowiec przejął nade mną kontrolę. Przepraszam — mówi jeszcze raz.

Nie potrafię wymyślić nic, co mogłabym powiedzieć i co nie skończyłoby się wybuchem płaczu.

Tucker chrząka.

— Jak sobie radzisz?

— W tej chwili? Bywało lepiej.

— Nie, ja pytam. — Wzdycha. — Boże, zapomniałem, jaka potrafisz być wkurzająca.

To jest obelga, ale Tucker okrasza ją niechętnym śmiechem i podziwem w oczach; przypominają mi się czasy, kiedy nawzajem doprowadzaliśmy się do szału.

— A ja zapomniałam, jakim potrafisz być wsiowym prostakiem — odgryzam mu się.

— Auć. — Tym razem na jego policzku pokazuje się dołeczek. Tak bardzo chcę naprawić wszystko między nami, że aż boli mnie serce. To chyba widać na mojej twarzy, bo Tucker nagle poważnieje. Podchodzi bliżej, kładzie mi dłoń na ramieniu.

— Czyli co, jesienią jednak jedziesz na US?

— Owszem — mówię bez entuzjazmu. — Naprzód Cardinals.

— Ale przez wakacje będziesz tutaj?

Jego twarz nagle jest pełna nadziei, a mnie staje przed oczami lato, które moglibyśmy spędzić razem, podobne do tego magicznego zeszłego lata, kiedy zakochałam się w Tuckerze na całego, zakochałam się w Wyomingu i wszystkich jego cudach. Chciałabym przeżyć to z nim jeszcze raz — te leniwe dni wędkowania na jeziorze, wędrówki w góry, zbieranie jagód, pływanie w rzece Hoback, rafting na Snake, zaznaczanie każdego miejsca całusem albo dotykiem, sprawianie, że stawało się nasze. Ale wiem, że tym razem nie będzie mi to dane. Bo nie da się cofnąć czasu.

Spoglądam na nasze stopy — na moje białe sandały, na kowbojki Tuckera.

— Nie. Billy uznała, że lepiej będzie, jeśli wyjadę na lato, no wiesz, spędzę je z dala od smutnych wspomnień.

— To chyba niezły plan — mówi cicho Tucker.  
— Więc jadę z Angelą do Włoch.  
— Kiedy?  
— W poniedziałek. — Czyli pojutrze. Już się spakowałam.  
Tucker kiwa głową, jakby spodziewał się czegoś takiego.  
— No cóż. Może tak będzie lepiej.  
Cisza.  
— Wrócę na dwa tygodnie przed rozpoczęciem szkoły. Będziesz tu wtedy, prawda?  
— Będę.  
— Okej.  
Patrzy na mnie i jego błękitne oczy są tak smutne, że serce mi się ściska.  
— A jutro? Jesteś wolna?  
Czasami słowo „wolna” może mieć tyle znaczeń.  
— Hm, jasne.  
— To podjedź po mnie rano — mówi Tucker. — Wybierzemy się gdzieś razem ostatni raz.  
Nawet teraz nie jestem w stanie mu odmówić.

Tucker uznał, że fajnie będzie mnie zabrać nad Wielki Kanion Yellowstone, nie tak wielki, jak prawdziwy Wielki Kanion, jak stwierdził, ale prawie. Powiedział, że jest tam miejsce, gdzie można stanąć nad samym wodospadem, i na pewno mi się tam spodoba. (I spodobało). W drodze do domu, kiedy już odwiozłam Tuckera do Leniwego Psa, muszę się zatrzymać. Chcę wrócić — chcę, żeby to popołudnie trwało wiecznie, ale mam tylko wspomnienie, i nawet ono już blednie. Więc siedzę w samochodzie na poboczu i wspominam, jak patrzył na mnie, kiedy staliśmy przy barierce na krawędzi wodospadu, wśród tęczy z wodnej mgły.

— Rany, ależ mam ochotę cię pocałować — powiedział, a ja na to:  
— Okej.

Potem zajrzał mi głęboko w oczy i dotknął wargami moich warg. To był najśłodszy pocałunek świata, pełen żaru, ale nie natarczywy. Delikatny jak piórko. Ale przepełnił mnie burzą uczuć, ryczącą głośniejsz niż woda uciekająca w dół spod naszych stóp.

Otworzyłam przed nim serce. Poczułam w sobie to, co czuł on. Kocha mnie tak bardzo, że ten pocałunek, który sprawiał wrażenie pożegnania, dobił go do reszty. Nigdy nie chciał pozwolić mi odejść. Chciał o mnie walczyć. Wszystko krzyczało w nim, że powinien walczyć, ale nie wiedział jak. I pomyślał, że może najczystszy wyraz miłości to puścić mnie wolno.

Moje własne serce wzbilo się pod niebo, kiedy poczułam to wszystko, kiedy zrozumiałam, że on ciągle mnie kocha mimo wszystkiego, co się stało. Z trudem powstrzymywałam chwałę, bo chciała mnie wypełnić, chciała załsnąć tym wszystkim, co czułam w tej chwili.

A potem, o wiele za szybko, przerwał pocałunek. Odsunął się o krok.

Zaczekaj, chciałam mu powiedzieć, kiedy odwrócił się i ruszył z powrotem na szlak. Wróć tutaj.

I pewnie bym go przekonała, żeby to nie było pożegnanie. Mogłam mu powiedzieć, że chcę, żeby o mnie walczył. Że ja też go kocham. Ale coś szeptalo we mnie, że Tucker miał rację, kiedy powiedział wczoraj, że może tak będzie lepiej. On zasługuje na coś lepszego niż to, co ja mogę mu dać. Zasługuje na zwykłą, ludzką dziewczynę, taką jak Allison Lowell. Zasługuje na szczęście.

Więc pozwoliłam, żeby szedł dalej, a potem pojechaliśmy w milczeniu do domu, próbując sobie wmawiać, że robimy to, co najlepsze dla nas obojga.

Kiedy wracam do domu, tata czeka na mnie na ganku. Wstaje, gdy wjeżdżam na podjazd.

— Nie wysiadaj — mówi. — Chciałbym gdzieś z tobą pojechać.

Wsuwam się z powrotem za kierownicę i otwieram mu drzwiczki. Tata wsiada na miejsce pasażera i zapina pas. Ogarnia mnie dziwaczne wrażenie, że wróciłam na kurs prawa jazdy; denerwuję się, bo nie wiem, czego on ode mnie chce. I to wszystko zmieszane jest z jego firmowym

koktajlem radości.

— Okej, dokąd? — pytam.

— Jedźmy w stronę miasta.

— Dobra. — Jadę więc. Nie wiem, co mu powiedzieć. Ostatni raz widziałam go na rozdaniu świadectw, ale potem nie został z nami. Nie mieliśmy okazji porozmawiać. To była jego pierwsza wizyta od dnia, kiedy siedział przy łóżku mamy, gdy umierała. Tyle rzeczy kłębi mi się teraz w głowie, przede wszystkim pytań, ale jakoś głupio mi je zadać.

Na przykład: Czy u niej wszystko dobrze? Dokąd poszła? Czy byłeś z nią przez cały czas? Jak tam jest? Czy za mną tęskni? Czy mnie słyszy, kiedy do niej mówię? Czy nade mną czuwa?

Jadę zbyt powoli. Samochód za mną trąbi, skręca gwałtownie, żeby mnie wyminąć, i o mało nie wpada na auto nadjeżdżające z przeciwnika.

— Wariaci z Kalifornii — mówię, wskazując kalifornijską tablicę tego faceta, zanim zostawia mnie w chmurze spalin. — Wiecznie im się spieszy.

Kiedy jesteśmy w mieście, tata każe mi skręcić w drogę do Parku Narodowego Grand Teton. To droga, którą milion razy jeździłam z Tuckerem.

— Ile będziemy potrzebować na wstęp do parku? — pyta tata.

— Nic, tato. Mam bilet sezonowy.

Wygląda na zadowolonego, jakby był dumny, że powołał na świat dziecko, które szanuje i docenia naturę. Mijamy długi zakręt i nagle otwiera się przed nami widok na góry, skąpane w czerwonożółtym świetle. Słońce właśnie za nie zaszło. Niedługo będzie ciemno.

— Tutaj — poleca mi, kiedy zbliżamy się do punktu widokowego. — Zaparkuj.

Posłusznie skręcam i parkuję. Wsiadamy z samochodu. Idę za tatą, który wychodzi kilka kroków poza asfalt, w wysoką trawę. Patrzy na góry.

— Piękne — mówi. — Nigdy nie widziałem ich z tego miejsca. Robią wrażenie, prawda?

— Tak, są piękne, tato. — Ale wciąż nic nie rozumiem. Dlaczego chciał tutaj przyjechać? Odwraca się do mnie z uniesioną brwią.

— Cierpliwość nie jest twoją mocną stroną, co?

Twarz mi płonie.

— Chyba nie. Przepraszam. Po prostu myślałam, że coś planujesz albo chcesz mi coś pokazać. To już widziałam.

— Ale tego nie widziałaś — mówi. — Jeszcze nie jesteśmy na miejscu.

Zanim to zdanie dociera do mnie, kładzie mi dłoń na plecach, tuż poniżej karku. Coś zmienia się wokół nas, jakby błyskawicznie spadło ciśnienie. Strzela mi w uszach. Czuję, że się unoszę — trochę jak w windzie, która rusza w górę — a potem lekko kręci mi się w głowie. Nagle zauważam, że kolor trawy jest jakiś inny; jest zieleńsza niż przed sekundą. Patrzę na góry i też zauważam różnicę — gdy przed chwilą światło gasło, na ziemi zapadała noc, cienie wydłużały się na równinach u stóp gór teraz się cofają. Powietrze robi się jaśniejsze.

To jest niemal jak nieustanny świt. Słońce nie zaszło przed chwilą. Ono się wznosi.

Chwieję się, oszołomiona, omal się nie przewracam, jakbym właśnie zeszała z karuzeli. Kurczowo chwytam ramię taty.

— Dobrze się czujesz? — pyta. — Może lepiej się mnie trzymaj, dopóki nie odzyskasz równowagi.

Biorę głęboki wdech. Powietrze jest niemal ciężkie od słodczy, pachnie zieloną trawą i koniczyną, i czymś co rozpoznaję jako zapach chmur. Gdybym powiedziała, że tu jest pięknie, cudownie, niewiarygodnie pięknie, nie oddałabym temu miejscu sprawiedliwości. Spoglądam na tatę.

— To jest niebo — mówię. Nie pytam. Ja to wiem. Może rozpoznaje to moja anielska część. Nic nie poradzę, że czuję się jak pijana. Niebo.

— Tak, jego skraj — mówi tata.

Już nie kręci mi się w głowie; puszczam jego ramię. Próbuje zrobić kilka kroków, ale trawa pod moimi stopami jest jakaś dziwna. Za twarda. Stopy nie zapadają się w nią, nie zgniatają jej. Potykam się i oglądam na tatę.

— Co jest nie tak z tą trawą?

— Nie z trawą — mówi — a z tobą. Nie powinnaś jeszcze tutaj być. Nie jesteś dość namacalna dla tego wymiaru, ale gdybyś poszła w tym kierunku — ruchem głowy wskazuje coraz jaśniejsze światło, które na ziemi byłoby na zachodzie, ale tutaj wydaje się paść po zupełnie innej stronie świata — z każdym krokiem byłabyś bardziej cielesna, aż dotarłabyś do gór.

— I co by się stało, gdybym dotarła do gór?

— No cóż, tego się dowiesz, kiedy przyjdzie pora — mówi tajemniczo.

— Chcesz powiedzieć: kiedy umrę.

Nie odpowiada. Patrzy w stronę gór i unosi rękę, żeby mi coś pokazać.

— Przyprowadziłem cię tutaj, żebyś zobaczyła.

Patrzę w stronę światła, mrużąc oczy, osłaniając je ręką, i nagle wstrzymuję oddech.

Dostrzegam jakąś postać. Kobieta w białej sukience bez rękawów, długiej do łydek. Wygląda jak haftowana sukienka, którą wczoraj włożyłam pod togę na rozdanie świadectw. Kobieta jest odwrócona plecami do nas, idzie szybko, niemal biegnie w stronę gór. Długie, kasztanowe włosy spływają jej swobodnie na plecy.

— Mamo — szepczę. — Mamusiu!

Próbuję za nią pobiec, ale nie jestem w stanie poradzić sobie na tej kamiennej trawie. To boli, jakbym stąpała boso po żwirowej drodze. Udaje mi się zrobić ledwie kilka kroków, aż w końcu zatrzymuję się, zdyszana.

— Mamo! — wołam jeszcze raz, ale jest jasne, że mnie nie słyszy.

Tata podchodzi do mnie.

— Nie dogonisz jej, skarbie. Teraz to niemożliwe. Przyprowadziłem cię tu, bo pomyślałem, że dobrze ci zrobi, jeśli ją zobaczysz. Ale to wszystko.

To za mało, myślę, ale więcej nie mogę oczekiwać. To dar od niego, najlepszy prezent świata. Dowód, że moja matka jest w bezpiecznym, ciepłym i jasnym miejscu. Że ciągle gdzieś istnieje.

— Dziękuję — szepczę.

Tata wyciąga rękę, a ja ją chwytam. I stoimy razem, patrząc za tą eteryczną postacią, moją matką, która wędruje w góry. Odchodzi ode mnie, ale podąża ku chwale. Ku światłu.

## Podziękowania

*Pisanie tej książki było jak jazda na wierzgającym mustangu i nie utrzymałabym się na nim bez pomocy mnóstwa dobrych ludzi.*

*Pierwsze głosnie „dzięki!” należy się Katherine Fausset. Mam ogromne szczęście, że mogę nazywać cię swoją agentką, czirliderką, duchowym ochroniarzem, ekspertem od wszystkiego, co pisane i najdroższą przyjaciółką. Dziękuję za przypomnienie mi, że ta książka wrzuciła cię do łez (zawsze będę nosić w sercu obraz ciebie szlochającej na kanapie, co przeraziło twójego męża), i za to, że we mnie wierzyłaś, szczególnie w tych chwilach, kiedy ja sama nie wierzyłam w siebie. Jesteś najlepsza. Serio. Najlepsza.*

*Wielkie dzięki dla Farrin Jacobs, mojej redaktorki, która wypchnęła mnie z poziomu „całkiem niezłe” do czegoś, z czego naprawdę mogę być dumna, i która byстрыm okiem liczyła mi, ile razy użyłam „po prostu” (tylko raz w całych długich podziękowaniach — czyż nie jesteś ze mnie dumna?). Chcę też przybić piątkę Catherine Wallace, za ciężką pracę i mądre pomysły, mojej rzeczniczce prasowej Marisie Russel, która tak dobrze zaopiekowała się harmonogramem spotkań, i całej niesamowitej ekipie z HarperCollins, w tym Kate Jackson, Susan Katz, Melindzie Weigel, Susan Jeffers i Saszy Illingworth, która stworzyła kolejną prześliczną, błyszczącą okładkę, pasującą do mojej pierwszej ślicznej, błyszczącej okładki.*

*Dziękuję uczniom i personelowi Liceum Jackson Hole, a w szczególności dyrektorowi Scottowi Crispowi, Julie Stayner i Lori Clark-Erickson za to, że tak chętnie wpuścili mnie do szkoły na drugą rundę zbierania materiałów i wywiadów. Bardzo doceniam, jak sympatycznie i entuzjastycznie podeszliście od samego początku do mojej pracy. Świat Clary naprawdę ożył dla mnie w korytarzach LJH.*

*Dziękuję przyjaciółom: Amy Yowell, Melissie Stockham, Kristin Naca, Robinowi Marushii, Joan Kremer, Wendy Johnston i Lindsey Terrell za to, że byli moimi największymi fanami i kibicami, każde na swój sposób. Dzięki wam czuję się kochana.*

*Dziękuję Shannon Fields (i Emily!) za tak doskonałą opiekę nad moim synem i za to, że tak często była prawdziwą, dorosłą osobą, z którą mogłam porozmawiać pod koniec dnia. Bardzo tego potrzebowałam.*

*Dziękuję mojej rodzinie:*

*Tacie, Rodneyowi Handowi, za słuchanie o moich problemach i łagodne przypominanie mi, że to problemy, za jakie inni ludzie daliby się zabić. I za zabieranie Willa na długie przejażdżki traktorem, żebym mogła pracować.*

*Julie Hand za to, że z takim entuzjazmem czytała kolejne brudnopisy i dawała mi tak wnikliwe, szczerze opinie, choć bała się, że będę wściekła.*

*Carol Ware, mojej mamie, za to, że reklamowała mnie w Idaho i zawsze była przy mnie, kiedy jej potrzebowałam. Nie wiem, jak przetrwałabym te lata bez twojej pomocy. Maggie to wspaniała matka, ale po prostu nie dorasta Ci do pięt!*

*Jackowi Ware'owi za to, że był rycerzem mojej matki, uosobieniem (przynajmniej jak dla mnie) dobrego męża i dobrego człowieka. Dzięki za całe wsparcie, za rzetelne doradztwo podatkowe i za to, że zawsze tak paliłeś się do wszelkiej pomocy.*

*Mojemu własnemu mężowi Johnowi Struloeffowi. Mówiłam to wszystko ostatnim razem, ale muszę powiedzieć jeszcze raz. Jesteś niesamowitym, utalentowanym człowiekiem i zginęłabym bez ciebie. Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że tyle lat temu zgodziłeś się zostać moim partnerem i przyjacielem.*

*Willowi, mojemu małemu mężczyźnie, za dzielne znoszenie tylu filmów, żeby mamusia mogła pracować, za nieustanne rozśmieszanie mnie i za przypominanie mi, co jest w życiu ważne.*

*I na końcu (ale nie w ogniu) Maddie. Mojej kochanej córeczce. Która była przy mnie przez cały czas powstawania tej książki, rosła razem z nią, zносиła łzy, kolejne wersje i skurcze Braxtona-Hicka. Dziękuję ci, że byłaś tak grzecznym niemowlakiem i przespałaś jak kamień te wszystkie spotkania z czytelnikami.*

## *Przypisy*

<sup>1</sup> *Księga Henocha*, przekład: ks. Ryszard Rubinkiewicz SDB.

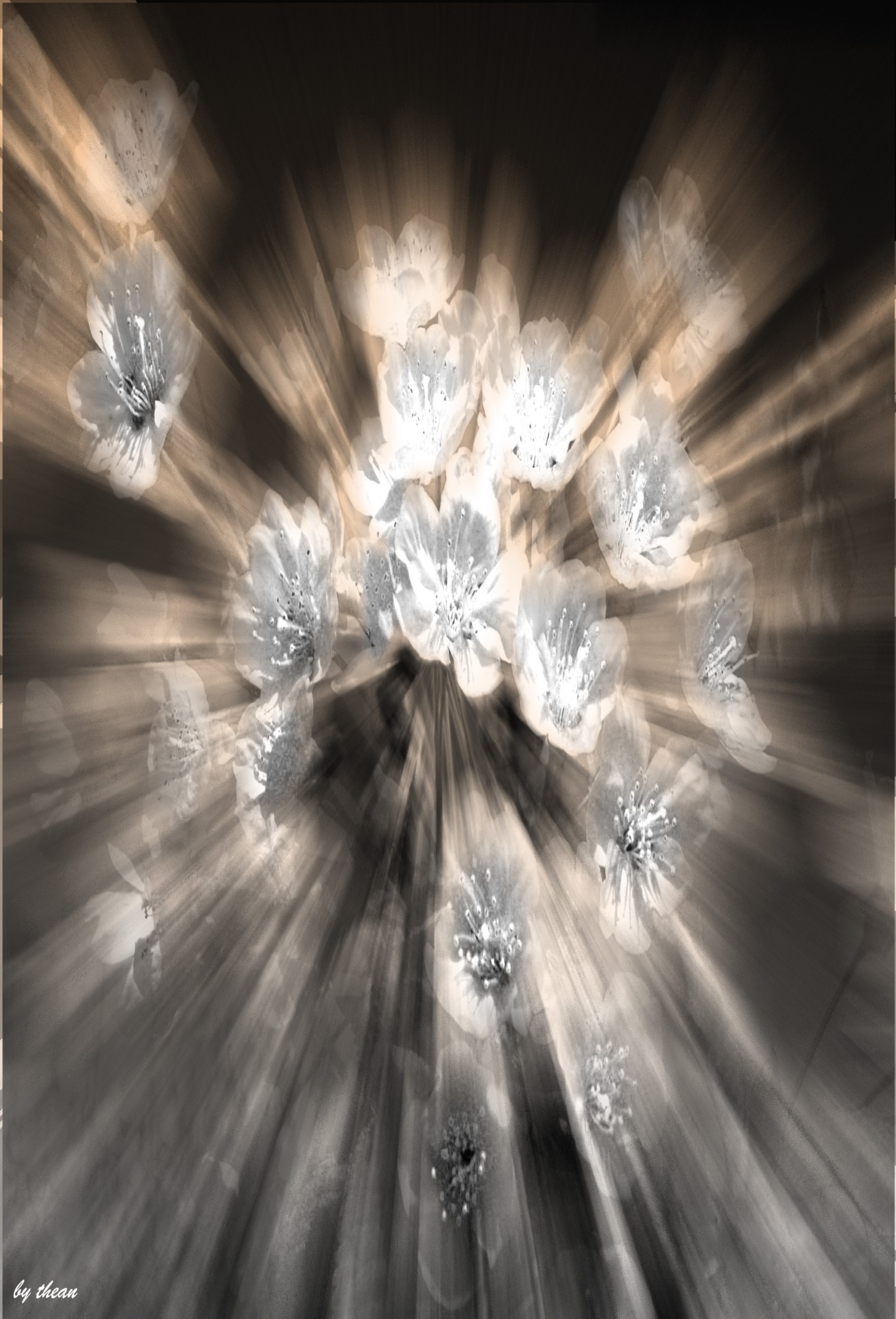
<sup>2</sup> S'more (lub smore) — popularny w Stanach ogniskowy deser składający się z pieczonej pianki (marshmallow) i warstwy czekolady w „kanapce” z krakersów.

<sup>3</sup> Fragmenty *Raju utraconego* Johna Milтона w przekładzie Macieja Słomczyńskiego, Wydawnictwo Zielona Sowa, Kraków 2002.

<sup>4</sup> Biblia Tysiąclecia, Księga Rodzaju 6, 1-4.

<sup>5</sup> William Shakespeare *Sonet 43*, przekład: Maciej Słomczyński.





*by thean*